

BESTSELLEROWA AUTORKA

NEW YORK TIMES

J. T.  
Ellison

UMARLI  
NIE KLAMIA

**J.T. Ellison**

**Umarli nie kłamią**

*Tłumaczenie:  
Melania Gruszczyńska*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szkocja  
Region Highlands  
Zamek Dulsie  
22 grudnia

*Kochana Sam,*

*Myślę, że każdy człowiek podczas wędrówki przez życie dociera do takiego momentu, kiedy powtórnie zostaje ukształtowany i zdefiniowany jego charakter, zupełnie jakby został ulepiony z nowej gliny. Coś takiego przytrafiło się również mnie. Zmieniłam się, i to nieodwracalnie.*

*Sam, nie mam już cienia wątpliwości. Tracę rozum. Tamta strzelanina mnie prześladowuje. Koszmarna świadomość straty, którą poniosłaś, bolesna świadomość tego, kim się stałam... To po prostu mnie wykańcza! Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Czuję się potwornie zagubiona, z dala od wszystkich, w obcym świecie, niczym motyl uwięziony pod szklanym kloszem.*

*Czy wiesz, że tutaj ściany mówią? Czasami budzi to we mnie niepokój, ale niekiedy przynosi pociechę. Na sklepieniach tańczy blask płomieni świec, a posadzki migocą i drżą pod moimi stopami. Uciekam wtedy na zewnątrz, ale co tam napotykam? Tylko mgłę, opary i wałęsające się owce. Aha, tutejsze krowy mają łagodne, o ciekawskim spojrzeniu oczy, a psy odznaczają się specyficznym poczuciem humoru, to znaczą się wesolutkie i rozszczekane, ale łatwo poznać, że w razie czego błyskawicznie dobrałyby ci się do skóry. Przynajmniej ja bez trudu to rozpoznaję, bo spotykałam takich ludzi... Natomiast sarny są cierpliwe, wyciszone i smutne, widomy znak, że pogodziły się z rolą ofiary. Za to kruki są głośne i napastliwe. A mewy? Och, to straszne głupole, a w każdym razie tak się zachowują. Nieustannie zadziwiają mnie, gdy na tle górskiego łańcucha*

uganiają się za czymś bez sensu. Kury są wielkie i nabzdyczone, ciągle się indyczą, a szkockie kuropatwy muszą mieć mnóstwo spraw na swych łebkach, bo wiecznie gdzieś się śpieszą.

Mgła otula górskie grzbiety niczym chłodny szal, a droga, którą idę, zbliża się ku mnie, jakby planowała wyjawić mi tajemnicę.

Tajemnice... Och, Sam, doskonale wiem, że nie ma tu nikogo, a zarazem są wszyscy! Wyczuwam ich obecność, tłoczą się wokół mnie. Zaginieni i zmarli. Za dnia ich nie widzę, tylko głęboką późną nocą, kiedy już dawno powinnam spać. Wtedy pchają się do mnie ze wszystkich stron i kradną powietrze, którym oddycham. W pokoju robi się zimno, pojawiają się... ostrzeżenia.

Sam, muszę to wyrazić jasno, bez ogródek: to prawda, wciąż mam kontakt z lekarzami, ale żaden nie potrafi mi pomóc. Jeśli chcę wyzdrowieć, muszę znaleźć w sobie ogromne pokłady siły, by wykonać to gigantyczne zadanie. Stare porzekadło głosi: „Lekarzu, lecz się sam”. Zgadzam się z nim, lecz dla moich potrzeb muszę je trochę zmodyfikować: „Poruczniku, rozkazuje sobie sam”.

Kochana Sam, błagam, wybacz mi. To wszystko moja wina. Teraz już to wiem.

W tych chwilach, kiedy nawiedza mnie prawdziwy spokój – przy wspaniałym posągu Ateny, gdy spoglądam na sad i ogród lub obserwuję zwierzęta na pastwiskach – wyczuwam twój smutek. Wreszcie zrozumiałam, co straciłaś, bo to także moja strata. Nie sądzę, żeby powrót był możliwy. Wątpię, czy w naszym... a w każdym razie wciąż jeszcze naszym świecie nadal jest dla mnie miejsce.

Dzieje się tu ze mną coś dziwnego. Nawiedzają mnie przodkowie Memphisa. Nie podoba im się, że tu przebywam.

Postąpiłam najlepiej, jak umiałam, ale zepsułam wszystko i nie wiem, czy uda mi się to naprawić.

Uściskaj bliźniaki. Baśniowa matka chrzestna ich kocha. Kocham też ciebie. To wszystko.

Taylor

Taylor zamknęła pokrywę laptopa. Znów czuła mdłości i zawroty głowy. Ból za oczami stawał się coraz bardziej nieznośny. Mogła tylko położyć się z zaciśniętymi powiekami i wznosić modły, by przeszedł. Albo zażyć kolejną tabletkę percocetu. Niestety pigułki, którymi ją faszerowali, przestały działać. Zapadnięcie nocy było sygnałem dla mózgu, że ma się wyłączyć, oddać rządy bólowi i wrażliwości. Dla Taylor były to godziny słabości. Dopiero poranki przynosiły poczucie bezpieczeństwa i odwagę.

Jej umysł składał się z zawiasów przytrzymujących obrazy, o których istnieniu zdecydowanie wolałaby nie wiedzieć. Gdy się nie pilnowała, demony brały w posiadanie jej myśli.

Walcząc z bólem głowy, podeszła do okna i popatrzyła na góry. Łagodne stoki spowijał welon nocnego mroku. W śnieżnej pokrywie odbijał się zarys majestatycznych sosen. Kompletna pustka, idealne odosobnienie, szkockie odludzie, doskonałe miejsce na kryjówkę.

Łatwo mogła udawać przed światem, że wszystko z nią w porządku. Po prostu zasłużyła na wakacje, więc wpadła tu na jakiś czas, jak lubili powtarzać otaczający ją Brytole.

Tak naprawdę uciekła od ludzi, którzy znali jej prawdziwą sytuację. Uciekła od najlepszej przyjaciółki, doktor Sam Loughley, i od doktora Johna Baldwina, z którym była zaręczona. Udało jej się nawet odsunąć od Memphis Highsmythe'a, przyjaciela, który chciał od niej znacznie więcej, niż mogła mu ofiarować.

Odgarnęła włosy z ramion i oparła się o framugę. Poczwała kojący chłód, gdy przytknęła skroń do szyby. Nieduża pomarszczona blizna, jaskraworóżowy ślad po odniesionej w krwawym starciu ranie, niemal całkiem się zagoiła i wreszcie zaczynała blednąć. Taylor nie nosiła już rzucającego się w oczy piętna po zabójcy o pseudonimie Naśladowca. W każdym razie nie nosiła go na ciele, bo przecież Naśladowca zrujnował i okradł jej psychikę, pozbawił czegoś cennego, czego nie potrafiła odzyskać.

Obecnie była tylko w połowie kobietą, w połowie sobą. Zwariowaną małą dziewczynką, która została zamknięta

w zamku i jest zbyt zmęczona, by bawić się w księżniczkę.

Kątem oka pochwyciła jakiś ruch nad górami. Po chwili dotarło do niej, że zmienił się kierunek porywistego wiatru, dlatego bure chmury przemknęły nad dolinę i jezioro, po czym rozwarły się szeroko i gradowe pociski zaczęły wybijać bezlitosny rytm na stwardniałym gruncie.

Serce Taylor waliło do taktu tak natarczywie, jakby ktoś stukał pięścią w drzwi, a ból głowy przeszedł w migrenę i stał się nie do zniesienia. Ciężkie wiktoriańskie meble zgromadzone w sypialni zalśniły na znak rozpoczęcia conocnego danse macabre.

Poczuła się pokonana. Zaciągnęła zasłony, udała się do łazienki i wysypała na dłoń dwie grube białe tabletki percocetu. Połknęła je, popijając wodą z kranu. Miała nadzieję, że pomogą.

Po powrocie do sypialni spostrzegła, że laptop jest otwarty. Nie rozłączyła się z internetem? Cóż, nie powinna tyle pić. Znowu czuła się chora. Alkohol, lekarstwa, ból tworzyły piekielną mieszankę, której na imię Cierpienie. Wielkie Cierpienie.

Prawda.

Ciężkie cienie zawłaszczają ją, skubały w bose stopy. Po omacku trafiła do łóżka, położyła się na wzorzystej narzucie i poddała bólowi, strachowi i skręcającemu wnętrzości przerażeniu, które wypełniały ją całą noc po nocy. Widziała jedynie mroczki tańczące przed oczami i perłowy zarys ducha, który przyszedł, żeby ją pochłonąć. Zacisnęła powieki. Może dzisiejszej nocy zostawi ją w spokoju?

Nie.

Był tutaj.

Poczuła na policzku zimny, pieśczośliwy powiew, lekki dotyk opuszków na czole i tam, gdzie kula wtargnęła w ciało. Blizna zapiekła lodowato. Jednak Taylor nawet nie drgnęła, nie wrzasnęła ze strachu. Zjawa uwielbiała jej lęk, a skutek nawiedzającej ją odrazy, gdy duchy przeszłości i terażniejszości mieszały się w powietrzu, którym Taylor oddychała, jej głos powracał w całej mocy i brzmieniu. Wtedy i tylko wtedy. Za pierwszym razem, gdy poczuła zimny dotyk, popełniła błąd i krzyknęła. Nigdy więcej nie da zjawie tej satysfakcji.

Mroźne palce przesunęły się niżej, do dawno zagojonej rany ciętej na szyi. Następnym razem nie będzie miała tyle szczęścia. Dotyk był ostrzeżeniem. Znakiem.

A potem to się skończyło. Leżała bezwładna i roztrzęsiona, łkając bezgłośnie.

# POCZĄTKI

*Tydzień wcześniej*

*Bądź milczący, bądź nieruchomy jak pęknięty dzwon. Poznaj  
bezruch wolności, gdzie dążenie zamiera.*

Budda



## ROZDZIAŁ DRUGI

*Nashville, Tennessee*  
*Grudzień*

- Świetnie ci idzie.

Doktor Benedict trzymał laryngoskop głęboko w gardle Taylor Jackson. Zaaplikowany przed badaniem środek znieczulający w spreju o smaku gorzkiego metalu sprawił, że język ścierpł. Do licha, przydałby tu się sztuka połykacza mieczy. Badanie było obrzydliwie inwazyjne. Chociaż Taylor nie czuła bólu, miała pełną świadomość, że wepchnęli jej coś do gardła. Na samą myśl dostała odruchu wymiotnego. Lekarz spostrzegł ruch krtani i zamruczał cicho, łagodnie, lekko dotykając jej ramienia, jakby uspokajał konia.

- Cii, już dobrze. Prawie skończyłem. Jeszcze tylko minutka.

Miała ochotę dać mu w prezencie stoper. Już po raz trzeci obiecywał, że właśnie kończy. Próbowwała zająć czymś myśli, cokolwiek, co odwróciłoby jej uwagę. Czuła rosnącą panikę, klaustrofobiczne uczucie, że zbyt długo ma otwarte usta, wiedziała, że jest coś...

- Dobrze, a teraz spróbuj zakasłać.

Nareszcie.

Metal wysunął się z ust. Poczowała się jak kosmitka, która zwraca wyjątkowo niestrawny posiłek. Ale przynajmniej znów mogła oddychać.

Stół do badania znajdował się blisko ściany. Oparła się o nią plecami i obserwowała, jak lekarz chowa narzędzia. Stetoskop stuknął głucho o metalową tacę, porzucony i ponížony, przez ten lekceważący gest odarty z medycznej funkcji, zwykły kawałek materii, za którym nic się nie kryło.

Lekarz ponownie poklepał ją po ramieniu.

- Ubierz się, proszę, i przyjdź do mojego gabinetu. Tam porozmawiamy.

Próbowała zignorować fakt, że skrzywił się przy słowie „porozmawiamy”.

Ostatnio niewiele mówiła.

Ubrała się i wyrzuciła do kosza cienką papierową koszulę. Dlaczego musiała się rozbierać do pasa podczas badania gardła, było dla niej tajemnicą.

W drzwiach czekał na nią John Baldwin, jej narzeczony. Dobrze odczytał minę Taylor, bo skomentował z uśmiechem:

- Jesteś rozebrana, żeby lekarz mógł natychmiast przystąpić do akcji, gdyby wystąpiła niepożądana reakcja na środek znieczulający albo pojawił się inny problem.

Skinęła głową, bo wyjaśnienie brzmiało sensownie. Z drugiej jednak strony taka rozbierana procedura nadal jej się nie podobała.

Obserwowała Baldwina, który też bacznie się jej przyglądał. W zielonych oczach połyskiwała troska, czarne włosy były w lekkim nieładzie, choć szpakowate skronie gładko przyczesał. Był barczysty, miał prawie dwa metry wzrostu. Nigdy nie nazwała go przystojnym. Był piękny! Owszem, to niezbyt stosowne określenie dla mężczyzny, ale do Baldwina pasowało jak ulał. Wspaniały okaz faceta! Proporcjonalnie zbudowany, o ładnie wykrojonych, roześmianych ustach, wysokich kościach policzkowych i wydatnej szczęce. Był dla niej wszystkim.

Był. Kiedyś. Nie wiedzieć czemu myślała o nim w czasie przeszłym dokonanym, a przecież nadal istnieli na tej ziemi i nadal byli ze sobą. Dotykali się, trzymali za ręce. Lecz fizyczna bliskość nic już nie znaczy, kiedy twój świat nagle stanął na głowie.

Przepęłniał ją lęk nie tylko o fizyczne, widoczne gołym okiem rany. Z tym wcześniej czy później sobie poradzi, po prostu tak zazwyczaj się dzieje. Za to panicznie bała się niewidocznych urazów, a już zwłaszcza tego, co stało się z jej sercem. Pękło, rozpadło się, i już nic go nie skleji. Tak, to było naprawdę groźne. Baldwin okłamał ją na temat swojej przeszłości. Prosiła go tylko o jedno, o lojalność, a on boleśnie ją zawiódł.

- Pozwól, że ci pomogę. - Uścisnął jej rękę.

Pozwoliła mu poprowadzić się korytarzem. Od strzelaniny nie upłynął jeszcze miesiąc i wciąż nie czuła się pewnie na nogach. Rany postrzałowe głowy wywołują taką reakcję. Od tygodni wszyscy jej to powtarzali jak mantrę.

Zignorowała strapiony wzrok Baldwina. Tym spojrzeniem błagał, żeby znów dopuściła go do siebie, jakby doskonale znał jej myśli. Potrafił to. Nie zawsze tak się działo, ale czasami kradł jej myśli prosto z głowy.

Chciałaby to wykrzyczeć, ale tylko bezgłośnie poruszyła ustami. Ktoś, kto umie czytać z ruchu warg, odczytałby:

- Och, Baldwin, co ty z nami zrobiłeś?

Doktor Benedict pozostawił otwarte drzwi, które Baldwin przytrzymał przed Taylor, po czym wszedł za nią do gabinetu. Pokój prezentował się typowo: dużo ciemnego drewna, masywne biurko, na ścianach oprawione w ramki fotografie i dyplomy. Taylor usiadła na jednym z dwóch krzeseł ustawionych naprzeciw biurka i spojrzała wyczekująco na lekarza.

Benedict odchrząknął.

- Okej, Taylor, zacznijmy zatem od dobrych wiadomości. Nie widzę żadnych objawów wskazujących na trwałe upośledzenie funkcji mowy. Dysfonia reaguje na zastrzyki z botuliny, a choć struny głosowe są nadal lekko ugięte, to zaczynają przywodzić na odcinku środkowym i kiedy kaszlesz. Nie widać oznak polipów ani guzów. To naprawdę dobre wieści. Struny głosowe są sprawne i działają. Po postrzale prawdopodobnie upadłaś i uderzyłaś o coś krtanią. Szok po silnym uderzeniu wywołał dysfonię, ale ta dysfunkcja nie powstała ani wskutek postrzału, ani operacji chirurgicznej. Miałaś wielkie szczęście. Z czasem powinnaś odzyskać głos.

Potrząsnęła głową, palcem wskazując gardło.

- Taylor, nie wiem. Na pewno mogę powiedzieć tylko tyle, że natura problemu nie jest już czysto fizyczna. Kula nie uszkodziła ośrodka mowy w mózgu, bo gdyby tak było, wykazałyby to badania neurologiczne, a ich wyniki na szczęście są w normie. Rana ładnie się zagoiła. Zważywszy na okoliczności, twój stan jest wyjątkowo dobry. Możesz jeść i spać. Czy bóle głowy nadal ci dokuczają?

Skinęła potakująco. Ból czasami był tak straszny, że aż nie mogła oddychać.

- Należało się tego spodziewać. Z czasem zaczną słabnąć. Odpoczynek i brak stresu powinny pomóc. Natomiast głos...

Urwał, a Taylor przygotowała się na najgorsze. W swojej pracy zdobyła duże doświadczenie w przekazywaniu złych wiadomości. Była pewna, że teraz sama usłyszy coś takiego.

- Przypuszczam, że możesz doświadczać hysterii konwersyjnej.

Wzruszyła ramionami. Lekarz dumiał o czymś przez chwilę, po czym dodał:

- Przeżyłaś wielką traumę, zarówno fizyczną, jak i psychiczną, jednak szybko dochodzisz do zdrowia, dlatego przypuszczam, że podłoże dysfonii nie jest organiczne, ale jej przyczyn należy szukać w psychice. Chodzi o brak równowagi emocjonalnej, mówiąc najprościej. Myślę, że należałoby zastosować inną psychoterapię, wspomagając się lekami antydepresyjnymi. Taka zmiana może mieć dodatkowy plus, a mianowicie pomoże ci przetrwać stres związany z tym wszystkim... co się wydarzyło. - Zatoczył dłonią koło.

Czy możesz odpędzić ode mnie złe moce, doktorze? - pomyślała Taylor. Machnąć czarodziejską różdżką i sprawić, że wyzdrowieję?

To, co się wydarzyło... Bandyta strzelił jej prosto w głowę. Utrzymywano ją tydzień w śpiączce farmakologicznej w oczekiwaniu na ustąpienie obrzęku mózgu, a kiedy działanie leków się skończyło, wystraszyła wszystkich śmiertelnie, gdy nie wybudzała się przez kolejny tydzień.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, ujrzała nad sobą zatroskanego Baldwina. Nie była w stanie mówić... Nie mogła mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, a zarazem nienawidzi. W jej mózgu zagnieździł się Naśladowca, atakując ją w snach i nawiedzając za dnia. Brak równowagi emocjonalnej. Cóż za doskonałe określenie stanu jej uczuć! Poza tym była wściekła i przestraszona. To wszystko nie mogło, po prostu nie mogło zmieścić się w jej głowie! Za dużo, za ostro... A może jednak?

Wyjęła z kieszeni notes, otworzyła na czystej stronie, nagryzmoła coś nerwowo i pokazała lekarzowi.

Uniósł ręce w obronnym geście.

- Mój Boże, Taylor, wcale nie mówię, że zwariowałaś! Absolutnie. Masz objawy hysterii konwersyjnej, nic więcej. To schorzenie da się wyleczyć.

Baldwin poruszył się na krześle, spojrział na nią i przemówił niskim, poważnym głosem:

- Kochanie, on ma rację. Masz wszystkie objawy hysterii konwersyjnej, to pasuje do całego obrazu twojej choroby. Zastanawialiśmy się z doktorem Benedictem, czy nie cierpisz na zespół stresu pourazowego. Gdybyś mogła zobaczyć, jak się zachowujesz we śnie. Jęczysz, krzyczysz i wołasz, rzucasz się w łóżku przez całą noc. Nie ulega wątpliwości, że na nowo przeżywasz tamtą chwilę, gdy zostałaś postrzelona.

Potrząsnęła gwałtownie głową i błyskawicznie napisała:

*Nieprawda!*

Po czym podsunęła notes Benedictowi. Nie chciała, żeby się dowiedział, jak bardzo czuje się słaba. Położyła Baldwinowi rękę na ramieniu i zgromiła go wzrokiem. Najwyraźniej postanowił jej dzisiaj zaszkodzić.

Oczywiście, że wciąż i wciąż przeżywała tamten moment. Codziennie, w każdej sekundzie. Ten film miała zapętłony w głowie.

- Taylor, musisz mi o tym opowiedzieć. - Benedict zmarszczył groźnie brwi. - Ostatnim razem przepisałem ci ativan, ale nie bierzesz go regularnie, prawda?

Zaprzeczyła. Po ativanie czuła się ospała.

- Nieustannie jej powtarzam, że musi brać lekarstwa.

Nienawidziła, gdy Baldwin tworzył z lekarzem wspólny front przeciwko niej. Czy nie mógł po prostu stać po jej stronie i przestać się tak cholernie troszczyć i wymądrzać?

A może naprawdę powoli wariuję? - pomyślała. Nie mogę mówić. Nie mogę pracować. Komunikuję się za pomocą notesu. Ale wszystko cacy, wszystko będzie ze mną dobrze... Akurat!

Tęskniła za dawnym życiem. Brakowało jej kolegów z zespołu, detektywów Wydziału Zabójstw Departamentu Policji w Nashville: Lincolna Rossa, Marcusa Wade'a, Rennę McKenzię. Sierżanta Pete'a Fitzgeralda, doktor Sam Loughley,

policyjnej patolog, którą zawsze otaczała niewidoczna chmurka o zapachu formaliny. Komendantki Huston. Każdego. Tęskniła nawet za Baldwinem, choć nadal była na niego wściekła z powodu kłamstw, którymi ją uraczył, a uraza była wszystkim, co pozostało. Lecz nie miała pojęcia, jak mogłaby stanąć przed nimi twarzą w twarz. Przed każdym z osobna i przed wszystkimi naraz.

Oddychała coraz szybciej, jednak Baldwin wyrwał ją z zamyślenia.

- Taylor? Co się dzieje? - spytał z niepokojem.

Musiała stąd wyjść, i to natychmiast. Przeszyła narzeczonego i doktora morderczym spojrzeniem, po czym wstała i wymaszerowała z gabinetu.

Doszła do westybulu, gdzie znajdowały się windy. Dalej nie było sensu uciekać, bo Baldwin miał kluczyki do auta.

Spróbowała głośno wypowiedzieć słowa, które paliły jej wargi i krtań, ale wtedy zaatakowały ją obrazy z niedawnej przeszłości: drewniany parkiet pokryty kurzem, który łaskotał ją w nos, porażająco głośne bicie serca, czerń, która wzięła się stąd, że krew zalała jej oczy. Mnóstwo krwi. Krzyk Baldwina, zakrwawiona Sam, Naśladowca skulony tuż przy niej. Wbijał w nią wzrok, oczy miał szeroko otwarte, natomiast ona ze wszystkich sił starała się nie stracić przytomności - i poniosła porażkę.

Znowu umierała.

Oddech stał się spazmatyczny, przyśpieszony. Dostała ataku pieprzonej paniki, i to w publicznym miejscu, na oczach obcych ludzi. Dziko potoczyła wokół wzrokiem, szukając miejsca, gdzie mogłaby się ukryć.

Chwyciły ją silne ramiona. Wyczuła cedr, charakterystyczny zapach wody po goleniu używanej przez Baldwina.

- Oddychaj, maleńka. Oddychaj głęboko przez nos. Nic ci nie jest, pamiętaj.

Miała szczerze dość tych wszystkich ludzi, którzy zapewniali, że nic jej nie jest. Przecież była chora, i to poważnie!

Ciężko oparła się na Baldwinie, pozwalając, żeby ją podtrzymał. Ile razy powtarzali to w ciągu ostatnich kilku

tygodni? Cztery? Dziesięć? Pięćdziesiąt?

Atak paniki przechodził, poczuła się odrobinę lepiej. Ativan miał przeciwdziałać takim problemom, a w każdym razie je łagodzić. Może jednak powinna do niego wrócić, tyle że nie cierpiała przyznawać się do porażki. Wciąż miała nadzieję, że sama sobie z tym poradzi.

- Kochanie, wróć ze mną do gabinetu. Doktor Benedict chciałby skończyć rozmowę.

Walczyła, żeby głośno wypowiedzieć słowa „Pieprzyć doktora Benedicta!”, ale bezskutecznie. Wobec tego zacisnęła wargi i poszła za Baldwinem. Zajęli poprzednie miejsca.

Benedict udawał, że nic nie zaszło. Przechylił głowę i spytał:

- Więc jak?

Odpisała:

*Zgadzam się.*

Lekarz klasnął w ręce.

- Świetnie. Zawiadomię doktor Willig, że umówisz się z nią na wizytę w najbliższym możliwym terminie. Ma duże doświadczenie w leczeniu hysterii konwersyjnej, nie mógłbym sobie życzyć współpracy z lepszym specjalistą. Zobaczymy się za dwa tygodnie, ale gdyby wystąpiły bóle, kłopoty z przełykaniem lub krwawienie, natychmiast się do mnie zgłoś, dobrze?

Gdy wstali, doktor Benedict odprowadził ich do drzwi. W pocieszającym geście położył dłoń na plecach Taylor i powiedział:

- Proszę, bądź cierpliwa. Nastąpi poprawa, sama się przekonasz. Nie zapominaj, że czas leczy wszystkie rany.

Boże, gdybyż to była prawda, pomyślała smętnie.

- Wiem, że jest ci ciężko i masz już wszystkiego dość. Choroby, kuracji i personelu medycznego na czele ze mną. - Uśmiechnął się lekko. - Nieważne, czy jesteś gotowa to przyznać, czy nie, ale prawda jest taka, że przeżyłaś niewyobrażalny szok, i już samo to wystarczy, żeby wywołać histerię konwersyjną. - Przerwał na moment. - Choć zarazem muszę dodać, że miałaś niewiarygodnie dużo szczęścia przy tym postrzale, nawet jeśli słówko „szczęście” kompletnie ci tu nie pasuje. - Znowu przerwał na moment. - Tak czy inaczej, proszę cię, potraktuj z całą

powagą moją propozycję, a ja ze swej strony dodam coś, co powinno cię zmotywować. Ty zaczniesz chodzić do Victorii... tylko regularnie, pamiętaj... a ja porozmawiam z komendantką Huston o przywróceniu cię do pracy. Według mojej oceny za kilka tygodni mogłabyś objąć w biurze jakieś stanowisko nieoperacyjne. Nie widzę żadnych przeciwwskazań, jeśli dopełnisz swojej części umowy.

Jak długo Baldwin musiał przekonywać do tego doktora? Nawet praca przy biurku to coś nieporównywalnie lepszego od siedzenia w domu i czekania. Czekania na powrót głosu i na to, by gniew wyciszył się, zbladł. Na przebaczenie Sam. Na to, by Baldwin zgodził się wreszcie porozmawiać o poszukiwaniu syna.

- Zgoda?

Kiwnęła głową i podała lekarzowi rękę.

Była gotowa zrobić niemal wszystko, byle tylko wrócić do normalnego życia, nawet jeśli oznaczałoby to nudzenie się za biurkiem. Rozwiązywanie dramatycznych zagadek, dochodzenie do prawdy, kto i dlaczego zamordował, to było całe jej życie, po to się narodziła. Gdyby jej to odebrano, zostałaby z niej pusta skorupa. Gdyby na zawsze odebrano jej głos, z czasem całkowicie zamknęłaby się w sobie, tam, gdzie rezydują tylko demony. Demony Taylor Jackson. Oto stosowna kara za grzechy, których się dopuściła. Kawalek piekła na ziemi. Zastanawiała się tylko, jak długo to potrwa.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Opuszczając szpital, Taylor nie była już w tak beznadziejnie pesymistycznym nastroju. Owszem, wciąż czuła złość do Baldwina i doktora Benedicta, jednak ożywiała ją myśl o wizycie u psychologa. Wreszcie miała plan ataku na swoje fatalne przypadłości, a to bez porównania lepsze od nieustannego wyczekiwania.

- Jesteś głodna? - spytał Baldwin.

Kiwnęła głową. Umierała z głodu. Napisała w notesie:

*U Prince'a.*

- Pieczony kurczak? O dziewiątej rano?

Na samą myśl pociekła jej ślinka. Kiedy wraz z upływem lat systematycznie pięła się po szczeblach kariery, ciężko i rzetelnie pracując w policji, podczas nocnych dyżurów mieli zwyczaj wpadać do tej knajpy około trzeciej nad ranem. Oblędnie gorący i przyprawiony na ostro pieczony kurczak był specjalnością Nashville. Każdy kęs sprawiał, że oczy napełniały się łzami. Niejeden twardy gliniarz po szczególnie ciężkiej nocy skrywał prawdziwe łzy, udając, że to wina ostrej papryczki.

- Niech będzie. - Baldwin z uśmiechem skrzywił w Charlotte.

Taylor patrzyła przed siebie, żałując, że nie może pojechać prosto do wydziału, zgłosić swojej gotowości i zabrać się do pierwszej z brzegu sprawy. Komendantce Huston bardzo by się to nie spodobało, jako że wydała ścisłe instrukcje dotyczące długości urlopu zdrowotnego porucznik Jackson. Wszyscy litowali się nad Taylor, uważali, że powinna się kurować i odpoczywać, i nikomu nie przyszło do głowy, że trochę pracy bardzo by jej pomogło. Umysł miała sprawny, panowała nad emocjami, rany się wygoiły, z bólami głowy sobie radziła. Jedyne, co odbiegało od normy, to niedający się ukryć fakt, że nie mogła mówić. Ale nie jest to zasadniczą przeszkodą, prawda?

Owszem, nie jest, ale pod jednym warunkiem: wszyscy muszą uwierzyć, że nic więcej jej nie dolega.

Baldwin postukiwał kciukami w kierownicę.

- Zatem nie masz nic przeciwko wizycie u doktor Willig?

Skinęła głową, wzruszając przy tym ramionami.

Zdjął dłoń z kierownicy i delikatnie ujął nadgarstek Taylor.

- Kochanie, pamiętaj, że wiem, jak to jest przeżywać koszmara wciąż na nowo. Mieć poczucie klęski, nawet jeśli wina spoczywa na kimś innym, nie na tobie.

Poczuła pieczenie w kącikach oczu. Takie pocieszenie przynosiło odwrotny skutek. Radziła sobie prawie ze wszystkim - z gniewem, strachem, bólem, troską, ale doprowadzało ją do szału, gdy ktoś okazywał jej współczucie. Do jasnej cholery, była zbyt silna, żeby się nad nią litować!

Lecz Baldwin nie ustępował, choć każde jego słowo było jak stąpanie po rozżarzonej węglu. W oczach Taylor pojawiły się wrogie błyski.

- Możemy o tym porozmawiać, kiedy tylko zechcesz. Pragnę ci pomóc. Pozwól mi na to, proszę.

Odpowiedziała mu rozdzierającym westchnieniem, które mogło oznaczać tylko jedno: „Zostaw mnie w spokoju”.

Jechali w pełnym napięcia milczeniu aż do wielkiej przyczepy, w której mieściła się knajpa. Taylor miała nadzieję, że ostre przyprawy rozluźnią zasznurowaną krtań niczym gorąca herbata. Wprawdzie jak dotąd metoda nie zadziałała, ale była gotowa spróbować wszystkiego.

Gdy parkowali samochód, zadzwoniła komórka Taylor. Na wyświetlaczu pokazał się numer recepcji doktora Benedicta. Przekazała aparat Baldwinowi, który przez chwilę odpowiadał monosylabami, po czym spytał:

- Wizyta u Willig dzisiaj o trzynastej?

Potaknęła ruchem głowy. Im szybciej, tym lepiej.

Gdy wysiedli z auta, owionął ich chłodny wiaterek. Z bocznych drzwi przyczepy doleciał strumień ciepłego powietrza, tak szczelnie otulając Taylor, że prawie zapomniała o zimie.

Zamówili kurczaki - dla niej superostry, dla niego średni - po czym usiedli przy piknikowym stole, czekając na podanie

jedzenia.

- Chcesz pogadać? - spytał cicho Baldwin.

Zobaczyła w jego czystych zielonych oczach współczucie i zamknęła się w sobie. Znowu to robił, emanował empatią, zamiast się obruszyć, fuknąć, krzyknąć jak normalny facet, wściec się na nią, że tak chłodno go traktuje. Niech to szlag, okazywał jej zbyt wiele zrozumienia.

Napisała:

*Może ty zaczniesz? Byłoby fajnie, gdybyś ujawnił kilka szczegółów o twoim synu. Jak tam sprawa adopcji?*

Baldwin skulił się, jakby go uderzyła. Cudownie. Odpłaciła mu pięknym za nadobne.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, zaciskając usta i usiłując stłumić wrzący w nim gniew. Potem odetchnął głęboko i pokręcił głową, nie dając się sprowokować.

Był cierpliwy, tak cholernie cierpliwy, że zaczynała mieć już tego dość. Potrzebowali porządnej kłótni, wywalenia bebeczków, oczyszczenia atmosfery, co pozwoliłoby im odnaleźć drogę do siebie. Taylor wiele razy prowokowała Baldwina, ale na próżno. Unikał poważnej rozmowy i jakichkolwiek wyjaśnień, co jeszcze mocniej ją rozjuszało. Chciała się z nim pokłócić, nawet jeśli nie była w stanie na niego nawrzeszczyć.

Zapatrzyła się w przestrzeń. Cóż, sytuacja była trudna. Kłopoty zdrowotne i ciągłe zmiany nastrojów to jedno, nie one sprawiały, że czerpała złośliwą satysfakcję z ranienia Baldwina. To była niezależna i silna potrzeba, co źle wróżyło ich wspólnej przyszłości. Obróciła na palcu pierścionełkę zaręczynową z diamentem, który zalśnił w słońcu niczym symbol nadziei. Gdyby tylko potrafiła odpuścić, chociaż raz zachować się inaczej niż zwykle i pozwolić, by sytuacja wróciła do normy.

Nigdy dotąd nie była w takim położeniu, zapewne dlatego, że kończyła każdy związek, gdy tylko zaczynał się psuć. Uważała, że nie ma sensu pracować nad relacjami, gdy trzeszczały w posadach. Jednak tym razem było inaczej, a to dlatego, że Baldwin był inny. Musiała się zastanowić, czego od niego oczekuje, a on powinien zrobić to samo. Nie mogli dłużej owijać różnych spraw w bawełnę, przy okazji raniąc się do żywego.

Owszem, rany goiły się, ale gdy wreszcie któraś z nich pozostanie rozjątrzona i krwawiąca, będzie to koniec ich związku. Mimo wszystko Taylor tego by nie chciała.

Baldwin podał jej colę, którą popiła percocet. W skroniach zaczynało nieprzyjemnie pulsować, a miała przed sobą jeszcze cały dzień. Przypuszczała, że to dopiero pierwsza tabletką. Do wieczora będzie ich jeszcze wiele.

Zjedli w milczeniu, wrócili do auta i pojechali do domu. Nie było sensu wałęsać się do trzynastej po mieście. Baldwin wjechał na podjazd, otworzył garaż i wszedł do środka, nie przerywając milczenia. Następnie przeprosił, że musi jeszcze wrócić do biura i załatwić kilka spraw. Taylor była na siebie zła za swoją uszczypliwość, a zarazem czuła z jej powodu satysfakcję. Było jej przykro, że Baldwin nie siedzi przy niej, a zarazem cieszyła się, że sobie poszedł. Wszystko naraz! I nie miała pojęcia, jak połączyć te sprzeczności.

Jeśli nic się nie zmieni, groziło jej, że oszaleje.

Musiała jakoś zabić czas. Mogłaby poczytać, ale od lektury głowa rozboli ją jeszcze bardziej. Albo poćwiczyć, tyle że rano, przed wizytą u Benedicta, wykonała już cały zestaw. Postanowiła sprawdzić pocztę i natychmiast pogratulowała sobie decyzji.

Dostała mejla od Memphisa, co na ogół świetnie rozpraszało złe myśli.

James „Memphis” Highsmythe, przezwany tak przez kolegów z Eton po tym, gdy wybrał się do Graceland w Tennessee, był przyjacielem i detektywem z londyńskiej policji. Ponadto był wicehrabią Dulsie i zagorzałym rozpustnikiem. Pracując z Baldwinem nad pewną sprawą, znalazł się w Nashville, potem ostro podrywał Taylor we Włoszech, a jeszcze później mocno ją zirytował, a także rozbawił, a ostatnio niósł jej wielką pociechę. Prawdziwy przyjaciel, który pragnął być kimś więcej.

Rubryka „Temat” była jak zwykle pusta. Memphis nie przywiązywał wagi do nieistotnych w jego mniemaniu drobiazgów. Taylor otworzyła mejla:

*Francesco Stradivari ma dzisiaj urodziny. Wyobrażasz sobie, jakie to uczucie mieć ojca, którego dzieła podziwia cały świat? Czy wiedziałaś, że sfałszował jego podpis na kilku*

*instrumentach w latach trzydziestych XVIII wieku? Dziś przypadają też urodziny mego ojca, więc obiecałem mu, że wyjdziemy gdzieś razem. O czwartej mam pociąg do Edynburga. A ciebie jakie czekają dziś cudowności?*

Przeliczyła różnicę czasu. U Memphisa było o sześć godzin później, więc pewnie jechał już pociągiem. Często dla zabicia czasu pisywał do niej z podróży.

*Byłam dzisiaj rano u lekarza. Niby wszystko w porządku, tyle że nadal nie mogę wydobyć z siebie głosu. Otrzymałam propozycję: jeśli pójdę do Victorii Willig, naszej psycholog, to za kilka tygodni dostanę od doktora Benedicta zgodę na powrót do pracy biurowej w niepełnym wymiarze godzin. Wybieram się do niej po południu. Gdzie zabierasz ojca na kolację?*

Odpowiedź przyszła błyskawicznie. Nie myliła się, Memphis siedział w pociągu.

*Otwórz chat.*

Gdy tak zrobiła, Memphis już na nią czekał.

*Jemy oczywiście w The Witchery, podają najlepsze jedzenie w Edynburgu. Smakuje nieziemsko. Chętnie bym cię tam kiedyś zabrał. Zjedlibyśmy wołowinę przyrządzoną według przepisu Wellingtona, a na deser tartę z mlecznym kremem.*

*Brzmi wspaniale. Ale jak to, nie zjecie haggisu?*

*A czy ty miałabyś ochotę na podroby baranie nadziewane kaszą? Zresztą haggis nieźle smakuje, tyle że wolę wykwinniejsze dania.*

*Fuj. Nie, dziękuję. Co jeszcze macie dzisiaj w planach?*

*Nic więcej. Ojciec wraca autem do posiadłości, a ja nocnym pociągiem do Londynu. Mam przecucie, że w mojej sprawie wkrótce nastąpi przełom. Rano będę miał urwanie głowy.*

Memphis już jej wspominał o sprawie, którą obecnie się zajmował. Dwie, a teraz już trzy dziewczyny zaginęły w Londynie. Taylor ceniła u detektywów instynkt, wiedziała, jak ważne bywają przeczucia. Prawdziwy policjant musiał mieć dobrego nosa.

*Trzymaj się, długo na to czekałeś. Czy twoja matka nie zje z wami kolacji?*

*Hrabina? Nie, przebywa wraz z moim bratem w Afryce Południowej. Zaproponowała mu pomoc w rozwiązaniu kilku problemów, z którymi boryka się w swojej winnicy.*

*Czyżby hrabina znała się na uprawie winorośli i produkcji wina?*

*Liczba jej talentów jest niezmierna. Przyjaźnię się z podobnie utalentowaną osobą.*

Taylor nie skomentowała ostatniej uwagi. Od jakiegoś czasu nie czuła się szczególnie utalentowana. Nie pracując nad żadną sprawą, o niczym nie decydując, przestawała być sobą.

Memphis znowu napisał:

*Pomyślałem, że jeśli potrzebujesz opinii psychologa, by wrócić do pracy, to czemu mnie nie odwiedzisz? Jedną z moich najserdeczniejszych przyjaciółek jest wziętą terapeutką. Mogłabyś zamieszkać w zamku, odpocząć, a ona przyjeżdżałaby do ciebie na wizyty. Wiesz, że okolica jest piękna. Wprawdzie teraz jest trochę zimno, ale odpowiednia odzież i buty załatwią sprawę. Dom został przygotowany na Boże Narodzenie, naprawdę jest ślicznie. Ojciec wybiera się na święta do matki do Afryki Południowej, więc nikogo nie będzie, będziesz mogła robić, co ci się żywnie podoba. Zejdiesz z oczu nachalnym dziennikarzom, którzy nie dają ci żyć. Co ty na to?*

Taylor odchyliła się wraz z krzesłem, zapadając w głęboką zadumę. Święta w Szkocji... Innymi słowy, ucieczka od Nashville, od potępiania najbliższych osób, wreszcie od

doskwierającej niemoty. Skoro będzie sama, jej milczenie nikogo nie rozdrażni ani w nikim nie wzbudzi litości. Nikt nie będzie wciąż zerkał na nią ukradkiem lub w jawny sposób czujnie obserwował, by wciąż od nowa sprawdzać, jak się czuje. Nie będzie szeptów za jej plecami, nie będzie musiała już udawać, że nie zauważa, jak traktują ją inni. Jakby była tykającą bombą zegarową.

Niestety, znowu dobrały się do niej media. W prasie pojawiały się kolejne artykuły i raporty o stanie jej zdrowia, wścibscy dziennikarze grzebali w jej przeszłości i spekulowali, co dalej z nią będzie. Nie było dnia bez co najmniej jednej prośby o udzielenie wywiadu. Napastowali ją mejlami i zapychali wiadomościami automatyczną sekretarkę. Czego od niej oczekiwali? Że wystąpi w telewizji i na migi opowie swoją historię? Odpada.

*Taylor? Jesteś tam?*

Do pracy pozwolą jej wrócić nie wcześniej niż za parę tygodni. Uważała, że zniknięcie z Nashville i udanie się na krótki odpoczynek w niczym nie może jej zaszkodzić. Gdyby znajoma lekarka Memphis porozumiała się z doktorem Benedictem, być może zgodziłby się na takie rozwiązanie.

Był jednak mały szkopuł. Nie wiedziała, w jaki sposób Memphis zinterpretuje jej zgodę na zamieszkanie w jego posiadłości. Owszem, tylko na jakiś czas i tylko jako gość, ale prawda była taka, że Memphis niezmiernie okazywał Taylor sympatię, celowo przeinaczając jej intencje. Zbywanie tych umizgów nie zawsze było takie łatwe, jak być powinno. Z drugiej strony ta nieustanna adoracja jej pochlebiała. Memphis różnił się od Baldwina. Baldwin ją kochał, a Memphis jej pragnął. Nie miała co do tego żadnych złudzeń.

Związek z Memphisem byłby... łatwiejszy. Pożądanie jest mniej skomplikowanym uczuciem niż miłość.

Uświadomiła sobie, że przyjaciel czeka na odpowiedź.

*Jestem, przepraszam. Sama nie wiem, Memphis. Obiecałam, że pójdę do psycholog z Wydziału Zabójstw. Być może to nie jest*

*najszczęśliwsza pora na wyjazd. Rozumiesz?*

*Najdroższa Taylor, oszalejesz, gdy będziesz kręcić się w pobliżu firmy, nie mogąc się zabrać do pracy. To jakaś farsa, że w ogóle ci to zaproponowali. Dlaczego nie zaczekasz, kiedy będziesz gotowa do prawdziwego powrotu, nie niepokojona przez tę małą usterkę? Przywrócimy cię do zdrowia. Wyleczymy. Jestem o tym przekonany.*

Umiała sobie wyobrazić, jaką kurację Memphis zastosowałyby najchętniej. Czy byłoby to z korzyścią dla niej, czy też raczej na odwrót? I czy z Baldwinem sprawy miały się już tak kiepsko, że kusilo ją, by znaleźć pocieszenie w ramionach innego mężczyzny? Odsunęła od siebie tę myśl, po prostu nie chciała się zapuszczać za daleko. Nie teraz. Nie po dzisiejszym poranku.

*Jestem pewna, że Baldwin nie byłby zadowolony, gdybym właśnie teraz wyrwała się do Anglii. Musiałabym poprosić, żeby mi towarzyszył.*

*Nie, nie, nie. Przecież chodzi o coś biegunowo przeciwnego. Ucieczka, urlop oznaczają, że jest się z dala od wszystkiego i wszystkich.*

*Wliczając w to siebie?*

Tym razem to Memphis długo nie odpisywał.

*Nie będę ci się narzucał podczas urlopu. Odwiozę cię do zamku, oprowadzę po nim i po okolicy, a potem wrócę do Londynu, do pracy. Serio, tak zrobię, gdy się zgodzisz, dlatego poważnie się zastanów nad moją propozycją. Odpoczynek z dala od trosk mógłby ci bardzo pomóc.*

Zatem naprawdę byłaby sama. Kusząca propozycja. Szalenie kusząca.

*Pomyślę o tym, obiecuję. Teraz muszę już lecieć, wkrótce mam spotkanie z psycholog. Życzę przyjemnej kolacji. Ukłony*



*i życzenia pomyślności dla pana hrabiego. Smacznej kuropatwy.*

*Skąd wiedziałaś, że właśnie to zamierzam zamówić?*

*Zgadywałam. Cześć, Memphis.*

*Au revoir, ma chérie.*

Okienko czatu znikło i Taylor została sama, zastanawiając się, dlaczego w ogóle rozważa ewentualne przyjęcie zaproszenia Memphisa. Było to jak igranie z ogniem. Baldwin nie zgodzi się na to nawet za milion lat. Choć może wyjazd z miasta pomoże? Rozstanie zawsze dobrze robi związkowi.

Lub ostatecznie go rozwala.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Doktor Samantha Owens Loughley stała pochylona nad zwłokami starszego mężczyzny, który zmarł na ganku swojego domu, i robiła notatki:

Nieznaczne ściągnięcie skóry. Skurcz twarzy. Ślady aktywności owadów na nogach.

Była raczej pewna, że ofiara zmarła śmiercią naturalną, ale z powodu braku świadków zgodnie z procedurą musiała przeprowadzić sekcję zwłok.

Reszta ciał wytypowanych w tym dniu do sekcji leżała na ustawionych w rzędzie stołach. Doktor zatrzyma się przy każdym z nich i dokona oględzin zewnętrznych, rozpoczynając w ten sposób autopsję. Potem nieskazitelnie biała i stalowa sala zacznie się mienić wszystkimi kolorami tęczy – podskórna warstwa tłuszczowa ujawni w jaskrawym świetle jarzeniówek żółtawą biel, sflaczałe narządy wewnętrzne barwę ciemnoczerwono-brązową jak błoto, a krew będzie żywa i intensywna jak płomień ognia. Było czterech techników, ale pięć ciał, więc doktor Loughley zaproponowała, że zajmie się jednym z nich, aby przyspieszyć pracę.

Gdy skończyła notować, rozejrzała się po sali. Wszyscy czekali w gotowości.

- Zaczynamy - zakomenderowała.

Podeszła do swojego stołu i po raz ostatni sprawdziła papiery. Włożyła maskę i chwyciła skalpel. Już miała wykonać pierwsze nacięcie w kształcie litery Y, gdy zadzwonił telefon. Doktor Loughley wzdrygnęła się przestraszona. Zdążyła popaść w tak głębokie zamyślenie, że przestała widzieć zwłoki na stole, przestała rozważać możliwość zgonu wskutek zawału serca. Zamiast tego patrzyła, jak ostry czubek dużego noża przecina sweter, po czym powoli i nieustępliwie wbija się w podbrzusze.

- Sukinsyn - wyszeptała niemal bezgłośnie.

- Odbierze pani? - spytał Stuart Charisse.

Był jej ulubionym technikiem. Po przeciwnej stronie sali kroił narkomana, który przedawkował.

Z hukiem rzuciła skalpel na tacę, a telefon wciąż brzęczał.

- Niech dzwoni. Jeśli będę potrzebna, złapią mnie na pagerze.  
- Odeszła od stołu sekcyjnego i usiadła na krześle obok umywalek. Choć po południu spodziewano się opadów śniegu, na razie niebo było błękitne. Głęboko w płuca nabrała powietrza, policzyła do czterech i wypuściła je. Telefon przestał dzwonić, ale oddech się nie uspokoił. Cholera. - Wychodzę na chwilę. Zaraz wracam.

Rozległy się aprobujące pomruki. Zespół ją rozumiał. W minionym miesiącu kilkakrotnie musiała wychodzić podczas sekcji.

Ściągnęła gumowe rękawiczki, a gdy dotarła do przebieralni, usiadła na ławce, wciąż oddychając z trudem. Z sali dochodziły stłumione odgłosy cięcia, piłowania i pobrzękiwania.

To się musi skończyć, żadnych odlotów, tylko praca. Bo to ona ratowała ją przed szaleństwem. Dotąd zawsze potrafiła zachować zdrowy dystans do przypadków, z którymi miała do czynienia. Nieodmiennie od lat fascynowała ją precyzja budowy ludzkiego ciała, Sam wiedziała przy tym doskonale, że naprawdę jest niezła w swoim fachu. Miała budującą świadomość, że pomaga, udziela ważnych odpowiedzi, uspokaja umysły, rozwiązuje zagadki. Lecz przebywanie myślami z dala od sali podczas wykonywania sekcji nie było fair w stosunku do zwłok. Zasługiwały na lepsze traktowanie, na szacunek.

Nie była jednak pewna, czy jeszcze kiedyś uda jej się wskrzesić w sobie dawny entuzjazm.

Kiedy Barclay Iles podstępem wkradł się do jej życia, nie wzbudził w niej żadnych podejrzeń. Szkoliła go, droczyła się z nim, razem pracowali do późna, jadali wspólnie posiłki, pobłogosławiła nawet jego związek z recepcjonistką z ich wydziału. Kiedy ten sam człowiek przestał w końcu udawać i porwał ją, przywiązał do krzesła, przedstawił się jako Naśladowca i wyrwał jej spod serca maleńkie niewinne życie, myślała, że zwariuje. Czym innym było poronienie, decyzja podjęta przez naturę bez udziału kobiety. Ale utrata

nienarodzonego dziecka w tak makabryczny sposób była nie do zniesienia.

Koszmar wciąż od nowa rozgrywał się w jej głowie. Mogłaby przysiąc, że czuje dziecko odrywane przemocą od ścianki macicy. To koszmarnie poczucie nawiedzało ją w snach. Rana zadana nożem była niczym w porównaniu z potężnym skurczem, który schwycił jej wnętrzności. Pragnęła jedynie zwinąć się w kłębek i szlochać, ale mając ręce skute z tyłu kajdankami, mogła tylko lekko zgiąć się w pasie. Nie chciała, żeby Naśladowca widział jej ból, co było poważnym błędem. On rozkoszował się bólem, uwielbiał go zadawać i obserwować jego skutki. Kiedy mu to wreszcie wykrzyczała, natychmiast przestał ją dręczyć.

Ale zło już się dokonało. Sam wprawdzie żyła, ale straciła dziecko.

Mój Boże, myślała po raz tysięczny, gdyby Taylor przyjechała wcześniej. Gdyby ona i Baldwin szybciej się domyślili, kim naprawdę jest Barclay. Gdyby tylko Taylor...

Gdybym ja nie zaufała mu jak kretynka...

Gdyby, gdyby, gdyby...

Pragnęła zwalić winę na Taylor, cisnąć to całe zło pod jej stopy niczym ochłap dla psa:

- Masz, weź sobie. To ty jesteś za to odpowiedzialna. Ja wracam do dawnego życia - chciałyby spuentować.

Jednak rozum wciąż podpowiadał, że tak się nie da. Nie wolno oskarżać Taylor tylko dlatego, że seryjny morderca obrał ją sobie za cel. Nieuchronne było to, że Sam dostanie rykoszetem. Że to ona otworzy drzwi Naśladowcy, zamiast pomóc go schwytać.

Sam przyglądała się z założonymi rękami, jak jej najlepsza przyjaciółka podejmuje coraz większe ryzyko. Powinna była wiedzieć, że Taylor nie jest niezniszczalna i wszechmocna, i wreszcie dotrze do kresu swoich możliwości. Nie była przecież supermenem, tylko człowiekiem, zwykłą kobietą, która działa pod rosnącą presją.

Sam powinna była zareagować. Dostrzec szaleńca w mężczyźnie, któremu dała się omamić. Powinna lepiej się

przyjrzeć przyjaciółce, zwrócić uwagę na pęknięcia w zbroi, którą zawsze nosiła.

Natomiast Taylor nie musiała robić wszystkiego sama. Gdyby podzieliła się z kimś podejrzeniem, że Naśladowca powrócił do dawnej kryjówki, to ów ktoś mógłby dotrzeć na czas do Sam. Gdyby wtajemniczyła zespół w swoje plany, być może Sam nie straciłaby dziecka, a Taylor nie zostałaby postrzelona.

Niestety wszyscy biernie patrzyli, jak pani porucznik Jackson pakuje się w pułapkę.

Sam znała Taylor lepiej niż ona siebie samą. To Sam siedziała zamknięta na strychu, kiedy Taylor przekroczyła próg. Sam widziała wyraz jej twarzy. Po raz pierwszy maski opadły, bariery ochronne znikły, pani porucznik ziała furją i niezmierną nienawiścią. Może serdeczna przyjaciółka była jednak lepszą aktorką, niż Sam przypuszczała. Potrafiła świetnie ukrywać mroczną stronę swojej natury.

Sam odgarnęła kosmyki z czoła i z powrotem naciągnęła rękawiczki. Wróciła do sali sekcyjnej, zrobiła obchód, obejrzała rozcięte zwłoki, po czym wróciła do swojego stołu, chwyciła skalpel i wykonała nacięcie klatki piersiowej zmarłego mężczyzny nieco głębiej, niż to było konieczne.

Czuła się bezwartościowa. Mogła o to obwiniać wyłącznie siebie samą. To ona wpuściła potwora do ich życia, i wszystkim ukradł coś cennego: jej zabrał dziecko, Fitzowi oko, a Taylor głos.

Klatka piersiowa zmarłego była otwarta. Rozległ się wizg piłki do kości, a po chwili wyraźne stuknięcie i Stuart zawołał:

- Głowa gotowa!

Sam odłożyła skalpel i podeszła do niego. Przesunęła palcami po obnażonym mózgu chłopaka, nie stwierdziła żadnych nieprawidłowości i skinęła przyzwalająco.

Stuart wyjął mózg z czaszki kilkoma szybkimi cięciami, położył go na szalce do ważenia, a kiedy Sam wróciła do swojego stołu, zawołał:

- Mózg gotowy!

Niech trochę poczeka, pomyślała Sam. Musiała obejrzeć narządy z pięciorga zwłok w celu ustalenia prawdopodobnej

przyczyny zgonu. Tego ranka nie mieli żadnych morderstw, nie działo się nic nadzwyczajnego, dlatego nie przedsięwzięli szczególnych środków ostrożności. Ot, kolejny zwykły dzień pracy.

Cięcie, piłowanie, ważenie i mierzenie koło zmęczony umysł Sam. To był jej świat, bezpieczny i znajomy. W przeciwieństwie do Taylor miała ten luksus, że mogła pracować, dzięki czemu szybciej dochodziła do siebie. Powtarzalność rutynowych czynności przynosiła pociechę. Każde zwłoki kryły tajemnicę, ale w środku wszystkie były jednakowe.

Czy była spokojna?

Raczej nie.

Wiedziała oczywiście, że wszystkie narządy ma na swoim miejscu. Lekarze twierdzili, że będzie jeszcze mogła zająć w ciążę. Ale myśl o utracie kolejnego dziecka wprawiała ją w panikę. Przeżywała głęboką i bolesną żalobę, ale najtrudniej było jej dojść do ładu z reakcją męża. Simon oskarżał Taylor, nie pogodził się jeszcze z tym, co zaszło. Kładli się do łóżka milcząco i obojętni, odwrócenie do siebie plecami. Wiedziała, że Simon obwinia także i ją. Zresztą zgadzała się z nim. Powinna była walczyć zacieklej, a zwłaszcza przewidzieć, co się wydarzy. Mogła obronić dziecko. Miotły nią skrajne emocje. Owszem, doskonale rozumiała rozpacz Simona i współczuła mu, zarazem jednak nienawidziła go za obwinianie jej o to, co się stało. Do siebie też czuła nienawiść. Jaka matka pozwala, by ktoś zamordował jej dziecko?

Przez długie tygodnie żyła w traumie, w mgle bólu i otumanienia, jednak mgła rozviała się wreszcie dzięki pierwszym krokom jej syna. Bliźnięta Matthew i Madeline nie przejmowały się wcale, że mama nie może ich wziąć na ręce i rzadko się im przygląda. Mieli siebie nawzajem, poza tym można było odnieść wrażenie, że doskonale wiedzą o jej miłości, tylko mama boi się, że jeśli ich dotknie, skazi niewinne dziecięce dusze zgnilizną, która przeżarła jej serce. W ich oczach widziała cierpliwość i wybaczenie. Uleczą ją, jeśli im tylko pozwoli. Dla ich dobra musiała jak najszybciej uporać się ze smutkiem.

Jednak kiedy wczoraj zaczęła krwawić, ponownie doszło do psychicznej katastrofy. To był pierwszy okres od poronienia, a zarazem widomy i ostateczny znak, że jej życie nieodwołalnie się zmieniło. Znow była pusta w środku. Nie rosło w niej nowe życie, piersi nie były nabrzmiące, nie czuła porannych mdłości. Kiedy dziecko zostało z niej wycięte, to samo stało się z objawami ciąży, które minęły tak nagle, że wydawały się jedynie snem.

Czy też raczej koszmarem sennym, a nie samym życiem.

Uświadomiła sobie, że palcami lewej dłoni naciąga mocno skórę na brzuchu, a prawą ze skalpelem uniesionym w gotowości skierowała na swoje ciało.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### *Edynburg*

Nagłówki gazet krzyczały, radio i telewizja w kółko powtarzały kilka faktów w dziesięciominutowych odstępach, powodując u Memphis ból głowy. Znikła kolejna dziewczyna, osiemnastoletnia uczennica Hannah Straithwhite. Cały Londyn był poruszony – to już trzecia zaginiona w ciągu zaledwie trzech miesięcy. Nie znaleziono żadnych ciał ani oznak przestępstwa. Po prostu zwykła dziewczyna nagle znika bez śladu z ulic rodzinnego miasta.

Jednak wykryto pewien schemat czy też wzór. Wszystkie dziewczyny były blondynkami, miały osiemnaście lat i chodziły do szkoły. Ale tylko tyle, bo mieszkały w różnych dzielnicach Londynu i wywodziły się z całkowicie odmiennych środowisk. Szykował się koszmar, a Memphis wiedział, że zostanie wciągnięty w jego zabójczy wir.

Odkąd wziął udział w schwytaniu włoskiego seryjnego mordercy Il Mostra i działającego z bliźniaczym podobieństwem Konduktora, każda sprawa choć trochę zalatująca seryjnymi zabójstwami trafiała na jego biurko. Przełożeni oczekiwali szybkich rezultatów. Nie to, żeby Memphis miał coś przeciw temu. Więcej pracy oznaczało mniej czasu na jałowe rozmyślania, co było korzystne zwłaszcza w okresie świąt.

Dzięki Bogu za brytyjskie koleje i możliwość ucieczki. Cieszył się, że zobaczy ojca, oderwie się na pewien czas od Scotland Yardu. Jutro komendant Toy McQuivey z pewnością wezwie go do cuchnącego wilgotną wełną gabinetu i poprosi o nadzór nad sprawą Hannah Straithwhite. Ale to dopiero jutro. Na razie miał przed sobą wolny wieczór i noc.

Zapatrzył się w okno. Wkrótce zapadnie całkowita ciemność.

Nie mógł oderwać myśli od propozycji, którą złożył Taylor. Była w jego mniemaniu dosyć egoistyczna. Łudził samego siebie, że



ma to związek z pracą, bo była przecież świetną śledczą. Do tego najładniejszą kobietą, jaką spotkał w życiu. Wiedział, że nie powinien się za nią uganiać, ale wychował się w przeświadczeniu, że wszystko mu się należy, a Taylor stanowiła duże wyzwanie. Bez wątpienia kochała swojego garniturowca, ale szansa istniała, wyczuwał to przez skórę. Odniesione rany zmieniły ją, uczyniły bojaźliwą... nie, to złe określenie. Stała się ostrożna. Ponadto wiedział, że między Taylor a Baldwinem zdarzają się niesnaski. To, że próbował ich rozdzielić, w oczywisty sposób nie było szlachetnym działaniem, ale skoro nadarzała się okazja...

Bóg mu za to odpłaci, ale na razie tym się nie przejmował.

Memphis nie był pewien, czy zakochał się w Taylor, czy też pragnie ją zdobyć, w każdym razie ta szarooka kobieta sprawiła, że po raz pierwszy od śmierci żony czuł radosne ożywienie.

Zresztą wcale nie skłamał, gdy wspomniał o zaprzyjaźnionej psycholog, doktor Madeirze James, która wyszła za jego serdecznego kumpla ze szkoły, Rolanda MacDonalda, drugiego syna hrabiego Killicrankie. Roland wiódł życie arystokraty w tradycyjnym stylu, to znaczy nie parał się pracą zawodową, tylko polował, łowił ryby i namiętnie grał w polo. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wybrał się do Stanów, skąd powrócił z Madeirą, która w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat obroniła doktorat i wkrótce miała urodzić syna. Maddee była piękną, inteligentną kobietą o długich czarnych lokach i zniewalającym uśmiechu. Cudowna żona, wspaniała matka i dobra przyjaciółka Memphisa, która pomogła mu się pozbierać po stracie żony. Memphis ufał jej jak sobie samemu.

Taylor nie mogła lepiej trafić.

Gdyby tylko zgodziła się do niego przyjechać. Nie łudził się, że zaimponuje jej tytułem lub majątkiem, bo pochodziła z bogatej i wpływowej rodziny. Wykradzenie Taylor z Nashville wymagało dużo pomysłowości i uporów. A także współczucia i pełnego zrozumienia oraz zapewnienia wolności. A akurat to mógł jej ofiarować.

Mieli ze sobą bardzo dużo wspólnego, więcej niż Taylor się spodziewała. Wyrosli w uprzywilejowanej warstwie społecznej,

lecz nie utknęli pod złotym kloszem, tylko zanurzyli się w samo życie, w tym i jego najmroczniejsze rejony. Pragnęli zwalczać zło, rozwiązywać sprawy kryminalne, wtrącać bandytów do więzień. Memphis wiedział, że decyzja Taylor o wstąpieniu do policji zrodziła się pod wpływem nielegalnej działalności ojca. On też podjął analogiczną decyzję pod wpływem konkretnych zdarzeń.

Kiedy Memphis chodził do szkoły, w Anglii szalał słynny morderca nazywany Jubilerem. Zabił nożem osiem kobiet, po czym zniknął bez śladu. Podejrzewano go także o zamordowanie tuzina innych, które zaginęły i nie zostały odnalezione. Były to głównie prostytutki, ale również uczennice szkoły średniej.

Memphis właśnie kończył Eton. Zamierzał kontynuować naukę w Cambridge, był przy tym przekonany, że głośne zbrodnie zaszczyły w nim policyjnego bakcyła. Zostanie śledczym, rozwiąże najtrudniejsze zagadki.

Pewnego wieczoru napił się z kolegami whisky i nieźle wstawieni ruszyli samochodem do lasu. Rozbawieni i niezbyt trzymający się w pionie łazili między drzewami, gdy nagle przywidziały im się duchy uduszonych tam dwóch dziewczyn. Memphis omal się nie posikał ze strachu, gdy na oślep gnał do auta, podobnie zresztą jak koledzy.

O wpół do szóstej wieczorem wysiadł na dworcu Waverley, złapał taksówkę i pojechał w górę Royal Mile. Mżył lodowaty deszczyk, który szybko przeszedł w ulewę.

Zgięty wpół pobiegł do The Witchery, jednej ze swoich najulubieńszych restauracji na świecie. Skierował kroki ku drzwiom w głębi głównej sali, gdzie mieścił się znany wyłącznie bywalcom Tajemny Ogród. Kierownik lokalu powitał go szerokim uśmiechem.

- Lord Dulsie, to dla nas zaszczyt gościć pana. Nasz ulubiony hrabia już czeka. Czy mam pana zaprowadzić?

- Tak, Alfredzie, bardzo proszę. Mnie również miło cię widzieć.

Zeszli schodami pod czujnym wejrzeniem wypchanego łosia. Hrabia siedział przy najlepszym stoliku w rogu, z uwagą studiując menu, choć znał je na pamięć.

Memphis oddał Alfredowi płaszcz i zajął krzesło naprzeciw ojca.

- Wszystkiego najlepszego, tato. Dobrze wyglądasz.

Hrabia odłożył kartę dań i uśmiechnął się ciepło do najstarszego syna.

- James, drogi chłopcze, cieszę się, że cię widzę. Przyjechałeś sam? Gdybym wiedział, zaprosiłbym Jenny Blakely. - Omiótł go uważnym spojrzeniem. Wciąż nie tracił nadziei, że owdowiały syn spotka wreszcie odpowiednią kobietę i znów założy rodzinę. Starał się mu w tym pomóc. Odbyli już kilka sporów na ten temat, podczas których senior rodu twierdził autorytatywnie, że gdyby żyli dwieście lat temu, po prostu by wyswatał pierworodnego, który jeszcze by za to podziękował. Memphis nie wątpił, że tak by było.

- Jenny Blakely to pretensjonalna gęś, o czym doskonale wiesz.

Hrabia parsknął śmiechem, po czym dodał karcącym tonem:

- Ależ Memphis, tak się nie mówi o damie.

- Ona nie jest damą, ojciec. Czy widziałeś, jaki ma pieprzyk na powiece? Zasługuje na osobny tytuł.

Gawędzili tak przez godzinę, wymieniając kąśliwe żarciki i delektując się wybornym posiłkiem oraz znakomitym portem.

Jednak w pewnym momencie hrabia spoważniał.

- Wiem, że nie jest ci łatwo, James. Dlaczego nie pojedziesz z nami do Johannesburga? Oderwiesz się trochę od prześladowających cię wspomnień. Wiem, że wciąż o niej myślisz. Serce mi pęka na widok twojego cierpienia.

- Wiem, tato. - Memphis uściśnął go za ramię. - Ale zapewniam cię, że czuję się już o wiele lepiej. Tak czy inaczej, chętnie bym do was dołączył, niestety mam mnóstwo pracy. Poza tym zaprosiłem na święta przyjaciółkę.

- Przyjaciółkę? - Ojciec wbił w niego baczny wzrok, nie bawiąc się w subtelności.

- Bardzo bliską przyjaciółkę. - Memphis posłał mu uśmiech. - Policjantkę, którą poznałem w Nashville. Już ci o niej wspominałem. Taylor Jackson, pamiętasz?

- Tak, oczywiście. No cóż, miejmy nadzieję, że przyjedzie do Szkocji. Nikt nie powinien samotnie spędzać świąt Bożego

Narodzenia.

- Naprawdę nie musisz się o mnie martwić, tato. Mam tyle zajęć, że nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę.

Hrabia uparł się, że podwiezie syna na dworzec, gderając dobrodusznie, że powinien przenocować w majątku. Pożegnali się jak zwykle mocnym uściskiem dłoni i Memphis wsiadł do ostatniego pociągu do Londynu.

Zamówił filiżankę herbaty, sprawdził pocztę i westchnął. Zapowiadała się długa noc. Komendant nie czekał do rana, lecz polecił bezzwłocznie zająć się sprawą Hannah Straithwhite.

Ucieczka się nie powiodła.

Memphis w duchu przyznawał, że sprawa jest intrygująca i stanowi ogromne wyzwanie, a to cenił nade wszystko.

Zadzwoił do detektyw Penelopy Micklebury, powszechnie zwanej Pen. Odebrała już po pierwszym dzwonku i rzuciła z irytacją:

- Ja tu sterczę na deszczu, a ty jesz sobie kolację z tatusiem, co, Memphis?

- Moje posiłki niech cię nie obchodzą, Pen. Zresztą i tak jesz jak ptaszek, więc nie smakowałyby ci te tłuste zupy i półmiski mięsiwa w gęstym sosie. Jestem tak najedzony, że omal nie pęknę.

Pen była weganką, dlatego jęknęła z obrzydzeniem, po czym rzuciła cierpko:

- Takie żarcie w końcu ci zaszkodzi.

- Być może, ale co przedtem użyję, to moje. Gdzie jesteś?

Usłyszał stuk obcasów na chodniku, trzask zamykanych drzwi, a potem zaległa cisza. Pen wsiadła do samochodu.

- Na dworcu Victoria. Miałam randkę. Czy dzwonił do ciebie Boy Toy? - spytała.

- Przysłał mi mejla, przeczytałem przed chwilą. Jeśli nie przestaniesz go tak nazywać, wreszcie się dowie, a wtedy nie zdołam ocalić ci skóry.

- To tylko ksywka, jak rany. Będiesz dopiero jutro?

- Jeśli nie jestem ci potrzebny...

- Nie, dam sobie radę. Gromadzę dokumenty. Wyśpij się.

- Okej, Pen. Do zobaczenia.

Rozłączył się i przez chwilę patrzył na nieliczne światła w oknach mijanych domów. Za dnia okolica prezentowała się pięknie, teraz jednak nieprzenikniona ciemność jeszcze bardziej wzmagала przepełniający go smutek.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Podczas jazdy do śródmieścia Taylor i Baldwin milczeli. Kolejne upokorzenie - nie wolno jej było jeszcze prowadzić samochodu, była zdana na łaskę Baldwina lub Sam. Kusiło ją, żeby wynająć szofera, ale uświadomiła sobie, że powieliłaby matczyzny wzorzec. Kitty Jackson od dwudziestu lat nie siedziała na przednim siedzeniu, zawsze ktoś ją woził.

Była ciekawa, co mama porabia. Nie rozmawiały ze sobą, odkąd Taylor aresztowała ojca i posłała go do więzienia. Chociaż rodzice od dawna byli rozwiedzeni, matka niezłomnie trzymała stronę eksmęża. Taylor była pewna, że nie chodziło tu o sentyment dla dawnych szczęśliwych czasów, lecz o zażenowanie z powodu skandalu. Elita hrabstwa Davidson nie posiadała się z oburzenia, że Taylor wsadziła własnego ojca za kratki.

Jak zwykle na to wspomnienie obudził się w niej gniew. Jakie to typowe, że odium spadło na nią, zamiast na ojca, który złamał prawo. Nic dziwnego, że unikała matki i jej otoczenia, które zaprezentowało tak dwuznaczne standardy moralne. Według nich w każdej rodzinie była czarna owca i nie należało tego roztrąbiać.

Odpędziła od siebie niewesołe myśli, bo Baldwin zaparkował przed Departamentem Policji. Zaczął padać drobny, skrzący się w blasku latarni śnieg. Taylor poczuła przyływ głębokiego zadowolenia, jak zawsze, kiedy patrzyła na swoje biuro. Tu był jej dom. Niedługo pozwolą jej powrócić do największej miłości, do pracy.

Uśmiechnęła się do Baldwina, który odpowiedział uśmiechem.

- Idź, dochodzi trzynasta. Przyjadę po ciebie o drugiej, dobrze?

Musnęła jego dłoń na znak zgody i wysiadła z auta. Nabrała w płuca głęboki haust zimnego powietrza z drobinkami śniegu. Spokojnym krokiem weszła po schodach i wyjęła elektroniczną

przepustkę. Wsunęła ją do szczeliny i zachciało jej się płakać na dobrze znany odgłos otwierających się drzwi.

W korytarzu śmierdziało chlorem. Jakby na powitanie posadzki właśnie zostały wyczyszczone.

W pokojach Wydziału Zabójstw panował ożywiony gwar. Elitarna jednostka speców od morderstw, do której należała Taylor, była na miejscu. To, że w policyjnym biurze było tylu ludzi, oznaczało, że nie wydarzyło się nic nagłego, więc można nadgonić papierkową robotę. Nie przybyli tu dla niej. Nikt nie wiedział, że Taylor się pojawi.

Przystanąła na moment w progu, ale pokój był tak ciasny, że Renn McKenzie, najnowszy nabytek zespołu, i dlatego posadzony przy samych drzwiach, kątem oka dostrzegł ruch i odwrócił się do niej.

- Pani porucznik! - wykrzyknął, zrywając się tak gwałtownie, że zrzucił papiery na podłogę.

Uśmiechał się od ucha do ucha, a zewsząd rozległy się wesołe okrzyki. Zanim Taylor zdążyła ochłonąć, poklepywano ją i ściskano, przekazując sobie jak piłkę na plaży. Najpierw uściskał ją Marcus Wade, potem Lincoln Ross, na koniec Renn. Taylor zakręciło się w głowie. Cudownie znów widzieć chłopaków!

Prawdę mówiąc, dotąd ich unikała. Jako szefowa pragnęła, by widzieli w niej tę samą co zawsze silną i pewną siebie kobietę. Narzekająca i słaba byłaby bezużyteczna.

Owszem, nadal nie mówiła, ale czuła się lepiej. Ból głowy po zażyciu tabletek stępsiał, potrafiła się nawet uśmiechać bez skrzywienia. Zmysł równowagi ustabilizował się na tyle, że wreszcie mogła chodzić bez laski. Każdy dzień przynosił nowe symptomy poprawy. Taylor pragnęła tylko jednego: by jak najszybciej wyzdrowieć. Czuła, że im prędzej znajdzie się wśród ludzi, tym szybciej odzyska pełnię formy.

Wołali do niej jeden przez drugiego, harmider był okropny, a jednak już od dawna nie czuła się tak dobrze. Zanotowała w pamięci, by przesłać doktorowi Benedictowi butelkę osiemnastoletniej szkockiej whisky. Doskonale przewidział, czego najbardziej potrzebowała.

- Cześć, farciaro. Nie wiedzieliśmy, że nas dzisiaj odwiedzisz - powiedział Lincoln z lekką przyganą. - Powinnaś nas uprzedzić.

Marcus podparł się pod boki i dodał swoje:

- Moglibyśmy przygotować się na wizytę. Junior upiekłby ciasto albo coś w tym guście.

Wybuchli śmiechem, wymieniając kąśliwe żarciki. Wreszcie zainterweniował Lincoln:

- Jezu, dajcie już spokój, dobrze? - Objął Taylor w pasie i wprowadził do środka, piorunując wzrokiem rechoczących detektywów. - Mogą tak cały dzień. Wykończą człowieka. - Ale z twarzy nie schodził mu szeroki uśmiech, ukazujący sporych rozmiarów szparę między przednimi zębami. Niedawno znów ostrzygł się na krótko, porzucając dredy. Z wyglądu przypominał emanującego powagą Lenny'ego Kravitz'a w nienagannie odprasowanym jasnoszarym garniturze od Armaniego i bezbłędnie zawiązanym krawacie.

Taylor z uśmiechem wskazała garnitur. Lincoln był nieuleczalnym elegantem, dużą część pensji wydawał na koszule i garnitury w najlepszym gatunku. Za to krawat należał do rzadkich ekstrawagancji. Lincoln nosił go wyłącznie wtedy, gdy chciał zaimponować kobiecie. Taylor przyznała w duchu, że przystojny policjant o oliwkowej cerze prezentował się doskonale. Chętnie ujrzałaby go w smokingu. Na pewno byłby to widok wart zapamiętania.

- Za godzinę mam rozprawę w sądzie - wyjaśnił.

No tak, to wszystko tłumaczyło. Marcus i Renn byli ubrani stosownie do pogody i policyjnej roboty, czyli w dzinsy i ciepłe swetry, innymi słowy, gotowi na każde wezwanie. Było to w znacznej mierze jej zasługą.

Zajrzała do swego pokoju, gdzie puste biurko czekało na jej powrót, i wycofała się do pokoju podwładnych. Przysiadła na skraju biurka McKenziego i posłała chłopakom uśmiech. Uspokoił się w końcu i otoczyli ją kołem.

- Dostałaś zgodę na powrót do pracy? - spytał Marcus.

A Renn spytał w tym samym czasie:

- Co z twoim głosem?

Wskazała krtań i potrząsnęła głową. Wyjęła notes, napisała:



*Willig*

i podsunęła im pod oczy.

Rozległ się chóralny jęk, co choć trochę ją pocieszyło. Obowiązkowe wizyty u policyjnej psycholog nie cieszyły się popularnością.

A gdy dopisała:

*Warunek powrotu*

wzbudziła ogólną wesołość.

- Powiedz jej to, co chce usłyszeć, a piorunem wrócisz do nas - zawołał Marcus.

Zamierzała tak właśnie postąpić, ale w nieco inny sposób. Za żadne skarby nie wpuści nikogo do wnętrza swojej głowy, a już zwłaszcza psycholog, którą będzie potem codziennie mijala na korytarzu.

Jednak chłopcy nie musieli znać szczegółów. Skinęła z uśmiechem, przesadnie przewracając oczami, na co wszyscy się roześmiali.

- To dobrze, bo jesteś nam potrzebna. Siedzimy w robocie po uszy. Dowalili nam spraw, bo Wydział Specjalny zajmuje się przestępstwami Skruszonego Rabusia. Są wykończeni, prawie wszyscy na okrągło go szukają.

Od kilku tygodni dochodziło do zuchwałych napadów na banki w pobliżu linii metra, starannie zaplanowanych przez kogoś, kto dokładnie zacierał za sobą ślady. Wkładał maskę, korzystał z kradzionych aut i nosił przy sobie glocka 21, kaliber 45, którego nie wahał się użyć. Dwa tygodnie temu wybił dziurę w suficie Banku Narodowego, ponieważ kasjer zbyt długo zwlekał z oddaniem pieniędzy.

Co ciekawe, niczym naśladowca Robina Hooda pod osłoną nocy zwracał ukradzione auta właścicielom, wynagradzając ich skromną sumką za straty moralne. Stąd kryptonim sprawy: Skruszony Rabuś. Dzięki Bogu ta informacja nie przeciekła jeszcze do prasy.

- Bez ciebie mamy przechłapane - wtrącił McKenzie. - Przyszedł nowy sierżant, wyjątkowy palant. Wydaje mu się, że jest panem i władcą. Najczęściej podejmuje fatalne decyzje.

- To nie był napad, zamknijcie sprawę. Liczą się statystyki - powiedział Lincoln fałszywie słodkim tonem. - Gdyby dziennikarze dowiedzieli się o tym, roznieśliby nas w trzy sekundy. Góra znowu miesza w liczbach, próbuje udowodnić, że ilość napadów się zmniejszyła. Szkoda, że nie wiesz, co się wyrabia w obyczajówce. Szału można dostać.

Napisała:

*Poskarż się Huston.*

- Poszliśmy do niej - odparł Lincoln. - Poparła nas, ale szef przedstawił nowe wytyczne. Chodzą słuchy, że dostał ciekawą propozycję pracy, ponoć ma odejść po świętach, i robi się jeszcze większy bałagan. Kiedy osoba z zewnątrz przyjrzy się statystykom, znajdziemy się pod obstrzałem.

Postukał palcem w plik papierów, na co Taylor pokręciła głową i szybko naskrobała:

*Nie dopuszczę do tego.*

- Chciałbym, żeby Fitz wrócił - powiedział Marcus, siadając przy biurku. - Rozmawiałaś z nim?

Taylor potrząsnęła głową. Ona także pragnęła powrotu Fitz, choć nie wyobrażała sobie, jak mieliby kierować wydziałem, skoro jej brakowało głosu, a jemu chęci do pracy. Fitz stracił zbyt wiele i Taylor nie wiedziała, czy jeszcze stanie na nogi. Kilka razy poszła go odwiedzić, ale siedzieli w milczeniu dopóty, dopóki zdrowe oko Fitz nie zaczynało łzawić, co oznaczało, że patrząc na nią, potrafi myśleć wyłącznie o Naśladowcy i o tym, czego ich wszystkich pozbawił. Zarówno Fitz, jak i Sam przypisywali jej winę, a Taylor nie umiała poprosić ich o wybaczenie. Na to było jeszcze za wcześnie, doskonale to rozumiała. Ona także nie była gotowa wybaczyć.

Gawędzili jeszcze przez chwilę, wymienili się najświeższymi informacjami, gdy nagle Renn zapytał:

- O której masz nasiadówkę z Victorią?

Jako jedyny spośród nich widywał się z nią dobrowolnie. Miał do pokonania własne demony. Był gejem, musiał walczyć o szacunek kolegów z policji, a jego partner popełnił samobójstwo, nie umiejąc sobie poradzić ze swą seksualnością.

Nazbierało się więc sporo, a psycholog służyła mu pomocą. Z czasem się zaprzyjaźnili.

Taylor zerknęła na złoto-srebrny zegarek marki Tag Heuer – urodzinowy prezent od Baldwina – i zerwała się na równe nogi. Za moment będzie spóźniona.

– Odprowadzę cię. – Lincoln chwycił skórzaną aktówkę z dokumentami. – Muszę już iść do sądu. Sędzia Oscar skręci mi kark, jeżeli nie stawię się na czas.

Taylor pożegnała się z Marcusem i Rennem, zgodziła się wkrótce spotkać z nimi na kolacji i wyszła w towarzystwie Lincolna. Pół godziny rozmowy z chłopakami sprawiło, że humor jej się poprawił. Lincoln wiódł z nią żartobliwą pogawędkę i Taylor po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła się prawie normalnie. Benedict miał rację, powrót do pracy z pewnością jej pomoże. Czowała słowa bulgocące jej w krtani, gotowe wydostać się wreszcie na zewnątrz.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pod drzwiami gabinetu Willig Lincoln cmoknął ją w policzek i pośpiesznie się oddalił.

Taylor stała przez minutę, gapiąc się na szybę z mrożonego szkła. Doktor Willig była porządną kobietą, inteligentną i skora do współczucia. Jeżeli to miałyby pomóc, Taylor była gotowa dopuścić ją do siebie nawet dość blisko. Odetchnęła głęboko, zastukała i uchyliła drzwi.

Willig siedziała pogrążona w lekturze, pogryzając przy tym jabłko. Dopiero po sekundzie zauważyła pacjentkę. Odłożyła książkę i wyprostowała się.

- Pani porucznik, przepraszam, zaczytałam się - wyjaśniła. - We wtorek ma się ukazać najnowsza książka mojej młodszej siostry, więc nadrabiam braki w lekturze. - Podała Taylor egzemplarz „Romansu z orchideą” autorstwa Lauren Willig.

Taylor napisała:

*Ładna okładka. Nie wiedziałam, że lubisz romanse, Victorio.*

- Mama twierdziła, że ja i siostra jesteśmy tak różne jak dzień i noc. Mam umysł ścisły, nie mogłabym być pisarką, natomiast ona ma bujną fantazję i nie sprawdziłaby się w roli lekarza.

Taylor uśmiechnęła się. Zawsze chciała mieć siostrę. Sam pełniła rolę zastępczą, odkąd skończyły pięć lat, zresztą z wzajemnością. To doprawdy okropne, że przyczyniła się do tragedii, która spotkała przyjaciółkę. Przetykając łyżę, spuściła nisko głowę.

- Jeśli wrzask miałby ci pomóc, to gabinet jest dźwiękoszczelny, więc nikomu to nie przeszkodzi.

Taylor potraktowała serio tę propozycję, zanim opadła na krzesło przy biurku. Niestety nic by z tego nie wyszło, już próbowała. W domu, na tarasie, gdzie usłyszałyby ją jedynie wróble i puste butelki po piwie. Na próżno. Mogła tylko niemo poruszać ustami i czasem się zaśmiać.

- Okej, w takim razie ja będę mówić. Doktor Benedict wprowadził mnie w twoje problemy. Aha, radziłabym na niego uważać - dodała z uśmiechem. Wyraźnie lubiła doktora. - No dobrze, przystępujemy do pracy.

Zaczęła krążyć po gabinecie, przygotowując tacę ze sprzętem. Taylor obserwowała ją z wyczekiwaniem. Pani psycholog odznaczała się niebanalną urodą, choć czarne oczy były nieco zbyt szeroko rozstawione, a nos raczej wydatny. Burzę ciemnych loków szesała do tyłu, łabędzią szyję zdobił delikatny krzyżyk na cienkim łańcuszku. Roztaczała wokół siebie subtelną woń perfum i była gustownie ubrana w zielone sztruksowe spodnie i luźny brązowy sweter z kaszmiru. Poważna i skupiona, emanowała zarazem przyjaznym ciepłem. Była jak las, którego głębi i rozległości nie znamy, ale na pierwszy rzut oka bardzo nam się podoba.

Nie miała pojęcia, czego się spodziewać, a kiedy Willig zamknęła drzwi na klucz, usiadła naprzeciw niej na krześle i wskazała tacę, Taylor całkiem straciła rezon. Miała przed sobą gadżet przypominający walkmana, słuchawki i dwa metalowe uchwyty.

- To do EMDR - wyjaśniła Willig. - Przeprogramujemy ci mózg. Taylor wlepiła w nią wzrok.

EMDR - terapia odwrażliwiania za pomocą ruchu gałek ocznych - była całkowicie bezbolesna. Stosowano ją do leczenia urazów psychicznych u pacjentów cierpiących na syndrom stresu pourazowego.

- Ta terapia czyni prawdziwe cuda. Wiele razy miałam okazję się o tym przekonać. - Gdy Taylor zaczęła energicznie kręcić głową, szybko dodała: - Pani porucznik wykazuje klasyczne objawy stresu pourazowego. Absolutnie nie ma się czego wstydić. Ten syndrom dotyka miliony osób, niekoniecznie żołnierzy czy ofiary przemocy. Może go wyzwolić wiele bodźców: groźny wypadek, ciężka choroba, inne traumatyczne przeżycie. Twój przypadek nie jest szczególnie skomplikowany. Postrzał w głowę od seryjnego mordercy, który omal cię nie zabił, to niemal klasyka. Prawdziwy cud, że udało ci się przeżyć. A drugi

cud, że mózg jest nienaruszony. Nie możesz mówić nie dlatego, że został uszkodzony ośrodek mowy, ale dlatego, że się boisz.

Taylor nie podobała się ta diagnoza. Nie czuła strachu. Ból, gniew, frustrację to tak, i owszem, ale strach? Wykluczone. Wstała i cisnęła słuchawki na tacę. Nie trafiła i spadły na podłogę, gdzie leżały jak czarne glisty.

- Hej, byłam pewna, że chcesz wyzdrowieć, a jeśli tak, to musimy być ze sobą szczerze. Nie ma się czego wstydzić - dodała Willig miękkim tonem, po czym spojrzała Taylor w oczy i zadowolona z tego, co w nich ujrzała, gestem wskazała krzesło.

Taylor odetchnęła głęboko i usiadła. Niech ta cała psycholog myśli sobie, co chce, a jej zależy wyłącznie na powrocie do normalności. Jeśli warunkiem koniecznym do osiągnięcia tego celu jest przyznanie się do strachu, rzekomego strachu, to trudno, niech i tak będzie.

- Dobrze. Dziękuję ci. Mamy przed sobą sporo pracy, dzisiaj i podczas następnych spotkań. Odwiedzimy miejsca, do których nie będziesz chciała się udać, ale na tym to właśnie polega. Jeszcze raz przeżyjesz tamtą sytuację, a mój głos i ruchy gałek ocznych w połączeniu z wrażeniami słuchowymi i dotykowymi sprawią, że przeprogramujemy twój proces myślenia. Będzie się to działo stopniowo, etapami. Jestem przekonana niemal w stu procentach, że odniesiemy sukces, oczywiście pod warunkiem, że na to pozwolisz. Zgoda?

Taylor skinęła głową. Istniało co najmniej milion rzeczy, które zrobiłaby chętniej niż ponowne przeżywanie „tamtej sytuacji”. Boże, jak bardzo nie cierpiała tego określenia.

- Znam najważniejsze szczegóły sprawy, ale nie wszystkie. Doktor Baldwin napisał mi obszerną notatkę, więc patrzę na to z jego punktu widzenia. Poproszę cię o odrobienie pracy domowej. Muszę wiedzieć wszystko, co wydarzyło się na strychu. Dopiero kiedy w całości odtworzę tę scenę, będę mogła przeprowadzić cię przez sekwencję zdarzeń i pomóc ci uzyskać do nich dystans, odsunąć się na bezpieczną odległość. Czy jesteś gotowa spisać swoje wspomnienia? Spisać je dla mnie?

Taylor sporządziła już pisemną relację z wydarzeń tamtego popołudnia. Musiała wytłumaczyć Baldwinowi, jak doszło do

strzelaniny, w wyniku której została ciężko ranna.

Miała ją przy sobie. Otworzyła notes na właściwej stronie i podała psycholog.

- O, świetnie. Daj mi chwilę. - Willig szybko przebiegła wzrokiem tekst.

Treść relacji musiała zgadzać się z zapiskami Baldwina, bo kilkakrotnie pokiwała głową. Nie było w tym nic dziwnego. Taylor dała mu to, co chciał dostać, tuszując kilka ważnych szczegółów, o czym nikt nie musiał wiedzieć.

Willig oddała notes i głęboko się zamyśliła. Z jej oczu były szacunek i współczucie.

- O mój Boże...

Owszem, „o mój Boże...”. To mniej więcej podsumowało sprawę.

- Dobrze więc. Gotowa?

Jak najbardziej, pomyślała Taylor, po czym włożyła słuchawki i ostrożnie wzięła metalowe uchwyty do rąk. Okablowana w taki sposób czuła się jak idiotka, ale była gotowa uczynić niemal wszystko, żeby wrócić do zdrowia, więc nie zamierzała się buntować.

- Najpierw krótki test w celu sprawdzenia, czy sprzęt działa prawidłowo.

Taylor podskoczyła jak oparzona, gdy słuchawki i metalowe uchwyty ożyły. W uszach słyszała popiskiwanie, uchwyty miarowo pulsowały. Lewy, prawy, lewy, prawy, lewy, prawy, jak metronom idealnie skorelowany z dźwiękiem w uszach. Dopiero po chwili zdołała się rozluźnić.

- Doskonale - powiedziała Willig. - Sprzęt działa bez zarzutu. Taylor, a teraz pomyśl o przyjemnym miejscu, w którym poczujesz się bardzo bezpiecznie. Ma dotyczyć wyłącznie ciebie i twojego szczęścia. To może być wspomnienie, nawet trochę odrealnione, ale pełne szczęścia i bezpieczeństwa, albo miejsce, które jest jak najbardziej realne i gdzie zaraz mogłabyś się udać. Spędzisz tam sporo czasu, więc musi to być dla ciebie coś bardzo osobistego i związanego z silnymi i dobrymi emocjami. Szczęście, bezpieczeństwo...

Tam, gdzie czuję się bezpiecznie? - pomyślała Taylor.

To nie było łatwe, musiała mocno się nad tym zastanowić. Dom nie wchodził w rachubę, choć w normalnej sytuacji wzięłaby go pod uwagę. Obecnie był zbyt silnie związany z Baldwinem, a to niosło ze sobą sprzeczne emocje. Chatka w lesie, w której mieszkała, zanim poznała Baldwina? Owszem, bardzo by tu pasowała, niestety z wyprowadzką wiązały się złe wspomnienia, więc też odpada.

I nagle pojawiło się wspomnienie. Miała osiem lat, była trochę niezdarna, z krzywymi zębami i piegami na buzi, nosiła włosy splecione w gruby warkocz. Całe lato spędziła na obozie, a choć inne dzieciaki tęskniły za rodzicami, Taylor upajała się wolnością, którą zresztą nie w pełni rozumiała. Po raz pierwszy w życiu jeździła konno i łowiła ryby w jeziorze. Wieczorami śpiewała przy ognisku i zakochała się po uszy w starszym od siebie, trzynastoletnim chłopaku z sąsiedniego domku. Co za skandal! Na samą myśl ogarnęła ją radość, uśmiechnęła się pogodnie.

- Świetnie - ucieszyła się Willig. - Widzę, że ci się udało. Przypomnij sobie to szczęście, pozwól, żeby cię wypełniło. Skup się na odczuciu, jak dobrze być bezpieczną i szczęśliwą. - Przerwała na moment. - A teraz wrócimy do tamtej chwili, kiedy weszłaś do pokoju i zobaczyłaś przywiązaną do krzesła Sam. Przypomnij sobie, co wtedy pomyślałaś, co czułaś. Proszę, żebyś oceniła swoje emocje w skali od jednego do dziesięciu. Podaj też wartość liczbową swojego obecnego stanu, kiedy myślisz o tamtej chwili.

Umysł Taylor gwałtownie powrócił do rzeczywistości. Zobaczyła najlepszą przyjaciółkę przykutą kajdankami do krzesła, z twarzą zalaną łzami i krwią ściekającą z brzucha na uda. Pokazała po cztery palce każdej ręki. Osiem. Na tyle dużo, by ujawnić strach, ale nie dość, by można było uznać, że nie panuje nad sobą.

Poczuła pulsowanie w dłoniach.

- Co poczułaś, kiedy ją zobaczyłaś, Taylor?

Wściekłość. Gniew. Ból. Strach. Nie, nie, nie, nie. Coś innego pod powierzchnią tych uczuć.



Pozwoliła, by zalały ją emocje, i poczuła ściskanie w krtani. Willig nie ustawała w podawaniu rozluźniających instrukcji, każąc Taylor obserwować swój palec, którym poruszała na boki przed jej twarzą. Poprowadziła jej myśli przez strych do krzesła, kazała spojrzeć z góry na Sam, po czym ją uwolnić. Kiedy przyjaciółka opuszczała wyimaginowany pokój, obejrzała się i przeszła ją spojrzeniem. Taylor zeszywniała, a Willig natychmiast nakazała zamknąć oczy i pomyśleć o bezpiecznym miejscu.

Intensywność popiskiwania wzrosła, wymazując inne odgłosy, w dłoniach poczuła mrowienie. Przypomniała sobie obóz i konia o absurdalnym imieniu Tonto, na którym uczyła się jeździć. Uwielbiał marchewkę i miał cudownie miękkie, aksamitne chrapy...

- Dobrze, Taylor. Teraz wróć tu do mnie.

Otworzyła oczy. Była wyczerpana, a zarazem czuła leciutką ulgę.

- Jak się czujesz? Oceń to w skali od jednego do dziesięciu - poprosiła psycholog.

Hm... Może sześć?

- Mmm... mże... szsz... - odpowiedziała. O rany, czyżby głos powrócił? Spróbowała powiedzieć coś więcej, ale na próżno. Cholera.

- W porządku, Taylor, świetnie sobie poradziłaś. Już jest postęp. EMDR to cudowne narzędzie, a ty w dodatku znakomicie reagujesz. Jutro wejdziemy głębiej. Pomyśl teraz o swojej przyjaciółce. Pomyśl o tej chwili na strychu. Czy nadal sprawia ci to taki sam ból?

Gdy wykonała polecenie, bardzo się zdziwiła. Ostry, dręczący ból związany z cierpieniem Sam odrobinę stępsiał. A niech to! Już się nie dziwiła, po prostu była pod wrażeniem. Uśmiechnęła się do Willig, która odpowiedziała tym samym.

- Przejdziemy przez każdą minutę tamtego popołudnia i wyleczymy cię tak prędko, że sama się zdziwisz. Obiecuję.

Taylor też miała taką nadzieję. Wstała i podała rękę doktor Willig. Dzwoniło jej w uszach, czuła mrowienie w dłoniach. Gdy dotknęła lewego ucha, psycholog skomentowała z uśmiechem:

- Tak, będziesz czuła dzwonienie jeszcze przez około godzinę. Przyrzeknij mi jedno: kiedy powrócą obrazy z tamtego dnia, w którym zostałaś postrzelona, natychmiast udaj się do swojego szczęśliwego miejsca. Nie próbuj się sama nad tym zastanawiać, zaufaj mi, że ci w tym pomogę.

W jej głosie było tyle zapału, że Taylor musiała się uśmiechnąć. Napisła w notesie:

*Jak długo?*

na co Willig odparła:

- Umówmy się na cztery sesje, a potem zobaczymy. Możemy się spotykać trzy razy w tygodniu. Czy możesz przyjść do mnie jutro? Zależy mi na intensywnym starcie, by zmusić cię to do wytężonej pracy. Podczas następnej wizyty wszystko pójdzie szybciej i wejdziemy głębiej, dobrze?

Taylor chwyciła notes:

*Czy każdy może poprowadzić tę terapię?*

Willig zmarszczyła brwi.

- Każdy wykwalifikowany terapeuta, który przeszedł odpowiednie szkolenie. Ta metoda staje się coraz powszechniejsza, bo daje doskonałe rezultaty. O co chodzi, masz zamiar ze mnie zrezygnować?

*Być może wyjadę na pewien czas. Po prostu sprawdzam.*

- Aha. Do zobaczenia jutro.

- Dziękuję - odrzekła Taylor ruchem warg.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani porucznik. Staram się, jak mogę.

Taylor zostawiła uśmiechniętą Willig i poszła poszukać Baldwina. W sumie pozytywnie oceniała swoje szanse powrotu do normalnego życia. EMDR faktycznie jej pomogło.

Jednak bardzo ją ciekawiło, na ile Willig byłaby skłonna do pomocy, gdyby dowiedziała się całej prawdy o tamtym dniu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Sam wzięła się w garść i dokończyła pracę. Czuła, że koniecznie musi z kimś pogadać, ale problem w tym, że miała niewielu przyjaciół. Trudno utrzymać towarzyski krąg, gdy zarabia się na życie krojeniem trupów. Prędzej czy później ludzie zaczynali patrzeć na nią jak na upiora. Kiedyś to było trudne, jednak z czasem do tego przywykła i zadawała się z osobami, które rozumiały, dlaczego została patologiem.

Podobnie jak Taylor pochodziła ze społecznej elity, gdzie bogactwo, wpływy i przywileje były czymś oczywistym. Różniło je to, że rodzice Sam kochali ją nieprzytomnie i bardzo rozpieszczali. Niestety już nie żyli. Odeszli stanowczo zbyt wcześnie, ojciec z powodu raka wątroby, mama cztery miesiące po nim. Sam uważała, że zabiła ją choroba, której nie ma w podręcznikach medycznych, a która zwie się „złamane serce”. Bardzo odczuła stratę rodziców, brakowało jej ich pełnego entuzjasmu wsparcia.

Ojciec był inżynierem i wynalazcą, posiadaczem wielu patentów i nagród, choć niechętnie o tym rozmawiał, a Sam nie dopytywała. Mama zwykła wypijać kieliszek wina na przyjęciach i zdradzać w zaufaniu, że wynalazki ojca znajdują się w każdym gospodarstwie domowym na świecie. Zarobił na nich miliony, choć nie musiał pracować, bo odziedziczył duży rodzinny majątek.

Był zażywnym i zawsze skorym do żartów jowialnym dżentelmenem. W niczym nie przypominał zaszuszonego mola książkowego. Miał wielu oddanych przyjaciół, a mama go uwielbiała. Poznali się w college’u.

Choć Sam była jedynaczką, a tata i mama ją uwielbiali, do tego rodzinny dom tętnił życiem towarzyskim, już od wczesnego dzieciństwa zamykała się w swoim świecie. Była samotnicą, fascynowała ją nauka, zwłaszcza biologia i genetyka, marzyła,

by zostać lekarką. Postanowiła to w dniu swoich piątych urodzin.

W tym też czasie poznała Taylor i natychmiast połączyła je przyjaźń. Jako nastolatka Taylor była wysoka, bardzo ładna i elegancko ubrana, natomiast Sam musiała się napracować nad urodą. Nauczyła się sztuki makijażu, toczyła heroiczne boje z matowymi cienkimi włosami i nadwagą. Zazdrościła Taylor naturalnego wdzięku, który sprawiał, że zawsze wyglądała fantastycznie i pociągająco, nawet nieumalowana i z niedbale związanymi w koński ogon włosami. Ona też mogłaby się obyć bez makijażu, czemu nie, tyle że zanim wyszła z domu, nieodmiennie w drzwiach pojawiała się mama ze słowami:

- Kochanie, może jednak przyda ci się odrobina szminki i różu? I rozpuść włosy, dobrze? Tak mocno ściągnęłaś je do tyłu, że wyglądasz jak królik obdarty ze skóry.

Sam wolała przebywać z osobami, które nie komentowały jej wyglądu. Nieżywi nie wprawiali jej w zakłopotanie. Nie musiała się przejmować, jak ją postrzegają.

Kochała Nashville i kochała Taylor. Stworzyły partnerski tandem na wielu polach. Były najlepszymi przyjaciółkami, łączyła je siostrzana więź i czuły się odpowiedzialne za mieszkańców miasta. Taylor chroniła żywych, natomiast Sam odkrywała sekrety umarłych.

Akurat teraz Sam pragnęła porozmawiać z Taylor. Były przecież siostrami, a w rodzinie trzeba umieć wybaczać, a kiedy trzeba, oderwać się od przeszłości. Muszą znaleźć jakiś sposób, by tego dokonać.

W obecnej sytuacji Taylor nie miała jak przerwać ani skomentować jej wywodów. Sam mogła dać upust swojej frustracji przez telefon, a Taylor musiała jej wysłuchać. Była dobrą słuchaczką, ulubioną powiernicą Sam.

Zamknęła drzwi na klucz i wybrała numer komórki Taylor. Po trzech sygnałach usłyszała w słuchawce:

- Mm... - Tak obecnie przedstawiała się przez telefon Taylor.
- Pójdziemy się czegoś napić? - spytała Sam.
- Mm... hm.
- Jesteś w domu?

Połączenie zostało przerwane, a po chwili przyszedł SMS:

*Cieszę się, że zadzwoniłaś. Jestem w biurze, czekam na Baldwina. Przyjedź po mnie, to wpadniemy do jakiejś knajpki.*

Sam odpisała:

*Za dziesięć minut.*

Gniewnym gestem schowała komórkę do torebki. Była wściekła na Taylor, a zarazem współczuła jej. Ale jeszcze bardziej użalała się nad sobą. Jednak nie mogła nie zobaczyć się z przyjaciółką. Sam wiedziała, że z czasem Taylor zostanie wyleczona, jej rany były ukryte w środku. Musiała paradować po mieście z bliznami po kulach, w dodatku pozbawiona głosu.

Powinny znaleźć sposób, aby wzajemnie się wspierać. Nikt poza nimi nie był w stanie zrozumieć, co się wydarzyło na strychu.

Po pięciu minutach Sam wyszła z gabinetu. Wymknęła się z kostnicy tylnymi drzwiami i przekradła się na parking po samochód. Nie miała ochoty napatoczyć się na któregoś z kolegów. Brak panowania nad sobą bardzo ją żenował. Choć nie była już w ciąży, nadal szalała w niej burza hormonów. Popołudniowy wybuch był zupełnie niepotrzebny. Nie lubiła pokazywać łez, a już z pewnością nie cierpiała przerywać sekcji zwłok z powodu niedyspozycji.

Zaczął padać gęsty śnieg. Sam jechała ostrożnie do śródmieścia, obawiając się gołoledzi.

Zobaczyła Taylor, która przycupnęła na schodach Departamentu Policji. Musiała zmarznąć, bo była ubrana w dzinsy i cienką skórzaną kurtkę. Sam wtuliła brodę w kołnierz długiego czerwonego płaszcza, gdyż na widok przyjaciółki przeszedł ją dreszcz, ale zatopiona w rozmyślaniach Taylor zdawała się nie zauważać chłodu.

Nagle dostrzegła samochód Sam i zbiegła lekko ze schodów, wysoka i smukła jak gazela. Była w dobrym humorze, można to było dostrzec nawet z daleka. Z uśmiechem pomachała do przyjaciółki, która odpowiedziała szerokim uśmiechem i podniosła rękę w powitalnym geście. Złość na Taylor nigdy nie trwała długo, po prostu nie można się było na nią gniewać.

Usłyszała zniecierpliwiony ryk klaksonu i kątem oka dostrzegła zielonego jaguara. Zbliżał się z wielką prędkością. James Robertson Parkway była ruchliwą arterią, zwłaszcza że wiele osób zostawiało auta na parkingu po przeciwnej stronie i przechodziło przez skrzyżowanie do gmachu sądu i policji. Na pasach znajdowała się właśnie grupka pieszych, ale jaguar nie zwolnił.

Sam patrzyła ze zgrozą, jak rozpędzone auto wjeżdża na pasy na czerwonym świetle i potrąca ostatniego pieszego. Latynoska w średnim wieku z ustami otwartymi do krzyku przeleciała kilka metrów w powietrzu i zwała się ciężko na jezdnię. Nie widziała nawet pojazdu, który w nią uderzył.

Taylor rzuciła się biegiem do ofiary wypadku, a Sam wyskoczyła z auta. Dotarły tam jednocześnie. Z głowy i ust kobiety ciekła krew, potrzebowała natychmiastowej pomocy. Dokoła ludzie krzyczeli i kręcili się bezradnie w miejscu, a Sam wyszarpnęła z torebki komórkę i wybrała 911, choć znajdowała się przed budynkiem policji.

Taylor zrzuciła kurtkę i zaczęła robić sztuczne oddychanie, ale przyjrząwszy się bliżej, Sam stwierdziła, że to bezcelowe. Kobieta uderzyła głową o asfalt, oczy były martwe i wywrócone w głąb czaszki. Kiedy organizm się poddał, dało się wyczuć silną woń moczu i kału.

Taylor zaprzestała uciskania klatki piersiowej, otarła usta wierzchem dłoni, podniosła się z klęczek i spojrzała na wschód, w głąb ulicy. Zielony jaguar już dawno zniknął.

Zza rogu z piskiem opon wyjechała karetka pogotowia. Osoby, które towarzyszyły nieszczęsnej kobiecie, tłoczyły się przy niej, krzycząc i jęcząc do wtóru zawodzenia syren.

Taylor cofnęła się kilka kroków. Miała krew na rękach. Śnieg przysypał włosy, tworząc srebrzystą aureolę.

Sam wytarła jej ręce papierową chusteczką, po czym podała flakonik antyseptycznego żelu. Taylor energicznie roztarła go w dłoniach, chwyciła porzuconą na jezdni kurtkę i mocno się nią otuliła.

Znowu otaczała je śmierć.

Przyjaciółki spotkały się wzrokiem.

Spojrzenie Taylor mówiło jednoznacznie:  
- To nie był wypadek.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dopiero po dwóch godzinach udało się opanować sytuację. Taylor zapamiętała numery jaguara, ale gdy sprawdzono je w komputerze, okazało się, że tablice rejestracyjne zostały skradzione z ciężarówki zaparkowanej na Eastland Avenue. Wschodnia strona Nashville, gdzie w jakimś stopniu udało się podnieść status okolicy, jednak wciąż była niezbyt bezpieczna, a statystyki przestępstw wysokie. Taylor była pewna, że zdeterminowanym właścicielom kamienic uda się w końcu odnieść sukces i doprowadzić do wykwaterowania wszystkich handlarzy narkotyków, złodziei i prostytutek. Na ich miejsce do spokojnej oazy zieleni, dobrych sklepów i wykwintnych restauracji wprowadzali się nowi, porządni lokatorzy. Było ich już około sześćdziesięciu procent.

Rodzina ofiary, jeśli nią właśnie byli ci ludzie, nie chciała niczego ujawnić. Ani tego, kim była kobieta, ani po co przybyli do sądu. Zagadnięci umykali spojrzeniami, twarze mieli niepewne i pobielające ze strachu, a Taylor nie musiała pytać, by wiedzieć, że to nielegalni imigranci. Sprawdzenie listy popołudniowych rozpraw na wokandzie nie ujawniło niczego, co tłumaczyłoby obecność kobiety, nie była notowana ani poszukiwana przez policję. Nie miała także uczestniczyć w rozprawie jako przysięgła. Cała sprawa była wielce tajemnicza i Taylor poczuła przyływ radosnego ożywienia na myśl, że mogłaby ją rozwikłać. Nie otrzymała jednak pozwolenia. Huston bez mrugnięcia okiem przekazała sprawę Marcusowi.

Zdegustowana Taylor pozwoliła Sam odwieźć się do domu.

Jazda upłynęła im w milczeniu. Groza zdarzenia, gwałtowna śmierć nieznanym kobiecie, odebrała mowę także i Sam.

Taylor huczało w głowie. Wyszperała w kieszeni flakonik percocetu, mając nadzieję, że w samochodzie znajdzie się



soczek lub butelka wody, ale musiała połknąć tabletkę na sucho, modląc się, żeby szybko zadziałała.

Kiedy znalazły się niedaleko domu, Taylor dała znak, by Sam zaparkowała przy ulicy. Wyjęła notes i napisała:

*Memphis zaprosił mnie do Szkocji.*

Sam przeczytała notatkę i mocno zbulwersowana spojrzała na przyjaciółkę.

- Chyba nie zamierzasz do niego pojechać? To czyste szaleństwo!

Taylor potrząsnęła głową.

*Uznałam, że potrzebuję odpoczynku.*

Sam wzniosła ręce w dramatycznym geście i przybrała stosowny ton:

- Droga Taylor Bethany Jackson, jesteś arcykretynką, jeśli sądzisz, że ucieczka w ramiona wicehrabiego Jakmutam cokolwiek rozwiąże.

*Dulsie*

- Pieprz Dulsiego. Rany, na odwrót, nie pieprz się z nim! Jeśli wskoczysz mu do łóżka, zniszczysz sobie życie. Gwarantuję.

*Nie zamierzam się pieprzyć z Memphisem. Pomyślałam po prostu, że rozłąka dobrze nam robi. Baldwin i ja mamy ostatnio trudny okres.*

- I dlatego uciekasz do Szkocji, do faceta, który marzy, żeby cię zdobyć? Dziewczyno, czyś ty postradała rozum? Czy prochy, którymi cię faszerają, padły ci na mózg? - Sam mówiła coraz wyższym tonem, a jej twarz czerwieniała.

Taylor z wysiłkiem tłumiała chichot.

*Nie będzie go w posiadłości. Będę tam sama.*

- Oho, „w posiadłości”. Mówisz o jego zamku? Facet jest synem hrabiego, prawda? Jego rodzina posiada zamek, no nie? Będiesz mogła zabawić się w Roszpunkę i z wieży wypatrywać swego księcia! To znaczy wicehrabiego.

*Pełno pajęczyn. Trudno ogrzać. Przynajmniej tak powiedział.*

Sam walnęła oburącz w kierownicę.

- Nie pogrywaj ze mną, dobra? I nie udawaj, że nie sprawdziłaś tego w internecie. Taylor, mówię ci, że to błąd. Brzemienny w skutki, koszmarny błąd!

*Niczego nie sprawdzałam. Po co? Poza tym wezmę ze sobą Baldwina.*

- Genialne posunięcie! - Sam kilka razy odetchnęła głęboko i na moment przymknęła oczy. Taylor spokojnie czekała. - Kurczę, popatrz tylko, co ja wyrabiam. Zadzwoiłam, żeby się z tobą umówić, a teraz na ciebie wrzeszczę. A ty nie możesz nawet odpowiedzieć. To nie w porządku.

*E tam, zasłużyłam na to. Sam, tak bardzo mi przykro.*

To wystarczyło. Sam wybuchła płaczem, a Taylor objęła ją serdecznie. Nie mogła wypowiedzieć tego na głos, więc tylko głąskała przyjaciółkę po głowie, z nadzieją powtarzając sobie, że Sam przynajmniej odczuje przepływ dobrej energii.

Tak mi przykro, Sam, mówiła w duchu. Zawiodłam cię. Nigdy więcej do tego nie dopuszczę. Ale naprawdę muszę na jakiś czas wyjechać. Tyle mam do przemyślenia. Jestem pewna, że to mi pomoże. Proszę cię, Sam, żebyś znowu była szczęśliwa. Serce mi pęka, kiedy widzę, że płaczesz.

Sam wreszcie zdołała się opanować. Wyjęła ze schowka paczkę chusteczek i wytarła załzawione oczy.

- Już postanowiłaś, prawda?

Taylor skinęła głową, uświadamiając sobie, że owszem, już podjęła decyzję. Pragnęła wyjechać, uciec od wszystkiego i wszystkich. Choć na chwilę przenieść się do świata, który był jej obcy.

- Tylko nie rób głupstw, dobrze? Memphis może się okazać niebezpieczny, i to pod wieloma względami. Za bardzo cię kocham, żeby patrzeć, jak znów się rozpadasz.

Taylor napisała:

*Przyrzekam*

i otworzyła drzwi auta.

- Masz ochotę się przejść? - spytała Sam. - Jest piekielnie zimno.

Taylor energicznie skinęła głową. Chciała rozprostować nogi i pozbyć się odoru śmierci.

- Nie zamarznij, dobrze? Idź prosto do domu. - Sam musnęła dłonią policzek przyjaciółki.

Taylor wysiadła z ciepłego samochodu i wciągnęła w płuca haust powietrza. Czowała się znacznie lepiej. Gwałtowna sprzeczka oczyściła atmosferę. Oczywiście jeszcze nic nie zostało naprawione, ale dowiedziała się przynajmniej, że Sam nadal na niej zależy.

A teraz potrzebowała kilku minut samotności, żeby się zastanowić, jak przedstawić sprawę Baldwinowi.

Szła szybkim krokiem. Przemarżała do szpiku kości, nie chciała jednak kapitulować przed pogodą i poszukać ciepłego schronienia. Jeszcze nie teraz.

Zawsze była uparta jak prawdziwy Byk, choć matka nazywała to oślim uporem. W głębi ducha była przekonana, że ta cecha pomoże jej wydostać się z chaosu, w którym się znalazła, i wrócić do normalności, choć nie do końca wierzyła przeczuciu, które twardo głosiło, że wszystko będzie dobrze.

Miała szczęście, że mieszkała w Nashville. W mieście powszechnie uznawanym za stolicę country wielu ludzi utrzymywało się ze swoich talentów muzycznych, więc sprawność krtani i strun głosowych miała tu wyjątkową cenę. Dlatego w każdym szpitalu pracowali specjaliści od terapii głosu. Krocząc miarowym tempem, wykonywała podstawowe ćwiczenie, jakie zalecili jej lekarze: wznosiła struny głosowe, pozwalając językowi spoczywać płasko na dnie jamy ustnej, po czym związała jego brzegi i starała się wypowiedzieć pojedynczą sylabę. Z niewiadomego powodu „mmm” okazało się najłatwiejsze, więc całymi dniami nuciła piosenkę reklamującą zupę firmy Campbell:

- Mmm, mmm, dobre. Mmm, mmm, dobre.

Za radą swojej przyjaciółki Ariadny stosowała także zioła lecznicze na gardło i piła zieloną herbatę z miodem. Zażywała tabletki przeciwbólowe, obecnie percocet, czasami łykała też antydepresyjny ativan. Pilnie ćwiczyła i wykonywała większość zaleceń lekarzy.

Czowała się jak idiotka, gdy dostała zastrzyki botoksu w gardło. Pomogły, ale tylko na pewien czas. Kiedy zaczęła rozmawiać z Baldwinem o strzelaninie, natychmiast znowu straciła głos. Dosłownie poczuła, jak krtień zaciska się boleśnie. Kiedyś miała

kota, który cierpiał na napady kaszlu, jakby nie mógł złapać oddechu i zaczynał się dusić. Poczwała się tak samo, nie mogąc zaczerpnąć powietrza ani krzyknąć.

Najgorsze były nocne koszmary. Gorączkowe sny, wyolbrzymiające z pozoru zwykłe sytuacje do niebotycznych rozmiarów - ciemny pokój zmieniający się w zimny grób, wilgotne grudy ziemi rzucane wprost na jej głowę, porcelanowe figurki, które ożywały i chciały ją udusić, dziecko Sam, nie większe od ziarenka piasku, które toczyło z nią długie rozmowy. Budziła się w nocy wyprostowana sztywno jak kij, z włosami przyklejonymi do twarzy, zlaną potem, z ustami otwartymi w niemym krzyku. W snach także nie potrafiła krzyczeć i zadreęczała się myślą, że gdyby tylko była do tego zdolna, ustałyby wszelkie kłopoty i odzyskałaby głos.

Ale sny stawały się coraz okropniejsze.

Wiedziwała, że potrzebuje zmiany. Kurczowo trzymała się myśli, że praca będzie dla niej wybawieniem, ale dzisiaj poczuła się boleśnie bezradna.

Wypadek, kobieta przejechana na jej oczach. Tak bardzo starała się zawołać o pomoc, ale nie wydobyła głosu.

W oczach Huston widziwała powątpiewanie. Któryś z kolegów musiał ją powiadomić o dzisiejszej wizycie. Nie ulegało wątpliwości, że Taylor nie jest jeszcze gotowa do wykonywania swoich obowiązków. A praca na miejscu? Gdyby nie mogła ruszyć się z biurka, szybko dostałaby świra.

Coraz bardziej kusilo ją, żeby uciec, pobyć trochę w samotności. Miała dosyć życzliwych, którzy chcieli jej pomóc. Dosyć współczucia i wszechogarniającej, natrętnej opieki. A także podejrzliwości. Potrafiła czytać między wierszami:

- Taylor, kochamy cię, ale jeszcze nie jesteś gotowa.

Co z tego, że nikt tak do niej nie powiedział wprost? Wyrażali to w inny sposób, i być może nawet mieli rację. Cóż, prawda była taka, że gdy była w pobliżu, ludzi atakowało zło, zarówno obcych, jak i przyjaciół czy kochanków.

W samotności łatwiej znajdzie sposób, by sobie przebaczyć. A także Baldwinowi. Była gotowa spróbować niemal wszystkiego.

Jak jednak ma poinformować Baldwina o tym, że samotnie wyjeżdża do Szkocji? Odczuwała z tego powodu niezbyt silne, ale jednak wyrzuty sumienia. Była pewna, że Memphis zainteresowany jest czymś więcej niż tylko przyjaźnią, i bardzo się gryzła tą myślą.

Memphis. Te jego nieprawdopodobnie błękitne oczy i to, jak bardzo go pociągała.

Gdyby tylko umiała pozbyć się myśli... kuszącej myśli... o ich ewentualnym związku, cała reszta wspaniale by się ułożyła. Mogłaby wyjechać do Szkocji z czystym jak łąza sumieniem i nareszcie odpocząć.

Memphis jako jedyny traktował ją tak jak dawniej, co było bardzo... miłe.

Wiedziała, że zachowa się jak dżentelmen. Zresztą już dawno przestała być małolatą i potrafiła o siebie zadbać. Mało powiedziane. Jeśli Memphis zacznie się do niej dobierać, dostanie kopniaka w jaja.

Roześmiała się na tę myśl.

Zmarzła, więc postanowiła wrócić do domu. Wrócić do rzeczywistości. Baldwin będzie na nią czekał z miną pełną nadziei. Przyrzędzi kolację, otworzy butelkę wina. Pewnego razu upoił ją winem i kochał się z nią, a ona na końcu wypowiedziała jego imię, cicho, ale wyraźnie, on zaś przytulił ją wtedy tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

Ich stosunki nie układały się najlepiej, ale był jej potrzebny. Och, stanowił część jej duszy, był równie ważny jak ręce, bez których tak trudno żyć. Musi zrozumieć jej ból, dojmujące pragnienie samotności. Nie na zawsze, ale na jakiś czas. Bardzo go kochała, ale jego widok przypominał jej o zdradzie. Mogła go tylko w jeden sposób ukarać: kazać mu patrzeć na swoją mękę.

Nie tylko on był karany.

Owszem, zapatrzyła się w otchłań i niewiele brakowało, by skryła się w niej bez reszty, jednak potrafiła zdemaskować jej fałszywy powab, odwrócić się i zostawić za sobą.

A mimo to wciąż była karana.

Tak właśnie rozumiała swój los.

Czy mógł się odmienić?

Jedno słowo. Tylko tyle pragnęła usłyszeć od Baldwina. Jedno słowo, wokół którego krążył.

Boże, gdyby tylko powiedział „przepraszam”.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Baldwin przyglądał się Taylor, która szybkim krokiem zdążyła do furtki. Nie miał pojęcia, dlaczego szła pieszo. Może pokłóciła się z Sam i wyskoczyła z auta? To całkiem możliwe, bo ostatnio Taylor była wciąż najeżona.

Zamyślił się głęboko. Tak bardzo się starała, a on spróbował już wszystkiego. Nie dopuszczała go do siebie, a cztery tygodnie proszenia i błagania, żeby pozwoliła sobie pomóc, nie przyniosły rezultatu. Jej upór mocno już go znużył, tym bardziej że nie wiedział, jak dalej postępować. Ponadto musiał się zmagać z własnymi demonami.

Obserwował, jak Taylor przystaje i spogląda w okno. Gdy pomachał do niej, odpowiedziała tym samym. Po raz pierwszy od tygodni wyglądała na zadowoloną. Może tego wieczoru wszystko pomyślnie się ułoży. Może...

Uśmiechnął się do niej i wrócił do biurka. Poczł się tak, jakby odwracał się do Taylor plecami. Być może nie bez przyczyny.

Było mu ciężko na sercu. Człł, że ją traci. Na jego oczach została postrzelona, widział, jak zakrwawiona pada na podłogę, przez wiele dni modlił się, żeby odzyskała przytomność i była normalna, a potem te ciągłe kłótnie... Częste spory i wciąż napięta atmosfera potwornie go zmęczyły. Niestety Taylor w ogóle go nie wspierała, czasami tylko błysk w jej oczach albo wybuch śmiechu. Kilka mejli i odręcznych notatek.

Zamknęła się w sobie, całkiem go odcinając. Wiedział, że jest głęboko zasmucona i wściekła. Do diabła, nie miał jej tego za złe, choć zarazem towarzyszyło mu poczucie dojmującej niesprawiedliwości. Toczyła swoją bitwę, ani trochę się o niego nie troszcząc. Zaczynał wątpić, czy dostatecznie mocno go kocha, żeby mu wybaczyć. Powinien jej o tym powiedzieć, to prawda, Niestety był pewien problem. Taylor nosiła urazy jak płaszcz toreadora, rozpostarty szeroko w obronie przed rogami byka.

Nie była w stanie pojąć jego uczuć, bo niby jakim cudem? To w końcu jego syn zaginął.

Jego syn. Dowiedział się o nim dopiero w ubiegłym roku, kiedy chłopiec skończył cztery lata. Jego matka, Charlotte Douglas, nie żyła. Z Baldwinem łączył ją przelotny romans, a kiedy zaszła w ciążę, oznajmiła mu, że pozbyła się płodu.

A on uwierzył jej jak kretyn. Przestał się do niej odzywać, uciekł do Nashville. Od lat się z nią nie kontaktował.

Charlotte donosiła ciążę, potajemnie urodziła dziecko i oddała do adopcji, nie informując ojca o istnieniu syna. Baldwin pragnął odnaleźć chłopca i sprowadzić do domu.

Charlotte nie wpisała jego nazwiska do aktu urodzenia. Jeszcze jeden policzek. Baldwin wiedział, że nie powinien się zbyt angażować emocjonalnie, ale nic nie mógł na to poradzić. Dotąd nie chciał mieć dzieci, nie planował ich nawet w odległej przyszłości, lecz nagle poczuł potrzebę posiadania rodziny. Zatęsknił za stabilnością, nawet za małżeństwem. Nie tyle za klasycznym modelem klasy średniej: tata, mama, trójka dzieci i pies, ale raczej za bezpieczną kotwicą w tym niepewnym świecie.

Sądził, że Taylor podziela jego tęsknoty, ale strzelanina bardzo ją zmieniła.

Musiał jednak odłożyć na jakiś czas te rozważania, gdyż czekało go pilne spotkanie. Atlantic przysłał wiadomość, że natychmiast powinni się zobaczyć. Teraz ruch należał do Baldwina.

Atlantic przebywał osiem stref czasowych od Nashville, a był rannym ptaszkiem. Baldwin zaczął wybierać kolejne numery z notesu. Skontaktowanie się z tym człowiekiem było nader skomplikowane – telefony, kody, pagery, mejle – a wszystko po to, żeby zatrzeć za sobą ślady.

Atlantic nie należał do CIA, MI-6, Mossadu ani w ogóle do żadnej ze służb specjalnych. Działał zakulisowo, kierując grupami do zadań specjalnych, w skład których wchodziłi fachowcy pracujący w agencjach wywiadowczych różnych państw z całego świata. Były to ściśle tajne misje, tak bardzo tajne, że po prostu nie istniały.



Baldwin wybrał numer i czekał, słuchając popiskiwania i szumów świadczących o tym, że połączenie jest przekierowywane na bezpieczną linię. Po chwili ożywił się ekran komputera i niczym Czarnoksiężnik z Krainy Oz pojawił się na nim Atlantic, a ściślej mówiąc, jego łysa głowa.

- Dobry wieczór, M - przywitał się Baldwin.

- Oszczędź sobie tych żartów, mój chłopcze. - Jego spojrzenie było obojętne i chłodne jak ocean. Z powodu defektu genetycznego niebieskie oczy miały wyjątkowo jasną barwę, jak u psa rasy husky.

Baldwin domyślił się w końcu jego pochodzenia. Przez pewien czas sądził, że Atlantic jest Belgiem, lecz po namyśle uznał, że raczej wywodzi się z Ajnów, japońskich autochtonów zaliczanych do białej rasy i często mylnie utożsamianych z tak zwanym typem kaukaskim. Atlantic był potężnym mężczyzną, szerokim w barach i torsie. Miał wielkie łapska o paluchach przypominających parówki, z równo przyciętymi i starannie opiłowanymi paznokciami. Baldwin nie wątpił, że mógłby jedną ręką udusić człowieka, sprawdzając jednocześnie, czy na drugiej nie ma zadziorów. Jego serce było zimne jak lód.

- Mamy problem. Jeden z naszych specjalistów, Julius, zniknął z sieci, nie daje znaku życia i nie można go namierzyć. Chcę, żebyś się tym zajął i powiadomił nas, dokąd mógł się udać.

Baldwin trochę wbrew sobie został członkiem najtajniejszej z tajnych grup Atlantica, noszącej kryptonim Twórcy Aniołów. Sporządzał profile psychologiczne specjalistek i specjalistów od mokrej roboty, którzy dbali o to, żeby świat był choć trochę bardziej bezpieczny. W każdym razie świat Atlantica. Baldwin badał ich stan psychoemocjonalny za pomocą specjalnych testów, do czego przydawał się także wybitny talent profiler. Kiedy ktoś z badanych przejawiał oznaki niestandardowego zachowania, zadaniem Baldwina było przewidzieć, jak dalece sytuacja może się wymknąć spod kontroli.

Kłopot polegał na tym, że musiałby poświęcić temu przypadkowi Bóg wie jak wiele czasu, co nie było dobrym pomysłem, zważywszy na obecny stan Taylor.

- Domyślam się, że omówiłeś to już z Garrettem?

Garrett Woods był szefem Baldwina w Quantico. To właśnie on skontaktował go z Atlantikiem.

- Tak. Przez tydzień masz szkolenie w prywatnej firmie. Zastępujesz innego profilerę, który nagle zachorował. Przykrywka jest całkowicie szczelna.

- Dobrze, zajmę się tym. Ale Taylor... Jeśli będę musiał wyjechać... Boję się zostawić ją samą.

- Najwyższy czas, żebyś wreszcie przestał się o nią martwić. Ta kobieta jest twarda jak stalowy szpon. A teraz do roboty. Przesłałem ci dokumenty. W środę rano oczekuję sprawozdania.

Ekran zgasł. Atlantic zniknął.

Hm. Kolacja zapowiadała się ciekawie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Taylor okrążyła dom i weszła na posesję przez tylną furtkę, by zyskać na czasie. Zatrzymała się w połowie trawnika i popatrzyła na skraj lasu. Pewnego wieczoru ujrzała tam sarnę, a sowa uszatka, która mieszkała w brzozowej dziupli nad rzeczką, pohukiwała zaalarmowana. Prześliczna sarna nic sobie z tego nie robiła, tylko delikatnie i ze smakiem skubała kolbę kukurydzy, którą Taylor jej rzuciła.

Odzyskanie takiej samej, emanującej spokojem pewności siebie - oto zadanie dla niej.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie, wybełkotała:

- Mmm, mmm... - po czym odetchnęła głęboko i wkroczyła do domu.

Na parterze nie było nikogo. Najpewniej Baldwin wciąż siedział w gabinecie na górze.

Automatyczna sekretarka migiała na czerwono, więc Taylor chwyciła długopis i kartkę. Mieli trzy wiadomości.

Pierwszą od młodziutkiej, sądząc po głosie, dziennikarki z Kanału Czwartego, która prosiła o dłuższy wywiad na wyłączność. Taylor skasowała tę wiadomość, zanim dziewczyna skończyła mówić. Nie zamierzała udzielać żadnych wywiadów.

Drugą nagrała sekretarka doktora Benedicta. Prosiła o podanie numeru ubezpieczenia. Taylor zrobiła notatkę i skasowała nagranie.

Trzecia wiadomość wstrząsnęła nią.

Z głośnika zabrzmiał znajomy, a zarazem obcy głos:

- Hm... Cześć, Taylor. Mówi tata. Słuchaj... hm... dzisiaj wychodzę. Tak, wiem, co sobie pomyślałaś. Że to dziwnie szybko. Dobre sprawowanie. Za duży tu mają tłok, więc wypisali kilku z nas, którzy nie stanowią, jak to ujęli, zagrożenia dla społeczeństwa. Jadę prosto do Nashville i pomyślałem, że moglibyśmy... ja wiem... pogadać... Będę w domu. Zadzwoń. - Wyrecytował numer i nagranie się skończyło.

Taylor stała bez ruchu, wpatrując się w aparat takim wzrokiem, jakby nie był martwym przekaźnikiem informacji, tylko sam do niej przemówił i opowiedział o pewnym zdarzeniu. Cholera jasna! Dla rodziny i przyjaciół Win, dla świata Winthrop Thomas Stewart Jackson IV, czyli jej znakomity ojczulek, właśnie wychodzi z więzienia federalnego za dobre sprawowanie! Sukinsyn. Doprawdy, dzień stawał się coraz ciekawszy.

Z trudem kryjąc irytację, zapisała wiadomość i poszła na górę. Baldwin siedział przy biurku, jego palce śmigały po klawiaturze komputera. Monitor był włączony. Zanim uświadomił sobie jej obecność i uruchomił wygaszacz, zdążyła dostrzec elegancki gabinet. Nowe tajemnice. Odwróciłaby się na pięcie i wyszła, gdyby nie to, że musiała się z nim podzielić wiadomością o ojcu.

- Co słyhać? - spytał Baldwin z pozorną nonszalancją.

Podsunała mu kartkę pod nos. Przeczytał, a potem spojrział na nią zdumiony. Na koniec wstał, kręcąc głową z irytacją.

- Wino. Jedzenie. Chodźmy na dół, zrobimy kolację. Resztę omówimy później.

*To była miła propozycja.*

W milczeniu zeszli do kuchni. Baldwin zniknął na moment w piwnicy, skąd wrócił z dwiema butelkami wina.

- Zinfandel czy Nero d'Avola? - spytał, a gdy podniosła dwa palce, dodał: - Więc na początek Nero.

Odkorkował butelkę, poczekał, by wino pooddychało, po czym napełnił kieliszki. Taylor upiła łyk. Trunek smakował wybornie, od razu poczuła się lepiej. Na oczach Baldwina zażyła tabletkę ativanu. Zamierzała być dobrą dziewczynką. Wzięła też kolejny tego dnia percocet, żeby odwlec nieunikniony ból głowy. Może wieczorem będą wreszcie mogli porozmawiać. Nie traciła nadziei, że w tajemniczy sposób nagle odzyska głos.

Na kolację mieli zjeść spaghetti carbonara, więc Taylor zabrała się do smażenia pancetty, natomiast Baldwin zajął się makaronem i zmieszał jajka z serem. Uwielbiała tę potrawę. Włoski bekon i jajka zawsze się udawały.

Przygotowanie posiłku zajęło dziesięć minut. Usiedli przy stole i zatopieni w rozmyślaniach popijali wino, posypując spaghetti świeżo zmielonym pieprzem. Zwyczajne czynności sprawiły, że

krtań Taylor niemal zupełnie się rozluźniła. Znała ten stan. Na ogół poprzedzał wypowiedzenie kilku słów.

- Mój tata - wydusiła, zanim krtań na powrót się zasznurowała. Cholera, zaklęła w duchu Taylor.

- Hej, świetnie ci poszło! - zawołał Baldwin. - Wyobrażam sobie, co musisz czuć. Mógłbym podzwonić w parę miejsc, ale wygląda na to, że już go wypuścili. Czy zamierzasz się z nim zobaczyć?

Podczas smażenia bekonu przemyślała tę kwestię. Potrząsnęła głową, po czym samym ruchem warg powiedziała:

- Nie.

- Jasne, rozumiem. - Przerwał na moment. - Posłuchaj, Taylor. Odezwał się Atlantic. Muszę załatwić dla niego pewną sprawę. Niewykluczone, że konieczny będzie wyjazd, może nawet na inny kontynent. Jednak wolałbym nie zostawiać cię tu samej, zwłaszcza że idą święta. Może masz ochotę mi towarzyszyć?

Zapłonęła gniewem. Doprawdy, dziwny zbieg okoliczności! Czyżby Baldwin przejrzał historię jej czatowania? Już podjęła decyzję, że przyjmie propozycję Memphis, i zamierzała poruszyć ten temat zaraz po kolacji. Wiadomość na sekretarce przypieczętowała sprawę. Wyjazd na drugą półkulę, byle dalej od szanownego ojczulka, owszem, był świetnym pomysłem, ale przede wszystkim absolutną koniecznością. Sesje z Willig mogła odłożyć na jakiś czas, zwłaszcza że Memphis miał zaprzyjaźnioną psycholog, z którą mogłaby pracować. Tylko jedno pozostawało zagadką. Reakcja Baldwina na tę rewelację.

- Mmm... Mmmemphis - wydusiła, wciąż niepewna, jak ma to wszystko wyjaśnić.

Baldwin odchylił się i poszukał wzrokiem jej oczu. Po chwili wzruszył ramionami.

- Obawiałem się, że to powiesz. Ale hej, wydobyłaś głos! Ćwiczenie spółgłosek pomaga, co?

Gałązka oliwna. Widziała, że toczy wewnętrzną walkę. Uśmiecha się, ale oczy ma chłodne. Baldwin nie należał do zwolenników Memphis Highsmythe'a.

Nie wspomniała o trwającej kilka tygodni codziennej wymianie mejli i czatowaniu z Memphisem. Przedtem nie wydawało się to

konieczne, ot, niewinna rozrywka. Najczęściej niewinna. Czy jednak Baldwin spojrzy na to w ten sposób? Chwileczkę, do cholery, odkąd to Baldwin ma prawo dyktować jej, z kim ma się kontaktować? Nikt nie dał mu takiego prawa. Jednak złośczenie się na Baldwina pochłaniało mnóstwo energii, więc poczuła się wyczerpana. Wyglądało na to, że szczerść jest najlepszym wyjściem, nawet jeśli miałyby ją to drogo kosztować.

Chwyła notes.

*Gadaliśmy na czacie. Memphis bardzo mi pomógł. Zaproponował, żebym przyjechała do Szkocji na terapię u jego przyjaciółki, która jest psychologiem. Okazja wydaje się niepowtarzalna, nie uważasz? Ty zajmiesz się swoją sprawą, a ja popracuję nad rozwiązaniem tego raz na zawsze. Skoro EMDR rokuje tak dobrze, być może wszystko się jeszcze odwróci.*

Podsunała notes Baldwinowi i patrzyła, jak jego twarz obleka się ciemnym rumieńcem. W końcu westchnął i spojrzał na nią z rezygnacją.

- Nie mam ci za złe, że zwróciłaś się do Memphisa. Ostatnio nie byłem zbyt łatwym partnerem do rozmowy. - Chwył ją gwałtownie za rękę, przewracając przy tym młynek do pieprzu. - Przepraszam, kochanie. Przepraszam cię za wszystko. Tylko nie wiem, co mogę zrobić, żeby ci to wynagrodzić. Proszę cię, błagam, czy zechcesz mi wybaczyć?

Taylor poczuła, że łańcuch ściskający jej serce odrobinę się poluzowuje. Tego właśnie chciała, prawda? Przepraszam Baldwina. Zapewnienia, że wszystko naprawi. Przecież pasowali do siebie, razem mogą podbić świat. Za to osobno byli jak dwie samotne góry lodowe, które dryfują w ciszy ku zagładzie. Odsunęła myśl o Memphisie. Później się nim pomartwi. Tak bardzo brakowało jej Baldwina, choć siedział tuż obok.

Wstała, dając mu znak. Objęła go i pozwoliła mu się pocałować. Poczuła, jak wrogość wyparowuje bez śladu wraz z pierwszym połączeniem się warg. Byli jak ocet i soda oczyszczona z doświadczenia na lekcji chemii w podstawówce. Po zmieszaniu składników następował wybuch. Może należało się z tym w końcu pogodzić.

- Kocham cię - szepnął.

Odpowiedziała mu bez wahania, zaskoczona łatwością, z jaką te proste słowa wydobyły się z jej ust. Baldwin zaprowadził ją na kanapę do salonu. Nie bawili się w żadne subtelności, lecz zrzucili z siebie to, co niezbędne, i złączyli się najszybciej, jak zdołali, znajdując w tym akcie pociechę.

Leżeli zdyszani, zapomniana carbonara stygła w kuchni. Taylor czuła się świetnie. Była silniejsza, bardziej opanowana. Poradzi sobie z tym wszystkim.

Przysnęła na chwilę, a gdy się ocknęła, zobaczyła, że Baldwin bawi się jej włosami. Spojrzał na nią z powagą.

- Hej, śpiochu.

Uśmiechnęła się do niego i przytuliła mocniej. Boże, tego jej najbardziej brakowało.

Baldwin poruszył się nieznacznie.

- Taylor, nie mówiłaś poważnie o wyjeździe do Szkocji, co?

Wciągnęła i wypuściła ze świstem powietrze. Wstała, podniosła dzinsy z podłogi i włożyła je. Notes leżał na stole. Zerknęła na Baldwina, który wypoczywał rozciągnięty z ręką pod głową. Zrozumiał jej spojrzenie, bo usiadł i objął kolana.

*Chcę pojechać, Baldwin. Potrzebuję tego. Na razie nie mogę tu być. Wszyscy się na mnie gapią, pokazują mnie sobie, szepczą za plecami. To mnie rozwala.*

- Ależ Taylor, przecież twardo walczysz, już ci się prawie udało. Jeszcze jeden tydzień z Willig i jestem pewien, że odzyskasz głos. - Zwłókł się z kanapy i podszedł do stołu.

*Po prostu muszę to zrobić.*

- Chcesz ode mnie odejść?

*Nie, nie, nie! Po prostu potrzebuję trochę czasu dla siebie, żeby odzyskać zdrowie.*

- A gdzie będzie Memphis?

*Prowadzi sprawę. Zawiezie mnie tam, a potem wróci do Londynu. Będę sama, nie licząc tej psycholog. Baldwin, zrozum mnie, proszę. Nie mogę odbywać terapii, czy jak tam to nazwać, wśród ludzi, którzy mnie znają. Nie jestem w stanie tego zrobić!*

Milczał, zaciskając w palcach nóżkę od kieliszka. Wolałaby nie ranić go w taki sposób, ale nie miała wyboru. Potrzebowała przestrzeni, a nikt jej tego nie dawał.

- Dobrze, Taylor. - Dopił wino jednym haustem. - Jeżeli tego właśnie chcesz... Pojedź do Szkocji. Masz moje błogosławieństwo.

Nie prosiłam o pozwolenie! - pomyślała gniewnie, ale nie napisała tych słów w notesie. Nie było sensu jeszcze bardziej zadrażniać sytuacji.

Baldwin patrzył na nią przez chwilę, po czym wstał i wrzucił kieliszek do zlewu, gdzie rozbił się z głośnym brzękiem na drobne kawałki. Wyszedł z kuchni, nie oglądając się na nią.

Zatem postanowione.

Taylor wyjedzie do Szkocji.

Zaczekała, aż Baldwin uśnie, i dopiero wtedy wysłała Memphisowi wiadomość. W Nashville była druga nad ranem, ale nie chciało jej się spać. Pogodziła się z bezsennością po katastrofie spowodowanej przez otępiające tabletki nasenne, na które reagowała inaczej niż większość pacjentów. W nocy nie mogła wytrzymać w łóżku, była nerwowa i niespokojna, a kiedy wschodziło słońce, padała półprzytomna na pościel, w półśnie łapiąc siły na cały dzień. Tak więc przemiana w wampira jej nie groziła, jednak lekarze stanowczo twierdzili, że długi i głęboki sen przyspiesza leczenie krtani. Taylor sprzeciwiła się ich namowom i zażywała jedynie leki przeciwbólowe.

Nie otworzyła okienka czatu. Nie zamierzała wieść długich dyskusji. Pogawędka z Memphisem po seksie i kłótni z Baldwinem napawała ją głębokim wstrętem. Chciała go jedynie powiadomić o swojej decyzji. Pisząc mejla, uzmysłowiła sobie, że się uśmiecha.

*Hej, mam nadzieję, że kolacja była pyszna. Porozmawiałam z Baldwinem i postanowiłam przyjechać. Ma jakąś pilną sprawę, więc nie będzie mógł mi towarzyszyć. Sprawdziłam loty. Najprościej przylecieć na Heathrow. Czy możesz mnie odebrać w Londynie, a potem zawieźć do Szkocji? Cieszę się też na spotkanie z twoją przyjaciółką i zamierzam pilnie pracować nad odzyskaniem głosu. Jeśli podasz mi jej adres mejlowy, to poproszę Willig o przesłanie materiałów.*

*Memphis, czuję, że będzie wspaniale. Dziękuję ci za zaproszenie. Domyśliłeś się, czego mi naprawdę potrzeba. Jesteś*



*najlepszy.  
XOXO  
Taylor*

## TAK BYŁO PÓŹNIEJ

*Milczeń w samotności,  
Gdy znów nawiedzają cię duchy umarłych.  
Te same duchy, co niegdyś stały przed twym ciałem,  
Znów wiernie krążą nad twoim trupem  
I wciąż pragną być twym cieniem.  
Milczeń.*

*„Duchy umarłych”  
Edgar Allan Poe*

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Taylor zazwyczaj dobrze znosiła latanie. Znajdowała się w pierwszej klasie samolotu British Airways, rozciągnięta w wygodnym fotelu, z kieliszkiem szampana pod ręką, a mimo to nie mogła się uspokoić. Przez całą podróż była zdenerwowana. Kręciła młynki palcami, bawiła się kosmykiem włosów, poirytowana, że nie może ich związać, tak jak lubiła, w koński ogon, bo zdawało się jej, że pogarsza to bóle głowy. Przynajmniej rozpuszczone zakrywały bliznę na skroni.

Baldwin odprowadził ją na lotnisko i pożegnał chłodnym pocałunkiem. To wystarczyło, by zwątpiła w słuszność podjętej decyzji. Nigdy dotąd nie zachowywał się aż z taką rezerwą.

A jednak musiała wyjechać. Miała już kompletnie dość roli ofiary. Czowała się gotowa, by wrócić do dawnej siebie, i szczerze wierzyła, że pomogą jej w tym samotnie spędzone noce i dni, z dala od wszystkiego i wszystkich.

Głos nadal nie powrócił, ale czasami wypowiadała fragmenty słów, co dawało nadzieję na przyszłość. Zawsze mówiła z chrypką, nawet gdy cicho szeptała, a teraz charakterystyczna zmysłowa chropawość jeszcze się pogłębiła, ale ogólnie czuła się, o dziwo... lepiej.

Mogłaby dojść do zdrowia znacznie prędzej, gdyby wcześniej wybaczyła Baldwinowi. Z pewnością najwięcej zła wyrządzały stres i napięcie, gdy tak się na niego wściekała. Odbyła też jeszcze jedną sesję z Victorią Willig, która trochę jej pomogła. Listopadowe koszmary nieco już przybladły, a po pobycie w Szkocji sytuacja powinna się wreszcie unormować.

Cieszyła się na ten tydzień samotności także z powodów nieterapeutycznych. Gdy była w liceum, z wycieczką szkolną przyjechała do Wielkiej Brytanii. W ciągu dziesięciu dni zwiedzili Szkocję, Walię, Irlandię i Anglię. Dwa miejsca wprawiły ją w bezmierny zachwyt: Kraina Jezior w hrabstwie Kumbria – pochłaniała wówczas tomy Wordswortha – i cała Szkocja. Walia

miło zapisała się we wspomnieniach, zwłaszcza nocna eskapada do pubu na pustkowiu, ale to zawsze Szkocja przychodziła jej na myśl, gdy wspominała tamtą wyprawę. Nagie zielono-brązowe pagórki, dzikie skaliste szczyty, malownicze jeziora w otoczeniu majestatycznych gór, zamglonych i tajemniczych, jakby znały prawdę o odwiecznych sekretach. Nic dziwnego, że legenda o potworze z Loch Ness przetrwała wieki.

Memphis uprzedził ją, że nie będzie mógł zostać zbyt długo. Prowadził trudną sprawę trzech zaginionych dziewczyn, o której już wspominał. Część pracy mógł wprawdzie wykonać w posiadłości, ale jak wiadomo pańskie oko konia tuczy, więc bezwzględnie musiał być w Londynie.

Taylor trochę mu zazdrościła, słysząc napięcie w jego głosie. Sama nigdy nie była aż tak ożywiona i podekscytowana, nawet gdy pracowała nad najbardziej „gorącą” sprawą, bo starała się tonować emocje chłodnym racjonalizmem. Ale oczywiście doskonale znała te dojmujące uczucia. Wyczuwała troskę i podniecenie Memphisa, jego smutek i niezłomną wolę rozwiązania tajemnicy. Kochała ten stan ducha i bardzo za nim tęskniła.

Szampan stępił ból głowy, ale na wszelki wypadek zażyła jeszcze tabletkę. Przymknęła powieki. Jednego była absolutnie pewna – będzie uważała na Memphisa Highsmythe’a.

Wstrząs wywołany uderzeniem kół o pas startowy wyrwał ją ze snu. Zdziwiło ją, że czuje się tak wypoczęta. Poprawiła włosy, starannie zakrywając bliznę, chwyciła bagaże i wyszła z samolotu, przeciągając się i ziewając. Do stanowisk kontroli paszportowej wiły się długie kolejki zaspanych, potarganych ludzi. Oczekiwanie na stempel zajmie całą wieczność.

– Witamy w Anglii!

Wzdrygnęła się gwałtownie. O metr od niej stał Memphis z ogromnym bukietem róż. Białych, a nie czerwonych, co zrozumiało.

Uśmiechnęła się szeroko i uniosła rękę w powitalnym geście. Przyjęła bukiet i pozwoliła pocałować się ceremonialnie w policzki. Pachniał przyjemnie wiatrem, deszczem, mężczyzną. Poczowała znajomy skurcz serca, którego, jak sądziła, pozbyła się

już dawno, i ogarnął ją gniew. Spojrzała wrogo na Memphisa, który przybrał urażoną minę. Zasłoniła twarz bukietem róż.

- Zmieniły mi się plany, więc przyjechałem wcześniej, dzięki czemu przeprowadzę cię przez kontrolę i zyskamy trochę czasu. Pogoda może pokrzyżować nam szyki. Nie masz nic przeciw temu, prawda?

Potrząsnęła głową. Przytknęła palec do gardła na znak, że nie może mówić.

- No tak... Wydawało mi się, że na mój widok natychmiast odzyskasz mowę.

Wziął od niej torby i ruszył do stanowiska kontroli. Wyglądał świetnie, jasnowłosy i muskularny. Kobiety zerkały na niego, lecz nie zwracał na nie uwagi. Baldwin był taki sam, miał oczy tylko dla niej. Taylor mimo woli czyniła porównania. Baldwin był wysoki, szczupły, ciemnowłosy, Memphis niższy i nieco krępy, ale równie przystojny. Obaj byli wyjątkowi.

I mieli coś ze sobą wspólnego, a zarazem byli całkiem różni, jak awers i rewers tej samej monety. Byli dobrymi ludźmi. To szalenie ważne, ale na tym podobieństwa się kończyły. Baldwin był racjonalny, podczas gdy Memphisowi nieraz brakowało rozsądku, a skłonność do przemocy skrywał pod pozorami ogłady. Nie wyglądał na awanturnika, za to kojarzył się z zabójczą kobrą. Całym sobą wysyłał wyraźny sygnał: Zostaw mnie w spokoju, inaczej ukąszę.

Obaj inteligentni, wykształceni, zakochani w niej po uszy...

Szybko przywołała się do porządku. Te porównania nie miały sensu.

Idący przodem Memphis obejrzał się przez ramię i mrugnął porozumiewawczo. No tak, wszystko będzie dobrze. Przypuszczała, że Baldwin uciął sobie pogawędkę z Memphisem i nakazał mu poprawne zachowanie. Nie miała mu tego za złe, jako że Memphis lubił się bawić cudzymi zabawkami. Na wszelki wypadek Taylor napisała też pełen powagi list, w którym wyjaśniła podstawowe zasady. Miała nadzieję, że okaże się niepotrzebny, lecz za żadne skarby nie potrafiła przewidzieć zachowania Memphisa. Lancelot w mgnieniu oka mógł się zamienić w cynicznego i bezwzględneho uwodziciela Lotharia.

Przeczuwała, że wówczas będzie jej trudno uniknąć zarzucanych na nią sieci.

Memphis nie przestawał mówić, prowadząc ją na początek kolejki.

- Mam nadzieję, że szybko dojdiesz do siebie po długim locie, bo umówiłem cię jutro na śniadanie z Madeirą James, tą psycholog, o której ci wspomniałem. Jestem pewien, że przypadniecie sobie do gustu. To bardzo miła i inteligentna kobieta. Wspaniale się mną zajęła po... no wiesz.

Po śmierci Evan, dopowiedziała w duchu. Wiem, Memphis, wiem. Nikomu nie życzę straty małżonka. I dziecka.

- Tak - wydusiła Taylor gardłowo.

- O rany. - Memphis przystanął na moment. - Zabrzmiało to tak, jakbyś czuła ból. Możesz powiedzieć coś więcej?

Potrząsnęła głową. To nie ból ją zastopował, lecz wspomnienia. Odkąd straciła głos, nabrała zwyczaju ważenia każdego słowa, jakby należało używać jedynie tych naprawdę istotnych. Miała nadzieję, że niedługo to także jej przejdzie.

Podeszli do stanowiska kontrolera, który znudzonym głosem zapytał o cel przybycia:

- Interesy czy wypoczynek?

Memphis odpowiedział za nią:

- To i to.

Urządник postawił stempel i podał jej paszport.

I oto proszę, wreszcie była wolna.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po wyjściu z terminalu Taylor poczuła chłód. Bure deszczowe chmury wisiały nisko na niebie. Otuliła się mocniej kożuszką i poprawiła szalik. Wciągnęła w płuca głęboki haust zimnego świeżego powietrza.

Czekała na nich lśniaca czarna limuzyna z szoferem, który przytrzymał drzwi dla Taylor. Zerknęła znacząco na Memphisa. Ukłonił się teatralnie i odrzekł z uśmiechem, że ojciec przesyła pięknej pani serdeczne pozdrowienia.

Wsunęła się na gładki skórzany fotel i poczuła leciutką woń cygar. Ileż interesów zostało załatwionych na tylnym siedzeniu tego auta. Gdy Memphis usiadł naprzeciw niej, pojazd ruszył bezszelestnie.

Taylor wyjęła notes.

*Podziękuj mu. To bardzo miłe.*

Memphis skrzywił się na widok tej metody porozumiewania się, ale szybko ukrył rozczarowanie.

- Moglibyśmy zrobić sobie krótką przejażdżkę po Londynie, pokazałbym ci miasto. Sporo czasu minęło od twojego ostatniego pobytu, prawda? - Gdy skinęła głową, dodał: - Świetnie. Potem pojedziemy na King's Cross. Kupiłem bilety na południowy pociąg. Można by oczywiście polecieć, ale podróż koleją trwa tylko trzy godziny, a okolica jest bardzo malownicza. Poza tym będziesz miała okazję się zdrzemnąć.

- Dzięki, Mmmmemphis - wyszeptła Taylor, przykładając dłoń do krtani. Suche powietrze w kabinie samolotu sprawiło, że gardło miała podrażnione i obolałe i nie powinna się zmuszać do mówienia. Potrzebowała tabletek na kaszel. Kiedy nie próbowała mówić, gardło w ogóle nie bolało.

- Ojej, przepraszam, na pewno chce ci się pić. Mam herbatę, chcesz?

Skinęła, więc wyjął termos i nalał do filiżanki earl greya z mlekiem i cukrem, jej ulubiony napój. Zauważyła znaczący

uśmiech na twarzy Memphisa. Zmrużyła karcąco oczy, ale umknął wzrokiem i zaczął pokazywać zabytki.

Londyn był niesamowity, choćby z powodu swej rozległości. Taylor zaskoczyła skala zmian, które zaszły od czasu, gdy była tu jako nastolatka. Z tamtej podróży zapamiętała zabytkowe budowle i historię Starego Świata. Nowy Londyn lśnił stalą i szkłem, oszałamiał tempem i rozmachem. Było to imponujące, ale miastu brakowało dawnego romantyzmu.

Lecz tuż pod powierzchnią najnowocześniejszych rozwiązań urbanistycznych dawało się wyczuć radosne podniecenie, arystokratyczny blask i złośliwe poczucie humoru. Jechali Victoria Street, co znaczyło, że wkraczali do centrum wzdłuż wijącej się malowniczo Tamizy. Po chwili Taylor zobaczyła majestatyczną Tower of London i barwnie udekorowany Tower Bridge. Po kilku minutach dalszej jazdy jej oczom ukazał się Big Ben i poczuła się trochę bardziej swojsko, pomimo Londyńskiego Oka zawieszzonego pod szarym niebem. Tamiza była tak samo wąska i mętna jak we wspomnieniach, a iglice parlamentu i katedry westminsterskiej równie gotyckie i onieśmielające.

Witamy w Anglii, zaiste.

Podjechali pod Buckingham Palace, którego czarno-złote bramy z kutego żelaza lśniły blado w szarym świetle dnia, i Taylor poczuła się tak samo rozczarowana jak za pierwszym razem. Pałac był olbrzymim pudłem, elegancką i luksusowo wykończoną fortecą. Jeśli szło o królów i królowe, księżęta i księżniczki, to Taylor była małą dziewczynką. Zamki z szarego kamienia powinny mieć wieże, mury zwieńczone blankami i głębokie fosy. Balmoral w Szkocji, letnia rezydencja królowej, znacznie bardziej odpowiadała jej romantycznym wyobrażeniom, podobnie jak zamek Glamis. Och, do tego to zamczysko było nawiedzone, straszyły w nim biała i szara dama, wampirze dziecko, diabły i inne potwory. Taylor była ciekawa, czy zamek Memphisa też nawiedzają duchy, ale pewnie by o tym już wspomniał, znając jej upodobania do takich historii. Oczywiście nie bała się duchów. To realne zło czynione przez żywych ludzi



przyprawiało ją o nocne koszmary. Choć oczywiście nie chciałyby być straszona przez upiory.

Rzuciła okiem na bujną zieleń parku St. James, który nawet o tej porze roku wyglądał jak obraz Moneta. Z nieznanych przyczyn przypomniała sobie nagle o ojcu. Nie oddzwoniła do niego, a kiedy będzie jej szukał w Nashville, to nigdzie jej nie znajdzie. Uda się najpierw do Sam, która dostała precyzyjne instrukcje. Pod żadnym pozorem nie wolno jej ujawnić, gdzie przebywa Taylor ani co ją ostatnio spotkało. Ojciec definitywnie przestał należeć do jej życia i tak już pozostanie na zawsze.

Czy aby na pewno? Wiedziała, że uciekając od ojca, zachowała się dziecinnie. Prędzej czy później będzie musiała się z nim spotkać. Wołała później, choć Bóg jeden wie, w jakie kłopoty zdąży się wpakować do jej powrotu ze Szkocji. W przypadku alkoholika nie było o to trudno. Z pewnością uknuje jakiś chytry plan, wymyśli jakiś nielegalny przekręt, nie było co do tego wątpliwości.

Limuzyna zawróciła w stronę Mayfair. Po prawej przeleciał z ogłuszającym rykiem motocykl, zajeżdżając im drogę. Szofer ostro zahamował, Taylor rzuciło w tył i uderzyła głową o oparcie. Serce zabiło jej mocniej, rozpoznała początek ataku paniki. Oddech przyśpieszył i stał się urywany, poczuła nasilające się mdłości. Nie, tylko nie teraz, myślała gorączkowo. Nie przy Memphisie.

Zamknęła oczy, starając się odwrócić myśli, ale czerwona kałuża krwi zalała jej twarz i ujrzała łyzy płynące z oczu Sam, poczuła rosnący gniew i nienawiść, a także dotyk śliskiego metalu w dłoni...

Myśl o bezpiecznym miejscu, Taylor, nakazała sobie w duchu. Obóz. Koń. Oddychaj spokojnie.

Starła się oddychać przez nos, dopóki galopujące serce nie zwolniło.

Odrobinę odemknęła powieki. Memphis klął na motocyklistę, niczego nie zauważył. Dzięki Bogu. Ukryła twarz za filiżanką herbaty i odetchnęła głęboko.

Seryjnych morderców wystarczy jej do końca życia.

- Dobrze się czujesz? - spytał Memphis. - Jesteś blada jak ściana.

Cholera. Więc jednak zauważył.

Efekt uboczny. Migawki wspomnień. Nic na to nie poradzę.

- Ciekaw jestem, jak wobec tego przekonałaś Baldwina, żeby pozwolił ci tu samej przyjechać.

*Przekupiłam go.*

- Innymi słowy, już lepiej się dogadujecie - skwitował Memphis. Jego ton był neutralny, nie pytał ani nie podawał w wątpliwość.

Odwróciła się od okna i spojrzała mu w oczy. Upiła łyk herbaty.

*Pogodziliśmy się. Znowu jest między nami dobrze.*

- Ale czy to coś naprawi? Czy na przykład odzyskasz głos?

*Nie wchodźmy w to, Memphis, dobrze?*

Nie żartowała, naprawdę nie miała ochoty na rozmowę o swoim związku. Co innego czat internetowy, ale zwierzenia twarzą w twarz niemiło pachniały zdradą, a przecież nie przyjechała tu po to, żeby zdradzać Baldwina. Chciała trochę przestrzeni, trochę czasu dla siebie. Mniej presji nakazującej utrzymać wizerunek silnej kobiety. Tutaj mogła nareszcie być sobą.

Nie potrafiła odczytać jego miny. Uśmiechnął się do niej blado.

*Serio, Memphis, to wcale nie tak.*

- Ach, Taylor, wielka miłość ma upadki i wzloty. Spójrz, oto moja siedziba.

Przez moment była skonfundowana. Memphis mieszkał w Chelsea, a teraz znajdowali się w zupełnie innej okolicy. Wtem zobaczyła obracający się duży srebrno-niebieski szyld. Po jednej stronie był napis „Nowy Scotland Yard”, a po drugiej „Stołeczna Policja. Pracujemy dla bezpieczeństwa Londynu”. W tym obszernym nowoczesnym budynku z betonu, stali i szkła zmieściłby się bez trudu cały wymiar sprawiedliwości Nashville. W oknach odbijał się wspaniały gmach hotelu St. Ermin z czerwonej cegły.

Przy głównym wejściu stała samotna policjantka, ale wyszkolone oko Taylor dostrzegło liczne zabezpieczenia: barierę z pancernego szkła, kamery, trzy poziomowe kołowroty, drzwi

obrotowe i elektroniczne czytniki kart. Zamontowany przy wjeździe do podziemnego garażu system przygiętych kolców pozwalał wjechać samochodom, ale uniemożliwiał wyjazd, chyba że kierowca miał w nosie poprzekłuwane opony. Ukryte pod ziemią betonowe zapory można było błyskawicznie podnieść, blokując dostęp do gmachu i więżąc znajdujące się w nim osoby.

- Podoba ci się? - spytał Memphis.

Taylor potwierdziła. Budynek prezentował się wspaniale i nowy Londyn zaczynał ją coraz bardziej olśniewać. Na mgnienie oka słońce wyjrzało zza chmur, opromieniając miasto swym blaskiem.

- Tak - powiedziała.

- Pomachaj Pen. Będzie wściekła, że cię nie przyprowadziłem. A może chcesz się z nią przywitać?

Potrząsnęła odmownie głową. To stanowczo zbyt wiele. Może w drodze powrotnej. Nie chciała, by zbudziło się w niej znajome uczucie rozpacz i samotności, pojawiające się za każdym razem, kiedy myślała o pracy. Przyjechała tu, żeby oddalić się od policji, od swej posady, życia, popełnionych błędów. Pragnęła jedynie spokojnego miejsca, żeby się wyleczyć. I ukryć.

Zadzwoiła komórka Memphisa. Przeprosił i przyciszonym głosem powiedział coś cicho do mikrofonu. Taylor obserwowała londyńczyków. Przypominali mieszkańców Nowego Jorku, tylko szerzej się uśmiechali i mówili z brytyjskim akcentem. Wszyscy kulili się z zimna i posuwali szybkim krokiem, prawie biegiem. Był typowy zimowy dzień, chłodny i ponury, a wieczorem spodziewano się ulewy.

Mijani ludzie prezentowali się swobodnie i elegancko. Taylor czuła się przy nich dziecinna i krzykliwa, nadmiernie entuzjastyczna. Musi pamiętać, by zachowywać się z większym umiarem. Kwestię nieopanowanej gadatliwości miała już załatwioną.

Jazda na dworzec King's Cross zajęła pięć minut. Szofer wystawił bagaże z limuzyny, a Memphis wyjął z kieszeni dwa bilety.

- Jedziemy pierwszą klasą i mamy miejsca z prawej strony pociągu. To ważne, bo bliżej granicy krajobraz zapiera dech.

Wagon i przedział nie prezentowały się zbyt wykwitnie jak na pierwszą klasę. Było wprawdzie więcej miejsca, bo tylko cztery fotele zamiast sześciu, a także lepsze drinki, smaczniejsze jedzenie i znacznie mniejszy tłok. Wagony drugiej klasy pękały w szwach. Mały chłopiec spojrzał na Taylor i pokazał jej język, po czym znikł pociągnięty przez zadyszaną matkę.

Nie jechała pociągiem od czasu pamiętnej podróży z Inverness do Londynu po wyprawie nad Loch Ness z bandą rozwrzeszczanych kolegów szkolnych. Zapamiętała ciemnoczerwone kuszetki, stalowe umywalki, herbatę i grzanki na kolację. W pociągu sobie podchmielili, więc wysiadali na chwiejnych nogach, chichocząc i zataczając się po dworcu jak stadko nowo narodzonych bocianów.

Ta podróż zapowiadała się znacznie spokojniej. Na fotelach przypięto karteczki z rezerwacją. Mieli miejsca naprzeciw siebie oddzielone plastikowym stolikiem.

- Wolisz przodem czy tyłem? - spytał.

Pokazała na fotel przodem do kierunku jazdy. Na samą myśl o jeździe tyłem czuła mdłości.

Zajęli miejsca. Taylor włączyła komórkę, żeby sprawdzić, czy ma wiadomości, i stwierdziła z ulgą, że nie.

Ulga mieszała się ze smutkiem. Bywało i tak, że nie miała pięciu spokojnych minut, a teraz komórka była milcząca i bezużyteczna. Syndrom osoby niekochanej. Wysłała Baldwinowi niepotrzebnego SMS-a, że dotarła i są w drodze do Szkocji, po czym schowała telefon.

Drzwi zamknęły się z sykiem. Wagon prawie całkiem się zapełnił. Pociąg ruszył z lekkim szarpnięciem i szybko nabrał rytmu. Już po chwili pojawiła się dziewczyna z wózkiem z przekąskami. Za radą Memphisa Taylor zamówiła herbatę, sałatkę owocową i kanapkę z bekonem. Jedzenie okazało się bardzo smaczne. Pszenne pieczywo było ciepłe i chrupkie, a bekon dobrze przysmażony. Do tego pojemnik z ostrym brązowym sosem, przez co Taylor natychmiast poczuła się jak w domu. Becon i sos w wagonie pierwszej klasy zmierzającym na północ do Edynburga. Łatwo będzie do tego przywyknąć.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Taylor obserwowała przesuające się za oknem zielone pola. Z uwagi na porę roku zaskoczyła ją ich barwa. Owszem, była zima, ale znajdowali się na poziomie morza, więc dzięki stałej wilgotności powietrza utrzymywała się tu soczysta zieleń. Mijane miasteczka i wioski były urocze, nawet te najskromniejsze. Zdziwiły ją cyprysy, które kojarzyły się jej z południowymi Włochami. Wysokie smukłe drzewa przywołały wiele wspomnień, które Memphis najwyraźniej postanowił rozwiać ciągłym nagabywaniem nie w porę. Zdążyła już zapomnieć, co za gaduła z niego. Większość ludzi z jej bliskiego otoczenia stała się z czasem równie milcząca jak ona. Wiedziała jednak, że Memphis starał się być miły i przyjazny.

- Ucieszysz się, gdy ci powiem, że zapowiada się jutro piękna pogoda. W nocy ma być krótka burza z niewielkimi opadami śniegu. Zapakowałam, jak sądzę, ciepłe obuwie...

- Napijesz się jeszcze herbaty? Dziewczyna z wózkiem powinna się zjawić za chwilę...

- Jesteś stanowczo za chuda, powinnaś przytyć. Kucharka bardzo się ucieszy, że ma misję do spełnienia. Czuje się opuszczona, kiedy rodzice wyjeżdżają na wakacje lub święta...

- Specjalnie mnie ignorujesz - spytał w końcu - czy może zapadłaś w śpiączkę pociągową?

Dała sobie w duchu kukuśnia. Zachowywała się wyjątkowo bezceremonialnie i niegrzecznie. Podniosła palec na znak, że Memphis ma poczekać, i wyjęła z torby laptopa. Jeśli mieli rozmawiać, to lepszy i szybszy jest do tego laptop.

Otworzyła nowy dokument i napisała odpowiedź:

*Nie ignoruję. Przywykłam do milczenia. Przepraszam. Gdzie jesteście?*

- Na północ od Yorku.

Dziewczyna z wózkiem faktycznie nadjechała, na chwilę uwalniając Taylor od obowiązku konwersacji. Miała już dość

herbaty, więc wybrała kieliszek wina. Jednolicie szara pokrywa chmur popękała i pojaśniała, ukazując skrawki błękitu. Jak okiem sięgnąć, widać było bezkresne pola uprawne i pastwiska poznaczone bawełnianymi kłębuszkami owiec.

Odrobina alkoholu wprawiła Taylor w lepszy nastrój. Porzuciła stalową rezerwę i zaczęła cieszyć się podróżą. Szybko wypracowali z Memphisem spójną metodę pogawędki i pisania. Jego oczy zapalały się entuzjastycznie, gdy za oknem pociągu dostrzegał coś, czym pragnął się z nią podzielić. Na podorędziu miał niezliczoną ilość anegdot i wspomnień.

- Widzisz katedrę w Durham? Jeden z najsłynniejszych brytyjskich seryjnych morderców siedzi w tamtejszym więzieniu...

- A ten niezwykły monument autorstwa Anthony'ego Gormleya to Anioł Północy...

- To wciąż jeszcze Tamiza, aż do Newcastle, które słynie z niezliczonych mostów. Na granicy angielsko-szkockiej płynie rzeka Tweed...

W oddali minęli salę koncertową, która kształtem przypominała stonogę, ulubionego robaka Taylor z dzieciństwa. Uwielbiała podnosić je z ziemi i kłaść na pulchnym ramionku, przyglądając się, jak pełzają.

Żywopłoty przycięte w kształt parasola przypomniały jej włoskie sosny, które widziała podczas pobytu w Italii.

Po polach łążyły stada kruków. Wyobraziła sobie ich przeraźliwe krakanie i nagle skądś pojawiły się słowa bajki: „Usiadły na drzewach przed domem Królowny Śnieżki, gdzie leżał, czekając na nią, Naśladowca...”.

Boże, musi przestać do tego wracać. To idiotyczne łączyć najzwyczajniejsze obrazy i dźwięki ze strzelaniną.

Przyszła jej do głowy myśl tak absurdalna, że natychmiast przywołała się do rzeczywistości. Wiedziała, że rozbawi Memphisa. Miała nadzieję, że jego radość będzie zaraźliwa.

*Czy kruki mają brytyjski akcent?*

- Co?

*Kruki, w ogóle zwierzęta, czy też mają tak specyficzny akcent jak ty?*

- Nie mówię z akcentem. To jankeskie zwierzaki śmiesznie gadają, czyż nie? Tu przeciągną, tam wymówią nosowo. Należy mówić królewskim angielskim, rozumiesz?

Uśmiechnęli się do siebie i umilkli.

Słońce zniżało się ku horyzontowi. Taylor otuliła się ciasniej kożuszką, bo przeniknął ją nagły chłód. Oto przybywała, by na powrót odnaleźć drogę do swego jestestwa, dlaczego zatem miała tak złe przeczucia?

Memphis zauważył jej drżenie.

- Czy chcesz o tym porozmawiać? - spytał, ujmując ją czule za rękę.

Pozwoliła mu na to, bo czuła chłód, a ciepły dotyk dłoni był przyjemny.

Wiedziała, co miał na myśli. Strzelaninę. Naśladowcę. To, że wypadła z łask. To, że jej życie rozpadło się na kawałki na oczach wszystkich.

*Raczej nie. Nie ma o czym mówić. Już po wszystkim, koniec. Muszę się z tym uporać. Tak bardzo się staram. Może opowiesz mi o swojej sprawie? Dzięki temu poczuję się choć trochę tak, jakbym to ja ją prowadziła.*

Przez chwilę spoglądał jej w oczy, by się upewnić, czy Taylor naprawdę nie ma ochoty na rozmowę o sobie. Gdy uznał, że tak, rozpoczął opowieść:

- Wiesz, jak to wygląda na początku śledztwa. W najlepszym wypadku mamy trzy dziewczyny, które uciekły z domów, wstąpiły do sekty czy w inny sposób rozpoczęły nowe życie. W najgorszym wkrótce zaczniemy znajdować zwłoki. Wzorzec jest dość wyraźny, założenia wiktyologii pasują idealnie. Uczęszczały do różnych szkół, nie pracowały razem, ale wszystkie należały do „kościół” na East Endzie. Tylko jedna mieszkała w tamtej okolicy, pozostałe dojeżdżały metrem, i to z dość daleka. Wprawdzie używają nazwy „kościół”, ale nie chodzi tam o Boga w powszechnym tego słowa znaczeniu. Przywódcą wspólnoty jest charyzmatyczny młody mężczyzna, który występuje pod imieniem Urq. Pochodzi z bogatej rodziny. Przypuszczam, że Urq jest schizofrenikiem, ale wyznawcy go uwielbiają. - Zdegustowany Memphis pokręcił głową. -

Prawdopodobnie mamy do czynienia z seryjnym mordercą, choć gdyby tak było, to powinniśmy już znaleźć zwłoki. Na razie nie wyrobiłem sobie ostatecznej opinii. Domysły, domysły, to wciąż rozłazi się w palcach. Wolałbym mieć do czynienia z nożownikami z pubu w Mayfair.

*Powinieneś pogadać z Baldwinem. Mógłby ci podsunąć pomysł, jak się do tego zabrać. Jest dobry w te klocki.*

Obróciła monitor, ujrzała uniesione brwi Memphisa i uświadomiła sobie, jak mógł odebrać jej słowa. Cofnęła laptop i spróbowała ponownie:

*Nie to miałam na myśli. Ty i ja jesteśmy tacy sami. Rozumiemy zbrodnię, bo wiemy, jak rozumują przestępcy. Ale mózgi seryjnych morderców pracują inaczej, a Baldwin wie, jak to się dzieje. Ich motywacje są inne. Powtarzam mu, że powinien napisać książkę dla takich jak my detektywów, którzy mogliby z niej korzystać jak z podręcznika.*

Memphis zabębnił palcami po stole.

- Być może to zrobię. To znaczy pogadam z nim. Bez oporów poproszę o pomoc, skoro stawką jest ludzkie życie. Do cholery, niemal namacalnie czuję, że w tej sprawie jest coś dziwnego, ale wciąż nie mogę dotknąć, wskazać tego palcem... O, popatrz.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła Morze Północne. Było groźnie wzburzone mimo względnie dobrej pogody. Mogłaby przysiąc, że czuje w powietrzu zapach soli.

- Zbliżamy się - dodał Memphis.

Ledwie się obejrzel, a już byli w Edynburgu na dworcu Waverley. Wysiedli na nieco chwiejnych nogach, zwłaszcza Taylor odczuwała skutki wypitego wina. Memphis ujął ją pod ramię i delikatnie podtrzymał. Czowała wielkie znużenie. W Nashville było teraz rano, ale spora różnica czasu, nocny lot, wino, lekki stres wywołany towarzysztwem Memphisa i czekanie na kolejną próbę flirtu - to wszystko zwały jej się na głowę.

Memphis niósł bagaże Taylor, kierując się ku schodom. Cekał tam na nich trzydziestokilkuletni mężczyzna z dość długą, zaczesaną gładko do tyłu i błyszczącą żelazem czupryną. Podążyli za nim do poobijanego range rovera, gdzie Memphis przedstawił nieznanego:



- Taylor, to jest Jacques.

Zalał ją potokiem francuskich zdań, z czego zrozumiała tylko tyle:

- Witam, jestem pani szoferem, proszę dać mi znać, jeśli czegoś będzie potrzeba.

- *Merci* - wychrypiała z trudem.

Na co Jacques obdarzył ją olśniewającym uśmiechem, a gdy odwrócił się, by otworzyć drzwi auta, spostrzegła wybrzuszenie pod pachą. Czyżby szofer i ochroniarz w jednym? Po cóż Memphisowi uzbrojony kierowca? Być może to powszechna praktyka wśród osób publicznych i członków rodziny królewskiej, ale w tym przypadku bez wątpienia przesada. Memphis był przecieź policjantem. Jeszcze jedna dziwna sprawa, o którą warto by go zapytać.

Usiadła z tyłu, zadowolona, że nie siedzi w limuzynie, mimo to bezwiednie przypomniła sobie eskapady matki. Jeździła po Europie, uważała się za podróżniczkę, tyle że nocowała w najlepszych hotelach i wożona była luksusowymi samochodami przez szoferów. Modelowy przykład hipokryzji.

Wyjechali z dworca i zmierzali do arterii wyjazdowej z miasta. Taylor z zainteresowaniem porównywała Edynburg z rodzinnym Nashville w Tennessee. Z pozoru wszystko było inaczej. Nashville wydawało się senne i prowincjonalne w porównaniu ze zgiełkliwą szkocką stolicą. Ciągłe zwalnianie na rondach, obco wyglądające znaki drogowe, miniparkingi przed egzotycznymi knajpkami z jedzeniem na wynos, wąskie jednokierunkowe uliczki z dojazdem do wielopasmowych autostrad - to wszystko było obce.

Za to drzewa, pofałdowane wzgórza, uśmiechy i poczucie celu nasuwały myśli o domu.

Wiedziała, że Memphis jej się przygląda. Wyobraża sobie, że ona jeździ tymi drogami, robi zakupy w sklepach, je posiłki w tutejszych restauracjach. I ma nadzieję, że jej się tu podoba.

Że ona tu pasuje.

Dziękowała w duchu za to, że jest niema. Głos z pewnością by ją zdradził.

W oddali ujrzała szeroką rzekę. Most z olbrzymią estakadą kolejową po prawej stronie wyglądał jak Golden Gate.

- Zbliżamy się do Firth of Forth - powiedział Memphis.

*Powiedz to szybko trzy razy.*

- Jak pomieszkaż tu dostatecznie długo - odparł rozbawiony - stanie się to twoją drugą naturą.

Te słowa wytrąciły ją z równowagi. Czy to właśnie robiła? Sprawdzała, czy będzie jej dobrze w Szkocji i czego będzie jej brakowało? Na przykład jechała samochodem z Memphisem, a nie z Baldwinem u boku, i zupełnie jej to nie przeszkadzało.

W aucie było ciepło, a ona czuła się coraz bardziej zmęczona. Zanim zdążyła zanurzyć się w niepokojące myśli, zapadła w sen.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Memphis obserwował śpiącą Taylor. Zaróżowiona, z lekko otwartymi ustami była piękna jak anioł. Miał tak wielką ochotę, by musnąć palcem jej pąsową dolną wargę, że musiał usiąść na dłoni. Pragnął ją obudzić i patrzeć, jak półprzytomne szare oczy skupiają się na jego twarzy, a źrenice emanują radością. Chciał wpełznąć pod jej włosy i przykryć się nimi jak kocem. Obsypać ją różami, szeptać słowa, które by ją rozśmieszyły. Czuć pod palcami ciepłą skórę. Na myśl, że mógłby ją wziąć do łóżka i pieścić,omal nie oszalał.

Marzył, żeby kochać się z nią aż do utraty przytomności.

Nie pożył kobiety tak silnie od czasu, kiedy spotkał Evan. Konieczność porównań, szukania podobieństw i różnic napawała go obrzydzeniem, jako że wciąż nie pogodził się z utratą żony. Jej śmierć pozostawiła w nim bolesną pustkę. Zarazem jednak tylko myśli o Taylor potrafiły ją choć trochę zapełnić. Jej bliskość uderzała mu do głowy.

Niestety okazało się, że odbicie jej Baldwinowi było znacznie trudniejszym zadaniem, niż przypuszczał. Memphis karmił się nadzieją, że kiedy Taylor doświadczy jego życzliwości, zobaczy, ile wolności mógłby jej ofiarować bez żadnej presji i kłótni, wtedy sama zrozumie, że warto zostać wicehrabiną Dulsie, bo ma to wiele niezaprzeczalnych zalet. Uważał, że sesje z Maddee mogą w tym wiele pomóc.

Wiedział, że nie powinien myśleć w ten sposób. Taylor nie należała do niego. Maddee zachęcała go od miesięcy, odkąd wrócił ze Stanów ze złamanym sercem, żeby znalazł sobie inną kobietę.

Odnosił przy tym wrażenie, że chętnie zajęłaby miejsce u jego boku, ale tak nigdy się nie stanie. Po pierwsze była żoną przyjaciela, po drugie nie należała do kobiet w typie Memphisa. Miała zbyt ciemną karnację, była zbyt przebojowa, za bardzo amerykańska. Próbowwała go poderwać podczas przyjęcia

w Inverness, jeszcze przed śmiercią Evan. Podczas ceremonialnej kolacji siedzieli obok siebie przy dużym okrągłym stole i Memphis poczuł w pewnej chwili drobną rączkę, która pełzła po udzie do jego krocza. Maddee w szmaragdowej sukni z głębokim dekoltem, nie przerywając rozmowy ze starszym dżentelmenem, zaczęła pieścić przyrodzenie Memphisa.

Z początku zbyt zaskoczony, żeby jej przerwać, po chwili poddał się zakazanej przyjemności, ale jedno spojrzenie na śliczną małżonkę, która siedziała po drugiej stronie stołu, zakończyło sprawę. Delikatnie odsunął rękę Maddee i nigdy więcej do tego nie wracali, kontynuując przyjazne kontakty.

Była przy nim, kiedy otrzymał wiadomość o śmierci Evan.

Maddee i Roland przyjechali tamtego dnia do Londynu i zatrzymali się w mieszkaniu Memphisa w Chelsea. Poszli we troje na zakupy i do kina. Zjedli kolację w przytulnej knajpce. A Evan była już wtedy martwa, samochód utopiony w lodowatej wodzie, dziecko...

Nie, musi natychmiast przerwać te ponure rozmyślenia. Evan odeszła na zawsze. Nie mógł się o to oskarżać, i dobrze o tym wiedział. Maddee powtarzała mu to przy każdej okazji. Mimo to nosił w sobie poczucie winy. Gdyby nie zostawił jej samej...

Taylor poruszyła się we śnie, przywołując Memphisa do rzeczywistości. Wyjrzał przez okno. Znajdowali się przy rondzie Killicrankie, z którego skręcało się na teren posiadłości.

Delikatnie trącił Taylor. Obudziła się natychmiast i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Przyśnił ci się koszmarny sen?

- Tak - wychrypiała.

Zabrzmiało to prosto i szczerze, przez co poczuł się z nią jeszcze silniej związany. Gdyby nie dopuściła go do swych tajemnic, pozbawiłaby go szansy, ale przyznając się do lęków, okazując słabość, nieco uchyliła wrota wiodące do jej duszy, serca, umysłu... uczuć.

Ziewnęła rozdzierająco i otworzyła notes.

*Gdzie jesteście?*

- Prawie na miejscu. Zjechaliśmy z ronda na zamek Dulsie.

Z uśmiechem rozejrzała się dokoła. Dostrzegł, że jest oczarowana. Pola uprawne przeszły w pagórkowate, gęsto porośnięte wrzosem wzniesienia, nagle pojawił się las, w którym wyniosłe świerki stały tak ciasno, że z trudem można by wsunąć rękę między pnie. Były też modrzewie, dęby, brzozy, osiki i posadzone przez ludzi sekwoje.

Jechali przez las blisko dwadzieścia kilometrów, po czym rozpostarła się przed nimi dolina w otoczeniu wysokich gór i nieduże jezioro. Wjazd – masywny kamienny łuk wysokości dwunastu metrów z rozsuwaną bramą ze stali – robił ogromne wrażenie.

Wypłoszona z kępy przydrożnych wrzosów kura z gdakaniem przefrunęła przez bramę. Gdy Taylor zachichotała, Memphis z wysiłkiem powstrzymał grymas niechęci. Jakże daleki był ten przykry dźwięk od beztroskiego śmiechu, który przywykł słyszeć z jej ust.

*Jaka duża. Nigdy nie widziałam tak wielkiej kury.*

– To rasa buff orpington. Z wolnego wybiegu. Bosko smakują.

Samochód jechał jeszcze przez minutę. Memphis popatrywał na Taylor, kiedy jej oczom ukazał się zamek, i z satysfakcją odnotował widoczne na jej twarzy radosne zaskoczenie.

Uścisnął dłoń Taylor i powiedział z prostotą:

– Witaj w domu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Taylor niemal dosłownie opadła szczęka. Memphis poinformował ją, że ma w Szkocji „pokryte pajęczyną domiszcze”, którego nie sposób porządnie ogrzać. Powtórzyła te słowa Sam, przekonana, że to przynajmniej część prawdy. Memphis zawsze lekceważąco odnosił się do swojej błękitnej krwi i związanej z nią pozycji społecznej, przez co czuła z nim szczególną więź. Też pragnęła pójść własną drogą, zdystansować się od aspiracji rodziców i wieść życie wolne od przywilejów wynikających z zamożności.

Co za krętacz z niego, narzekała w duchu. Cholerny wicehrabia.

„Domiszcze” okazało się prawdziwym zamkiem, a takie budowle wprost uwielbiała. Posiadał wieże, wieżyczki, blanki, a otaczała go fosa, obecnie zdegradowana do zarośniętego trawą i chaszczami rowu. Jakby tego było mało, w bramie za fosą znajdowała się spuszczana krata, a nad nią kamienne rzygacze. Można by pomyśleć, że Memphis zakradł się do jej umysłu i poznał dziewczęce marzenia, po czym zadbał o to, by znalazły spełnienie w rodowej siedzibie. Zwieńczona szarą dachówką kamienna fasada z ciemnobrązowym belkowaniem przywodziła na myśl zamki z epoki Tudorów i francuskie châteaux. Budowla była monstrualnie wielka.

*Ile ma powierzchni?*

Wyraźnie zakłopotany Memphis szurał stopą po wysypanym żwirem dziedzińcu jak dzieciak przyłapany na dokazywaniu. Wiedziała, że Anglicy, w przeciwieństwie do Amerykanów, nie lubią otwarcie omawiać kwestii typu ilość, wielkość, luksus.

- No wiesz, zamek Dulsie nie różni się od typowych wiejskich rezydencji z tamtego okresu. W obecnym stuleciu zostały dokonane pewne zmiany, z myślą o zwiedzających dobudowano herbaciarnię i powiększono salę bankietową, którą wynajmujemy na wesela i inne imprezy. Większa część terenu

także jest dostępna. Ludzie uprawiają tu różne sporty, a nocują w przyczepach albo w gospodzie w pobliskiej wiosce.

*No dalej, mów.*

Spuścił nisko głowę. Nie wiedziała, czy chciał ukryć zakłopotanie, czy radość, że tak ją zaskoczył.

- Zamek nie jest wcale taki wielki. Mamy tylko siedemnaście sypialni.

Przeprowadziła w duchu obliczenia, porównując rezydencję rodziców, w której było sześć sypialni i osiem łazienek, i wyszło jej około czterech i pół tysiąca metrów kwadratowych. Udała, że nie robi to na niej wrażenia.

*Już rozumiem, dlaczego trudno go ogrzać.*

Memphis parsknął śmiechem, a jej zrobiło się przyjemnie, że go rozbawiła. Co za idiotyzm.

- Wcale nie żartowałem. Ogrzewanie to poważny problem, a podatki zwalają z nóg. To dlatego udostępniamy zamek turystom, oczywiście nie cały, tylko dwa najniższe piętra i strych, gdzie najlepiej brzmią opowieści o duchach. Poza tym od piętnastego listopada do id marcowych jest zamknięty dla zwiedzających. Na wyższych piętrach znajdują się wyłącznie kwatery prywatne, tereny wokół zamku także są podzielone, mamy więc dużo swobody i miejsca dla siebie. Jeśli masz ochotę, możesz odpoczywać albo urobić się po łokcie. Widziałas już kury, a hodujemy też owce, bydło rasy szkockiej, uprawiamy ogród i mamy park dla jeleni i saren. Cokolwiek księżniczka zapragnie, natychmiast otrzyma.

Przewróciła oczami, ale w głębi ducha czuła się podekscytowana. Oprócz baśniowego zamku miała do dyspozycji piękną okolicę i już nie mogła się doczekać, kiedy rozpocznie zwiedzanie.

Po wyjściu z range rovera odetchnęła cudownie świeżym i czystym górskim powietrzem, zmieszanym z krystalicznym zapachem jeziora, zeschniętych liści, nawozu i siana. Wyczuwała także czekoladowo-waniliową woń roślin zimozielonych, aromat wrzosowiska, a oprócz tego cynamon, drożdże i... tak, czosnek. Zaburczało jej głośno w brzuchu.

Memphis również poczuł kuszące zapachy.

- Kucharka przeszła samą siebie, to zapach gulaszu z dziczyzny. A na deser będzie tarta z jabłkami. - Miał minę dzieciaka, któremu oznajmiono, że po raz pierwszy będzie mógł zjeść z dorosłymi.

Była ciekawa, czy przywoził tu też inne kobiety, szokując je bogactwem, ale uznała, że nie. Owszem, był kobieciarzem, lecz starannie dobierał towarzystwo. Miała nieodparte wrażenie, że pokaz został wymyślony specjalnie dla niej.

- Pozwól, że cię oprowadzę, zaznajomisz się z nową siedzibą. Przed kolacją będziesz mogła odświeżyć się i odpocząć.

Wykręciła szyję, żeby spojrzeć na imponującą wieżę obronną w obramowaniu ciemnych burzowych chmur. Na niebie widać było bursztynowy poblask zachodzącego wcześniej na północy słońca. Przeklęła się w duchu. Memphis uknuł chytry plan, żeby jej pokazać, co mogłoby się stać jej udziałem, gdyby tylko zechciała. Przyszła jej na myśl Elizabeth Bennet w posiadłości pana Darcy'ego i przez moment czuła się równie głupio.

Wydawało jej się, że słyszy zdegrustowane prychanie Sam, i omal nie roześmiała się głośno. Przyjaciółka miała na nią wpływ nawet z odległości sześciu i pół tysiąca kilometrów. Taylor niemal ją usłyszała:

- To nie jest twoje życie, to nie jest twój świat. To tylko chwilowa ucieczka od trudów rzeczywistości. To nie miejsce dla ciebie. Dobrze zrobisz, jeśli zapamiętasz moje słowa.

Praktyczna Sam. Odkąd skończyła piętnaście lat, kocha tego samego mężczyznę.

Memphis czekał na nią u szczytu schodów. Odsunęła od siebie myśli o przyjaciółce i posłała mu uśmiech, rumieniąc się lekko, gdyż wiedziała, że odczytał z jej twarzy targające ją sprzeczne uczucia. Niełatwo było ją zaskoczyć, lecz jemu się udało.

Wnętrze zamku wywierało równie wielkie wrażenie jak fasada, zwłaszcza że było świątecznie udekorowane gałązkami choiny, wieńcami i girlandami. Do tego wiekowe meble, broń i kobierce na ścianach, szerokie kamienne schody z polerowanymi balustradami, kandelabry, żyrandole i kosztowne dywany, olbrzymie portrety przodków o rysach podobnych do Memphis,



świadczenie jego pochodzenia. Przynależał tu, do rodowej siedziby.

W obszernym holu przywitała ich starsza kobieta. Memphis dokonał prezentacji:

- Trixie, to jest Taylor Jackson. Taylor, poznaj Trixie. Jest w naszej rodzinie dłużej ode mnie. To pani tego domu, nie wątp w to ani przez chwilę.

Imię w komiczny sposób nie pasowało do gospodyni.

Trixie nie uśmiechnęła się, tylko wygięła kąciaki ust w górę, jakby przywykła do żartów Memphisa i uważała je za wyjątkowo nudne. Miała stalowosiwe włosy związane w ciasny koczek i wodniste niebieskie oczy. Nosila grubą wełnianą spódnicę i gładki wełniany sweter, a do tego męskie sznurowane półbuty. Taylor oceniła jej wiek na ponad sześćdziesiąt lat, mimo to trzymała się zadziwiająco prosto.

Skinęła uprzejmie głową i przemówiła wyższym i miększym głosem, niż Taylor się spodziewała:

- Miło mi panią poznać. Jestem ochmistrzynią tego zamku. Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, wystarczy zadzwonić. - Pokazała elektryczny dzwonek przytwierdzony do ściany przy schodach, obok którego był mały srebrny dzwoneczek z ozdobnym sznurkiem do pociągania. - Znajdzie je pani w całym zamku. - Mówiła z wyraźnym szkockim akcentem.

Memphis spostrzegł, że Taylor przygląda się dwóm systemom powiadamiania służby, nowoczesnemu i zabytkowemu.

- Jakiś czas temu zrezygnowaliśmy ze starych dzwonek. Elektroniczny system działa świetnie. Na dole znajduje się panel z numerami pokoi, więc wiadomo, skąd dochodzi wezwanie. Kiedy wyjadę, Trixie zapewni ci wszystko, czego dusza zapagnie. To przemiła osoba, prawda, staruszko?

Trixie poddała się w końcu urokowi Memphisa i ukazała dołeczki w uśmiechu. Taylor zrozumiała, czemu nie czyni tego częściej. Miała poźółkłe i popsute zęby.

- Z przyjemnością pokażę pani pokój - powiedziała.

- Nie trzeba - odparł Memphis. - Jacques przyniesie bagaże, a ja oprowadzę Taylor.

- Zostawiam was w takim razie. - Trixie odeszła sztywno wyprostowana.

Może miała w dzieciństwie skoliozę i nosiła gorset, rzadko bowiem można spotkać tak nienaganną postawę. Taylor przyjrzała się uważniej i nagle wszystko zrozumiała. Podeszwa lewego buta była co najmniej czterokrotnie grubsza niż prawego, co oznaczało, że Trixie miała krótszą lewą nogę. By zamaskować tę wadę, ochmistrzyni nosiła się z wręcz królewską godnością. Taylor nie próbowała sobie nawet wyobrazić, ile bólu przeżyła w okresie dorastania.

Jakby wyczuwając jej spojrzenie, Trixie odwróciła się i posłała ponure spojrzenie. Taylor zrobiło się nieprzyjemnie. Choć ochmistrzyni nie powitała jej wylewnie, to nie było w niej wrogości, aż do tej chwili. Uznała, że musi się mieć przed nią na baczności.

Memphis musiał zauważyć gniewne spojrzenie gospodyni, bo próbował ratować sytuację:

- Trixie to dobra osoba. Jest u nas od zawsze, przyszła na długo przed moimi narodzinami. Była naszą guwernantką, naprawdę się jej baliśmy. Nie ma nikogo, żadnych krewnych ani przyjaciół, więc kiedy dorośliśmy, matka zatrudniła ją jako osobistą służącą. Przed kilkoma laty przejęła obowiązki majordomusa. Nasza rodzina jest dla niej wszystkim, nie przepada za obcymi. Nieczęsto tu bywam, ale wiem, że świetnie prowadzi dom. Chodź, zobaczymy resztę zamku.

Obeszli cały parter - jadalnię, zbrojownię, komnaty przeznaczone do zwiedzania - po czym ruszyli długim korytarzem, gdzie na ścianach wisiały wypchane łby i poroża.

*Czy to twoje trofea?*

- Nie, skąd. Widzisz te plakietki?

Taylor przyjrzała się bliżej. Po prawej stronie poroży widniały wypisane ręcznie karteczki: „Łagodny lat 3”, „Łagodny lat 4”, „Łagodny lat 5”.

*Ulubiony jelonek?*

- Można tak powiedzieć. Jelenie zrzucają poroża co roku. Tradycyjnie zabierano je i wieszano na ścianie, czasem przytwierdzając do wypchanego łba jelenia, który zdechł albo

został upolowany. Spójrz, jaki był ogromny. Łagodny był królem połowy stada.

Okazało się, że zdechł ze starości w dojrzałym wieku piętnastu lat jako dumny dwudziestak, to znaczy miał dziesięć odnóg na każdej tyce poroża.

- Moja rodzina kolekcjonuje poroża - oznajmił Memphis.

*Matka zbiera porcelanowe filiżanki z Limoges. Zaczęła jako mała dziewczynka. Ma tego całe gabloty.*

Przyjrzała się rozłożystem porożom Łagodnego i dopisała:

*Poroża są fajniejsze. Mają więcej charakteru.*

Memphis z uśmiechem pociągnął ją za sobą do kamiennych schodów. Weszli na piętro i stanęli przed drewnianymi drzwiami z szyfrowym zamkiem. Podał jej kod. Tędy miała wchodzić i wychodzić z zamku.

Komnaty prywatne były równie bogato urządzone, a przy tym znacznie nowocześniejsze i wygodniejsze od publicznie dostępnych. Było w nich więcej skóry, szkła i ciemnego drewna, więcej współczesnych obrazów i rzeźb.

I z pewnością nie mogło być mowy o pajęczynach. Taylor zachciało się śmiać. Ogromny dom jej rodziców w Nashville, od dawna pusty, ale nadal w posiadaniu rodziny, który czekał, żeby Taylor odzyskała wreszcie rozum i przyjęła należną jej część fortuny, z łatwością zmieściłby się na połowie powierzchni prywatnych komnat zamku Dulsie.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Memphis.

Odpisała z uśmiechem:

*Skromność.*

- Jak to? Wydawało mi się, że ci się tu podoba - bąknął z komiczną urazą.

*Tu jest cudownie. Nie przywykłam do takich luksusów, ale podoba mi się. Gdzie będę spała?*

- Ach, najlepsze zostawiłem na koniec. Chodź, zobacz. - Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do kolejnych schodów wiodących piętro wyżej.

Poszli długim korytarzem wykładanym zabytkową dębową klepką, przykrytą grubym żółtoczerwonym dywanem z wełny i jedwabiu, na którym Taylor miała ochotę się położyć.

- Twoja komnata, milady - oznajmił ceremonialnie Memphis, zatrzymując się przed pięknie rzeźbionymi drzwiami z wymyślną klamką z kutego żelaza.

Otworzył je, a Taylor omal nie zemdląła. Przywykła wprawdzie do pokus bogactwa, ale to, co tu zastała, przekraczało wszelkie wyobrażenie. Znajdowała się w prawdziwie królewskiej zamkowej komnacie.

Po bliższych oględzinach okazało się, że jest to kilka pokoi w amfiladzie, każdy z nich o wystroju wspanialszym od poprzedniego. Kasetonowy sufit znajdował się na wysokości co najmniej pięciu metrów. Zdobne otynkowanie w stylu rokoko, jedwabne draperie i freski przedstawiające cherubiny pośród obłoków, niczym w pomniejszonej Kaplicy Sykstyńskiej. Ściany wyłożone jasnozłotą dębową boazerią lub jedwabnymi tapetami w zdobnym obramowaniu przedstawiającymi rozmaite historie.

Z przodu znajdował się salon z telewizorem i wygodną kanapą, ale co innego przyciągnęło wzrok Taylor. Przy kominku, na którym wesoło trzaskał ogień, stały skórzane fotele barwy miodu, a obok nich niski stolik i lampa do czytania. Pod ścianą regały sięgające niemal do sufitu, na których piętrzyły się stosy książek. Dla szczególnie zagorzałych czytelników była też drabina, dzięki której mogli dosięgnąć najwyższych półek.

Natychmiast tam podeszła i przejechała dłonią po grzbietach opasłych tomów. Na wysokości oczu stały jej ulubione powieści, o których dyskutowała z Memphisem w ciągu minionych miesięcy.

Poczuła wdzięczność i sympatię za wysiłek, który włożył w przygotowanie apartamentu. Dał dowód, że uważnie jej słuchał i wszystko zapamiętał, a to było naprawdę coś. Na tym przecież polegał prawdziwy związek.

Jedna z półek była przeznaczona na płyty DVD z jej ulubionymi filmami. Po prawej stronie znajdowało się okno balkonowe zasłonięte niezbyt grubą kotarą. Gdy Taylor je odsłoniła, cicho krzyknęła z zachwytem. Miała przed sobą zapierającą dech panoramę na góry, dolinę, rzekę, park jeleni, pastwiska i zbliżającą się burzę. W oddali po prawej stronie mogła dostrzec trawiaste korty tenisowe. Zadrżała i otuliła się ciaśniej

swetrem. Gdyby kazano jej zaprojektować krajobraz doskonały, to tak by właśnie wyglądał.

Nigdy w życiu nie widziała bardziej romantycznego zakątka.

Spojrzała na Memphisa i zobaczyła, że z niepokojem czeka na jej słowa.

Niewiele myśląc, podeszła do niego i mocno go objęła. On także otoczył ją ramionami i trzymał w uścisku. Nie jak tonący, co zdarzało się w przeszłości, lecz delikatnie, subtelnie. Wiedziała, że jest szczęśliwy, bo udało mu się sprawić jej przyjemność.

- Dziękuję - wydusiła chropawo i pocałowała go w policzek.

Zajrzał jej głęboko w oczy. Byli jednakowego wzrostu i dobrze pasowali do siebie. Gdy przełknął z trudem, zrozumiała, że powinna się natychmiast odsunąć, zanim sprawy przybiorą niepożądany obrót. Tak też zrobiła, mamrocząc jeszcze jedno podziękowanie.

W jego oczach mignął cień bólu i rozczarowania, ale szybko się opanował.

- Przecież nawet nie widziałaś sypialni ani łazienki. Chodź, pokażę ci resztę pomieszczeń.

„Reszta pomieszczeń” była godna księżniczki. Księżnej. Królowej. A przecież były to tylko pokoje gościnne, jak zatem wyglądały komnaty arystokratycznych mieszkańców? Królewskie łoże z bladożółtym jedwabnym baldachimem stało na podwyższeniu, w łazience znalazła trawertyn, egzotyczne drewno i szkło, a także olbrzymią wannę i podwójną kabinę prysznicową. W szafie czekały na nią bardziej praktyczne niespodzianki - para kaloszy na miękkim futerku i sportowa nieprzemakalna kurtka marki North Face.

- Nie chcę, żebyś zniszczyła swój najlepszy kozuszek. Jeśli będziesz miała ochotę położyć po terenie posiadłości, to ten strój ci się przyda. Niemal zawsze jest tutaj błoto, a pogody nie da się przewidzieć.

*To stanowczo za wiele, Memphis. Za wiele.*

Przysiadła na brzegu wanny, by przymierzyć ciemnozielone kalosze.

- Nie masz racji, Taylor. Zaslugujesz na cały swiat. Gdybym mógł ci go ofiarowac, zrobilbym to bez chwili wahania. Na razie jednak moge ci dac tylko kalosze.

Niebieskie oczy plonely. Powrocił Memphis flirciarz, Memphis zartownis. Taylor stlumila westchnienie ulgi. Tak bylo znacznie lepiej. Z czuly, powaznym Memphise radzila sobie gorzej.

- Kolacja bedzie o siódmej. - Zbieral sie do odejscia. - Moze byc troche chlodno, wiec lepiej wloz sweter. Do zobaczenia za godzine.

Cicho zamknal za soba drzwi.

Zostawil ja na brzegu wanny z jedna noga obuta w kalosz, druga bosa, i mina tak smutna, jakby slonce zaszlo bezpowrotnie.

Odlozyla rozpakowanie bagazy na pozniej i przez godzine grzala zmarzniete stopy przy kominku, napawajac sie zywicznym zapachem sosnowych polan. Drewno syczalo i trzaskalo, plomienie tańczyły, roztaczajac pradawna magie. Taylor poczula sie jak u siebie w domu.

Bolala ja glowa, gardlo miala nieprzyjemnie nadwerezone. Wyjela z torby zestaw pigulek. Percocet na bol migrenowy, fioricet na mniej dolegliwy. Ativan w razie ataku paniki. Nalala wody do kubka i polknela tabletki. Miala do dyspozycji barek z trunkami w krysztalowych karafkach, z wypisanymi odręcznie etykietami. Dalwhinnie. Oban. Glenmorangie. Bunnahabhain 18. Macallan 21. Laphroaig 12. Szkocka whisky. Nie cierpiala jej. Piwo. Gdzie podziewa sie piwo, kiedy czlowiek go potrzebuje? Otworzyła komodke. No jasne, ukryta w meblu lodowka byla wypełniona dietetyczna cola, woda mineralna i puszkami marki Heineken. Wiedziala, ze nie powinna mieszac lekarstw z alkoholem, wiec siegnela po cole. Kofeina byc moze przyspieszy dzialanie tabletek.

Wrócila przed kominek i nieco inaczej ustawila fotel, by jednoczesnie obserwowac ogien i pierwsze krople deszczu za oknem. Napiła sie coli. Uzmyslówila sobie, ze nie nawiązala kontaktu z Baldwinem. Uzmyslówila sobie cos jeszcze: po raz pierwszy od miesiaca mogla swobodnie oddychac.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sam Loughley cierpliwie czekała, aż Stuart Charisse skończy lunch i wróci do pracy. Nie była głodna, więc zadowolona się paczką chipsów. Sól i tłuszcz pasowały do jej nastroju.

Na popołudnie mieli trzy ciała, w tym ofiarę wczorajszego wypadku, którego sprawca uciekł z miejsca przestępstwa. Ponieważ brakowało ludzi do pracy, Sam musiała brać dodatkowe dyżury przez pięć dni w tygodniu. Zatrudnienie nowych patologów było absolutną koniecznością. To oczywiste, że powinna przekazać komuś obowiązki administracyjne, ale wciąż nie potrafiła zdecydować się na ten krok.

Marcus Wade zamierzał uczestniczyć w sekcji. Lubiła wszystkich członków zespołu Taylor, a już zwłaszcza Marcusa. Wciąż miał w sobie pokłady niewinności, a Sam mocno wierzyła, że nieprędko się to zmieni, choć każdego dnia stykał się z najgorszymi brudami i przerażającymi czynkami bliźnich.

Ponadto zaśmiewał się z jej dowcipów.

Jaguar, starszy model XJ6, nie został znaleziony. Zapewne tkwił w jakimś garażu i jeśli nikt nie powiadomi policji, w którym konkretnie, to może tak tkwić do końca świata.

Sam zaczęła w komputerze przeglądać szczegóły sprawy. Najnowszy wpis śledczej Keri McGee, którą zdołała ściągnąć z konkurencyjnego laboratorium, zwrócił jej uwagę:

Ofiara miała w kieszeni zwykłą białą kopertę z 1.000 dolarów w gotówce. Wyłącznie nowe studolarówki. Na jednym z banknotów zauważyłam niebieską niezidentyfikowaną plamę. Został wysłany do analizy.

To było dziwne. Kobieta była ubrana w porządne, ale zwykłe i praktyczne rzeczy, spodnie i bluzkę z obciętymi metkami, co oznaczało, że kupiła je na wyprzedaży w outlecie. Wełniany płaszcz nosił metkę sklepu Macy, lecz był znoszony i niemodny. Czarne sportowe buty miały zdarte niemal na wylot podeszwy,

ale w środku były nowiutkie miękkie wkładki przeznaczone dla osób, które cały dzień były na nogach.

I tak sobie spacerowała z tyśiakiem w kieszeni? Niemożliwe.

Sam wróciła do zwłok kobiety i obejrzała stopy. Jak się spodziewała, były pokryte odciskami. Dłonie spierzchnięte i popękane, paznokcie krótko przycięte i starannie opiłowane. Zatem praca fizyczna, być może w restauracyjnej kuchni. Ciężki kawałek chleba dla kobiety w średnim wieku, zwłaszcza niemającej prawa legalnego pobytu w Stanach. Dowodem było to, że rodzina milczała jak zaklęta i nie chciała zeznawać.

Takie zachowanie jakiś czas temu byłoby zaskakujące. Choć obecnie prawo zaostrzono, jeszcze niedawno stan Tennessee posiadał najłagodniejsze regulacje dla imigrantów w całym kraju. Wystarczyło pokazać rachunek za wodę lub prąd, żeby „udowodnić” fakt zamieszkiwania i za ustaloną przez władze opłatą otrzymać prawo jazdy, najpowszechniejszy w USA dokument tożsamości. Korzystały z tego rzesze nielegalnych imigrantów zarobkowych. Przyjeżdżali tu z całych Stanów i z południowej granicy, żeby kupić kawałek plastiku poświadczający ich prawo do istnienia. Teraz to się zmieniło, łagodne przepisy zostały zastąpione przez wręcz drakońskie. Między innymi wprowadzono wymóg okazywania dokumentu poświadczającego obywatelstwo amerykańskie.

Liberalna polityka emigracyjna pozostawiła po sobie ponury problem, a mianowicie mnóstwo gangów, a przede wszystkim MS-13. Niezbyt mili ludzie. Sam niemal codziennie miała do czynienia ze skutkami gangsterskich walk o prymat.

Z korytarza dobiegło pogwizdywanie i w drzwiach ukazał się Marcus w czapce bejsbolowej Uniwersytetu Tennessee. Stuart deptał mu po piętach.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział od progu. - Zwariowany poranek. Czy już słyszałaś?

- Nie, a co się stało? Nowe ustalenia w sprawie wczorajszej ofiary?

Marcus zerknął na nagie zwłoki kobiety o nieustalonej tożsamości.



- Nie chodzi o nią, chociaż wiemy już, jak się nazywa. Marias González, pochodzi z Gwatemali. Nielegalna. Mieszkała w południowej części Nashville, w pobliżu Nolensville. Jadę tam zaraz po sekcji. Dorwaliśmy faceta, który zostawił pendrive'a z dziecięcą pornografią w Café Coco. Pamiętasz tę sprawę?

Pamiętała. Jakiś kretyn polazł do kafejki internetowej i podłączył pendrive'a, by pooglądać pornograficzne zdjęcia dzieci, po czym wyszedł, zapominając zabrać go ze sobą. Policja próbowała go aresztować od dwóch miesięcy. Taylor mówiła Sam, że facet jest niebezpiecznym socjopata.

- To absolwent college'u Vanderbilt. Wygląda jak model Armaniego, przystojniak z kwadratową szczęką. Chociaż zaryczany nie prezentował się już tak ślicznie, kiedy go dopadliśmy. Co za idiota. Informacje z jego komputera pozwolą nam aresztować siatkę lokalnych i krajowych pedofilów. Lincoln właśnie przeczesuje twardy dysk.

- To wspaniałe wieści. Jednego zbrojeńca w mieście mniej.

- Jasne. Wreszcie nam się udało. Porozmawiajmy teraz o Marias. Co możesz o niej powiedzieć?

Plik w komputerze był nadal otwarty, więc Sam przeczytała mu notatkę Keri o kopercie z dużą sumą w gotówce.

- Wiedziałeś o tym?

- Tak, byłem przy tym, jak ją znaleźli. A ta plama to moim zdaniem znaczony banknot.

- Uważasz, że to pieniądze z napadu na bank?

- Jak najbardziej.

- Aha.

- Właśnie, aha. Wyobrażasz sobie, co mi chodzi po głowie.

Owszem, bo pomyślała to samo. Skruszony Rabuś wcale nie zaprzestał działalności.

- Uważasz, że ona ma coś wspólnego z napadami? - spytała Sam, naciągając rękawiczki. - Prześwietlenie wykazało obrażenia typowe dla osoby potrąconej przez samochód, liczne złamania kości nóg i rąk, pęknięcie czaszki. Spodziewam się znaleźć dużego krwiaka w mózgu.

- Przypuszczam, że to ona mogła dokonać napadu, chociaż chłopaki z Wydziału Specjalnego zakładają, że to raczej facet.

- Wiesz, dokąd prowadzą założenia.  
- Wiem, wiem. Bywa, że na manowce.  
- Gdyby miała coś wspólnego z napadem, to po co przychodziła na policję? I to w towarzystwie rodziny?

- Może wezwali ją i chcieli zmusić do zeznań? - podsunął Marcus.

- Być może. Mogła też zobaczyć coś, czego nie powinna, albo ukradziono jej samochód, a tysiąc dolarów było nagrodą dla znalazcy.

- Możliwe, jednak sądzę, że kryje się w tym coś więcej. Czy widziałaś włókna zebrane z jej kieszeni?

Nie przerywając rozmowy, Sam zaczęła badać zwłoki, szukając śladów nietypowych dla ofiary wypadku. Zanotowała rany i otarcia naskórka, ale nie zauważyła niczego podejrzanego, po czym dała znak Stuartowi, który wykonał pionowe cięcie skalpelem, jakby rozsuwał zamek błyskawiczny. Marcus instynktownie się cofnął.

- Jakie włókna? - spytała Sam. - Nie widziałam wzmianki w raporcie.

- Może zapomnieli. To był kłębek czegoś syntetycznego, jakby linki wędkarskiej, tylko znacznie cieńszej niż normalnie. Myślałem, że to włosy, ale Keri twierdziła, że to nie jest organiczne. Nie mam pojęcia, co to mogło być.

- Chcę to obejrzeć - powiedziała Sam. - Keri nie pominęłaby tego w raporcie, prawdopodobnie to ja nie doczytałam.

Stuart zajmował się krojeniem zwłok, więc mogła na chwilę odejść. Razem z Marcusem przeszli do pomieszczenia, w którym przechowywano dowody rzeczowe. Sam przyłożyła palec do skanera biometrycznego. Szczególne środki ostrożności zastosowano po tym, jak jeden z pracowników został przyłapany na kradzieży skonfiskowanej podejrzanemu marihuany. Rzecz jasna natychmiast stracił pracę, a w pomieszczeniu zamontowano kamery.

Keri zostawiła po sobie idealny porządek. Sam uśmiechnęła się pod nosem. Jej szkoła, żadnego marnowania czasu na szukanie. Zaczęła przeglądać plastikowe torebki z dowodami i po chwili znalazła tę właściwą. „Lewa kieszeń”.

Za pomocą szczypczyków wyjęła kłębek włókien. Zidentyfikowanie ich zajęło jej dwie sekundy.

- To włosie z peruki.

- Marias González nosiła perukę?

- Nie.

- Czy Skruszony Rabuś używa peruki?

- Nie mam pojęcia.

- Hm... Więc dlaczego miała to w kieszeni?

- Może ktoś z jej rodziny ma raka - po chwili namysłu powiedziała Sam. - Stracił włosy, a ona kupiła mu perukę. Nie była zamożna, więc nie mogła sobie pozwolić na wykonaną z prawdziwych włosów, bo są bardzo drogie.

- Okej, kupuję to. Ale dlaczego w kieszeni?

- Mogła dotknąć peruki, pasemko włosa wypadło, a ona albo tego nie zauważyła, albo nie chciała rzucić na podłogę, więc włożyła do kieszeni.

- Jest gotowa - zawołał Stuart.

Sam schowała dowody do odpowiedniej szafki i starannie wszystko zamknęła, po czym wraz z Marcusem wróciła do sali sekcyjnej. Jak się spodziewała, na mózgu widać było sporych rozmiarów krwiak.

- Dobrze, kontynuuj - poleciła Stuartowi, który zaczął wyjmować mózg z czaszki.

Marcus pobladł jak kreda. Owszem zdarzało się, że detektywi mdleli podczas sekcji, ale on należał do twardzieli. A tu proszę...

- Nie potrafię się do tego przyzwyczaić - tłumaczył się. - To rozbieranie człowieka na części...

Stuart położył mózg na tacy. Na osobnym wózku lśniły skalpele, noże i inne narzędzia ze stali nierdzewnej. Sam trąciła Marcusa w ramię.

- Chcesz uczestniczyć w sekcji?

- Niekoniecznie. - Marcus pokręcił głową. - Powiadom mnie później, czy udało ci się coś znaleźć, dobrze? Muszę jechać do domu Marias González, zobaczyć, jak żyła. Może coś z tego zrozumie.

- Powodzenia. - Sam wykonała podłużne nacięcie wątroby.

- Nawzajem - odrzekł z uśmiechem. - Miłej zabawy z narządami.

- Dziękuję. - Każde ciało miało swoją opowieść. Jej zadaniem było właściwie ją odczytać.

Czasami dręczyło Sam poczucie winy. Przecież mogłaby wykorzystać swoje umiejętności do leczenia. Choć na swój sposób to właśnie czyniła.

Miała jednak nieodparte wrażenie, że Taylor powinna wreszcie zmienić pracę.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Za pięć siódma Memphis zastukał delikatnie do drzwi Taylor. Odpoczęła, przemyła twarz i włożyła czarne wełniane spodnie oraz kremowy kaszmirowy golf. W ostatniej chwili dodała długi sznur pereł po babci. Memphis napomknął, że przebierze się do kolacji, więc perły, oryginalne Mikimoto ze ślicznym zapięciem z platyny, były jak najbardziej na miejscu. Miała nadzieję, że ubrała się dostatecznie wieczorowo.

Memphis otaksował ją wzrokiem.

- Pięknie wyglądasz. Idziemy? - Podał jej ramię i ruszyli w stronę schodów. - Przekonałem kucharkę, żeby podała kolację w jadalni rodziców, bo na parterze jest za zimno. Przygotuj się na prawdziwą ucztę.

Zeszli piętro niżej i znaleźli się w części zamku, w której jeszcze nie była. Z komnaty na końcu korytarza dochodziły niebiańskie aromaty.

*Boże, Memphis, ile klatek schodowych macie w tym zamku?*

- Wiesz co... - Przystanął, marszcząc z namysłem brwi. - Nie mam pojęcia...

No tak, cały Memphis, pomyślała.

Zdążyła już trochę przywyknąć do otaczającego ją przepychu, ale jadalnia wprawiała ją w oszołomienie. Była równie wykwintna, jak najelegantsza restauracja. Na kominku płonął ogień, przy owalnym mahoniowym stole mogło usiąść czternaście osób. Z sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol, w którym odbijało się światło dziesięciu wysokich białych świec. Na sztywno wykrochmalonym śnieżnobiałym obrusie stały kryształowe kielichy i zastawa z najcieńszej chińskiej porcelany, przy niej srebrne sztuce. Cztery widelce, trzy noże. Zaiste, skromna kolacyjka.

*Gdzie są wszyscy?*

Memphis tylko się uśmiechnął.

Przynajmniej nie siedzieli po przeciwległych stronach stołu, patrząc na siebie z oddali, bo czułaby się jak idiotka. Musiałaby krzykiem prosić o sól, a jej słowa odbijałyby się echem od ścian.

Memphis przytrzymał jej krzesło, po czym usiadł po prawej stronie Taylor. Zapamiętał, że jadła lewą ręką, w stylu kontynentalnym, i nie cierpiała trącać osoby siedzącej po lewej. Boże, naprawdę nie żartował. Chciał, aby wiedziała, że pamięta o niej wszystkie szczegóły. Pochlebilo jej to, lecz już po chwili poczuła ukłucie niepokoju. Niewinne fantazje mogły się łatwo zamienić w obsesję. Niejednokrotnie była tego świadkiem, a rezultat nigdy nie był przyjemny.

Odsunęła od siebie tę myśl i zastąpiła ją inną: On zabiega o ciebie, idiotko. Co w tym złego? Nie jest psychopata, nie próbuje cię zawłaszczyć.

*Nikt do nas nie dołączy?*

- Jasne, że nie. Służba je posiłki w kuchni, taka tradycja. Trixie o nich zadba, na tym polega jej praca.

Bezszelestnie zjawily się dwie młodziutkie służące z pierwszym z siedmiu zaplanowanych przez kucharkę dań.

Była to gęsta zupa rybna przyrządzona na sposób francuski. Memphis wyjaśnił, że francuskie wpływy pojawiły się w Szkocji za sprawą królowej Mary. Następnie podano pieczoną solę, pieczeń wołową, dziczyznę, ziemniaki purée i gotowaną marchewkę z groszkiem. Potem pojawiła się oszałamiająca kolekcja serów, a na deser crème brûlée i przepyszna ciepła tarta z jabłkami. Memphis otworzył butelkę wybornego Château Latour '54. Taylor nie kryła, że jest pod wrażeniem.

- Później zwiedzimy piwnicę z winami. Spodoba ci się, zobaczysz. Ojciec jest zapalonym enologiem, ma ogromną wiedzę w tej dziedzinie. Latami powiększał kolekcję, kupował na aukcjach i wyprzedażach. Trzyma w piwnicy ponad pięćdziesiąt tysięcy butelek.

Taylor zrobiła wielkie oczy. Zaiste imponujący zbiór.

Najadła się tak, że aż czuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nie była nawet w stanie dokończyć ulubionej tarty.

Odsunęła talerzyk i napisała w notesie:

*O Boże, niesamowite. Dziękuję.*

- Też uważam, że wszystko było pyszne. Może przejdziemy do salonu na kieliszek porto? Wino ułatwia trawienie.

*Mam wrażenie, że wskoczyłam do powieści z epoki wiktoriańskiej.*

- Nie, nie... Gdyby to były tamte czasy, wyszedłbym z dżentelmenami na porto i cygara, a ty zostałabyś z babinćem, rozprawiając... Sam nie wiem, o czym wy tam rozprawiacie.

- Ha, ha - mruknęła, dając mu lekkiego szturchańca w ramię, po czym napisała:

*Dobrze wiesz, o czym rozmawiają kobiety we własnym gronie.*

- Pewnie omawiają długość, szerokość i głębokość. Ot, i cała dyskusja.

*Memphis, przywołuję cię do porządku!*

Było jej tak przyjemnie, że nawet ból głowy znacznie zelżał. Wino, tabletki i zmęczenie podróżą wprawiły ją w płochy nastrój.

Salon, do którego zaprosił ją Memphis, prezentował się trochę zwyczajniej. Na ścianach panele z ciemnego drewna, komplet skórzanych mebli, niski stolik i oczywiście nieodzowny kominek. Część pomieszczenia została przeznaczona na bibliotekę z regałami sięgającymi sufitu, a część mogła służyć za gabinet z imponującym dębowym biurkiem. Całość robiła wspaniałe wrażenie.

- Ładnie - wymamrotała.

- To fragment mojego mieszkania - powiedział Memphis - a konkretnie gabinet. Kiedy tu przyjeżdżam, lubię mieć odrobinę prywatności. Może spróbujesz ze mną porozmawiać? Wiem, że powinnaś ćwiczyć, tym bardziej że głos ci wraca.

- Ja... - Nic więcej nie wydobyło się z jej ust. Przekłete gardło pod wpływem presji znowu się skurczyło. Cóż, nie była jeszcze gotowa. Prośba o wypowiedzenie paru prostych słów odbierała jej mowę.

Memphis zbliżył się do niej i delikatnie powiodł dłonią po policzku, po czym ujął ją pod brodę. Zdradzieckie serce od razu zaczęło bić szybszym rytmem. Czowała puls trzepoczący pod kciukiem Memphisa. Gdy ich oczy się spotkały, w jego wzroku wyczytała jawną żądzę.

- Spróbuj teraz. - Gdy tylko potrząsnęła głową, dodał: - Wiem, jak cię to męczy. Tak bardzo chciałbym ci pomóc. Unieważnić, odebrać ci ból z tych kilku ostatnich miesięcy.

Stali naprzeciw siebie jak przymurowani. Taylor czuła się dziwnie bezbronna, wydana na łaskę i niełaskę gospodarza.

Memphis był silnym mężczyzną. Wystarczyło, żeby zwiększył ucisk na jej krtani i odciął dopływ powietrza, a faktycznie wyzwoliłby ją od bólu. Koniec zmagania, koniec współczujących spojrzeń. Żadnych więcej szeptów za plecami, choć akurat to nie musiało być prawdą. Plotki nie ustają nawet po śmierci, tyle że już by ich nie słyszała. Odpłynęłaby w niebyt z zapachem wody kolońskiej Memphisa w nozdrzach.

Taylor, na miłość boską, weźże się w garść! - nakazała sobie w duchu.

Memphis mówił serio. Nie litował się nad nią, nie próbował pocieszać, po prostu pragnął, by nie musiała przez to wszystko przechodzić. Nikt inny jej tego nie powiedział.

Mijały minuty. Jego oczy przemawiały do niej, zadawały pytania. Nie umiała na nie odpowiedzieć. W końcu powoli przysunął do niej twarz, a wtedy zeszytniała. Natychmiast opuścił ręce, odwrócił się i odszedł.

- Nie przejmuj się tym. Z czasem odzyskasz mowę. - Podeszedł do barku i nalał porto do małych kieliszków. - Mam nadzieję, że docenisz ten smak.

Wręczył jej kieliszek, jakby nic między nimi nie zaszło.

Serce Taylor nadal biło niespokojnym rytmem. Starła się oddychać powoli, miarowo. Żałowała, że nie cechuje jej słynna angielska rezerwa. Upiła łyżeczek porto i chwyciła notes.

*Jest pyszne. Doskonale wytrawne. Dzięki, że mnie poczęstowałaś. Naprawdę wyborne.*

Nigdy dotąd nie rozmawiali o zaletach porto. Trunek musiał być bardzo drogi, co wcale Memphisowi nie przeszkadzało. Po prostu gdy miał na to ochotę, bez ostentacji korzystał z rodzinnego majątku i statusu społecznego.

Zamierzała usiąść, gdy nagle poczuła coś bardzo dziwnego w okolicy pleców, czemu towarzyszył podmuch zimnego powietrza. Błyskawicznie sprężyła się, stała się czujna i gotowa



do działania. Dostatecznie długo była policjantką, żeby rozpoznać to uczucie. Ktoś ich obserwował.

Obróciła głowę, by sprawdzić, czy może któryś ze służących wszedł do pokoju, ale nikogo takiego nie było. Przeszedł ją lodowaty dreszcz. Przecież sobie tego nie wymyśliła...

Spojrzała na Memphisa, który pogwizdując cicho, nalewał drugą kolejkę porto. Na drugą nóżkę, jak zwykł mawiać jej ojciec. Robił tak z każdym drinkiem, pochłaniał go jednym haustem i nalewał następny. A może za dużo wypila do kolacji?

Memphis pochwycił jej wzrok i spytał:

- Co się stało? Jesteś taka niespokojna... - Usiadł obok niej na kanapie i wziął ją za rękę. - Boże, jak zmarzłaś! Mówiłem, że trudno tu ogrzać...

Cofnęła prawą rękę.

*Przed chwilą wydawało mi się, że jesteśmy obserwowani. Ktoś ze służby?*

Memphis oparł się wygodnie, nie wypuszczając jej dłoni z uścisku.

- Hm, no cóż... To nie służba. W tej części zamku przebywa Dama w Czerwieni. To jedna z naszych najsłynniejszych zjaw.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Taylor zadrżała. Nie wierzyła w duchy, ale to, co przed chwilą poczuła, było tak silne! Intensywne wrażenie, że ktoś na nią patrzy, i ten lodowaty chłód...

Nagle ogarnęła ją złość. Odskoczyła od Memphis i złapała notes.

*Nie kpij ze mnie! To nie jest śmieszne.*

Ujął jej lewą dłoń i zaczął delikatnie rozcierać.

- Naprawdę nie żartuję, kochana. Zamek Dulsie jest nawiedzony. Roi się w nim od duchów.

*Proszę cię... To nieprawda. Chcesz mnie tylko przestraszyć.*

- Wcale nie. Jest nawiedzony, jak większość zamków w regionie Highlands. Na tych ziemiach toczono wiele walk, brat stawał przeciwko bratu, palono wsie, plądrowano zamki, rabowano nagromadzone skarby. Czają się tu smutek i śmierć, wrogość i pragnienie zemsty, więc nic dziwnego, że można spotkać duchy.

*Daj spokój. To idiotyczne.*

- Taylor, nie ma w tym nic idiotycznego. Turyści nieźle płacą za możliwość noclegu w nawiedzonym zamku. Dlatego właśnie udostępniłszy strychy. Wpuszczamy tam gości i opowiadamy im mroczne historie o duchach. Jedną z najlepszych jest opowieść o Damie w Czerwieni.

*Dobra. Opowiedz mi ją.*

Memphis rozsiadł się wygodnie na miękkiej kanapie.

- Wedle tradycji rodzinnej to duch lady Isabelli Bruce, krewnej dobrego króla Roberta, wydanej za Colina Highsmythe'a, czwartego hrabiego Dulsie. Był czterdziestoosmioletnim wdowcem z siedmiorgiem dzieci, kilkoro z nich było starszych od Isabelli. Miała wówczas zaledwie czternaście lat, była świeża jak płatek róży i bardzo inteligentna, więc nie uśmiechało się jej zostawać żoną wstrętnego starego dziadygi. Oczywiście nikt nie słuchał jej protestów. Małżeństwo przyniosło ojcu Isabelli

wielkie korzyści, a mianowicie odzyskał ziemie utracone na rzecz Longshanka, późniejszego Edwarda I, podczas wojny między Anglią a Szkocją. – Przysunął się bliżej i otoczył ją ramieniem.

Taylor nie protestowała, bo wciąż było jej zimno. Nie przepadała za opowieściami o duchach, ale za to lubiła historię.

– Isabella przybyła do zamku – mówił dalej – gdzie odbyła się ceremonia ślubna godna pary królewskiej. Colin obsypał młodą żonę klejnotami i podarował jej niewyobrażalne bogactwa. Przyjęcia na jej cześć trwały tygodniami. Jako człowiek honoru zobowiązał się poczekać do szesnastych urodzin wybranki i dopiero wtedy oficjalnie skonstruować małżeństwo.

Taylor łatwo mogła sobie wyobrazić nieszczęsną dziewczynę, poświęconą na ołtarzu rodzinnych interesów. Natychmiast ją polubiła.

– Lekkomysłna dziewczyna wystrychnęła Colina na dudka. Nawiązała romans z jego synem, a swoim pasierbem, pięknym Oliverem, i oczywiście zaszła w ciążę. Ukrywała swój stan, jak długo się dało, ale stary rogacz w końcu się dowiedział. Kazał zamordować syna, a niewierną Isabellę na resztę życia zamknął w wieży. Kiedy urodziła dziecko, odebrał je i także kazał zabić. Następnie brał ją w posiadanie tyle razy, ile było trzeba, by zapłodnić ją własnym nasieniem.

*To odrażające!*

– Nic dodać, nic ująć. Los Isabelli był straszny. Straciła ukochanego, spłodzone z nim dziecko i wolność, bowiem Colin nadal trzymał ją w wieży i nie pozwalał przyjmować żadnych gości. Mało tego, według naszych kryteriów była regularnie gwałcona. Uknęła więc chytry plan. Wymyśliła, że jeśli pozbędzie się starucha Colina, odzyska utraconą wolność i przywileje. Znajdzie nowego kochanka, który ukoi jej złamane serce, i pozbędzie się dziecka, które nosi w łonie. Planowała zostawić je na pustkowiu, wierząc, że zaopiekują się nim dobre duszki.

*Dobre duszki?*

– No tak – odparł z powagą. – Pełno ich tu wszędzie, duszki, wróżki, inne stworki. Pamiętaj, że znajdujesz się w szkockich

górach. Lubujemy się w baśniach i legendach. Pewnego razu lady Isabella ukryła po posiłku ostry nóż, a kiedy Colin zjawił się nocą po męzowskie przywileje, odczekała, aż ogarnie go namiętność, i bez litości zadźgała. Miała przy tym mnóstwo szczęścia, bo śmiertelnie ranny zdołał wyrwać jej nóż i podciąć gardło, był jednak zbyt słaby, żeby ją zabić. Skonał, a ona przeżyła. – Uścisnął ją mocniej. – Hrabia, co zrozumiałe, nie ufał żonie, więc pozostawił w testamencie ściśle instrukcje na wypadek swej przedwczesnej śmierci. Gdyby umarł, zanim jego dziecko się urodzi, miano zadbać, by przyszło na świat, i dopiero potem stracić Isabellę.

*Zajadły staruch, co? Nie wybaczył jej, mścił się nawet z za grobu.*

– O tak. My, Highsmythe'owie, jesteśmy z tego znani. – Powiedział to lekkim tonem, a przynajmniej miał taki zamiar.

Była ciekawa, kto okazał się na tyle naiwny i głupi, by wejść Memphisowi w drogę.

– Lekarz utrzymał Isabellę przy życiu tak długo, by mogła urodzić. Na świat przyszły, bliźnięta, dwaj chłopcy. Ponoć na czole pierwszego wypisała krwią „O”, więc został nazwany Oliverem na cześć ukochanego matki, a swego brata przyrodniego. Umarła, zanim nadała imię drugiemu synowi, którego rodzina ochrzciła Colinem. Wiedli swarliwy żywot, czemu trudno się dziwić. – Memphis zapatrzył się w ogień. – Co ciekawe, to młody Oliver odziedziczył tytuł. Synowie Colina z poprzedniego związku zmarli niedługo po nim z ran odniesionych w bitwach i od chorób, zatem potomek Isabelli, jej pierworodny, stał się prawowitym dziedzicem fortuny. Zaczął od wypędzenia brata bliźniaka do Anglii, a konkretnie do Bristolu, gdzie Highsmythe'owie posiadali majątek. Młody Colin został najpierw klerykiem, a potem dochrapał się godności biskupa. Nasz ród rozpadł się zatem na dwie części. Nawiasem mówiąc, jestem potomkiem Isabelli i Olivera młodszego. Według legendy najstarszy syn, dziedzic zamku Dulsie, jest tym, który może ją oglądać. Isabella ukazuje się nocami, by obdarzać wielką mądrością, tak nam powiadano.

Taylor patrzyła na niego mocno poruszona. Co za dziwna, przerażająca opowieść.

*Widujesz Isabellę?*

- Czy ją widuję? - Memphis poruszył dłońmi, zwijając i rozprostowując palce. Nie odrywał wzroku od płomieni i mówił znacznie poważniejszym tonem. - Trudno na to odpowiedzieć. Zdarzyło się kilka razy, zwłaszcza jak byłem mały. Ponoć chętniej ukazuje się chłopcom. Kiedy kończą dwadzieścia lat, a w takim wieku zginął Oliver, przestaje się nimi interesować. Na pewno wiele razy widziałem coś, co mogło być właśnie nią. Było to raczej specyficzne odczucie, dziwny chłód w powietrzu, wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, jakaś czerwona poświata... Coś w rodzaju synestezji, dodatkowego postrzegania, czy jak to nazwać. Przyzwyczyłem się już do tego.

Czuła, że nie mówi jej wszystkiego.

*Co jest? O co chodzi?*

Dopiero teraz spojrział jej prosto w oczy.

- Czasem się zastanawiam, czy gdyby Evan donosiła dziecko, to mój syn widywałby Isabellę...

Boże. Taylor poczuła się okropnie, bo całkiem zapomniała o tragedii Memphisa. Choć to rozumiała, bo rzadko do tego wracał, a już niemal nigdy nie wspominał o dziecku, które Evan nosiła w łonie, gdy zginęła.

- Jeszcze jedna martwa żona Highsmythe'a.

Bawił się zaręczynowym pierścionkiem Taylor, zaraz jednak cofnęła rękę. Nie chciała, by Memphis profanował dotykiem materialny wyraz miłości Baldwina.

- Nie widziałem jej po wypadku. Ojciec mi nie pozwolił. Powiedział, że to bardzo zły pomysł. Przeleciała przez przednią szybę, twarz miała pociętą na kawałki. Ojciec był zdania, że ten obraz zostanie ze mną już na zawsze. Szczerze mówiąc, wątpię, by prawdziwy widok był gorszy niż to, co podsuwa wyobraźnia, zwłaszcza późno w nocy.

Dobrze to rozumiała.

*Masz rację. Też ostrzegam rodziny ofiar, ale na ich miejscu wolałabym widzieć i wiedzieć. Umysł potrafi wymyślać straszliwe obrazy.*

- To prawda. - Przeniósł się myślami do innego świata. Żałoba tak właśnie działa, zakrada się podstępnie w najmniej spodziewanym momencie. Pewnie to sobie uświadomił, bo odchrząknął i spojrzał Taylor w oczy. - Pochowaliśmy ich na terenie posiadłości, oczywiście razem, na cmentarzu przy kapliczce. Złamało mi to serce. Sam już nie wiem, co gorsze, czy to, że ją straciłem, czy że nigdy nie zobaczę, jak mój syn dorasta.

*Och, Memphis, tak mi przykro. To takie niesprawiedliwe.*

Przez pewien czas siedzieli w przyjaznym milczeniu. Taylor rozmyślała o Sam i o dziecku, które przyjaciółka straciła. Kiedy znalazła ją związaną i zakrwawioną, Sam była uosobieniem rozpacz. Westchnęła. Baldwin również stracił dziecko, choć trudno było to porównać ze stratą Sam lub Memphisa. Jego syn prawdopodobnie żyje. Mimo to ogarnął ją straszliwy smutek.

Memphis wstał i podszedł do kominka.

- Przepraszam cię. Właśnie schrzałem nasz uroczy wieczór.

By rozproszyć jego smutne myśli, Taylor uśmiechnęła się z nieco sztucznym ożywieniem i napisała:

*Nie, w porządku. Opowiedz mi coś więcej. Dlaczego Isabella jest zwana Damą w Czerwieni?*

- O, to bardzo proste - odrzekł. - Pojawia się skąpana we krwi.

Posiedzieli jeszcze trochę w gabinecie, trzymając się bezpieczniejszych tematów. Omówili plany Taylor na następną dzień, to znaczy poranną wizytę u doktor James oraz wycieczkę po okolicy, na którą Memphis chciał zabrać Taylor, po czym dokończyli porto i udali się na spoczynek. Taylor nie czuła się wyczerpana, ale wiedziała, że powinna odpocząć.

Memphis zostawił ją pod drzwiami sypialni, pożegnawszy ceremonialnym pocałunkiem w rękę, i odszedł. Spodziewała się, że będzie musiała go odpędzać, przypominać ustalone zasady, ale wcześniejszy nastrój przysł.

W pokojach było jakby trochę inaczej, co ją zaalarmowało, zaraz jednak pomyślała, że z pewnością jedna z pokojówek posprzątała po niej, jakby gość milorda był niechlujnym, rozrzucającym zabawki dzieciakiem. Nic dziwnego, że zamek sprawiał nienaganne wrażenie. Niewidzialne ręce podążały za

domownikami, przywracając naruszony ład. W odruchu buntu zdjęła z regału książkę i cisnęła ją na fotel. Proszę bardzo. Teraz widać, że ktoś tu mieszka.

Nabrała ochoty na kąpiel. Odkręciła krany nad wanną i zażyła tabletkę percocetu. Dziś wieczorem dokonał cudu, bo ból głowy przemienił się w leciutkie ćmienie. Mogłaby przedłużyć ten stan, gdyby wzięła lekarstwa, nie oczekując przepisowych sześciu godzin. Miała ochotę na lekturę, więc wróciła do salonu po książkę.

Nie leżała rozłożona, ciśnięta byle jak na fotel, lecz tkwiła porządnie na środku siedzenia. Na miłość boską... Podeszła do drzwi, by sprawdzić, czy są zamknięte na klucz. Nie podobało jej się, że pokojówki mogą swobodnie wchodzić i wychodzić, kiedy je najdzie ochota. Memphis z pewnością polecił im spełniać jej wszelkie kaprysy, ale to była jawna przesada.

Zastała drzwi zamknięte na klucz, a haczyk od wewnątrz był założony. Co oznaczało jedno - nikt nie mógł wejść do pokoju bez jej wiedzy.

Zerknęła na tom w twardej okładce, leżący dokładnie pośrodku siedzenia, i przeszedł ją dreszcz niepokoju.

Och, nie wygłupiaj się, Taylor, napomniała się. Duchy nie istnieją.

Wzięła książkę i ruszyła do łazienki, rozbierając się po drodze i rzucając ubranie byle gdzie na podłogę. Weszła do wanny, otworzyła lekturę i cichutko się roześmiała. Na chybił trafił wybrała powieść „Rebeka” Daphne du Maurier.

Zanurzyła się w świecie pani Winter, prostej dziewczyny, która wyszła za arystokratę i w tym nowym świecie wcale nie było jej łatwo, aż wreszcie piekący ból oczu i pulsowanie w skroniach kazały Taylor przerwać lekturę. Wylazła z wanny i poszła do pokoju. Wyglądał identycznie, jak go zostawiła. Bezwiednie odetchnęła z ulgą.

Przebrała się w piżamę, wsunęła pod kołdrę, stwierdziła, że łóżko posiada koc elektryczny, więc włączyła go i napisała SMS-a do Baldwina:

*Hej, witam. To ja!*

Odpisał od razu. Jego obecność odstraszyła wszystkie duchy.

*Co u ciebie?*

*W porządku. Objadłam się i rozgrzałam kąpielą. Idę spać, chciałam tylko nawiązać kontakt. Co u ciebie? Jak sprawa?*

*Posuwa się do przodu. Być może przez kilka dni będę poza zasięgiem. Zanurzenie. Więc nie martw się ciszą na łączach.*

Aha. Chciał ją ukarać. Przeczuwała to. Uczepiła się nadziei, że kiedy znowu się z nim zobaczy, do tego czasu odzyska głos i przejaśni się jej w głowie. I dalej będzie mogła być jego ukochaną, bo jeśli nie, to zwróci mu pierścionek. Na tę myśl ogarnął ją smutek.

*Nie wkurzaj się, Taylor. Bądź miła. Zrozum, taka praca.*

*Mam nadzieję, że Atlantic wysyła cię w jakieś przyjemne, ciepłe miejsce. Może trochę odpoczniesz.*

*Fajnie by było. Jak twój głos?*

Usiłowała zignorować to, że po raz kolejny nie powiedział jej prawdy. Nie miała pojęcia, dlaczego Baldwin uważał, że nie może jej w pełni zaufać. Niesamowicie ją to wkurzało, ale nie miała ochoty na kłótnię.

*Raz jest, raz nie, trudno przewidzieć. Łatwiej napisać.*

*Musisz dużo ćwiczyć, pamiętaj.*

*Tak zrobię.*

*Dobrze, kochanie. W takim razie miłych snów.*

*Powodzenia.*

*Dzięki. Kocham cię. Wyślij SMS-a, kiedy skończysz sesję z panią doktor. Chcę wiedzieć, jak ci poszło.*



*Pisałeś, że będziesz poza zasięgiem.*

*Pewnie tak, ale dopiero od jutra wieczorem. Nie martw się o mnie. Słodkich snów.*

Po odłożeniu komórki poczuła nieprzyjemną pustkę. Wszystko się zmieniało, a ona nie lubiła zmian.

Zgasiła światło i próbowała zasnąć. Po około dwóch godzinach wreszcie się zdrzemnęła, nękana wizjami utraconych dzieci.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Baldwin był wściekły, że musi mieć tajemnice przed Taylor. Oczywiście tak było dla niej lepiej, po prostu bezpieczniej. Szczegóły nie były jej potrzebne. Po ubiegłorocznym horrorze, kiedy to jeden z najlepszych zabójców Atlantica postanowił dobrać mu się do skóry, wykorzystując nieświadomość Taylor, Baldwin skrupulatnie oddzielał życie zawodowe od osobistego. Pracując z Atlantikiem, nie dorobił się zbyt wielu przyjaciół. Był przekonany, że dziś wieczorem będzie tak samo.

Musiał zadzwonić do jednej z takich osób.

Po trzech sygnałach usłyszał w słuchawce chropawy głos. Poznał, że mężczyzna pił. Nie był pewien, czy obróci się to na korzyść, czy raczej wprost przeciwnie.

- Poszła spać. Nienagabywana, pozwolę sobie dodać. Nie myślałeś chyba, że do tego stopnia brakuje mi ogłady - oznajmił kulturalnym, niefrasobliwym tonem Memphis Highsmythe.

- Nie dzwonię w tej sprawie. Potrzebna mi twoja pomoc.

- Ach, tak. Rozumiem. Co mogę dla ciebie zrobić, Baldwin?

- Kogo znasz w MI-6?

- Dobry Boże. Planujesz sprzedać tajemnice państwowe? Pójść w ślady gościa z WikiLeaks?

- Mówię serio. Potrzebuję przysługi.

- O jakim poziomie przysługi mowa? - Memphis nie mówił już z jowialnym sarkazmem, bo sprawa stała się poważna.

- Najwyższa półka.

- W takim razie trzeba uderzyć do Nigela - z westchnieniem odparł Memphis.

Właśnie z sir Nigelem Ainsleyem Baldwin pragnął porozmawiać. Były agent wysłany, by tak rzec, na emeryturę do MI-6, gdzie nadzorował pracę dawnych koleżanek i kolegów, był wręcz wzorowym szpiegiem, znanym z miłego obejścia i absolutnej dyskrecji.

Ową absolutność podnosił do kwadratu, gdy zamierzał wykorzystać któregoś z Twórców Aniołów Atlantica, ale Memphis nie musiał wiedzieć o jego kontaktach z zawieruszonym Juliusem. Byle tylko sir Nigel pomógł...

- Świetnie. Właśnie tego oczekiwałem. Mógłbyś go spytać, czy zechciałby ze mną porozmawiać?

- Owszem, ale dlaczego? Co właściwie planuje FBI? A skoro już o tym mowa, to jestem na ciebie trochę wkurzony. Ściąganie mnie z powrotem do Nowego Scotland Yardu doprawdy nie było konieczne.

- To nie ja, przysięgam. - Naprawdę nie on pociągnął za sznurki. Inne osoby martwiły się poczynaniami Memphisa. Choć oczywiście Baldwin ucieszył się w duchu, kiedy Memphisa odwołano z Wydziału Antyterrorystycznego Quantico, tyle że rozkaz nie przyszedł od niego. Sprawa miała miejsce w zeszłym miesiącu.

- To ciekawe... A dlaczego sam do niego nie zadzwonisz?

- To ściśle tajne.

- Rozumiem.

- Przez godzinę będę pod telefonem, jeśli sir Nigel zechce poświęcić mi pięć minut.

- Dobrze, zadzwonię do niego. Ale przysługa za przysługę, pamiętaj.

- Cokolwiek zechcesz, oczywiście w ramach rozsądku.

- Chodzi mi o moją sprawę. Prawdopodobnie mam do czynienia z fanatykiem religijnym cierpiącym na schizofrenię. Zadzwonię do Nigela, a ty w zamian udzielisz mi rady, jak się do niego dobrać, zgoda?

- Zgoda. - Cena nie była zbyt wygórowana.

- Dzięki. Miłego wieczoru, Baldwin.

- Memphis, zaczekaj.

- Tak?

- Jak ona się czuje?

- Miałaś rację - odrzekł po chwili milczenia. - Jest wyjątkowo wrażliwa i krucha, a jednocześnie uparta jak osioł. Lecz iskra wciąż w niej płonie. Jej serce pozostało czyste. Poradzi sobie, zobaczysz.

- Cieszę się, że to mówisz. - Baldwin odetchnął z ulgą. - Daj mi znać, jeśli cokolwiek się zmieni, okej?

- Dobrze. Dobranoc.

- Dobranoc, Memphis. - I trzymaj łapy z dala od mojej kobiety, dodał w duchu.

Memphis rozłączył się i przez chwilę niewidzącym wzrokiem wpatrywał w aparat. John Baldwin, wybitny profiler, marzył o prywatnej pogawędce z sir Nigelem Ainsleyem. Ten telefon był jedynie pretekstem, Baldwin mógł się skontaktować z Ainsleyem o dowolnej porze, wykorzystując kanały FBI. W rzeczywistości chciał sprawdzić, co u Taylor.

Nie miał mu tego za złe. Zadzwoił tam, gdzie obiecał zadzwonić, i poprosił ochroniarza, by oderwał szefa od gry w domino. Było już wprawdzie późno, ale wiedział, że Nigel siedzi jeszcze w bibliotece z nietkniętą szklaneczką Macallana 18, pochłonięty ulubioną grą. Gdy odebrał telefon, był trochę poirytowany, choć przywykł, że przeszkadzano mu o każdej możliwej porze. Ponadto syn jednego z najbliższych przyjaciół cieszył się szczególnymi względami.

- Sir Nigel. Miło mi pana słyszeć.

- A, lord Dulsie. Jakże się cieszę. Jak się miewa twój ojciec?

- Wyjechał do Afryki Południowej. Wczoraj świętowaliśmy jego urodziny.

- Mam nadzieję, że otrzymał prezent ode mnie. Posłałem mu dwudziestoletnią zającą whisky.

- Owszem, był zachwycony. Jestem pewien, że wkrótce się do pana odezwie.

- To dobrze. Z przyjemnością utnę sobie z nim pogawędkę.

- Sir, mam prośbę. Przyjaciel poprosił mnie o możliwość kontaktu z panem. Czy byłby pan uprzejmy do niego zadzwonić?

- Hm... dziś już za późno. Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie jutro do biura.

- To Amerykanin, z FBI. Ufam mu bez zastrzeżeń. Jeżeli prosi o kontakt, to znaczy, że ma sprawę niecierpiącą zwłoki. Jak rozumiem, musi z panem porozmawiać nieoficjalnie. - W słuchawce zapadła nieprzyjemna cisza. Memphis wiedział, że musi trochę rozładować atmosferę. Prośba o nieoficjalny kontakt

każdego agenta, nawet najwyżej postawionego, wprawia w lekki popłoch. Co innego tajne kontakty, to był chleb powszedni, ale nieoficjalne, poza wszelkimi procedurami i powiadamianiem szefów... - Czy nie miałby pan ochoty na trochę rozrywki? Zapraszam na polowanie, kiedy tylko znajdzie się pan po północnej stronie granicy.

Sir Nigel uwielbiał polowania na równi ze ściganiem terrorystów i szpiegów zagrażających Królestwu.

- Oho, czyżby próba przekupstwa? - skomentował ze śmiechem.

- Niezbyt podoba mi się to określenie, sir.

- No dobrze, James, zrobię to dla ciebie. Pozdrów ojca i przekaż mu, że chętnie napocznę wraz z nim butelkę szlachetnego trunku. A teraz, jeśli pozwolisz, zadzwonię do twojego przyjaciela, bo inaczej nie skończę dziś tej partyjki domina.

Memphis przekazał mu potrzebne dane i rozłączył się. Był bardzo zadowolony. Polowanie nie było wygórowaną ceną za przysługę od samego Ainsleya. Był ciekaw, czy sir Nigel podejrzewał, że coś się kroi, i dlatego tak łatwo zgodził się na rozmowę z nieznanym Amerykaninem. Nieważne, dowie się tego jutro rano.

Zaplanował dla Taylor wspaniałą wycieczkę. Odsunął od siebie smutne myśli, które opanowały go po rozmowie z nią, i nakazał odejść duchowi Evan.

Rozmyślał o jasnych włosach Taylor i niejednakowo szarych oczach, domagających się jego uwagi. Nie wiedział, czy uda mu się ją zdobyć, ale już same próby były niezwykle przyjemne.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Szła znajomym długim korytarzem do gabinetu Memphis, zwabiona miło trzaskającym na kominku ogniem. Była boso, ubrana w długą jedwabną koszulę nocną i haftowany peniuar, włosy związała luźno w warkocz. Brzuch miała wydatny, wypełniony dzieckiem, ich dzieckiem.

Odczuwała niepokój. Czy go tam zastanie? Na karteczce było napisane, żeby przyszła przed świtem, zanim dom się obudzi. Problem w tym, że dom nigdy tak naprawdę nie spał. Wszędzie czaiły się wścibskie spojrzenia. Wiedziała, że to głupie, ale nic nie mogła na to poradzić. Te przepastnie głębokie błękitne oczy, kwadratowa szczęka, ręce wprost stworzone do pieaszczot. Potrzebowała go.

Dotknęła framugi. Był w środku, czuła jego zapach. Podnieciło ją to nieprzytomnie. Otworzyła drzwi.

Krew. Wszędzie krew. Pokój był nią przesiąknięty. Ze ścian skapywała wilgotna woń żądz i seksu. Poczwała ją na języku i ogarnęły ją mdłości. Gdy skończyła wymiotować, zmusiła się, by wejść głębiej, i zamknęła za sobą drzwi. Wiedziała, co jest tego przyczyną. To była jej wina. Nalegała, przymilała się.

Siedział wyprostowany na krześle.

Jej ukochany.

Zbliżyła się do niego, uważając, żeby nie poplamić koszuli krwią. Przytrzymała się ściany. Wszędzie tyle krwi! Podłoga zdawała się zapadać, brodziła już po kostki. Mimo to szła naprzód, aż wreszcie mogła dotknąć jego ramienia. Ostatni raz.

Memphis spojrział na nią oczami bez wyrazu.

- Odejdź - wyjęczał. - Odejdź, zanim będzie za późno.

Zaczęła krzyczeć z każdą chwilą coraz przeraźliwiej, aż wreszcie, by ją uciszyć, uniósł zakrwawioną rękę. Trzymał w niej broń i zobaczyła oślepiający błysk z lufy, więc gwałtownie się cofnęła, nie zważając na krwawą jatkę dokoła.

Wzdrygnęła się, gdy w coś uderzyła.

Poczuła, że opiera się plecami o wyłożoną drewnem ścianę, i uniosła rękę, jakby chciała odeprzeć napaść. Była zлана potem, bawełniany podkoszulek przylepił się do ciała.

Wszędzie czerwień. Krew.

Oddychała z trudem, umierała, osuwała się w nicość. Ból w głowie stawał się coraz silniejszy, aż w końcu czerwień zastąpiła czern.

Nie mogła złapać tchu. Musiała oddychać.

Zmusiła się do otwarcia oczu.

Pokój był pusty.

Opuściła ramiona wzdłuż boków i poczuła, że serce boleśnie tłucze się w klatce piersiowej. Spróbowała miarowo oddychać, żeby je choć trochę uspokoić.

Wzrok przystosował się w końcu do ciemności. Znajdowała się w zamku w swojej sypialni. Stała oparta o ścianę naprzeciw łóżka. Nie była w gabinecie Memphisa. Ani na strychu domu Królowny Śnieżki, twarzą w twarz z Naśladowcą, który stąpa we krwi przelanej przez dziecko jej najlepszej przyjaciółki.

Dopiero po kilku minutach poczuła, że znów panuje nad sytuacją. Przesunęła się bliżej drzwi i zapaliła światło. Pokój wypełnił się ciepłym, przytulnym blaskiem. Nie było w nim nic złowrogiego. Ot, zwyczajna sypialnia.

Oddychała już w miarę normalnie.

Jezu, ależ miała upiorny sen. Przywykła do nocnych koszmarów, ale szalone opowieści Memphisa musiały mocno podziałać na jej podświadomość. Sen wydawał się taki realny. Dotknęła twardego, płaskiego brzucha. Kompletnie wariactwo. We śnie czuła dziecko w łonie, jego ruchy.

Do tego lunatykowała. Boże, ostatnio zdarzyło jej się to w dzieciństwie.

Zaczęła analizować wątki koszmaru. Krew wydawała się znajoma. Jej krew. Podłoga strychu podnosząca się na spotkanie z nią, pierwotny wrzask Naśladowcy, kiedy podniósł rękę. Jakaż była głupia, że pozwoliła mu wycelować w siebie broń.

Sama wpakowała się w to bagno, no i do czego się doprowadziła? Zatrzaśnięta przed wszystkimi, niezdolna nawet

zawołać o pomoc. Nie powinna była próbować załatwić go w pojedynkę.

Wiedziała, że już nie uśnie. Poszła do salonu, zapalając po drodze wszystkie lampy.

Heineken. Druga połówka ativanu. Jeszcze jeden percocet. Stała przy oknie tak długo, póki nie poczuła lekkiego szumu w głowie.

Tak było znacznie lepiej.

Podeszła do biurka, klapnęła na krzesło i otworzyła pokrywę laptopa. Memphis wspomniał, że ma w zamku szybkie szerokopasmowe łącze z internetem. Pokoje musiały być okablowane, bo inaczej jak sygnał zdołałby przeniknąć przez te mury?

Za wszelką cenę chciała się zająć czymś zwyczajnym, więc sprawdziła pocztę, skasowała trzy prośby o wywiad ze stacji TV z Tennessee – dobry Boże, ależ byli namolni – i wysłała liścik do Sam. Dzięki temu poczuła się znacznie lepiej, normalniej.

Wyłączyła komputer, otworzyła jeszcze jedno piwo i zajęła miejsce na kanapie przed telewizorem. Zaczęła bezmyślnie przerzucać kanały, żałując, że nie może pograć w bilard. Będzie musiała zapytać Memphisa, czy w zamku go mają. Uwielbiała tę rozrywkę.

Zatrzymała się na głupawym reality show, którego uczestnicy musieli się częściowo rozbierać i poddawać ocenie zgromadzonej w studio publiczności. To byłby murowany przebój w Ameryce.

Rozległo się stukanie do drzwi.

– To ja – powiedział cicho Memphis.

Taylor była ubrana w podkoszulek i bokserki. Niezbyt przyzwoity strój. Narzuciła na wierzch sweter i uzbrojona w notes poszła otworzyć.

W korytarzu stał rozczochrany Memphis w narzuconym na ramiona kremowo-niebieskim szlafroku.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wszystko w porządku?

Skinęła głową, po czym napisała:

*Oczywiście. Dlaczego pytasz?*



Spojrzał na nią, jakby była niespełna rozumu.

- Strasznie krzyczałaś.

*Naprawdę? To dziwne, przecież nie mogę mówić. Może ktoś inny się wydierał?*

- Nie, Taylor, to na pewno byłaś ty.

Nie wiedziała, czy powinna się ucieszyć z odzyskania głosu, czy raczej okazać zakłopotanie.

*Nic mi nie jest. Naprawdę.*

Memphis oparł się o framugę.

- Przyszedłbym do ciebie wcześniej... Szczerze mówiąc, łamałem sobie głowę, czy to dobry pomysł.

Z korytarza ciągnęło zimne powietrze. Taylor widziała, że Memphis ma dreszcze. Otworzyła drzwi szerzej i zaprosiła go do pokoju. Gdy wszedł, zamknęła je dodatkowo na haczyk. Memphis podszedł prosto do kominka i pogrzebał w nim. Płomienie wystrzeliły wysoko, świecąc pomarańczowym blaskiem.

- Miałaś zły sen? - spytał.

Nie było sensu dłużej udawać, skoro już tu przyszedł. Była ciekawa, czy podświadomie go wezwała.

Usiadła przy biurku sztywno wyprostowana.

*Można tak powiedzieć. To było dziwne. Kazałeś mi odejść.*

Stał przy kominku nieruchomy jak posąg.

- Nigdy bym ci tego nie powiedział. To ostatnie, czego pragnę. Chcę, żebyś tutaj została. Żebyś tu była. - Urwał i zapatrzył się w ogień. - Nie będę cię okłamywał, Taylor. Byłem z tobą tak szczerzy, jak mogłem. Szanuję twój związek z Baldwinem. Doprowadza mnie to do rozpacz, ale go szanuję. Przysięgam, że nigdy nie zrobię nic takiego, czego byś sama nie chciała. W tej chwili zamierzam cię jednak poprosić o przysługę. Czy mogę tu dzisiaj zostać?

Była głęboko poruszona. Ta wspaniała przemowa zmierzała w zupełnie inną stronę niż ostatnie zdanie. Co dziwne, Memphis miał minę przestraszonego dziecka.

*Nie wiem, czy to taki świetny pomysł...*

- Twa kobieca cześć jest przy mnie bezpieczna, o pani - odparł z lekką ironią. - Potrzebuję towarzystwa. Możemy usnąć albo

porozmawiać. Przypominam ci, że od kilku tygodni co wieczór toczyliśmy rozmowy, a dzisiaj szczególnie mi tego brakuje. Skoro miałaś zły sen, to myślę, że powinnaś trochę się rozerwać, przynajmniej do chwili, gdy znów poczujesz się senna.

*A jeśli mam ochotę już teraz wskoczyć do łóżka?*

Ostrożnie, Taylor, ostrożnie, nakazała sobie w duchu.

Przyglądał się jej nieufnie, szukając ukrytego znaczenia zawartego w tych słowach, uznał jednak, że naprawdę jest zbyt senna lub zbyt oszołomiona alkoholem, by z nim wysiadywać, więc wskazał sypialnię.

- Okej, w porządku. Będę nad tobą czuwał na wypadek, gdyby koszmar powrócił.

Odwróciła wzrok i zaczęła się bawić pilotem od telewizora. Memphis miał rację, od kilku tygodni rzeczywiście co wieczór gawędzili. Zwróciła się do niego, gdy Baldwin ją odtrącił. Trudno go było winić za to, że cenił te pogawędki. Przecież się na to godziła, więcej, sama często je inicjowała. Dobrze było mieć zaufanego przyjaciela.

*Okej, ale tylko śpimy. Memphis, jestem skonana i chciałabym odpocząć.*

Obdarzył ją chytrym uśmieszkiem.

- Oczywiście.

Zawahała się, po czym wyłączyła telewizor i napisała:

*Zgaś światła.*

Zapadła całkowita ciemność. Tym razem nie była jednak straszna. Taylor czuła się bezpiecznie.

Poszła do sypialni, ściągnęła sweter i wskoczyła pod kołdrę. Memphis położył się przy niej, ale na wierzchu pościeli. Taylor poprawiła poduszkę i leżała, gapiąc się na sufit.

Przez pewien czas leżeli w milczeniu, po czym Memphis zaczął śpiewać. Melodia była łagodna i spokojna, przypominała kołysankę. Słuchała słów nieuważnie, z zamkniętymi oczami, czując, jak opuszcza ją wszelka wola walki.

Może w końcu odzyska sen. Jeśli Memphis będzie przy niej, będzie ją chronił...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sam zmyła krew ze skalpeli i starannie je zdezynfekowała. Krótka inspekcja sali wykazała, że porządek jest wzorowy, wszystko lśni. Uspokojona skierowała się do gabinetu, miała bowiem trochę papierkowej roboty.

Sprawdziła pocztę i z radością zobaczyła mejla od Taylor. Kochana dziewczyna. Uparta, lekkomyślna i skłonna do ryzyka, co udowodniła, wyjeżdżając do Szkocji na zaproszenie Memphis Highsmythe'a. Sam poczytała o nim w internecie już kilka miesięcy temu, kiedy facet pojawił się tutaj i zaczął się kręcić przy Taylor. W sieci było o nim mnóstwo informacji. O nim, jego rodzinie, tragicznej śmierci żony. Zamek Dulsie posiadał swoją stronę internetową.

Sam wiedziała, że Taylor sama za nic nie prześwietli Memphis. Traktowałyby to jak zdradę. W pełni oddana Baldwinowi, nie traciłaby czasu na spekulowanie, jak by to było z innym mężczyzną. Po prostu tak nie postępowała. Nie zaglądała na profil byłego chłopaka na Facebooku, żeby sprawdzić, co u niego słychać. Żyła chwilą obecną, a nie przeszłością.

Mogła stąpać z Memphisem po cienkim lodzie, ale nie straciłaby roztropności. Osobną kwestią było pytanie, czy Memphis ma uczciwe zamiary.

Otworzyła list od Taylor:

*Kochana Sam,*

*wylądowałam bezpiecznie. Memphis wyszedł po mnie na lotnisko, a następnego dnia rano wyjechaliśmy do Szkocji, więc piszę już z zamku Dulsie. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak wygląda życie Memphisa w Szkocji, ale wierz mi, posiadłość robi niesamowite wrażenie. Zamek jest ogromny. Wszędzie kamienne mury, kominki, wspaniałe stare meble. A jedzenie, dobry Boże, jedzenie... Kucharka na kolację przyrządziła dla nas siedem dań, a wino było wprost idiotycznie kosztowne. Wiem,*

wiem, nie powinnam pić alkoholu, ale trochę wina z pewnością mi nie zaszkodzi.

Memphis jest dla mnie bardzo dobry. Nie stara się mnie podrywać, co jest bardzo miłe. To prawda, obawiałam się, że będzie namolny, ale niepotrzebnie. Po kolacji opowiedział mi sporo o historii zamku, w tym przerażającą opowieść o Damie w Czerwieni. Potem szybko usnęłam i przyśnił mi się okropny koszmar. To dlatego piszę do ciebie o takiej porze.

Nadal nie jestem w stanie wypowiedzieć więcej niż jedno, dwa słowa, ale rano mam spotkanie z psycholog, przyjaciółką Memphisa. Zobaczymy, jak to się dalej potoczy.

Coś nowego w sprawie ofiary wypadku?

Pa, kochana, na razie.

Taylor

Sam potrzęsnęła głową. Taylor była inteligentna, lecz czasem zadziwiała tępotą. To jasne, że Memphis zachowywał się bez zarzutu. Tak samo jak pająk wobec muchy. Należało sprawić, żeby pajęczyna wydawała się bezpieczna, i zaatakować przy pierwszej oznace słabości.

Nie miała pojęcia, czemu aż tak nie lubi Memphisa, pomijając to, że Taylor wreszcie, po tylu latach, była szczęśliwa w stabilnym związku. A wtedy zjawił się on, ten intruz.

Ale cóż, Taylor była dużą dziewczynką. Trzeba dać jej szansę popełniania własnych błędów.

Sam zaczęła szybko stukać w klawiaturę. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu, zobaczyć bliźniaki, pogadać z Simonem. Ugotuje pyszną kolację, otworzy butelkę wina. Tknęła ją pewna myśl. Ciekawe, że związek przyjaciółki bardziej zajmuje jej myśli niż własne małżeństwo.

Cześć, Taylor,

cieszę się, że dotarłaś bezpiecznie. U nas wszystko w porządku. Dziś ma spaść jeszcze więcej śniegu, dasz wiarę? To tyle, jeśli chodzi o globalne ocieplenie.

Pamiętasz, jak byłyśmy małe i padało przez całą zimę? Chodziłyśmy na sanki do parku Warnera albo na łyżwy na zamrznięty staw za domem moich rodziców. Wracałyśmy przemarznięte do szpiku kości, mając tak złodowaciate ręce, że

*nie mogłyśmy poruszać palcami, a twoja mama prosiła panią Mize, żeby nam zaparzyła gorącej czekolady. Udawała, że wcale nie słucha, jak się zaśmiewamy. Nie wiem, czy pamiętasz, że miała zwyczaj przystawać przed kuchnią i słuchać naszych przekomarzań. Kitty już wtedy wydawała mi się okropnie smutna, a lata minęły, zanim całkiem zgorzkniała.*

*No to odbyłam piękną podróż do przeszłości.*

*Mam nadzieję, że wystarczy mi jutro czasu, żeby zabrać dzieciaki na sanki.*

*W sprawie ofiary kilka nowych ciekawych szczegółów. Kobieta nazywa się Marias González. Miała w kieszeni znaczony banknot. Twój bystry młody kolega Marcus jest zdania, że była zamieszana w sprawę Skruszonego Rabusia. To ciekawe spostrzeżenie. Być może go do czegoś doprowadzi.*

*Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś więcej.*

*A na razie, młoda damo, miej się na baczności, zwłaszcza przed zakusami wicehrabiego.*

*Buziaki,*

*Sam*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy Taylor się obudziła, słońce stało już wysoko na niebie. Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Memphisa nie było, nic też nie wskazywało na jego obecność minionej nocy. Zaskoczyło ją, że poczuła rozczarowanie.

Nie miała jednak czasu na rozmyślenia, musiała się ruszyć, i to niezwłocznie. O dziewiątej spotyka się z doktor James.

Wzięła prysznic i ubrała się. Rozczesywała właśnie mokre włosy, gdy usłyszała stukanie do drzwi salonu. To pewnie śniadanie. Memphis wspomniał, że przyniosą je do pokoju.

Poszła otworzyć. Młodziutka, najwyżej czternastoletnia pokojówka wkroczyła z zastawioną tacą. Imbryk herbaty i grzanki, smażony bekon i parówki, jajecznica, butelka wody...

- Trza się nawodnić, psze pani.

Do tego karafka soku jabłkowego, druga z sokiem żurawinowym. Dziewczyna dygnęła i znikła równie szybko, jak się pojawiła.

Jednak zanim drzwi się za nią zamknęły, Taylor usłyszała pogwizdywanie. Zerknęła na korytarz i ujrzała zmierzającego w jej stronę Memphisa. Był wypoczęty i w dobrym nastroju, wczorajszy smutek ulotnił się bez śladu.

- Dzień dobry. Jak się spało? - spytał.

Dobrze wiedział, jak spała, a pytanie było przeznaczone dla uszu pokojówki, która kręciła się jeszcze po korytarzu. Spędzenie nocy w sypialni niezamężnej znajomej wzbudziłoby sensację i obrosłoby plotkami.

Taylor napisała w notesie:

*Nieźle. Miałam zły sen.*

- Och, tak mi przykro. Zjedz śniadanie, a potem odprowadzę cię do doktor James.

*Zjesz ze mną?*

Skinął głową i wszedł do pokoju.

Gdy uważniej przyjrzała się tacy, stwierdziła, że zastawa jest podwójna, zatem pojawienie się Memphisa wcale nie było przypadkowe. Była jednak zbyt głodna, żeby to roztrząsać. Z zapalem zabrała się do jedzenia.

Zamyślony Memphis krążył po salonie ze szklanką soku jabłkowego w jednej i grzanką w drugiej ręce.

*Kruszysz na dywan.*

- Myszy też muszą coś jeść. Dzięki temu nie zapuszczają się do spiżarni. - Celowo upuścił na podłogę okruch.

*Za czysto tu jak na mysi gust.*

- Ależ skąd. Zamkowe koty są tłuste jak beczki. Koło życia kręci się bez zakłóceń. Kiedy byłem mały, oswoiłem myszkę, nazwałem ją Bilbo. Zaczytywałem się wtedy w Tolkienie. Codziennie karmiłem Bilba okruchami ze śniadania. Kiedyś przyłapała mnie na tym matka, ale nie powiedziała ani słowa. Tamtego dnia miałem pojechać na polowanie, więc byłem bardzo podekscytowany. Wieczorem triumfalnie wróciłem do zamku, bo odniosłem wielki sukces, mianowicie ustrzeliłem pierwszego w życiu lisa, więc ojciec pozwolił mi jechać na czele razem z łowczym. Na moim łóżku spał zwinięty w kłębek pręgowany kocur. Nigdy więcej nie widziałem Bilba.

*Biedna myszka. I biedny lis.*

- Biedny lis? Biedna mysz? - W oczach Memphisa zapłonęło rozbawienie. - To ja byłem biedny, właśnie ja, bo straciłem ulubionego towarzysza zabaw. Przeżyliśmy z Bilbem wiele przygód, zeglowaliśmy po morzach i oceanach. Był wspaniałym bosmanem.

Pomyślała, że Memphis musiał być bardzo samotnym chłopcem.

- Wiem, co ci chodzi po głowie. Boże, twoja twarz jest jak otwarta księga. Tak, miałem samotne dzieciństwo. Byłem najstarszy z braci, siostry nie było jeszcze na świecie. Nie miałem się z kim bawić w lecie, ale na jesieni wszystko się zmieniło. Pojechałem do szkoły z internatem i już nigdy nie byłem samotny. Skończyłaś śniadanie? Maddee na pewno już się niecierpliwi.

Taylor dopiła herbatę i wstała od stołu.

*Gotowa. Wezmę tylko sweter.*

Memphis poprowadził ją na dół, tłumacząc po drodze skomplikowane procedury i obyczaje związane z uczestnictwem w polowaniu i zdobyciem pierwszego trofeum. Gdy doszedł do umazania twarzy krwią zabitego lisa, Taylor kazała mu przestać. Woląca nie wiedzieć nic więcej.

Znaleźli się w najbardziej wysuniętej na południe części zamku, w pobliżu dostępnej dla zwiedzających sali bankietowej, i weszli do pokoju o purpurowo-kremowym wystroju. Taylor za nic nie trafiłaby z powrotem.

Przed kominkiem siedziała zapatrzona w ogień kobieta. Usłyszała ich kroki i podeszła, żeby się przywitać. Miała proste jak struny długie ciemne włosy i brązowe oczy. Podążyła Taylor rękę i obdarzyła ją ciepłym uśmiechem. Mogła mieć nie więcej niż trzydzieści pięć lat, czyli była mniej więcej w jej wieku.

- Witaj, Taylor, jestem doktor Madeira James, *à votre service*. Dla ciebie Maddee. - Mówiła z czysto nowojorskim akcentem. Musiała wychwycić zaskoczenie Taylor, bo dodała: - Urodzona i wychowana na Long Island. Doskonale pasowałam do miejscowych.

Taylor się roześmiała. Psycholog wywarła na niej dobre wrażenie.

*Miło mi cię poznać.*

- Nawzajem. Memphis dużo mi o tobie opowiadał. - Spojrzała na niego. - Miałaś rację, jest olśniewająca.

Taylor skrzywiła się nieznacznie. Nie przepadała za tego rodzaju pochwałami. Wyżej ceniła zalety umysłu niż urodę.

- I niezwykle skromna. Spójrz na ten rumieniec. - Memphis doskonale się bawił.

- Przestań się z niej nabijać, to nie jest miłe - skarciła go Maddee. - A teraz znikaj, spotkamy się za godzinę.

- Wedle życzenia, doktor James. - Skłonił się ceremonialnie, uśmiechnął do Taylor i pośpiesznie opuścił pokój.

Maddee wzięła ją pod rękę i podprowadziła do fotela. Przyjemnie pachniała wanilią i zapachem natury, jakby rano ćwiczyła na świeżym powietrzu i w jej włosach pozostał ślad aromatów Highlands.



- Jestem pewna, że się dogadamy. Nie zwracaj na niego uwagi, lubi się droczyć.

Coś takiego, pomyślała Taylor z przekąsem.

- Napijemy się herbaty, chyba że wolisz coś innego?

*Może być herbata. Dzięki.*

Taylor usiadła w wygodnym skórzanym fotelu, a Maddee zajęła zabytkowe wiktoriańskie krzesło obite szarym brokatem. Prawdopodobnie było warte majątek.

Nie tracąc więcej czasu, zaczęła rozmowę.

- Przepraszam, że żartowałam z ciebie. Podobasz się Memphisowi, a ja jestem okropnie zazdrosna. To najbardziej pożądany kawaler w pięciu hrabstwach.

Taylor nie była pewna, co na to odpowiedzieć, wreszcie napisała:

*Możesz go sobie wziąć. Jestem zaręczona.*

- A ja mam męża. - Maddee wybuchła czystym i zaraźliwym śmiechem. - Uwielbiam Memphisa. Niestety śmierć Evan bardzo go zmieniła. Kiedyś był człowiekiem beztroskim, wyżywał się w pracy i życiu towarzyskim, na obu polach odnosił sukcesy, świat leżał u jego stóp. Smutek i żałoba fatalnie na niego działają. On koniecznie potrzebuje kobiety. - Zamyśliła się na moment, po czym znowu wygięła wargi w uśmiechu. - No, ale dość już o tym. Wiem, że głos jeszcze ci nie wrócił. Wczoraj rozmawiałam z doktor Willig. Przemiała osoba. Powiedziała mi o terapii EMDR, o postępach, które poczyniłaś. Chcesz ją kontynuować?

*Tak. Muszę się pozbyć niektórych wspomnień.*

- To wspomnienia czy raczej retrospekcje? - Gdy Taylor nie odpowiedziała, wyjaśniła: - Na pewno wiesz, że EMDR nie wymaże przeszłości. Sprawia jedynie, że wspomnienia staną się mniej bolesne, pomoże też zapanować nad emocjami. W gruncie rzeczy nie chcesz przecież całkowicie o tym zapomnieć. Pamięć o trudnych, przykrych czy bolesnych zdarzeniach pomaga zachować czujność. Powinnaś prowadzić dziennik, spisywać myśli, uczucia. To dla ciebie najlepsza terapia. Zapisując wspomnienia, w jakimś sensie znieczulasz się na nie. Ja prowadzę dziennik od wczesnej młodości. Robię to codziennie,

bez wyjątku. Dzięki Bogu mamy komputery, bo zginęłabym przysypana stertą notatników. – Roześmiała się, a Taylor odpowiedziała uśmiechem.

*Szczerze mówiąc, raczej mnie nie stać na tak ścisłą dyscyplinę.*

– Może wolisz pisać na komputerze? Możesz skorzystać z mojego laptopa.

Taylor skinęła z wdzięcznością.

Maddee włączyła najnowszy model MacBooka Air i otworzyła nowy dokument. Usiadła obok Taylor, żeby widzieć ekran.

– Porozmawiajmy najpierw o tym, czego najbardziej chciałabyś nie pamiętać. Potem zajmiemy się EMDR.

Dopiero teraz Taylor zauważyła na stoliku obok znajomy sprzęt.

Szybko wystukała na klawiaturze:

*Sam, moja przyjaciółka, była ciężko ranna. Muszę się pozbyć z umysłu widoku bólu i gniewu na jej twarzy. Nie chcę z tym dalej żyć. Zawiodłam ją, a ona na moment opuściła gardę i pozwoliła, bym się o tym dowiedziała. To mnie prześladowa.*

– Sam została porwana, prawda? Czytałam notatki doktor Willig. Wynika z nich, że omówiłyście sporo tych kwestii podczas pierwszej wizyty, czy tak?

– Tak – wychrypiała.

– Dobrze, w takim razie zacznijmy. Pracuję trochę w inny sposób. Chcę, żebyś zrobiła serię relaksacyjnych ćwiczeń, a dopiero potem rozpoczniemy właściwą sesję EMDR.

*Jestem zrelaksowana.*

– Wybacz, ale odbieram cię inaczej. – Maddee posłała jej przepaszający uśmiech. – Żyjesz w wielkim napięciu. Masz kłopoty ze snem, ciemne kręgi pod oczami. Boli cię kark, prawda? Poznaję po tym, jak trzymasz głowę.

To prawda, czuła ból karku i przydałby jej się porządny masaż, ale nie zamierzała się do tego przyznawać.

*To wina poduszki.*

– Aha... Czy sypiasz w miarę regularnie? Czytam tu, że od dawna cierpisz na bezsenność. Dlaczego nie dostałaś tabletek na sen?

*Próbowałam. To był ambien, ale zareagowałam okropnie. Wolę nie spać, niż mieć takie sensacje.*

- Mogłybyśmy spróbować czegoś innego, leków na tę przypadłość jest sporo. Sen to podstawa, by kuracja się powiodła. Dzięki niemu mózg się resetuje. Jeśli pracujemy ze ścieżkami neuronowymi, to jest sprawą zasadniczą, żebyś sypiała co najmniej sześć godzin dziennie. - Taylor zaczęła kręcić głową, ale Maddee uśmierzyła jej protesty. - Chwileczkę. Jest masa leków nasennych, ale ja wolę metody naturalne. Melatonina. Pomoże wyregulować organizm, zwłaszcza zniweluje skutki zmęczenia podróży. Proszę, żebyś zaczęła ją brać dziś wieczorem. - Wręczyła jej flaszeczkę z brązowego szkła.

*Nie chcę brać dodatkowych tabletek. To jak przyznanie się do porażki.*

- Przecież dobrowolnie zażywasz fioricet i ativan, przepisano ci też percocet, więc dlaczego się wzbranasz? Musisz mi zaufać, Taylor, ten lek ci pomoże. Zależy mi tylko na tym, żeby ci pomóc.

*Dobrze. Spróbuję.*

- Dziękuję. A teraz zrobimy kilka ćwiczeń relaksujących, żeby poprawić mi humor.

Taylor usiadła wygodniej w fotelu z rękoma złożonymi luźno na podołku. Maddee przemówiła cicho i miękko, jej słowa pieściły ucho.

- Słuchaj uważnie mego głosu. Skup się na palcach u nóg. Są wygodnie rozprostowane, jakby kąpały się w strumieniu słonecznych promieni. Pozwól, by się rozluźniły. Jest im ciepło, przyjemnie. Czy czujesz ciepło na stopach? - Gdy Taylor skinęła głową, dodała: - To dobrze... - Przerwała na moment. - A teraz skup się na łydkach. Słoneczne promienie przesuwają się wyżej, aż do kolan. Jest ciepło i przyjemnie, całkiem się rozluźniłaś. Jesteś lekka jak piórko. Wszystkie problemy i troski gdzieś ulatują, a ty jesteś lekka i swobodna.

Maddee mówiła dalej cichym, miarowym głosem, opowiadając, jak słoneczne promienie ciepłym strumieniem obmywają Taylor coraz wyżej, aż po czubek głowy. Jest jej bardzo przyjemnie,

czuje się cudownie rozluźniona. Ćwiczenie było niezwykle skuteczne. Zaczęła otwierać oczy, ale Maddee jej nie pozwoliła.

- Spójrz okiem umysłu na swój nadgarstek. Jest do niego przywiązany sznurek. Ten sznurek sięga wysoko do nieba. Czy widzisz go wyraźnie?

Taylor skinęła głową.

- Na końcu sznurka przywiązany jest niebieski balon. Czy widzisz, jak unosi się w górze?

Taylor znowu kiwnęła.

- Więc pozwól, żeby ten balon wzleciał jeszcze wyżej i pociągnął za sobą twoją rękę. Staje się coraz lżejsza i lżejsza.

Ręka była tak lekka, że sama się uniosła i wycelowwała w niebo.

- Doskonale. Możesz teraz powoli opuścić ramię. Bardzo dobrze. A teraz pomyśl o swoim strachu. Pomyśl o Sam. O wyrazie jej twarzy. Co czujesz w tej chwili? Powiedz mi to na głos, nie tylko w myśli.

Potrząsnęła głową. Nie mogła mówić, o czym Maddee wiedziała.

- No dalej, Taylor, spróbuj. Możesz mówić. Nic cię nie powstrzyma. Jesteś ze mną bezpieczna. Powiedz mi, co czujesz.

- Smutek. Przerazenie. Wściekłość. Zakłopotanie. - Czy naprawdę powiedziała to głośno?

- Spójrz na niebieski balon, Taylor. Twoje ramię jest lekkie, bardzo lekkie. Dobra dziewczyna. Dlaczego jesteś zakłopotana?

- Ponieważ przyszłam zabić. Sam to wie i jest mną rozczarowana. Nie mogę jej zawieść. Za bardzo na mnie polega.

Jak łatwo było mówić do Maddee. Taylor nie czuła się źle, wyjawiając prawdę. Nie teraz, nie w momencie, gdy było jej tak ciepło i wygodnie, gdy siedziała skąpana w blasku słońca.

- Przyszłaś, żeby zabić? Planowałaś zabicie Ewana Copelanda, zanim jeszcze weszłaś do pokoju?

- Tak. Zasłużył na to w pełni. Skrzywdził zbyt wielu ludzi. Skrzywdził Fitza i Sam.

- Ale ciebie nie skrzywdził, prawda? Aż do końca nie stanowił dla ciebie fizycznego zagrożenia, czy tak?

- To nie miało znaczenia. Musiałam go unieszkodliwić.

- Powiedz mi o tym, Taylor. Opowiedz, co zrobiłaś.
- Ptaki śpiewały. Wzywały mnie do niego. A potem umilkły...

Nagle sobie przypomniała. Wypełniła ją straszliwa wściekłość. Naśladowca torturował jej przyjaciół, a ona musiała zakończyć te rządy terroru. Zaplanowała osobistą zemstę, na skutek której miał zniknąć z szachownicy pionek, który przez rok niszczył jej życie. Nie była dumna z tego, że wyrusza zabić Naśladowcę. Zresztą i tak nie powstrzymała zła. Sama została straszliwie skrzywdzona i nigdy nie wyleczy się z tej traumy.

Zawsze będzie mnie oskarżała o utratę dziecka, pomyślała po raz nie wiedzieć już który.

Płakała. Czowała łzy płynące po twarzy.

Nie powiedziała nikomu, co wtedy robiła, nawet Baldwinowi. Choć była raczej pewna, że wiedział, po co tam poszła. Wolałaby też zapomnieć o innych powodach, które doprowadziły do tamtej strzelaniny.

Boże... Czy zwierzyła się z tego wszystkiego Maddee James?

Poczuła szybsze bicie serca. Chciała wytrzeć twarz, ale ręka wciąż była przywiązana do pieprzonego niebieskiego balonu.

- Ratunku - wyszeptała.

- Dobrze, Taylor. Trzymaj się jeszcze przez chwilę. Chcę, żebyś pozwoliła, by strumień słonecznych promieni oddalił się. Kiedy będziemy razem, a ty poczujesz się przestraszona lub zdenerwowana, musisz tylko o nim pomyśleć, a od razu poczujesz się lepiej. Odzyskasz kontrolę nad emocjami. Teraz policzę do tyłu od trzech. Kiedy wypowiem „jeden”, otworzysz oczy. Trzy. Dwa. Jeden.

Otworzyła oczy. Maddee patrzyła na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy, skupiona, a zarazem... szczęśliwa? Po krótkiej chwili wrażenie znikło, bo znów przybrała chłodną, profesjonalną minę.

Taylor usiadła wyprostowana. Miała mokre policzki, płakała. Maddee podała jej chusteczkę, więc otarła oczy, a potem przysunęła się do laptopa.

*Co się przed chwilą stało?*

- Spróbuj powiedzieć to głośno.

- Co... - Czuła się tak, jakby połykała żyletki. Potrząsnęła głową.

Maddee wzięła ją z uśmiechem za rękę.

- Z twoim głosem nie dzieje się nic złego. Przez piętnaście minut normalnie rozmawiałaś.

- Ja... Nie.

- Tak. - Maddee wciąż uśmiechała się szeroko.

Dobry Boże, więc naprawdę mówiła z nią o tym wszystkim...

*Co ze mną zrobiłaś?*

- Zastosowałam hipnoterapię. Świetnie na ciebie podziałała. W stanie hipnozy nie masz żadnych problemów z mówieniem.

*Zahipnotyzowałaś mnie?*

- Tak. Dziwię się, że doktor Willig nie spróbowała tej metody przed terapią EMDR. Zdarza się, że pacjenci po wyjściu z hipnozy odzyskują głos. Oczywiście czasem się upierają, że nadal nie mogą mówić, tak jak ty teraz, ale przynajmniej już wiemy, że od strony fizycznej wszystko z tobą w porządku.

Hipnoza. Cholera. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że może normalnie mówić, co dzięki hipnozie wyszło na jaw, czy być wściekłą, że Maddee ją oszukała. Najdziwniejsze było to, że była wobec doktor James taka otwarta. Przyznała się do czegoś, co powinna była zachować w absolutnej tajemnicy przed całym światem. Wszystko mogłaby ujawnić, ale nie to! Choć nie miało to aż takiego znaczenia, bo Maddee obowiązywała tajemnica lekarska. Zresztą Taylor nie zabiła Copelanda, wyręczył ją w tym Baldwin. Ale wcale nie miała zamiaru ujawniać swoich intencji. Jeśli nie będzie ostrożna, wpakuje się w kabałę, i to nie tylko z moralnego punktu widzenia.

Winę za chwilowy brak samokontroli ponosiły zapewne koszmarne sny i zmęczenie długą podróżą. A poza tym Maddee była taka sympatyczna...

Uśmiechnęła się blado.

*To było nawet zabawne.*

- Czujesz się bardziej zrelaksowana, prawda? Ta metoda jest bardzo skuteczna. Czy masz jakieś pojęcie o jodze?

*Mizerne. Znam techniki oddychania, ale pozycje szczególnie mi wychodzą.*

- No tak, jasne. - Maddee roześmiała się. - Tak samo postępujesz podczas terapii. Ustalasz cel i dbasz o to, by oddech uregulował myśli. Świetnie ci poszło. Osiągnęłaś znacznie wyższy poziom rozluźnienia niż większość początkujących. Nagram ci taśmę. Proszę, żebyś słuchała jej co wieczór przed położeniem się spać. To takie samo ćwiczenie, jakie wykonałyśmy przed chwilą. Pomoże ci uspokoić umysł. Im głębiej się zrelaksujesz, tym łatwiej ci będzie rozmawiać. Dodam też parę zdań, które pomogą ci zasnąć. Bezsensowność można wyleczyć, a moja metoda jest bardzo skuteczna.

*Rozumiem. Co dalej?*

- Jeśli czujesz się na siłach, to możemy spróbować EMDR. Zobaczymy, co to da, mając na uwadze twoje uczucia wobec Sam. Rozczarowanie przyjaciółki, sprawienie jej zawodu, to ogromny ciężar. Naprawimy to.

Pracowały jeszcze przez pół godziny, po czym Maddee wyłączyła sprzęt i spytała z uśmiechem:

- Jak się teraz czujesz?

Była wyczerpana, zarazem jednak czuła się lżejsza, bardziej swobodna niż na początku sesji. Powrót myślami do szczęśliwego miejsca na obozie młodzieżowym i kąpieli w słonecznych promieniach przydał się do okiełznania najtrudniejszych wspomnień.

Zaczynała wreszcie rozumieć, po co ludzie poddają się terapii. Pozbycie się bagażu trosk i lęków było niesamowicie wyzwalającym doznaniem.

- Nie zapomnij zażyć wieczorem melatoniny, najlepiej około siódmej, żeby twój organizm zdążył ją wchłonąć. Jeśli rozboli cię głowa, weź tabletki i rozluźnij się. Pomyśl o strumieniu ciepłego słonecznego blasku, w którym rozpuszcza się ból. To ci powinno pomóc. Potem posłuchaj taśmy, będzie na ciebie czekała na nocnej szafce. Powinnaś usnąć i spać jak niemowlę.

*Maddee, jesteś cudowna. Bardzo ci dziękuję.*

- Cieszę się, że tak dobrze reagujesz na terapię - odrzekła z uśmiechem. - Jestem pewna, że szybko wrócisz do równowagi.

- Poklepała Taylor po dłoni. - A teraz ciesz się wizytą w tym pięknym kraju. Memphis wspomniał, że zabierze cię na

przejażdżkę po okolicy. Wiem, że będzie cudownie. Pokaże ci najwspanialsze widoki. A my spotkamy się jutro rano. – Zebrała swoje rzeczy i opuściła pokój.

Taylor trochę się uspokoiła. Maddee była empatyczna i bardzo kompetentna.

Czuła się lekko i beztrosko, po raz pierwszy od strzelaniny nie zdawało się jej, że wisi nad nią klątwa. Już choćby dlatego warto było się wybrać w zamorską podróż.

Baldwin na pewno martwi się o nią martwił. Wysłała mu SMS-a. Nie wdawała się w szczegóły, lecz zapewniła, że wszystko w porządku i przesyła ucałowania. Nie było sensu opowiadać, że Memphis ukołysał ją do snu, a potem otworzyła serce przed ledwie co poznaną osobą. Te zwierzenia nie przyniosłyby niczego dobrego.

Nalała sobie herbaty i czekała. Po kilku minutach do pokoju wparował szeroko uśmiechnięty Memphis.

– Przejaśnione w głowie? – spytał wesoło.

Brakowało jej laptopa, dzięki któremu porozumiewała się o wiele szybciej niż ręcznym pismem.

*Ładnie powiedziane. Tak, sesja była owocna. Miłeś rację, Maddee jest bardzo dobra.*

– Mówiłem, że tak będzie. Wkładaj kurtkę i buty, zabieram cię na wycieczkę. Oprowadziłaś mnie po Nashville, i nastąpiła pora, żebym się zrewanżował.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Taylor czekała cierpliwie, aż Memphis wyprowadzi samochód z garażu. Dzień był wietrzny, kłęby chmur gnały po szaroniebieskim niebie, grożąc opadami najpierw deszczu, a kiedy temperatura spadnie, śniegu. Memphis zaplanował powrót na piętnastą, trochę przed zachodem słońca, bo wtedy miała się zacząć śnieżycą.

Słyszając niski ryk silnika, zaciekawiała się, jakim autem Memphis zamierza wozić ją po okolicy. Kochała samochody, to jedno łączyło ją z ojcem. Choć w Nashville jeździła pikapem, to warkot silnika sportowego bolidu nieodmiennie przyśpieszał jej puls. Wysłała Baldwinowi kolejnego SMS-a z informacją, że przez resztę dnia będzie poza zasięgiem. Wiedziała, że odpowie jej dopiero wtedy, gdy pozwoli mu na to obowiązki służbowe, ale najważniejsze było to, że dwukrotnie się do niego odezwała. Miało to swoje znaczenie w ich pełnych niedomówień stosunkach.

Ryk silnika stał się jeszcze głośniejszy, rozległ się chrzęst opon na żwirze. Taylor, gdy ujrzała sportowe cudo, wydała stłumiony okrzyk. Aston martin DB9. Wiedziała, że te auta kosztują około dwustu tysięcy funtów. W ogóle nie pomyślała o kierowcy, pragnęła jedynie znaleźć się w środku tego arcydzieła techniki i pomknąć, gdzie oczy poniosą.

Memphis zahamował z fantazją i wyskoczył z auta.

- Podoba ci się? - spytał z szerokim uśmiechem.

*Wiesz, że tak. Nie za szpanerski dla ciebie?*

- To moja jedyna słabość. Zresztą nie jeżdżę nim po Londynie. Ludzie, z którymi pracuję, niewłaściwie by to zrozumieli, więc zostawiam go tu. Chcesz poprowadzić? - Obszedł samochód i usiadł na fotelu pasażera.

Nie wahała się ani sekundy:

*Jasne!*

Roztarła zziębnięte dłonie i włożyła do kieszeni, żeby je ogrzać. Po chwili poczuła tak ostry ból środkowego palca, że aż syknęła. Wyrwała lewą rękę z kieszeni i ze zdumieniem stwierdziła, że mocno krwawi.

- O rany, co się stało...? - Memphis już był przy niej.

Taylor oglądała zraniony palec. Czuła, że coś utkwilo w ranie. Memphis chwycił ją za rękę i wykręcał do światła, po czym podał chusteczkę.

- Nic tu nie widzę bez okularów.

Owijając palec chusteczką, znów poczuła bolesne ukłucie, więc włożyła go do ust, językiem pomacała ranę i wyczuła coś twardego. Gdy wyciągnęła to „coś” z ranki, ostry ból nieco stępsiał.

- Co to jest? - dopytywał się Memphis.

Co za szczęście, że zraniła lewą, a nie prawą rękę. Przez jakiś czas miałyby problem z komunikowaniem się z innymi.

*Chyba szkło. Było w kieszeni kurtki.*

Mocno zaniepokojony Memphis pociągnął ją do domu i pomógł zdjąć okrycie. Z sąsiedniego pokoju dochodził głos Trixie, która omawiała coś z pokojówką. Memphis polecił przynieść apteczkę, po czym chwycił kurtkę Taylor i wywrócił kieszeń na lewą stronę.

Znajdowało się w niej mnóstwo maleńkich odłamków szkła przyczepionych do materiału.

- Co u licha? Jak to się mogło stać? Przecież to nowa kurtka, dopiero wczoraj ją dostarczyli! Cholera, nie mogę wyjąć wszystkich odłamków - pomstował Memphis.

Taylor w milczeniu ssała bolący palec, a po chwili napisała:

*To pewnie wina fabryki.*

- Popatrz, podszewka jest rozcięta. Już ja im nawrzucam! Zadzwoń do nich, jak tylko wrócimy. Poczekaj tu na mnie.

Wybiegł na korytarz, a po jakimś czasie wrócił z Trixie, która niosła plaster i butelkę żelu dezynfekującego. Natomiast Memphis przyniósł brązową płócienną kurtkę na grubej flanelowej podszewce.

- Proszę, to moja kurtka. Możesz ją włożyć, jest bardzo ciepła.

Oboje z Trixie opatrzyli palec Taylor, robiąc przy tym tyle szumu, jakby rana była bardzo poważna. Ochmistrzyń była mocno poruszona incydentem, obwiniając siebie za to, że nie sprawdziła dokładnie przesyłki. Oznajmiła przez zęby, że niezwłocznie zajmie się wymianą nieszczęsnej garderoby, i wymaszerowała z kuchni, niosąc kurtkę pod pachą jak zdechłą kaczkę. Taylor uświadomiła sobie, że nie patrzyła im w oczy, co było dosyć dziwne. Może Trixie wiedziała, że Memphis w środku nocy odwiedził gościa, co oburzyło ją i zgorszyło? Może to ona włożyła do kieszeni rozgniecione szkło, żeby przepłoszyć intruza z Ameryki?

Nie, to zbyt daleko posunięte domysły. Błąd został najpewniej popełniony przez fabrykę lub firmę dostawczą. Szklany przedmiot rozbił się obok pakunku z kurtką, i tyle.

Wreszcie po raz drugi wyruszyła z Memphisem na wycieczkę. Przejmowała się przykrym incydentem znacznie mniej od niego, ale to rozumiałe, przecież był gospodarzem. Taylor zagłębiła się w fotel z miękkiej jasnoszarej skóry, czując się głupio z powodu aż takiego zamieszania. Sprawa była, owszem, nieco dziwna, ale przecież nie popełniono zbrodni.

Druga próba powiodła się lepiej niż pierwsza. Po dziesięciu minutach skręcili na szosę A9 w kierunku Inverness.

Podczas jazdy Memphis cały czas opowiadał o mijanych miejscach. Surowe piękno nieustannie zmieniającego się krajobrazu wprawiało Taylor w niekłamany zachwyt. Szosa pięła się coraz wyżej, w pewnym momencie nisko płynące chmury niemal całkiem zakryły górski wierzchołek. Na gałęzi samotnego drzewa przysiadł sokół, ponurym wzrokiem obserwując przejeżdżające samochody. Ten widok z powodu emocjonalnych i nie do końca zrozumiałych skojarzeń mocno zasmucił Taylor. Oszem, Szkocja jest prześliczna, lecz powinna teraz być w Nashville i zмагаć się ze swoim życiem, zamiast od niego uciekać. Może przyjazd do zamku nie był jednak aż tak genialnym posunięciem, jak jej się dotąd zdawało. To prawda, że sesja z Maddee przyniosła bardzo obiecujące rezultaty, to jednak zbliżenie się do Memphisa, mimowiedne zasugerowanie, że

przyjechała tu nie tylko na wypoczynek, oznaczało niewątpliwe kłopoty.

Och, daj spokój! – napomniała się w duchu. Małe skaleczenie to jeszcze nie powód, by stracić dobry humor. Nie zrobiłaś nic złego. Najwyższy czas przestać się na sobie wyżywać.

Memphis wciąż zabawiał się w przewodnika. Po dwudziestu minutach zjechał z ronda na północ, w kierunku miejscowości Grantown-on-Spey. Taylor rozchmurzyła się nieco, bo spodobała jej się ta typowo szkocka nazwa. W oddali zaczęło wyłaniać się miasteczko. W powietrzu czuć było zapach dymu i popiołu. Region musiał być zamożny, bo drogi i chodniki były porządnie wybrukowane, domy zadbane i świątecznie przystrojone. Memphis wyjaśnił, że to miejscowość wypoczynkowa, mekka dla miłośników sportów wodnych. W zimie życie niemal tu zamiera, za to od wiosny jest tłumnio i gwarno.

– Chcesz się tu zatrzymać? – spytał. – Możemy napić się herbaty.

Potrząsnęła głową. Poranna herbata wciąż jeszcze bulgotała jej w brzuchu.

Memphis przejechał przez miasteczko i skierował się w stronę lasu. Szosa stała się węższa, asfalt miejscami popękany. Aston podskakiwał na wybojach.

*Dokąd jedziemy?*

– Do mojej rodowej siedziby.

*Jak to? A zamek Dulsie?*

– Jest coś ważniejszego od duchów i nawiedzonych zamków. Poznasz moje prawdziwe korzenie.

Nie umiała określić kierunku jazdy, bo promienie słoneczne nie dawały rady przebić się przez gęsty las, do tego niebo zakrywała coraz szczelniejsza warstwa chmur. Taylor odnosiła wrażenie, że Memphis skręca na chybił trafił, zagłębiając się w coraz dziksze leśne ostępy. Szosa zwęziła się do jednego pasa, żadnych wiosek i znaków, tylko zapierająca dech w piersiach przyroda Highlands.

Gdy Taylor wreszcie dostrzegła tablicę ze strzałką, która wskazywała, jak dotrzeć do kościoła, Memphis wyjaśnił:

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Skręcił w lewo, a droga stała się jeszcze węższa. - W lecie nie da się tu przejechać samochodem. Gałęzie wiszą tak nisko, że rysują lakier.

Samochód terenowy byłby o wiele praktyczniejszy, tym bardziej że zniknął asfalt i jechali drogą gruntową. Zza zakrętu wyłonił się kamienny kościół, a raczej porośnięte chwastami ruiny. Taylor zrobiło się przykro. Żadne święte miejsce nie powinno być aż tak całkiem zapomniane.

Memphis minął ruiny, zaparkował i oznajmił:

- Resztę drogi przejdziemy pieszo.

Taylor wyszła z auta i mocniej otuliła się kurtką. Powietrze było krystalicznie świeże i chłodne, usłyszała szum wody. Przeszli około stu metrów i za zakrętem ukazał się widok zapierający dech: nieduży kamienny mostek, a za nim potężny wodospad.

Memphis milczał przez chwilę, by Taylor mogła nacieszyć się cudownym pejzażem, a potem powiedział:

- Wodospad widać w pełnej krasie tylko w zimie, bo latem zarośla są zbyt gęste, dobry widok jest tylko z dołu, ze środka rzeki. Nawiasem mówiąc, wspaniałe miejsce dla wędkarzy.

Niechętnie wyjęła ręce z kieszeni, by napisać odpowiedź w notesie. Chłód kąsał odkrytą twarz i szyję.

*Och... Niesamowite!*

- To jest most Dulsie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

*Jak to? Twój ród wziął swoje miano od mostu?*

- Tak. To bardzo ważny most.

*Wygląda na bardzo zwyczajny mostek. Nie ma wioski czy miasteczka Dulsie? Albo nawet hrabstwa?*

- Tylko zrujnowany kościółek. Zawalił się dwa wieki temu.

*Aha, rozumiem...*

- Nie rozumiesz - powiedział ze śmiechem Memphis. - Jeśli jakaś armia chciała przejść przez te ziemie, rzeka stawiała jej na drodze. Most został zbudowany w 1255 roku jako przeprawa dla wojsk angielskich. Wiesz, że Highsmythe to nazwisko brytyjskie, nie szkockie, prawda? - Gdy potakująco kiwnęła głową, mówił dalej: - Te ziemie od wieków należały do nas, ale nic tu się nie

działo, dzikie tereny, to wszystko. Kiedy czwarty hrabia przybył na północ, by obejrzeć włości i zebrać podatki, dostrzegł potencjalne korzyści i szansę na znaczne powiększenie rodowej fortuny. Wybudował zamek i osiedlił się w Highlands, z dala od brytyjskiej Korony. Ożenek z młodziutką Isabellą przyniósł mu kolejne ziemie. Resztę historii już znasz. – Zobaczył, że znów przytaknęła ruchem głowy. – Co ciekawe, przebywał tu w swoim czasie Robert Burns, kiedy udał się w podróż do Strathspey. Spodobała mu się pani Grant.

*A tak... „Ma miłość jest jak róży krew...<sup>[1]</sup>”.*

– Słyszałaś o nim?

*Wszyscy wiedzą o Robercie Burnsie. Narodowy szkocki poeta, romantyk...*

Memphis ujął jej dłoń, przycisnął do swego serca i wyrecytował:

– W piękności twojej strojna blask,

Jak w lunę jasnych zórz,

Ma miłość przetrwa świat i czas,

Gdy dna już wyschną mórz.

Uśmiechał się do niej z twarzą pełną nadziei. Taylor przygryzła wargę. Wiedziała, że Memphis cytuje wiersz, że to nie jego słowa, a mimo to... Milczała, czuła się zagubiona.

– Taylor, ja...

Powstrzymała go ruchem ręki, szczerze żałując, że nie może z nim normalnie porozmawiać.

*Proszę, przestań, zanim powiesz coś, czego potem będziesz żałować.*

Odwrócił się, patrząc na rzekę. Widziała, że toczy ze sobą walkę. Chciał powiedzieć i uczynić coś więcej. Wyczuwała jego frustrację.

Ona także była mocno rozedrgana, bo nie wiedziała, czego tak naprawdę chce. Zawsze wydawało jej się, że to wie, ale ostatnie tygodnie okazały się bardzo trudne. Baldwin ją odpychał, a Memphis przyciągał. Kopnęła kamyk i patrzyła, jak spada w spienione odmęty. Rozbolała ją głowa.

Memphis odwrócił się do niej z pociemniałą twarzą.

- Wobec tego zachowam milczenie, lecz to nie powstrzyma mnie od działania.

Zbliżył się do niej tak szybko, że nie miała możliwości się cofnąć, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

Oddała mu pocałunek. Niedawno wyrwała się z jego objęć, ale na pustkowiu, gdzie nikt ich nie mógł zobaczyć, nie miała na to ochoty. Gdy Memphis przytulił ją mocniej, nie chciała o niczym myśleć, pragnęła, żeby pocałunek się nie kończył. Memphis całował wspaniale, z ogromną biegłością i rytmem, który jeszcze mocniej uwypuklał oczywistą prawdę: świetnie do siebie pasują, nic, tylko pogłębić namiętność, pójść na całość...

Przerażony głosik zawołał w niej: „Taylor, tracisz kontrolę!”.

Kazała mu się zamknąć. Okłamywała siebie, Baldwina i Sam. Przybyła do Szkocji, żeby się przekonać, co za czar rzucił na nią Memphis. Czy to coś prawdziwego? A może tylko skazana na porażkę ułuda? Miejsce, w którym rozpoczęła się historia jego rodu, było jakby stworzone do tego celu.

Memphis przygwoździł ją do kamiennego muru, po czym nie przerywając pocałunku, podsadził ją, zmuszając, by objęła go rękami i nogami. Wyczuwała pod ubraniem twardą jak granit muskulaturę. Wyszarpnęła brzeg koszuli ze spodni i wsunęła dłonie pod materiał. Pogłaskała tors i gładki brzuch. Memphis włożył rękę pod jej sweter i zręcznie rozpiął biustonosz. Ciężkie piersi wyskoczyły sprężysto na chłód. Ujął je i zaczął żarliwie całować.

Powinna to przerwać, zanim będzie za późno, ale Memphis już rozpiął jej dzinsy i wsunął palce pod cienki materiał fig. Jakież to było przyjemne...

Nie, nie, nie! - pomyślała. Stop, natychmiast stop!

- Stop! - powiedziała głośno.

Memphis zastygł. Płynęły sekundy. Taylor była w trudnym położeniu, o czym wiedzieli oboje. Już nieznaczny ruch palca osłabił jej determinację, zdołała jednak niby delikatnym, a tak naprawdę stanowczym ruchem odsunąć dłoń Memphisa. Opuściła sweter, zapięła dzinsy i zeskoczyła z murku.

Oddychał nierówno, Taylor też była lekko zdyszana. Przyłożyła rękę do ust, żeby się uspokoić, a Memphis wyszeptał następane

słowa wiersza:

- Gdy wszystkich mórz dna wyschną w krąg,  
Skał w słońcu zniknie ślad,  
Wyciekną piaski z Czasu rąk,  
Ma miłość przetrwać świat.

Nie odpowiedziała, więc rzucił z przesadnie szkockim akcentem, że Burns to wspaniały poeta.

- Tak - wyszeptała, ale czar prysnął. Miała spierzchnięte wargi, czuła się cała obolała, całkiem do niczego.

Spojrzała mu w oczy. Były teraz ciemnoniebieskie, co oznaczało, że zmieniały kolor pod wpływem emocji. Wiedziała, że należą mu się szczerze przeprosiny. To nie jego wina, że czuła się zagubiona.

- Ja... To... Nie mogę... Ja nie... - Cholera, zakłęta w duchu, i patrząc Memphisowi w pociemniałe oczy, wydusiła: - Przepraszam.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Memphis przeniósł wzrok na wodospad.

- Te ziemie z uwagi na położenie i ukształtowanie terenu miały strategiczne znaczenie. Tędy wiodła droga do Inverness, a moja rodzina kontrolowała całą okolicę. Nie mieszkali tu, tylko posiadali tę ziemię, odtąd aż do zamku. Z biegiem lat to się trochę zmieniło, część ziem ukradziono lub odebrano legalnie, część została oddana w zamian za kobiety, ale nadal posiadamy ponad dwa tysiące hektarów.

Zaproponował neutralny temat, a także odwrócił oczy, co Taylor natychmiast wykorzystała, by zapiąć stanik. Wciąż mocno wytrącona z równowagi, uznała, że najlepiej będzie, gdy podąży za opowieścią Memphisa. Podniosła z ziemi notes, który upadł w czasie szamotaniny, otrzepała z kurzu i napisała:

*Więc to są włości Highsmythe'ów. Powinieneś postawić tablicę.*

- Przestań kpić. Wydawało mi się, że ci się tu podoba.

Bo tak jest, Memphis, pomyślała. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo. Tu jest cudownie.

Swobodnym gestem, jakby nigdy nic, wyciągnął do niej rękę. A przecież ta dłoń przed chwilą poczynała sobie nad wyraz śmiało, rozpoczęła grę wstępną, zachęcała do najdzikszego seksu...

- A teraz w drogę. Może uda nam się zobaczyć Nessie?

*Jedziemy do Loch Ness?*

Zareagowała radosnym uśmiechem. Może nie powinna aż tak się cieszyć, że opuszcza to niezwykle miejsce, ale nie mogła się już doczekać, kiedy wsiądzie do auta.

- Naprawdę myślałaś, że przywiozłem cię taki kawał tylko po to, żebyś obejrzała ten mostek?

Wiedziała, że musi odpowiednio zareagować, by przywrócić swobodną atmosferę.

*Wiem, po co mnie tu przywiozłeś. By mnie wykorzystać. Prześliczna okolica, piękny stary most, wodospad należący do*

*twojej rodziny, poematy miłosne. Jesteś niegrzecznym chłopcem, Memphis.*

Uśmiechnął się i wrócili do samochodu. Znow było jak przedtem, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego. Puls Taylor nareszcie zwolnił, a Memphis znow wcielił się w rolę przewodnika.

- Wystarczy nam czasu, żeby najpierw zjeść drugie śniadanie w Dores Inn - powiedział, gdy zapalił silnik. - Lubisz ryby z frytkami? Mają tu najlepszą kuchnię w Highlands.

- Mmm.

W milczeniu dojechali do głównej drogi. Taylor nauczyła się już wyczuwać nastroje Memphisa i zauważyła, że są bardzo zmienne. Wyraźnie coś go dręczyło. Wesoły, jowialny żartowniś z mostu gdzieś zniknął. Innymi słowy, jednak nie wróciła poprzednia atmosfera, i była to jej wina. Najpierw poddała się pokusie, lecz gwałtownie ochłonęła. Owszem, nie było to w porządku, ale Memphis nie miał prawa się na nią złościć. Niepotrzebnie próbował wykorzystać sytuację.

Milczenie stało się nie do zniesienia.

*Jesteś zły?*

- Na ciebie? Nie, oczywiście, że nie. - Nie zabrzmiało to sarkastycznie, jednak nie patrzył na nią, miał wzrok wbity w drogę.

*Prawie nic nie mówisz, milczysz...*

Westchnął głęboko i poprawił ręce na kierownicy astona.

- Nie wiem, czy powinienem ci o tym powiedzieć.

*O czym, Memphis?*

Trwało chwilę, nim odparł pełnym napięcia głosem:

- Taylor, jestem w tobie rozpaczliwie, beznadziejnie zakochany. Uwielbiam cię. Wiem, że też nie jestem ci obojętny. Nie możesz temu zaprzeczyć.

Nie było sensu próbować, skoro w czasie pocałunku tak bardzo się odstąpiła. Owszem, pragnęła go, ale miłość? W żadnym wypadku! Gwałtownie potrząsnęła głową.

Biorąc to za znak zgody, uścisnęła jej rękę.

Cholerny Angol! - pomyślała gniewnie. Wciąż wszystko przeinacza po swojemu.

- Jeśli popełniłem błąd, to cię przepraszam. Szczerze mówiąc, niczego takiego nie planowałem. Mam bilety na wycieczkę promem po jeziorze Loch Ness w południe. Kiedy objeżdżałem rondo, skręcenie w kierunku mostu wydało mi się takie... naturalne i oczywiste.

Czuła, że mówi prawdę. Wcale nie zamierzał się do niej dobierać. Wiedziała też, że wciąż nie pogodził się ze śmiercią Evan, dlatego obawiała się, że jest dla Memphisa nie tyle wielką miłością, co kandydatką na namiastkę tragicznie zmarłej żony. Tak, to bardzo możliwe, a jednak zmysły w obojgu zapłonęły z ogromną mocą, jakby...

Napisała szybko:

*Wybaczam ci, ale pamiętaj, że jestem zaręczona. Nie możemy tak postępować.*

Mój Boże, będzie musiała spalić te kartki natychmiast po powrocie do zamku.

- Mylisz się, Taylor. Jest na odwrót. Nie chcę jednak wykorzystywać sytuacji, w której się znalazłaś, więc przyjmij moje przeprosiny, milady. Proszę.

*Oczywiście.*

Uścisnęła go lekko za rękę i zdziwiła się, jak mocno zareagowała na ten przelotny dotyk. Boże, jaka jestem głupia, pomyślała smętnie.

Gdy zbliżyli się do Inverness, Memphis zaczął jej opowiadać o historii tych ziem i krwawych walkach, które się tutaj toczyły. Z szosy widać było niebieskie i czerwone chorągiewki zaznaczające linie, wzdłuż których stały naprzeciw siebie armie brytyjska i szkocka, przedzielone bagnami Drumossie, miejsce wiecznego pochówku tak wielu żołnierzy.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Była otoczona przez śmierć, przez duchy umarłych. Marzyła o powrocie do zamku, z dala od przejmującego smutku tych bezkresnych terenów.

Lecz Memphis nie zamierzał rezygnować, więc po kwadransie zajechali na parking przed gospodą położoną na najbardziej wysuniętym na północ cyplu nad Loch Ness. Widok był przecudny. Mgła wstawiała znad wody, a po niebie gnały popychane wiatrem ciemnoszare chmury. Na rozłożystym

różnym krzewie przed wejściem do Dores Inn wciąż można było ujrzyć pojedyncze kwiaty.

W gospodzie było przytulnie i ciepło, ogień w kominku trząsał wesoło. Obsługa ucieszyła się na ich widok, bo o tej porze, czyli poza sezonem, nie było wielu klientów, choć promy wycieczkowe nadal kursowały po jeziorze. Taylor wyobrażała sobie, jak musi tam być zimno, zwłaszcza przy tak silnym wietrze.

Potrzebowała czegoś na uspokojenie nerwów, więc zamówiła guinnessa. Zażyła też tabletkę percocetu w nadziei, że przestanie obserwować ręce Memphisa i wyrzuci z pamięci to, co się zdarzyło przy kamiennym moście.

Memphis starał się być pogodny, ale też co chwila popadał w zamyślenie. Posiłek zjedli w krępującym milczeniu. Ryba z frytkami faktycznie okazała się pyszna, a porcja tak duża, że Taylor nie zdołała wymieść talerza do czysta. Po mniej więcej półgodzinie opuścili gościnne progi gospody i ruszyli w dalszą drogę, na co Taylor zupełnie straciła ochotę.

Memphis objaśnił jeszcze kilka szczegółów, po czym znowu umilkł, kierując się na południe.

- Przykro mi - mruknął wreszcie. - Nie powinienem był cię zabierać na most. Sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

Mogłaby powtórzyć te słowa. Co właściwie myślała, gdy uległa urokowi Memphisa? Potarła czoło, czując bliznę pod palcami. Głowa bolała ją coraz mocniej. Wysypała na dłoń jeszcze jeden percocet, a potem fioricet. W torebce miała małą butelkę wody. Połknęła tabletki i wyciągnęła notes.

*Memphis, jestem zmęczona. Może już wrócimy, dobrze?*

Uśmiechnął się z ulgą, jakby wyczekiwał na te słowa.

- Jasne, więc jedziemy do domu.

Byli w pobliżu Fortu Augustusa. Powrót na zamek zajął im ponad godzinę. Poruszali tylko bezpieczne tematy: sprawa, nad którą pracował Memphis, tajemniczy Urq, zaginione dziewczyny. Przestępstwa i zbrodnie - tylko to naprawdę ich łączyło.

Dochodziła trzecia po południu, gdy Memphis przejechał przez zamkową bramę. Zapowiadany śnieg wciąż nie padał, na zachodzie przez chmury przeświecały ciemnoróżowe promienie zniżającego się słońca.

- Pozwól, że ci to wynagrodzę - powiedział w pewnej chwili Memphis.

Marzyła tylko o tym, żeby się położyć i pozbyć bólu głowy. Nie miała ochoty na dalsze przebywanie z uprzejmym gospodarzem, ale ciekawość i dobre maniery nakazywały co innego.

*Dobrze. Co masz na myśli?*

- Chodź ze mną. - Wyskoczył z samochodu, okrążył go i otworzył jej drzwi. - Zapnij kurtkę, robi się chłodno.

Mało powiedziane. Panował lodowaty ziąb, na domiar złego w powietrzu czuło się wilgoć. Taylor otuliła się kurtką i nauczona porannym doświadczeniem, ostrożnie włożyła rękę do kieszeni. W zabandażowanym palcu poczuła bolesne pulsowanie.

- Pójdziemy tędy - powiedział Memphis, kierując się do wąskiej bocznej ścieżki wiodącej do drewnianej łukowatej bramy wysokiej na ponad cztery metry.

Memphis otworzył ją kluczem, a gdy weszli do środka, zamknął ją. Ścieżka pięła się na szczyt łagodnego wzniesienia. Taylor ujrzała w dali duży posąg. Odwróciła się, by sprawdzić położenie zamku, i uświadomiła sobie, że stoi dokładnie naprzeciw wejścia.

*Co to jest?*

- Zaraz zobaczysz - odparł Memphis.

Na dziś miała już dość niespodzianek, jednak posłusznie poszła za nim. Po lewej znajdował się dwumetrowy kamienny mur. Nie wiedziała, co się za nim kryje, może cmentarz? Niemile uczucie, które ogarnęło ją wcześniej, powróciło ze zdwojoną siłą.

Po kilku minutach znaleźli się na szczycie wzniesienia. Mieli przed sobą posąg kobiety, która trzymała łuk i strzałę, a na jej prawym ramieniu przysiadła sowa. Taylor zaczęła się domyślać, kogo przedstawia ta postać.

*Atena?*

Dostrzegła plaketkę umocowaną u stóp posągu, która potwierdziła jej przypuszczenia.

- Tak, bogini Atena, ulubienica mojego ojca. Zresztą także i moja. Szósty hrabia w szesnastym wieku zamówił ten posąg u florenckiego rzeźbiarza Ramy Nardiego. Jego mistrzem był

Niccolò di Piero Lamberti, ale nie osiągnął jego poziomu. Miał kłopoty ze skalą. Popatrz na stopy posągu, są za duże w stosunku do reszty ciała. Nardi zmarł, nim ukończył dwadzieścia pięć lat. To jedno z dziesięciu dzieł, które po sobie pozostawił. Cztery kolejne znajdują się za murem. – Posąg był bardzo stary, omszały. Naprawiono tylko drobne pęknięcia postumentu.

*W takim razie te rzeźby są cenne, prawda?*

– Owszem, chociaż Nardi nie był ani znanym, ani szczególnie utalentowanym rzeźbiarzem. Nikt nie ukradnie posągu, jeśli o to ci chodzi, bo jest zbyt ciężki, no i znajduje się w prywatnej części posiadłości.

*Co to za miejsce?*

– Chodź, sama zobaczysz.

Poprowadził ją do kamiennego muru, do miejsca, skąd mogła spojrzeć, co się za nim kryje, i zobaczyła przepiękny ogród, pośrodku którego lśniło jezioro.

Tajemniczy ogród, pomyślała, a w notesie napisała:

*Ślicznie tu.*

Czuła, jak bardzo Memphis jest zadowolony, że tym razem dostarczył jej tylko miłych i pozytywnych doznań.

– Też tak uważam – odparł z dumą. – Posiadłość jest podzielona na części, do tej turyści nie mają wstępu. Nieco dalej stoi domek, w którym mieszka ogrodnik z żoną. Pochodzi z rodziny, która pracuje tu od wieków. Nawet nie wiem w którym już pokoleniu zajmują się ogrodami, są w tym wprost niezrównani. Ta rodzina należy do historycznego dziedzictwa Dulsie. Spójrz, łabędzie!

Dostrzegła majestatyczną trójcę. Dwa białe i jeden szary, a wszystkie ogromne.

– Łabędzie nieme. To William i Harriet, a ten szary to ich malec Charles. Dopiero zmienia upierzenie. Mieszkają tu z nami od lat. Lubię do nich zachodzić, kiedy przyjeżdżam do domu, chociaż Harriet pewnego razu próbowała mnie uszczypnąć, gdy wlałem do jeziora.

Memphis starał się ją zagadać. Skinęła głową z uśmiechem. Rozumiała go. Ona także czuła się niezręcznie.

Słońce niemal już zaszło, wirowały pierwsze płatki śniegu. Memphis wskazał urzekającą urodą panoramę doliny za plecami Ateny. Taylor uśmiechnęła się, gdy poczuła śnieg na języku.

*Cudownie!*

Memphis włożył jej do ręki duży staroświecki klucz.

- Więc przychodź tu częściej. To klucz do bramy. Jak na pewno już zauważyłaś, okna twoich pokoi wychodzą na góry, a nie na ogrody, dlatego widzisz je po raz pierwszy. Możesz tu przychodzić, jak często zechcesz. Najlepiej będzie... Cóż, jutro muszę wracać do Londynu, czeka mnie mnóstwo pracy. Dasz sobie radę sama?

Czuła się rozdarta. Nie chciała, żeby wyjeżdżał, ale i nie chciała, żeby został. Jednak łatwiej poradzi sobie bez niego, była tego pewna. Wsunęła klucz do kieszeni dzinsów i by nie ulec podszeptom zdradzieckiego umysłu, błyskawicznie napisała odpowiedź:

*Oczywiście. Przecież po to tu przyjechałam, prawda? Pracować z Maddee i dochodzić do zdrowia. Tu jest cudownie. Nie znajduję słów, by ci za to podziękować jak należy, Memphis. Przykro mi, że dzisiaj było tak... trudno.*

- To moja wina. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, żeby pokazać ci most. - Strzepnął płatki śniegu z jej włosów. - Ale to nie było tak całkiem złe, prawda? I nie ma sensu udawać, że nic nie zaszło. Żałujesz?

Wbiła wzrok w ziemię. Czy żałowała?

*Przestaliśmy w porę. Nie ma czego żałować.*

Tylko czy była to prawda? Czy Baldwin także byłby tego zdania? Myślenie o nim, o tym, że rozczarowała kolejną osobę, było bolesne. On się nigdy nie dowie, powiedziała sobie. Nie wyjawisz mu tego, bo nie chcesz go zranić. To sekret twój i Memphisa.

Padał coraz gęstszy śnieg. Gdy doszli do drewnianej bramy, Memphis na chwilę wziął od Taylor klucz i otworzył bramę, a gdy wyszli na zewnątrz, zamknął ją starannie. W zamku było ciemno, nie licząc kilku oświetlonych okien w prywatnej części. Zapewne skrupulatnie oszczędzano prąd. Zatrzymali się

i patrzyli na ogromną samotną budowlę. Wreszcie Memphis powiedział:

- Należysz do kobiet, na które każdy facet zwraca uwagę. -  
Wzruszył ramionami. - Chodźmy sprawdzić, co przygotowała dla nas kucharka.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

*Kochana Sam,  
jestem strasznie głupia.*

*Wiem dobrze, co myślisz. Słyszę cię, jakbyś tu ze mną była, słyszę, jak robisz mi wyrzuty. Zawsze mogłam liczyć na twoje dobre rady.*

*Memphis pocałował mnie na moście Dulsie. To fragment jego rodowych włości. Prześliczne miejsce. Nie będę udawała, że mnie to zaskoczyło. Od dawna wiele wskazywało na nasz wzajemny pociąg.*

*Sam, jestem kompletnie zagubiona. Nie wiem, co dalej robić. Nie kocham go. Nie tak, jak by tego chciał czy potrzebował.*

*To coś zupełnie innego niż z Baldwinem. Baldwinowi nigdy nie byłam potrzebna. On mnie uwielbia, nie żywię co do tego żadnych wątpliwości, gdyby jednak coś się ze mną stało, mógłby dalej żyć i być szczęśliwy z inną.*

*Memphis doświadczył już tak głębokiej straty. Dobrze wiem, że mam mu zastąpić Evan. Ale kiedy mnie pocałował, poczułam coś takiego, czego jeszcze nigdy nie doznałam. I teraz nie wiem, co z tym fantem zrobić.*

*Odpisz, powiedz coś mądrego.*

*Buziaki,*

*Taylor*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Baldwin polubił sir Nigela. Był szalenie konkretny i pragmatyczny, niestety nic mu nie pomógł.

- Sprawdziłem całą naszą dokumentację. Nie ma śladu, żebyśmy kiedykolwiek korzystali z usług Juliusa. Zgoda, to żadna niespodzianka. Tacy ludzie zazwyczaj nie figurują w papierach.

- Święta prawda. Niemniej doceniam pańską pomoc.

- Znam kogoś, kto może coś wiedzieć. Jak tylko się z nim porozumiem, zadzwonię do pana.

- Dziękuję. Będę winien przysługę.

- Oczywiście. Na razie.

Julius, gdzieś ty, do diabła, przepadł, człowieku? - zapytywał w duchu Baldwin. Atlantic przypuszczał, że Julius mógł zginąć albo dał się złapać, ale on w to powątpiewał. Facet był niesamowicie ostrożny. Światowej klasy snajper, piekielnie sprawny, a do tego szalenie inteligentny, żaden tam prymitywny bandzior bez skrupułów. Zabójca filozof.

Baldwin nawet go lubił. I stworzył swoją wersję zdarzeń. Zapewne Julius miał dość stresującej pracy i przepadł bez śladu. Już raz tak było, tyle że Baldwin zdołał namówić go do powrotu. Namierzył Juliusa w przytulnej kryjówce w Amsterdamie, ale teraz tam się nie pojawił.

Baldwin opuścił pokrywę laptopa i usiadł wygodniej. Pod nieobecność Taylor w domu było okropnie cicho. Tęsknił za nią, Boże, jak strasznie za nią tęsknił.

Jeśli znajdzie Juliusa, będzie musiał go znowu przekonać do powrotu i sprowadzić do domu, ale gdyby go kto pytał, czego tak naprawdę pragnie, to odpowiedź była oczywista: tak szybko, jak to możliwe, polecieć do Edynburga.

SMS-y przyszły w środku nocy, uprzejme i neutralne. By nie sprawiać wrażenia, że rozpaczliwie czekał na wiadomość,

Baldwin zwlekał z odpisaniem. Wyjął komórkę i odczytał je ponownie.

Próbował sobie wyobrazić, gdzie w tej chwili jest Taylor i co porabia. Jaki to cholernie czarujący pomysł miał dla niej Memphis...

Wiedział jednak, że niepotrzebnie się tym gryzie. Po prostu Taylor nie robi nic, co naraziłoby ich związek na szwank. Rozumiał przy tym, dlaczego musiała wyrwać się z Nashville. Jezu, gdyby szło o niego, to już dawno by się załamał. Taylor znajdzie do niego drogę. Mawia się przecież, że jeśli się kogoś kocha, to trzeba dać mu wolność.

Zadzwoił telefon. Miał nadzieję, że zobaczy kierunkowy 615, ale niestety był to ponownie Ainsley.

- Szybka akcja - powiedział Baldwin do słuchawki.

- Wyjechał do Argentyny. - Ainsley nie tracił czasu na pogaduszki.

- Żartuje pan? Co jest w Argentynie?

- Wino i alpaki. A także kobiety, jak wszędzie. Kto tam za nimi trafi, kto pojmie, jak wybierają te miejsca. Wyślę panu szczegóły. Przy odrobinie szczęścia dopadnie go pan.

- Przy odrobinie szczęścia. Jeszcze raz dziękuję za informację.

- Powodzenia, doktorze Baldwin.

- Wzajemnie. - Rozłączył się, starając się opanować narastającą złość. - Kurwa. Argentyna? Julius, ty gnoju!

Przyszedł mejl. Były to informacje od Ainsleya. Przeczytał je i przesłał do Atlantica. Odpowiedź przyszła natychmiast:

Właśnie dostałem te same informacje. Już go tam nie ma. Ale mieliśmy cynk z lotniska, w systemie pojawiła się jedna z jego tożsamości. Wczoraj wieczorem odleciał z Buenos Aires do Amsterdamu. Mam nadzieję, że masz paszport pod ręką.

Doskonale. Amsterdam nie był zły, a co ważne, zbliżał go do Taylor.

Ludzie Atlantica zorganizują mu przelot. Niewykluczone, że wieczorem będzie już w Europie. Na spotkanie wyjdzie mu jeden z Twórców Aniołów, razem dopadną Juliusa i przed Bożym Narodzeniem wróci do domu.

Znowu będzie się mógł skupić na tym, co najważniejsze. Na zaginionym synu. Na Taylor.

Zanim poszedł się pakować, napisał SMS-a:

Taylor, to dobre wieści. Cieszę się, że sesja się udała. Za chwilę wyjeżdżam na lotnisko. Postaram się być z tobą w kontakcie, ale jeśli mi się nie uda, to nie martw się o mnie. Zadzwoń najszybciej, jak będę mógł. Bądź grzeczna. Kocham cię.

Miał nadzieję, że po powrocie nadal będzie go chciała.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Kolacja była wykwintna i obfita. Taylor uznała, że jeśli nie zacznie się pilnować, przytyje w zamku co najmniej trzy kilogramy. Memphis był wesoły, starannie unikał wzmianki o ekscesach na moście. Bawił ją opowieściami o młodzieńczych eskapadach, o winnicy brata w Afryce Południowej i o jakobitach, którzy uparcie próbowali osadzić na tronie dynastię Stuartów. Taylor czuła się wyśmienicie.

Po kolacji zażyła tabletki i wyruszyła z Memphisem na zwiedzanie zamku. Pokazał jej wszystkie zakamarki i cenne zbiory, za oglądanie których turyści musieli zapłacić ciężko zarobione pieniądze. W każdej komnacie snuł ciekawe opowieści, jakby był przewodnikiem wycieczki. Taylor z ulgą powitała salę bilardową. Okazało się, że znajduje się na tym samym piętrze co jej sypialnia, tylko trzy pokoje dalej. Gdyby nie była w stanie usnąć albo się nudzić, zawsze mogła zagrać partyjkę.

W środku stały dwa stoły do snookera i jeden do zwykłego bilardu. Był duży, na ciężkich drewnianych nogach, zgodnie z tradycją pokryty zielonym sukniem. Ustawili bile, rzucili monetą i Memphis wygrał, ale jako dżentelmen pozwolił rozpocząć grę Taylor.

Przy drugiej rundzie zaczęli grać poważnie. Memphis był ambitny, lubił rywalizować, ale Taylor nie bała się wyzwania. Ustalili stawkę, przed każdą partią wpłacali po funcie. Grali do późnej nocy. Najpierw wygrywali na przemian, wreszcie Taylor zdobyła zdecydowaną przewagę i w rezultacie wygrała siedem funtów. Uznała, że to całkiem niezły wynik.

Kiedy oznajmiła, że chciałaby się już położyć, Memphis nie protestował. Odprowadził ją pod drzwi sypialni, uścisnął i pocałował w policzek. Powiedział, żeby go wezwała, jeśli będzie czegoś potrzebować. Śniadanie mieli zjeść w jadalni o ósmej.

Memphis zwlekał z odejściem, wreszcie spytał:

- Czy chcesz, żebym wszedł na chwilę?

Czy chciała? Zmysły krzyczały „tak!”, ale umysł kategorycznie odmawiał. Serca nawet nie pytała.

Lepiej, by nie powtórzyło się to, co zaszło przy mostku.

- Jak sobie życzysz, Taylor - odparł po chwili milczenia. - Obiecuję nie nakłaniać cię do niczego, czego sama nie będziesz chciała. Zatem dobranoc. - Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Pięknie. Teraz jest na mnie wkurzony, pomyślała.

Mimo wszystko tak było lepiej. Mogła się skupić na tym, co było dla niej najważniejsze, i właśnie po to tu przybyła. Zamierzała wrócić do normalności. Miała już dość poczucia, że jest słaba i bezbronna. To nie leżało w jej naturze.

Ale dzisiaj... cóż, dzisiaj niewiele zwojuje. Na odtwarzaczu leżała kasetka zawierająca ćwiczenia relaksacyjne od Maddee, jednak kompletnie nie miała na nie ochoty. W ogóle nie chciało jej się zabierać do pracy, pragnęła zapomnieć o wszystkim, przynajmniej na jakiś czas.

Na barze stała karafka napełniona rubinowym płynem. Taylor wyjęła korek i powąchała, po czym stwierdziła z radością, że to wyborne porto. Co za uprzejmy gospodarz. Nalała sobie kieliszek i zasiadła w fotelu przed płonącym kominkiem, który sprawiał, że w pokoju było przyjemnie ciepło.

Była ciekawa, co u Baldwina, dlaczego do niej nie zadzwonił. Wiedziała, że jest bardzo zajęty, a ten drań Atlantic każe mu się zarzynać w jakiejś tajnej misji. Pomyślała, że łatwiej by odzyskała równowagę, gdyby usłyszała jego głos. Wyjęła komórkę z torebki i zobaczyła nowy SMS. Na pewno Baldwin już wyjechał, lecz i tak zadzwoniła. Poczta głosowa. Lepsze to niż nic, ale nie pomogło. Cholera.

Wyborne porto spłynęło do gardła aksamitnie gładką strużką. Nalała sobie następny kieliszek. Głowa wciąż ją bolała, więc połknęła wszystkie przepisane tabletki, w tym melatoninę od Maddee.

Usiadła przed komputerem i zobaczyła list od Sam. Z tym także nie chciała mieć teraz do czynienia, ale po krótkim namyśle uznała, że przeczyta go od razu, jakby jednym szybkim

ruchem zdierała plaster z rany. Zaboli raz, a potem będzie spokój.

*Kochana Taylor,  
to prawda, jesteś kompletną idiotką. Mówiłam ci, że tak będzie.*

*Nie wiem, co mam ci rzec na temat pocałunku. Jesteś już duża i wiesz, co robisz. Jest jednak coś, o czym koniecznie muszę ci powiedzieć.*

*Evan zginęła na moście Dulsie. Czy Memphis wspomniął ci o tym, kiedy cię całował? Czy powiedział, że jego żona spadła z mostu, na którym się do ciebie dobierał, i utonęła?*

*Wiem, że choć jesteś detektywem, to swoim zwyczajem, gdy chodzi o prywatną znajomość, nie poszukałaś informacji o Memphisie, więc zrobiłam to za ciebie. Przesyłam ci kilka linków, możesz sobie poczytać. Tylko zrób to dokładnie, kochana. On nie jest rycerzem na białym koniu, za jakiego pragnie uchodzić.*

*Nie mogę dyktować ci, co masz robić, ale na twoim miejscu trzymałabym się od niego z daleka.*

*Uważaj na siebie, Taylor, chyba że chcesz zniszczyć to wszystko, co z takim trudem zdobyłaś.*

*Buziaki,  
Sam*

- Skurwysyn! - zawołała Taylor. Dawno nieużywany głos brzmiał obco, był gruby i chropawy. - Jasna cholera! - Wspaniale, przeklinanie dobrze na nią działało. - Memphis, draniu, co ty sobie myślisz, ha?

Poczuła ogromną ulgę. Nie była już strzępem człowieka. Troszkę pijana, oszołomiona lekami i okropnie nieszczęśliwa, ale nie załamana. Koniec z tym. Udowodniła to Maddee i jej hipnoza, a teraz Taylor sama się o tym przekonała.

Nareszcie.

Memphis przyrzekł, że ją wyleczy.

Odsunęła od siebie tę myśl i kliknęła na pierwszy z przysłanych przez Sam linków. Był to artykuł z gazety „The Scotsman” z grudnia 2008 roku. Przebiegła go wzrokiem, czując się coraz podlej.

Sam miała rację. Evan zginęła na moście Dulsie.

O Boże. Całował ją tam, gdzie stracił żonę?

Jezu Chryste... O co w tym wszystkim chodziło? Co za dziwaczny przymus kazał mu zawieźć ją na miejsce śmierci żony i właśnie tam próbować rozpocząć gorący romans?

Taylor skasowała ostatecznie mejle od Sam. Nie chciała wiedzieć nic więcej.

Nic dziwnego, że w drodze powrotnej Memphis był taki milczący. Wspominał swoją Evan.

Taylor natychmiast rozpoznała dławiące ją uczucie. Rany boskie, była zazdrosna. I to o martwą kobietę!

Dobrze, że odesłała dzisiaj Memphisa. Lekkie zadurzenie minie i znów bez reszty zajmie się tym, po co tu przyjechała. Leczeniem.

Próbowała czytać, ale kompletnie nie mogła się skupić. Rewelacje Sam spadły na nią jak grom z jasnego nieba.

Powieki zaczęły jej opadać. To dziwne, że tak szybko poczuła się zmęczona. Choć z drugiej strony dzień był długi i pełen emocji. Powlokła się do łazienki, po czym straszliwie znużona padła półprzytomna na łóżko i dopadł ją tak bardzo wytęskniony sen.

Jechała samochodem, z wyciem silnika pokonując ostre zakręty i ciągle zwiększając prędkość. Musiała uciekać, byle dalej stąd.

Most miała przed sobą. Zahamowała gwałtownie. Memphis stał na moście, przyzywając ją do siebie. Uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu tym samym i podeszła do niego. Objął ją i mocno pocałował.

- Evan, kocham cię.

- Też cię kocham.

Zaniósł się okropnym rechetem i wrzucił ją do wody.

Była straszliwie zimna. Nie czuła nóg, woda podnosiła się coraz wyżej. Była już zanurzona po pierś, po szyję. Toneła. Kiedy woda zalała jej głowę, krzyknęła przeraźliwie.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

O wpół do trzeciej nad ranem ocknęła się w gwałtowny, nieprzyjemny sposób. Czuła silne parcie na pęcherz. Ogień przygasł, w pokoju zrobiło się chłodno, a podłoga była wręcz lodowata, co boleśnie odczuły bose stopy. Poczłapała do łazienki, klnąc w duchu, że nie sypia w skarpetkach. Biegiem wróciła do łóżka, podciągnęła kołdrę pod brodę i włączyła koc elektryczny.

Leżała nieruchomo, nasłuchując szmerów i trzasków. Po zapadnięciu nocy wielkie domiszcze stawało się dziwnie nieprzyjazne. Czuła się tak, jakby była jedynym gościem w ogromnym hotelu, którego obsługa wyniosła się do własnych domów. Słyszała nieznane odgłosy i kroki na korytarzu. Mogła jedynie przypuszczać, że to któraś z pokojówek. Może powinna na pewien czas odstawić percocet? Sny po nim stawały się coraz dziwniejsze.

Odwróciła się twarzą do okna i zamknęła oczy. Wciąż jeszcze czuła się zmęczona. Być może senność powróci.

Rozmyślała o kamiennym moście, o Evan przelatującej przez przednią szybę, wyobrażała sobie, co zrobiłby Memphis, gdyby go jednak nie powstrzymała, i zadawała pytanie, dlaczego, na miłość boską, zawiózł ją tam, gdzie zginęła jego żona, i nawet się o tym nie zająknął. Wtem poczuła dotknięcie na plecach.

Wyskoczyła z łóżka, gorączkowo usiłując sprawdzić, kto tu jest. Pokój był pusty, ciemność czarna i nieprzenikniona. Namacała lampę i włączyła ją, ale nie zaświeciła się. Pewnie żarówka była przepalona. Ostrożnie cofnęła się do okna, by odsłonić kotary i wpuścić trochę światła. Szarpnęła gruby aksamit i w tej samej chwili lampa rozjarzyła się blaskiem.

Jasno oświetlony pokój był pusty. Skulona przy oknie z kotarą w garści poczuła się jak idiotka. Zanadto przejęła się opowieściami o duchach.

Podeszła do łóżka, chwyciła kabel od lampy i wcisnęła włącznik. Światło zgasło. Wcisnęła go ponownie i lampa się

zaświeciła. Coś musiało szwankować w kablu, dlatego wcześniej nie chciała się zapalić. Podeszła do kominka, pogrzebała w palenisku i dołożyła kilka polan. Potem wróciła do łóżka i zgasiła światło.

Leżała na plecach, wpatrując się w sufit i obserwując taniec światła i cieni na ścianach. Meble zdawały się poruszać. Zapragnęła, żeby Memphis położył się obok niej. Poprzedniej nocy lepiej jej się spało, a dziś czuła się podenerwowana. Miło byłoby mieć kogoś przy sobie.

Zaczynała już odpływać w sen, gdy poczuła na skroni, gdzie zarastała blizna po strzale, muśnięcie lekkie jak piórko i zimne jak lód. Otworzyła gwałtownie oczy i chciała się poruszyć, wyskoczyć z łóżka, zapalić światło – zrobić coś, cokolwiek – ale była unieruchomiona z ramionami wzdłuż boków, jakby związana sznurem. Nie mogła unieść głowy, nie mogła jej odwrócić. Na klatce piersiowej czuła przygniatający ciężar. Zaczęła krzyczeć, walczyła, żeby wstać, ale zjawa otoczyła ją ciasno ramionami. Czuła lodowate wypustki, które muskały ją po plecach.

Kolejny krzyk odbił się echem od ścian sypialni, a w odpowiedzi usłyszała śmiech. Przestała się wyrywać, a uścisk wokół ciała zelżał.

To tylko sen, tłumaczyła sobie. Śni mi się kolejny koszmar. Ja śpię. Nie wierzę w duchy.

- Odejdź - wyszeptała z trudem.

Znowu poczuła leciutkie skubnięcia, a potem nagle już mogła normalnie oddychać. Usiadła wyprostowana, trzymając się ręką za gardło i spazmatycznie łapiąc powietrze. Zapaliła lampę. Serce biło szybko i głośno. Co tu właściwie zaszło, do jasnej cholery?

Miałaś zły sen, znów tłumaczyła sobie. Wstań, wybierz książkę – tylko nie opowieść o duchach, idiotko – i pozwól umysłowi odpocząć.

Nie do wiary, ale bała się wstać z łóżka. Co było dziwne, bo właśnie się przekonała, że w łóżku wcale nie było bezpiecznie. Czy powinna zadzwonić na służbę? Wezwać Memphisa

i poprosić, żeby przy niej posiedział? Za nic nie chciała być sama.

Znów usłyszała kroki w korytarzu. Bardzo dobrze. Miała już tego dość. Włożyła sweter, pomaszerowała do drzwi i otworzyła je szarpnięciem.

Stała tam Trixie, oddalona mniej więcej półtora metra od drzwi sypialni, na pół odwrócona, jakby właśnie zamierzała odejść.

- Czy wszystko w porządku, proszę pani? - spytała z troską w oczach.

Oczywiście udawaną, o czym Taylor wiedziała. Trixie jej nie lubiła.

- Tak - odparła szeptem, szczęśliwa, że głos jednak działa.

- Proszę mi wybaczyć, ale usłyszałam krzyki, które mogłyby obudzić umarłego, więc przyszłam sprawdzić, co się dzieje.

No to pięknie. Skoro obudziła służbę, to Memphis też na pewno ją słyszał. Tyle że wczoraj przybiegł zaniepokojony, ale dzisiaj już nie. Nie wiedziała, co o tym sądzić.

- Czy Memphis też się obudził?

- Nie jestem pewna, proszę pani. Czy mam go zawołać?

- Nie, nie. Nie ma potrzeby go niepokoić.

- Ma pani rację. Na wszelki wypadek przyniosłam dzbanek herbaty. Pomoże pani zasnąć.

Na przykrytym lnianym obrusem wózku Taylor ujrzała tacę z imbrykiem i filiżanką. Był to bez wątpienia miły gest ze strony ochmistrzyni. Być może Memphis miał rację. Kiedy Trixie przekonała się, że Taylor nie zamierza zająć miejsca Evan, od razu zaczęła się inaczej zachowywać.

- Dziękuję.

Trixie wniosła tacę do pokoju, rozstawiła naczynia i naląa gorącego naparu do filiżanki.

- To rumianek z naszego ogrodu. Zwali z nóg nawet konia, jeśli będzie trzeba. Proszę wypić całą filiżankę, a gwarantuję, że tej nocy nie przyśnię się już pani żadne kosmary.

Taylor usiadła na krześle i przyłożyła filiżankę do ust. Ziołowy napar był bardzo gorący. Upiła łyczek i odstawiła filiżankę na spodek.

- Trixie?

- Tak, proszę pani?
- Byłaś opiekunką Memphisa, kiedy był mały, prawda?
- Tak, proszę pani.
- Czyli mieszkasz na zamku od wielu lat.
- Tak. Znam całą rodzinę. Proszę wypić herbatkę, dobrze pani zrobi.

Taylor wypła dwa łyki, czując, jak napięcie z niej opada. Nie przepadała za rumiankiem, lecz ten był słodkawy i nawet jej smakował.

- Trixie, czy widziałaś kiedyś w zamku ducha?

Ochmistrzyni najpierw przytknęła palec do ust, jednak po chwili skinęła i powiedziała:

- Tak, widziałam. W zamku jest ich pełno. Czy odwiedziła panią jedna z tych bestyjek? No tak, potrafią wyrwać człowieka ze snu.
- Mówiła łagodnym tonem i Taylor pomyślała, że faktycznie dobra z niej opiekunka dla maluchów.

- Nie wierzę w duchy - oznajmiła.

- Nic dziwnego, skoro jest pani Amerykanką. Brakuje wam wyobraźni. - Nie było w tym wyrzutu, tylko stwierdzenie faktu. - My, Szkoci, od dziecka przywykamy do tego, że otaczają nas duchy. Tak jest od prawieków. Wiemy, że życie to coś więcej niż praca i śmierć. Nasi zmarli zostają z nami, prowadzą nas, żebyśmy zbyt często nie wpadali w kłopoty. No, myślę, że już pani lepiej. Proszę wrócić do łóżka i spróbować zasnąć.

- Nie wspominajmy o tym Memphisowi, dobrze?

- Dobrze, moja droga, nie pisnę ani słówka.

Taylor nie miała Trixie za złe, że przemawia do niej jak do dziecka. Posłusznie się położyła, lecz kiedy ochmistrzyni wyszła, podkrađła się do drzwi, porządnie je zamknęła i podłożyła oparcie krzesła pod klamkę. Nikt nie wejdzie, nie powodując hałasu i nie budząc jej ze snu.

Podeszła do okna i wyjrzała na mroczny świat. Śnieg przestał padać, ciemność była cicha jak śmierć. Już miała się odwrócić, gdy w oddali dojrzała jakieś światło. Poruszało się, jakby ktoś szedł, świecąc latarką.

Zgasła lampę, by nikt nie dostrzegł jej w oknie, i pilnie obserwowała. Światło coraz bardziej się zbliżało, aż wreszcie

rozpoznała potężny promień latarki typu Maglite. Po chwili dostrzegła ludzką sylwetkę. Był to mężczyzna, a konkretnie Memphis. Przemykał między pniami olbrzymich sosen. Po co się włóczył w środku zimnej i ciemnej nocy?

Podniósł głowę i spojrzał w jej okno. Cofnęła się błyskawicznie, choć nie mógł jej zobaczyć, bo w pokoju było ciemno, a ona stała za kotarą. Mimo to obserwował je przez kilka minut. Zerkając ukradkiem, też mu się przyglądała, na próżno łamiąc sobie głowę, jakie miał zamiary.

W końcu odwrócił się i ruszył do zamkowych drzwi, a Taylor wróciła do łóżka. Czuła się dziwnie, było jej gorąco i kręciło się w głowie. Wyglądało na to, że przesadziła z tabletkami przeciwbólowymi.

Położyła się. Fizycznie czuła się znużona, jednak umysł pracował na wysokich obrotach. Po co Memphis włóczył się po nocy? Czy było jakieś tajemne wejście i mógł wcześniej dostać się do jej sypialni? Czy to on jej dotykał, obejmował i przytrzymywał, a ona była tak otumaniona od snu i tabletek, że go nie rozpoznała?

Dlaczego ochmistrzyni podsłuchiwała pod drzwiami? Może знаła Memphisa lepiej niż ktokolwiek inny i coś podejrzewała?

Przeszedł ją zimny dreszcz. To niemożliwe. Ponosi ją bujna wyobraźnia.

Na wszelki wypadek obmacała intymne części ciała, ale nie wyczuła nic podejrzanego. Takie wymysły to czyste wariactwo! Memphis miałby jej podać środek usypiający, potem zakraść się do sypialni i zmusić do seksu? To niedorzeczne.

Kompletny absurd, prawda...?

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Upłynęły minuty, a może godziny. Taylor wpatrywała się w sufit tak długo, że wreszcie powieki jej opadły. Ból głowy zelżał, cała się rozluźniła. Usłyszała cichy dźwięk, jakby skrobanie paznokci o framugę. Nie, tylko nie to. Nie mogła, nie chciała otwierać oczu. Jeśli zignoruje hałas, wówczas intruz sobie pójdzie.

Drzwi się otworzyły. Pod powiekami ujrzała blask lamp z korytarza. Potem znów zrobiło się ciemno. Serce zabiło żywiej.

- Taylor - powiedział ktoś niskim stanowczym głosem.

To nie duch.

To jakiś tam ktoś.

To Memphis.

Przyniósł ze sobą nocny chłód. Wyczuwała, że drży. Pilnowała, żeby nie uchylić powiek. Nie chciała niczego widzieć.

- Boję się - wyszeptała.

- Niepotrzebnie. Ze mną jesteś bezpieczna.

Ujął jej twarz w zimne dłonie, które jednak szybko się ogrzały. Nie śmiała się poruszyć. Lekkie, delikatne muśnięcia na policzkach, szyi, potem dotyk warg. Pocałował blizny, polizał ucho, pokrył pocałunkami szyję aż do obojczyka. Zaczęła się wyrywać, ale nakazał, by się nie ruszała, więc zmusiła się do tego. Słodkodręczące pieszczoty trwały. Piersi, potem brzuch. Nagle nie miała już nic na sobie, była naga, czuła dotyk zimnej pościeli. A Memphis rozgrzewał ją swym ciałem.

Zanurkował głową między jej uda i błyskawicznie doprowadził ją do szaleństwa, nie całkiem wbrew jej woli. Wygięta plecy, by znaleźć się jeszcze bliżej jego ust, wczepiła mu palce we włosy. Sekunda dzieliła ją od orgazmu, a wtedy, jakby doskonale to wiedział, odsunął się, pozostawiając ją zdyszaną i rozpaloną. Uniósł się nieco na łokciach, wsunął jej ręce pod plecy, potem pod pośladki i podciągnął się powoli, znalazł jej usta i jednocześnie podniósł ją lekko, by wejść w nią szybkim i mocnym pchnięciem.

Jęknęła, nie przerywając pocałunku. On także się nie poruszył. Byli ze sobą całkowicie złączeni, sklejeni jak jedno ciało, i ta myśl, to uczucie zerwały tamę i zalały ją fale orgazmu. Oczekał, aż przeżyje to do końca, i dopiero potem zaczął się poruszać powoli, wysuwając się niemal cały i znów w nią wracając tak głęboko, jak jeszcze nikt w niej nie był. Wreszcie ruchy stały się szybsze, bardziej rytmiczne i usłyszała niezrozumiały szept, którego i tak nie chciała rozumieć, pragnęła jedynie czuć w sobie tego mężczyznę, czuć coraz gwałtowniejsze pchnięcia, a potem kolejny szczyt.

Szepty się nasiliły. Mówił, jak bardzo ją kocha, jaka jest wyjątkowa, że nigdy jeszcze nic takiego nie przeżył, a kiedy wreszcie doszedł z potężnym wytryskiem, znowu poszukał ustami jej ust, a wtedy poczuła, że ich dusze płoną.

Była zgubiona.

Oszołomiona siłą jego uczucia, rozkoszą pieścizot, nowością tej sytuacji, dotykiem gładkiego muskularnego ciała. Nie chciała, żeby przestał. Pragnęła, by trwali tak całą wieczność.

Uniósł się, przestał przygważdżać ją do łóżka swym ciężarem.

- Śpij. Muszę iść. Kocham cię.

Przetoczyła się na bok i ciasno objęła poduszkę, jakby była jej ukochanym. Podciągnęła kolana do pozycji płodu, czując, jak nienasycone pożądanie wciąż krąży w jej żyłach i rozpala krew.

Kto by pomyślał, że będzie z nim tak cudownie...

Była śmiertelnie zmęczona.

- Po co wyszedłeś na zewnątrz?

Nie odpowiedział, a słowa zamarły na jej wargach.

Znalazła się w objęciach snu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Dzień pracy Sam dobiegł wreszcie końca. Wszystko przebiegło w miarę sprawnie, zważywszy na braki kadrowe. Mieli dziś ośmiu „klientów” i uwijali się jak w ukropie.

Przyszły wyniki toksykologii Marias González. Okazało się, że cieszyła się znakomitym zdrowiem. Pożyłaby jeszcze wiele lat, gdyby nie skosił jej na środku ulicy pirat drogowy.

Przedwczesna śmierć zawsze napawała Sam bezbrzeżnym smutkiem. Bóg jeden wiedział, ile się na to napatrzyła. Narkotyki, gangi i prostytutka, naturalna, acz często samotna śmierć ze starości, wypadki, samobójstwa i morderstwa. Ofiary nieodmiennie lądowały na jej stole. Nie widziała jeszcze wszystkiego, ale w każdym razie dość. Gdy została matką, zmienił się jej punkt widzenia, miała więcej współczucia dla rodzin, które przybywały do kostnicy zidentyfikować zmarłych. Wciąż jeszcze potrafiła zachować zdrowy dystans, ale przyjaźń z Taylor, doświadczenie szaleństwa, które zdawało się kroczyć za nią, kazało jej cenić życie bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Widać otarcie się o śmierć dawało taki efekt.

Co nasunęło jej myśl, że wciąż jest wściekła na Taylor. Co jej strzeliło do głowy, żeby całować się z Memphisem? To się nie mogło dobrze skończyć. Taylor wpadnie w kolejne tarapaty, a ona znów zostanie wplątana w nie swoje problemy, a przecież miała dość kłopotów na głowie.

Przed pójściem do domu musiała jeszcze załatwić papierkową robotę. Usiadła przy biurku i zaczęła podpisywać dokumenty oraz wypełniać formularze. Stos papierów szybko się zmniejszał. Na kolację przyrządzi gulasz, ciepły i sycący. Kiedyś piekła chleb, ale brak na to czasu, gdy są małe dzieci.

Łup. Bolesna strata uderzyła ją jak obuchem.

Zamknęła oczy i oddychała głęboko, czekając, aż minie fala rozpaczliwej tęsknoty.



Zadziwiająca, jak pracuje umysł. Nie trzeba widzieć dziecka na ulicy ani myśleć o niemowlęciu. Coś tak zwykłego, jak brak czasu na pieczenie chleba, przywoływało pogrzebane, zdawać by się mogło, wspomnienia.

Nóż wbijający się w ciało, skurcz, potworna świadomość, co właśnie się stało. Była lekarzem i dokładnie wiedziała, jakie szkody poczynił nóż. Skuliła się, wyjmując łono Marias González, równie puste jak jej w tamtej chwili.

Jak tak dalej pójdzie, będzie musiała skorzystać z porady psychiatry Taylor.

W progę stanęła Keri McGee i delikatnie zastukała we framugę.

- Słyszałaś o najnowszej akcji policji?

Sam była jej wdzięczna za oderwanie od smętnych myśli.

- Nie, a co się stało?

- Włącz telewizor.

- Okej. - Sam chwyciła pilota i włączyła odbiornik.

- Najlepiej stację WSMV, dają najpełniejszy obraz - poradziła Keri. - Ale wszyscy mówią o tej sprawie.

Sam poszukała właściwej stacji i usiadła wygodniej. W dole ekranu przesuwiał się pasek najświeższych wiadomości:

Podejrzany o dokonanie serii napadów na banki zabarykadował się w swoim domu. Policja prowadzi negocjacje.

Kruczoczarny reporter wykrzykiwał do mikrofonu z szybkością karabinu maszynowego. Sam rozpoznała okolicę. Belle Meade, obok klubu golfowego, w pobliżu Chickering Road, gdzie się wychowała.

- Cholera. - Chwyciła telefon i wybrała numer Marcusa Wade'a. Odebrał po trzecim sygnale. W tle słyhać było hałas. - Marcus, co się dzieje? Minęły dopiero trzy godziny.

- Mąż Marias zdecydował się zeznawać. Była sprzątaczką, pracowała w firmie Executive Cleaners. Najkrócej rzecz ujmując, podczas sprzątania przypadkowo znalazła pieniądze i perukę. Zabrała niedużą sumę jako dowód i chciała zgłosić nam przestępstwo, ale nie była pewna, czy jej uwierzymy. Trzymała pieniądze u siebie przez dwa tygodnie. W końcu zdecydowała się mówić, ale z tego, co zrozumiałem, uznała, że

najpierw porozmawia z rabusiem, namówi go, żeby sam się zgłosił. Oczywiście odmówił.

- To nie było zbyt mądre...

- Cóż, nie było. Musiał ją obserwować, mając nadzieję, że mimo wszystko Marias nie pójdzie na policję. Kiedy zrozumiał, że jednak ma taki zamiar, mógł zrobić tylko jedno: powstrzymać ją za wszelką cenę. Marias nie wyjawiała mężowi, kim jest ten facet, więc sprawdziliśmy nazwiska klientów firmy sprzątajacej w rejestrze właścicieli pojazdów i natrafiliśmy na poszukiwanego jaguara. Należy do niejakiego Douglasa Bowermana. Trzeba trafu, że to pieprzony prawnik. Ma ładny dom, ale bank chce mu zabrać nieruchomość za długi. Gość idzie na dno, jest zdesperowany. Dostaliśmy nakaz i pojechaliśmy go aresztować, niestety facet miał inne plany. Zabarykadował się razem z żoną i dziećmi. Oglądasz telewizję, prawda?

- Mhm. Myślisz, że Keller skłoni go do przemyślenia sprawy? - Joe Keller, policyjny negocjator, był twardym, piekielnie inteligentnym gliniarzem, a przy tym ulubieńcem Taylor. Podczas szkolenia do formacji SWAT pracowała z nim wiele razy. Sam nie znała go aż tak dobrze, ale święcie wierzyła, że jeśli ktoś potrafi doprowadzić do pomyślnego zakończenia sprawy, to tylko Keller.

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Jak dotąd był nieprzewidywalny. To, że ktoś w końcu ucierpi, jest tylko kwestią czasu.

- Jesteś pewien, że to on siedział za kierownicą jaguara, a nie na przykład żona?

- Chętnie go o to zapytam, ale nie wiem, czy będę miał szansę. Hej, muszę już lecieć. Chłopaki zamierzają wrzucić parę granatów hukowych, może to go wypłoszy.

- Powodzenia. Uważaj na siebie.

Marcus rozłączył się, a zamyślona Sam przez kilka minut majtała kablem od telefonu. Keri obserwowała ją w milczeniu. Na ekranie zaroilo się nagle od biegających ludzi, reporter miał wystraszoną minę.

To tyle, jeśli idzie o pomyślny rozwój wypadków.

- Pełna gotowość? - spytała Sam.

- Myślisz, że będziemy potrzebne? - odparła pytaniem Keri. - Miałam wyjść za dwadzieścia minut.

- Wcale bym się nie zdziwiła. Zwykle tak się dzieje, że sprawy przybierają zły obrót, zwłaszcza jeśli podejrzany nie ma nic do stracenia. Przecież najpewniej zabił już jedną osobę, więc nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji.

- Doktor Loughley, wiem, że mam dzisiaj dyżur... ale zostałam zaproszona na przedświąteczne przyjęcie organizowane przez firmę, w której pracuje mój chłopak. Ale jeśli jestem potrzebna, to chętnie zostanę.

Jasne, akurat.

- W takim razie idź - powiedziała Sam - i baw się dobrze.

Keri nagrodziła ją promiennym uśmiechem. Sam dobrze pamiętała, jak to jest cieszyć się na randkę z ukochanym. Chętnie skradłaby dziewczynie trochę tej radości. Ech, życie...

Na ekranie zapanował chaos, a reporter krzyknął:

- O Boże, czy to były strzały?! - Zaraz się jednak opanował i patrząc prosto w kamerę, powiedział już normalnym tonem: - W Belle Meade doszło dzisiaj do strzelaniny. Znajdujemy się przed domem...

Zadzwoił telefon. Sam sprawdziła numer na wyświetlaczu. Marcus.

Koniec planów związanych z gulaszem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Taylor obudziła się rozgrzana i rozleniwiona, a kiedy oprzytomniała, ogarnęła ją zgroza. Dobry Boże... Co takiego nawyprawiała?

Koszmarne bolała ją głowa, ale inaczej niż zwykle, mocniej, bardziej nieustępliwie, jakby miała kaca. A przecież nie wypła aż tyle. Pewnie szkodzą jej tabletki. Tak czy siak, dobrze, że nie było przy niej Memphisa. Gdyby go zobaczyła tuż po obudzeniu, oznaczałoby to, że ich relacja przeszła na kolejny poziom.

Boże. Baldwin nigdy jej nie wybaczy.

A czy ona zdoła wybaczyć sobie?

Wzięła prysznic i ubrała się, unikając spojrzenia w lustro. Nie była dumna z tego, co się wczoraj wydarzyło. Przynajmniej teraz wiedziała już, na czym stoi. Z Memphisem mogło być bardzo przyjemnie. Wręcz rozkosznie.

Sprawdziła komórkę. Baldwin nadal do niej nie zadzwonił.

Nie mogła rozmyślać o obu mężczyznach naraz. Może dobrze byłoby użyć dzwonka i poprosić o przyniesienie śniadania do pokoju. Nie była pewna, czy zdoła spojrzeć Memphisowi w oczy.

Dorośnij wreszcie, Taylor! - nakazała sobie w duchu. Zrobiłaś, co zrobiłaś, a teraz musisz za to zapłacić. Zjedz z nim śniadanie i przestań się zadręczać.

Zaskoczona stwierdziła, że krzesło nadal stoi pod drzwiami. Nie miała pojęcia, jak Memphis zdołał pokonać tę przeszkodę.

Gdy dotknęła oparcia, krzesło runęło z trzaskiem na podłogę. Nie było wcale wsunięte pod klamkę, tylko o nią oparte. Musiał je tam postawić, wymykając się z pokoju. Zmyślnie, trzeba mu to przyznać.

Korytarz wydawał się znacznie dłuższy niż przedtem. Odprowadzały ją spojrzenia. Mogłaby przysiąc, że widziała Naśladowcę w drzwiach sali bilardowej, opartego w swobodnej pozie o framugę, z wykałaczką w kąciku ust.

Krew płynęła z rany na czole, z czarnej poszarpanej dziury w białej skórze.

Taylor potrząsnęła głową i obejrzała się do tyłu. Nikogo tam nie było.

Pośpieszyła do jadalni. Memphis siedział przy stole i czekał na nią.

- Dzień dobry. Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową. Nie wspomniała o tym, co się jej zdawało w korytarzu, nie opowiedziała o dziwnym i nieprzyjemnym wrażeniu, ani o jeszcze dziwniejszych snach, o wizycie Trixie w środku nocy i późniejszych odwiedzinach Memphisa. W blasku dnia to wszystko wydało jej się strasznie głupie i poczuła się okropnie skrepowana.

Pośpiesznie zajęła miejsce, zrzucając przy tym widelec.

Rany, weźże się w garść! - nakazała sobie surowo.

Memphis był wesoły, co jej nie zdziwiło. Nie było po nim widać trudów nocnych wycieczek, przeciwnie, wyglądał na wypoczętego. Prezentował się elegancko i swobodnie w brązowych sztruksowych spodniach, białej koszuli, zielonym wełnianym swetrze i ciemnoszarej kamizelce z polaru. Nie widać było po nim skrepowania zdarzeniem na moście ani nocnymi igraszkami. Jakby to nie on zakłócił odpoczynek Taylor.

- Jak się miewasz w ten piękny poranek? - zagadnął.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Wolą, by Memphis nie wiedział, że odzyskała głos, przynajmniej jeszcze nie teraz. Na razie zachowa to w tajemnicy. Zresztą sytuacja była taka, że nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, więc pisemna forma komunikacji była dla niej wygodniejsza. Wyjęła z kieszeni notes.

*Brak mi słów.*

Memphis parsknął śmiechem.

- Wszystko dobrze? Wyglądasz, jakbyś nie spała całą noc.

Zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Nikogo poza nimi nie było, mógł mówić bez ogródek.

*Bo tak było. Gnębiły mnie ponure myśli.*

Nie połknął przynęty.

- Wypocznij dzisiaj, dobrze? Zmęczenie po podróży może się mocno dawać we znaki. Zaplanuj dzień tak, żebyś mogła się zdrzemnąć. Dzięki temu poczujesz się lepiej.

Czyli nie zamierzał napomykać o nocnej przygodzie. Co, u licha? Nie zasługiwała nawet na wzmiankę? Ukryła twarz za filiżanką. Co za krępująca scena. Taylor pragnęła, żeby Memphis już sobie poszedł, a wtedy wróci do łóżka i porządnie się wyśpi. Sen dobrze jej robi, czuła się taka zmęczona. W nocy spała nie dłużej niż dwie godziny, i to z przerwami. Melatonina działała, musi wspomnieć o tym Maddee. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio czuła tak wielkie zmęczenie. Gdyby tylko zadziałała na bóle głowy. I na złamane serce.

Pragnęła wypytać go o most, o Evan, ale nie wiedziała, od czego właściwie zacząć.

Zabrali się do jedzenia typowo szkockiego śniadania, tym razem z dodatkiem owsianki, która okazała się zaskakująco smaczna.

Memphis odsunął w końcu talerz i uśmiechnął się do Taylor, ale nie tym zniewalającym uśmiechem, który był jego znakiem firmowym, lecz sztywno, z przymusem.

- Poradzisz sobie, kiedy mnie nie będzie?

Otworzyła notes na czystej stronie.

*Oczywiście. Mam mnóstwo obowiązków. Leczenie i odpoczywanie daje mi do wiwatu. A ty?*

- Dam radę. Nie pozwól Maddee sobą rządzić. Jeśli będziesz miała dość, powiedz jej, żeby przerwała, dobrze? To samo dotyczy wszystkich, którzy tu mieszkają. Masz się czuć jak u siebie w domu, a służba otrzymała ściśle instrukcje, żeby spełnić każde twoje życzenie.

*Niczego nie potrzebuję. Planuję odpoczywać, czytać, pracować z Maddee, chodzić na spacer. To wszystko.*

- Poproś Jacques'a, żeby cię zabrał na polowanie z fretkami na króliki. To duża frajda.

*Okej, polowanie z fretkami na króliki już jest na liście. Coś jeszcze?*

- Chyba nie. Tylko pamiętaj, bądź ze mną w kontakcie, pisz mejle i SMS-y, żebym wiedział, czy wszystko w porządku. Nie

będzie mnie najwyżej dwa dni. Wrócę na weekend. Zabiorę cię do Ben Nevis, wybierzemy się na wycieczkę w góry.

*Ben Nevis?*

- To najwyższy szczyt w Szkocji. Wspaniałe widoki na niezwykle wąwozy.

*Brzmi zachęcająco.*

- Nie pożałujesz, uwierz mi. Niestety muszę już pędzić, mam pociąg o dziesiątej. Do zobaczenia za dwa dni. Czy sama znajdziesz drogę do pokoju?

*To jak druga natura.*

Roześmiał się, musnął wargami czoło Taylor i przez moment przytrzymał rękę na czubku głowy. Nie wiedziała, czy unieść podbródek i zaprosić go do pocałunku, czy odsunąć się i ukryć pod stołem. Przeżywała rozterki godne podlotka, a nie dorosłej i doświadczonej kobiety.

Tkwiała sztywno i nieruchomo.

- Do widzenia, Taylor.

Wyszedł. Słyszała jeszcze, że rozmawia z Trixie, a potem zaległa cisza.

Taylor zadumała się głęboko. Wiedziała, że Brytyjczycy są małowówni i dyskretni, ale wczorajsza noc naprawdę zasługiwała na wzmiankę, chyba że Memphis się rozczarował. Tyle że tak się nie stało. Akurat to jedno było całkowicie jasne.

Być może chciał ją skłonić do wykonania następnego kroku. Nie pamiętała szczegółów. Może sama zażądała od niego, by o tym nie wspominał? Bo właśnie tak się zachowywał, jakby skrupulatnie spełniał polecenie. A może sam był skrepowany tym, co między nimi zaszło?

Ostatecznie odczuła ulgę, choć wciąż była zdezorientowana. Musiała się nad tym wszystkim dobrze zastanowić, zrozumieć, czego naprawdę chce od Memphisa i czego on chce od niej. Jedno było pewne, a mianowicie że popełniła błąd, i to duży. Przeczuwała, że tak się może stać, a teraz bardzo tego żałowała.

Dobrze się złożyło, że Memphis musiał wyjechać. Bardzo się jej nie spodobało, że mógł wchodzić do jej sypialni, kiedy tylko miał na to ochotę. Tak czy inaczej, powinna narzucić swoją wolę, zacząć działać. Postanowiła nadmienić o wypadku na moście

i Evan, kiedy będą czatowali. Tylko wtedy mogła się swobodnie wypowiedzieć.

Miała przed sobą cały dzień. Na dworze było dość chłodno, ale zamierzała wybrać się na spacer. Sesja z Maddee miała się rozpocząć o dziesiątej, zatem miała wolną godzinę. Doskonała pora, by trochę rozprostować nogi. Albo zwinąć się w kłębek i usnąć. Była straszliwie znużona.

Rozejrzała się uważnie, zanim opuściła jadalnię. Korytarz był pusty, nikt się nie czaił. Hipnoza Maddee działała cuda w kwestii odzyskania głosu, zarazem jednak poruszyła w Taylor jakąś mroczną nutę. Może dziś uda się rozproszyć przykre myśli.

Chwilę zajęło, nim zorientowała się w terenie, po czym ruszyła w stronę schodów. Pomyliła się, więc wróciła z powrotem do jadalni, obrała właściwy kierunek i znalazła się na swoim korytarzu. Drzwi były po niewłaściwej stronie. Uzmysłowała sobie, że stoi przed gabinetem Memphisa.

Każdy port jest dobry w czasie sztormu, pomyślała i nacisnęła klamkę.

Gabinet był zamknięty.

Przypomniała sobie o kluczu w tylnej kieszeni. Staroświecki zamek był szalenie podobny do zamka w bramie wiodącej do ogrodów. Rozejrzawszy się czujnie na boki, włożyła klucz do dziurki i przekręciła. Nie zdziwiło jej zbytnio, że drzwi się otworzyły. Klucz, który wręczył jej Memphis, pasował pewnie do wszystkich zamków.

Nie dawałby go jej, gdyby nie chciał, żeby go używała, prawda?

Racjonalizacja to szalenie przydatna umiejętność.

Wśliznęła się do środka i cicho zamknęła drzwi.

Gabinet wydał jej się dziwnie opuszczony. Na kominku nie płonął ogień, no i na szczęście krew nie skapywała ze ścian, jak to się działo w sennym koszmarze.

O tym, że ktoś tu mieszkał, świadczyły tylko biurko z żaluzjowym zamknięciem, teraz otwartym, i niedbale rzucone pliki dokumentów na blacie. W odróżnieniu od Memphisa Baldwin miał zawsze nieskazitelny porządek.



Może zaczniesz porównywać inne ich zwyczaje? – kąśliwie spytała sama siebie. Wiedziała, że takie działanie było pewną drogą do zguby.

Na stosie papierów leżała zmięta gazeta. Najwyraźniej sprzątające elfy jeszcze tu nie dotarły. Była ciekawa i tej gazety, i tych dokumentów. Z dokumentami trudniejsza sprawa, na granicy przestępstwa, ale gazetę mogła zabrać do swojego pokoju i przejrzeć przed spotkaniem z Maddee. Zwyczajna poranna czynność. A dokumenty? Jeśli uzna, że to konieczne, też je przejrzy, zdecydowała.

Po lewej stronie biurka stała oprawiona w srebrną ramkę fotografia Evan. Wczoraj jej nie zauważyła, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Wczoraj nie węszyła tu tak jak dziś. Wzięła zdjęcie do ręki i uważnie przyjrzała się zmarłej żonie gospodarza.

Między nią a Evan istniało wyraźne podobieństwo. Spostrzegła to już wcześniej, na innych fotografiach. Evan wydawała się jednak bardziej beztroska. Być może zdecydowała o tym praca Taylor, to wszystko, co robiła, na co musiała się napatrzeć, ale nie pamiętała, by kiedykolwiek emanowała równą pogodą ducha. Z Evan na pewno łatwiej się obcowało, sęk w tym, że już nie żyła. Niewykluczone, że Memphis próbował zastąpić ją Taylor.

Odstawiła fotografię na miejsce. Nie ma sensu tego roztrząsać. Memphis jasno wyraził swoje oczekiwania, pokazał jej możliwości. Mimo to był dla niej tylko przyjacielem, nikim więcej.

W takim razie co robiła w jego gabinecie, przepatrując rzeczy na biurku?

Usiadła ciężko w obrotowym fotelu. Czowała zapach skóry i drzewnego dymu, zapach Memphisa. Tu pachniał bardziej prawdziwie, inaczej niż w Ameryce, gdzie mieszkał w hotelach. Być może miał rację, że rano nie wspomniał o niczym. Dzięki temu łatwiej będzie zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło. Zapomnieć? Żałowała tego z całej duszy i będzie musiała żyć z tym wspomnieniem do końca swoich dni.

Rozdrażniona chwyciła gazetę. Pod nią leżała teczka z dokumentami zatytułowana „Evan”.

No tak... Zerknęła przez ramię, uważnie nasłuchując. Cisza, żadnych szmerów, nikogo w pobliżu. Teczka była gruba, zawierała dużo dokumentów. Taylor otworzyła ją.

Na wierzchu znajdowała się fotografia Evan, a pod nią plik wycinków prasowych, które uważnie przejrzała. Wiedziała już, że historia śmierci Evan znalazła się na czołówkach wszystkich gazet brytyjskich. Najszerzej pisał o tym „The Scotsman”, zamieszczając liczne odniesienia do stosunków rodzinnych i życia ofiary.

Taylor wiedziała, że przejrzanie wszystkich materiałów zajmie jej kilka godzin. Nie miała pojęcia, czemu akurat ta teczka leżała na biurku, praktycznie na widoku, dostępna tym wszystkim, którzy dysponowali kluczem...

Lecz Memphis wyjechał co najmniej na dwa dni. Mogłaby zabrać ją ze sobą, przestudiować zawartość w wolnej chwili. Teraz musiała się zbierać, jeśli chciała zdążyć na spotkanie z Maddee.

Owinęła teczkę gazetą na wypadek natknięcia się na kogoś ze służby. Gdyby materiały były poufne, Memphis zamknąłby je pod kluczem, ale zostawił je na widoku, może specjalnie dla niej, wiedząc, że była tym zainteresowana. Może były w niej odpowiedzi na pytania, których nie umiała postawić.

Ruszając do drzwi, kątem oka spostrzegła czerwony błysk. Dostała gęsiej skórki, a puls przyśpieszył. Zmusiła się, żeby spojrzeć w tamtą stronę, ale nic nie zobaczyła.

Weź się w garść, Taylor, nakazała sobie. Zachowujesz się jak idiotka.

Wsunęła gazetę wraz z teczką pod pachę i ruszyła do drzwi. Po dwóch krokach potknęła się i omal nie upadła. Gazeta i teczka wyleciały spod pachy, a Taylor przytrzymała się klamki. Chciała zakląć, ale nie wydobyła głosu, co jeszcze bardziej ją rozjuszyło. Spojrzała na podłogę i zobaczyła wyściełany podnózek. Kopnęła go ze złością, po czym wiedzioną poczuciem winy, ustawiła porządnie przy biurku. Cholerny podnózek.

Zawartość teczki rozsypała się po całym gabinecie. Pozbierała papiery i bez dalszych przygód pobiegła do siebie, zabarykadowała drzwi i wreszcie odetchnęła z ulgą.

Ogień trzaskał na kominku, na stoliku stał imbryk świeżo zaparzonej herbaty. Usiadła wygodnie w fotelu, napełniła filiżankę, schowała teczkę do górnej szuflady biurka i przykryła papeterią. Przeczyta to wszystko później i postara się przywrócić porządek chronologiczny w papierach. Być może dzięki temu Memphis nie zorientuje się, że ktoś je przeglądał.

Na razie zajmie się gazetą.

Na pierwszej stronie znajdował się artykuł o najświeższej tragedii na szosie A9 opodal Inverness, nazywanej najniebezpieczniejszą ze szkockich dróg. Ledwie wczoraj tamtędy przejechali. Okropność.

Zaginął rybak z Hebrydów. I trzy dziewczyny w Londynie, o czym gazeta pisała obszerniej już wcześniej. Sprawa, którą zajmował się Memphis.

Pomineła resztę doniesień i z zaciekawieniem przeczytała artykuł. Memphis wspomniał, że jego zdaniem policja nie podąża właściwym tropem. Może Taylor będzie mogła coś pomóc.

Artykuł opisywał to, co łączyło zaginione. Wszystkie trzy uczęszczały do kościoła założonego przez Urq'a.

Ten cały Urq był ciekawą postacią. W rzeczywistości nazywał się Roger Waterstone i był synem znanego brytyjskiego finansisty Stephena Waterstone'a, spadkobiercą rodzinnej fortuny. Kształcił się w najlepszych szkołach, spotykał z najpiękniejszymi kobietami. Dla rozrywki rozpoczął karierę architekta.

Przed czterema laty znikł jak kamfora. Pojechał na wakacje na Bali i nie powrócił. Taylor pamiętała, że czytała wówczas o tej głośnej sprawie.

Potem zmarł jego ojciec i Roger nagle się objawił, tyle że zupełnie odmieniony. Odnalazł Boga i wykorzystał sporą część odziedziczonego spadku na założenie kościoła. W jego gościnne progi zapraszał ludzi ze wszystkich sfer. Nie twierdził, że jest mesjaszem, ale według Taylor jego działalność miała wszelkie znamiona kultu.

I najpewniej nie cofnął się przed morderstwem, byle tylko udowodnić swoją rację... Te trzy dziewczyny... No i jak

właściwie zmarł jego ojciec?

- Hej, hej! Ziemia do Taylor...

Wzdrygnęła się tak gwałtownie, że upuściła gazetę. Maddee z krzykiem dobijała się do jej drzwi.

Taylor poszła otworzyć. Na jej widok Maddee odetchnęła z ulgą. Boże, wszyscy wokół się o nią martwili. Pewnie Memphis wszystkim powiedział, że ma poważne problemy, jest delikatna i wymaga troskliwej opieki.

- Nareszcie. Dobijam się od pięciu minut. Nie zjawiałaś się na dole, więc sama tu przyszedłam. Ta stara wrona Trixie poszła do kuchni, ale zdążyła mnie wpuścić. Jesteś gotowa? - Gdy Taylor skinęła głową, dodała: - W takim razie chodźmy. - Przepuściła ją w drzwiach, po czym obejrzała się przez ramię. - Nocowałam kiedyś w tym pokoju. Po przyjęciu nie chciało nam się wracać do domu. Ale trochę tu się zmieniło, nie pamiętam tych wszystkich książek.

*Prezent od Memphisa.*

Być może ponosiła ją wyobraźnia, ale mogłaby przysiąc, że uśmiech Maddee stężał. Hm... Może doktor James wciąż czuła słabość do arystokratycznego przyjaciela?

Ale czemu się dziwić? Memphis był przystojny, inteligentny i obdarzony poczuciem humoru, a do tego posiadał spory majątek, więc uchodził za świetną partię. Tyle że Maddee była żoną jego serdecznego przyjaciela, a ponadto przyjaźniła się z tragicznie zmarłą żoną Memphisa.

Być może jednak się myliła? Tak czy inaczej, postanowiła na przyszłość wypowiadać się o Memphisie bardziej oględnie.

- Nasz drogi Memphis zawsze lubił spektakularne gesty. Lepiej na niego uważaj, bo jeszcze cię porwie, a ty wcale nie będziesz temu przeciwna...

Taylor zbyła tę uwagę milczeniem. Jezu, gdyby Maddee wiedziała, co się tu działo ubiegłej nocy...

Dzisiaj Maddee związała długie włosy w ciasny kok, niczym baletnica przed wyjściem na scenę. Na sam widok Taylor poczuła nieprzyjemne pulsowanie w skroniach. Nie cierpiała rozpuszczonych włosów, ale na razie nie miała wyboru, ulubiony koński ogon nie wchodził w grę.

W salonie wszystko było już przygotowane – sprzęt do EMDR na stole, wózek z zastawą do herbaty pod ręką. Taylor z chęcią przyjęła filiżankę gorącego napoju. Zaschło jej w gardle i miała nadzieję, że herbata złagodzi to przykre uczucie. Była ciekawa, ile kilogramów herbacianego suszu zużywa się rocznie w zamku Dulsie.

– Jak tam problemy z zasypianiem? – spytała Maddee, podając Taylor laptopa.

Nie wiedzieć czemu także i jej nie chciała wtajemniczać w to, że odzyskała już głos. Postępowała głupio, to fakt. Maddee dowie się tego podczas hipnozy. Na razie nie miała jednak ochoty na zbytnią szczerość.

*Spałam dobrze. Miałam koszmary, ale nie jestem zmęczona. To coś nowego.*

– Melatonina zadziałała?

*Pomogła mi usnąć, tak.*

– To wspaniale. Możesz zwiększyć dawkę do dwóch kapsułek, to cię zwali z nóg. A co z bólem głowy?

*Wieczorem bardzo mi dokucza, ale jeśli odpowiednio wcześniej zażyję tabletki, to znacznie się stępia. Percocet naprawdę mi pomaga. A jeśli nie on, to znaczy, że się przyzwyczajam.*

– Czy masz sny? Dobre albo złe?

*Owszem. Parę solidnych koszmarów. Dość przerażających.*

– To wina tego zamku – z uśmiechem skomentowała Maddee. – Bawi się w kotka i myszkę z umysłem. Twierdzą, że jest nawiedzony. Według mnie to pobożne życzenia. Takie gadki przyciągają turystów. Nie wierzę w duchy.

*Ja też.*

Taylor mówiła prawdę, nie wierzyła w duchy, ale znała działanie siły sugestii, która miała wpływ na jej wyobraźnię. Dlatego nie lubiła opowieści o duchach ani horrorów. W prawdziwym życiu miała okazję napatrzeć się na wystarczająco okropne rzeczy, nie potrzebowała się podpierać czyjaś wybujała wyobraźnia.

– No dobrze. Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

Maddee wydawała się dziś troszkę rozkojarzona, ale Taylor wolała jej tego nie mówić.

*Tak, jest coś takiego. Nie wiem, jak to powiedzieć, żebyś nie pomyślała, że masz do czynienia z wariatką... Widuję dziwne rzeczy. Przebłądź ludzi i przedmiotów, których tu nie ma.*

Maddee bawiła się dużym złotym pierścionkiem z onyksem, który miała na palcu prawej ręki.

- Znane są przypadki osób po urazie głowy, które widują lub słyszą zdarzenia sprzed wypadku. Też tego doświadczyłam. To normalne, Taylor, to znaczy, że dochodzisz do zdrowia. Mózg sam się naprawia po ciężkim szoku. Nawet wstrząs mózgu może powodować takie echa. To zupełnie naturalne, że cię to niepokoi. Każdy tak reaguje.

Z ust Taylor wyrwało się westchnienie. A więc wcale nie nękały jej duchy, to wszystko działo się w jej głowie.

Chociaż Naśladowca stojący w drzwiach nie był echem ani wspomnieniem. Obraz był nowy i zdawał się nieść przekaz. Groźbę.

Nie powiedziała tego Maddee, która spytała:

- Czy coś jeszcze? - A gdy Taylor potrząsnęła głową, dodała energicznym tonem: - Wobec tego zacznijmy. Usiądź wygodnie i pomyśl o ciepłym słonecznym strumieniu, który obmywa ci stopy. Powinna to być miła odmiana, zważywszy na ziąb panujący na dworze.

Maddee poświęciła pięć minut na wprowadzenie Taylor w stan relaksu, po czym poprosiła o sięgnięcie myślą do godziny poprzedzającej strzelaninę. Taylor natychmiast odczuła skok ciśnienia. Bardzo nie chciała się tam udawać. Lecz Maddee nalegała, a jej głos był tak delikatny i miły, że mu uległa. Maddee przemawiała do niej jeszcze kilka minut, po czym zabrała się do dzieła.

- Teraz porozmawiamy o Sam. Wiedziałaś, że została porwana, prawda? Odpowiedz mi głośno, Taylor.

- Tak.

- I wiedziałaś, dokąd ją zabrał Naśladowca, czy tak?

- Tak.

- Kiedy się o tym dowiedziałaś?

- Zawsze wiedziałam, że to się tak skończy. Tego właśnie chciałam. Lubiłam przedstawienia. Kiedy zrozumieliśmy, że Sam

zaginęła, wtedy poczułam, że zbliżamy się do końca.

- Ile czasu zajęło ci dotarcie do tamtego domu?

Taylor zmrużyła oczy. Niebieski balon zasnuł się mgłą.

- Taylor, cały czas patrz na balon. Pozwól ręce wnieść się lekko i bez wysiłku. Jesteś tutaj bezpieczna.

Balon znów się pojawił, blady i przezroczysty na tle nieba błękitnego jak w kreskówkach, chociaż szarpał się, chcąc odlecieć.

- Bardzo dobrze. Powiedz mi, jak długo zajęło ci dotarcie do Sam?

- Niespełna godzinę. Musiałam znaleźć inne wejście do domu. Nie mogłam wpaść jak bomba przez drzwi od frontu.

- Gdybyś wezwała wsparcie, to mogłabyś tak zrobić.

- Nie, nie mogłabym. Musiałam tam wejść sama. Musiałam to zakończyć.

- Co się działo w ciągu tamtej godziny? Właśnie wtedy Naśladowca torturował Sam, prawda? A jeśli weszłabyś do domu od razu po tym, gdy się dowiedziałaś, że ona tam jest, to mogłabyś ocalić jej dziecko?

- Ja nie... Ja...

- Taylor, przypomnij sobie chwilę tuż przed wejściem do budynku. Chciałaś zabić Naśladowcę, prawda? Pragnęłaś, żeby zniknął i przestał ranić ciebie i twoich przyjaciół. To bardzo dobrze, Taylor. Chciałaś wypłenić zło. Na tym polega twoja praca, znajdujesz i zabijasz ludzi, którzy krzywdzą niewinne osoby. Po to właśnie znalazłaś się na ziemi, żeby eliminować złych ludzi.

Taylor potrząsnęła głową. Nie. Nie miała ich zabijać. Szanowała prawo, choć nie zawsze działało doskonale. Naśladowca był osobnym przypadkiem. Jednorazowym. Nie była taka jak jej ojciec, który naginał zasady, jeżeli mu nie pasowały.

Czy rzeczywiście?

- To było inaczej.

- Teraz tak mówisz. Ale kiedy staniesz twarzą w twarz z innym przeciwnikiem, mordercą, który zastąpi ci drogę, twoją pierwszą myślą będzie go zlikwidować. Wyeliminować z gry. Zabić. Tym się właśnie zajmujesz. W tym jesteś dobra. Popatrz na swoje

statystyki. Wielu policjantów nigdy nie użyło broni, ale ty zabiłaś czterech ludzi. I próbowałaś dopaść piątego. Sama jesteś zabójczą bronią, Taylor. I jeśli miałabyś być ze sobą szczerą, lubisz to. Lubisz zabijanie. Sprawia, że dobrze się czujesz. Mogłaś ocalić Sam, ale wolałaś iść własną drogą, żeby po raz kolejny poczuć, jak to jest kogoś zamordować.

- Nie!

Balon znikł. Kojący strumień blasku także, a Taylor została na kanapie, trzęsąc się i drżąc z zimna. Nie chciała otwierać oczu.

Czy była to prawda? Czy gdyby znowu znalazła się w tej samej sytuacji, wybrałaby ostateczne rozwiązanie? Zabicie wroga? Dlatego że było to łatwe wyjście? Czy kompletnie zatraciła kompas moralny?

Doktor James zdawała się tak właśnie myśleć. Jej zachowanie wczorajszej nocy też na to wskazywało. Czy kompas moralny był kluczem do odzyskania pracy? Czy jej zespół też byłby zdania, że nazbyt chętnie zgina palec na spuście? Nie, nic o tym nie wiedzieli. Nie mogli wiedzieć. Nikt nie podejrzewał, że zaplanowała zlikwidowanie Naśladowcy. Nikt o tym nie wiedział do momentu, gdy nie zwierzyła się Maddee James.

Otworzyła oczy. Maddee stała nad nią i obserwowała ją z lekkim uśmiechem. Taylor rzuciła się gwałtownie do tyłu, potrącając przy tym filizankę. Herbata wylała się na dywan.

Maddee cofnęła się i pokiwała głową.

- Przepraszam, chciałam się tylko przekonać, czy nadal jesteś w stanie hipnozy...

- To niezbyt... O co, do diabła, chodzi, Maddee? Nie jestem maszyną, która zabija dla przyjemności. Strzelałam tylko wtedy, kiedy nie miałam innego wyjścia, zawsze w samoobronie. Nienawidzę tego, co zrobiłam, codziennie, w każdej chwili.

- O rany, Taylor. Twój głos powrócił. Nie jesteś w stanie hipnozy, a jednak mówisz. Dobra robota, gratuluję. - Maddee usiadła na krześle i spokojnie ją obserwowała. - Pomówmy teraz o tym, co właśnie się wydarzyło. Czy rzeczywiście wierzysz, że to prawda, Taylor? Bądź ze mną szczerą. I ze sobą. Jeśli zajrzysz w głąb swojej duszy, w jej najciemniejszy zakamarek, czy jednak



nie przyznasz, że jakiejś części ciebie to się podobało? Podobało ci się planowanie jego śmierci?

- Nie. Zwariowałaś? To wykluczone. To mnie ściga, Maddee. Dlatego tu jestem, próbując się od tego uwolnić.

Maddee lekko kręciła głową. Już się nie uśmiechała.

- Ależ Taylor, to wszystko siedzi w tobie. To ty masz wolną wolę, masz wybór. I chociaż życie, i to nie jedno, lecz kilku osób, było zagrożone, wybrałaś zabójstwo, czyli zakończenie życia. Czy widzisz tu jakąś różnicę? Czy to jest lepsze niż zabicie pod wpływem instynktu?

Taylor wcale się nie podobały takie rozważania. Poza tym nie przyjechała tu po to, żeby odpokutować za dawne grzechy. Pragnęła odzyskać kontrolę, a nie pogрузić się głębiej w otchłani.

- Taylor, nie odbywasz terapii po to, żeby odzyskać głos. Jego utrata była tylko objawem, problemem powierzchownym. Jesteś tu, ponieważ ludzie przestali ci ufać. Nieważne, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie.

- Nie. To nieprawda.

- Jesteś tu całkiem sama, prawda? Uciekłaś na inny kontynent. Twoja szefowa nie pozwoliła ci wrócić do pracy. Najlepsza przyjaciółka została w Stanach, zostawiła cię z tym wszystkim samą. Narzeczony zajmuje się swoimi sprawami. Nawet Memphis cię zostawił. Jesteś tu całkiem sama, ponieważ nawet ty zdążyłaś się zorientować, że straciłaś kontrolę nad swoim życiem. Straciłaś dystans. Stałaś się taka sama jak ludzie, których ścigasz. I widzą to wszyscy poza tobą.

Taylor wstała, zaciskając zęby. Miała ochotę zapłakać z rozdrażnienia, ale się powstrzymała.

Nie waż się, nakazała sobie. Nawet o tym nie myśl. Już dość okazałaś przed nią słabości. Odejdź. Natychmiast stąd wyjdź.

- Według mnie skończyłyśmy.

- Nie odchodź, Taylor. Nie uciekaj akurat teraz. Właśnie zaczynamy do czegoś dochodzić. - Maddee usiadła skruszona i wyciągnęła rękę. - Proszę cię, siadaj.

Taylor potrząsnęła głową. Nie. Skończyła z tym.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Taylor włożyła buty i kurtkę od Memphisa i wyruszyła na spacer po terenie posiadłości. Panował przenikliwy ziąb i prószył leciuteńki śnieżek, ale nie przejmowała się tym. Musiała pójść, gdzie oczy poniosą, jak najdalej od Maddee i jej oskarżeń.

Usłyszała warkot silnika i obejrzała się przez ramię. Mercedes Maddee. Odjeżdżała do domu. Bardzo dobrze. Taylor nie miała ochoty na dalsze kontakty. Nie chciała więcej widzieć doktor Madeiry James.

Skierowała się w stronę lasu. Memphis wspomniał, że dostanie wszystko, czego tylko zapragnie. W tej chwili pragnęła posłać terapeutkę do wszystkich diabłów.

Włożyła ręce do kieszeni, szukając rękawiczek, lecz zamiast nich znalazła tabletki. Percocet. Nie pamiętała wprowadzić, żeby go tu wkładała, ale lekarstwo się przyda, bo głowa pękała z bólu. Demony z minionej godziny czaiły się blisko. Wysypała dwie tabletki na dłoń i połknęła na sucho, zmuszając opuchnięte gardło do pracy.

Ścieżka była zasłana grubą warstwą zeschniętych liści, czerwonych, złotych i pomarańczowych, zupełnie jak jesienią w Nowej Anglii. Tutejsze pory roku niewiele się różniły, a temperatury były umiarkowane; różnica między latem a zimą wynosiła niewiele więcej niż trzydzieści stopni.

W oddali na ścieżce wiodącej do ogrodów uganiały się psy, powarkując i szczekając. Ominęła je i poszła w kierunku północy, wspinając się na zbocze wzgórza. Nie obrała konkretnego celu, chciała po prostu znaleźć się jak najdalej od zamku.

Wiał coraz silniejszy wiatr. Nie sprawdziła prognozy pogody, założywszy, że będzie zimno i wietrznie, ewentualnie spadnie kilka płatków śniegu. Kiedy wróci, będzie się musiała tym zainteresować. Mogłaby się założyć, że spadnie śnieg, i to całkiem spory.

Ścieżka pięła się coraz wyżej, a Taylor parła naprzód, kipiąc z gniewu, zła na siebie, że połknęła przynętę. Jakie były zamiary Maddee? Czyżby chciała ją złamać, jak to się dzieje w wojsku?

Taylor nie była obeznana z tajnikami terapii. Zgodnie z wymogiem poddawała się corocznemu badaniu sprawności fizycznej i mentalnej, ale nigdy nie leżała godzinami na przysłowiowej kanapie u terapeuty, nie licząc obecnej... sytuacji. Uznała, że nienawidzi terapii, i to bezwarunkowo.

Ścieżka się wyrównała, a Taylor stwierdziła, że brakuje jej tchu. Przystanąła na chwilę, oparła się ręką o porośnięty mchem kamienny mur po prawej i rozejrzała dokoła. Z trzech stron otaczał ją las, przed sobą zaś miała niewielką wioskę. W dawnych czasach mieszkali tam pewnie ludzie wykonujący służbę dla dziedzica zamku – kowal, stolarz, gorzelnik. Opodal widać było mały kamienny mostek nad drogą, a po lewej stos gładów, częściowo osłonięty wysokim murem i drzewami.

Ruszyła w tamtym kierunku. Po kilku metrach ścieżka wychynęła na polanę i Taylor zobaczyła, że znalazła się na tyłach zamkowego cmentarza. Kościółkowi brakowało dachu. Okna się zapadły, jakby budynek oślepl, a wejście przypominało usta otwarte do krzyku. Kolejna ruina, już druga na ziemiach Highsmythe'ów. Rozgniewało ją to jeszcze bardziej. Czy tym ludziom nie zależało wcale na przeszłości? Czy byli aż tak zajęci duchami, że zaniedbywali siedzibę dusz?

Ruszyła, meandrując między pokrytymi porostami i mchem nagrobkami. Spostrzegła zamiecioną z liści ścieżkę. Ktoś tu niedawno sprzątał.

Nagrobek był duży i nowy. Mech jeszcze go nie porósł, ale był powleczony lśniąca warstwą mokrej zielonkawej pleśni, która zdawała się przykrywać niemal wszystko, co nieożywione w Highlands – parkany, głązy, dachy, pnie drzew. Groby.

Na płycie leżał bukiet wrzosów splecionych z różami, jeszcze świeżymi. Taylor przeczytała napis i nagle pojęła.

*EVANELLE FRASER HIGHSMYTHE*

*UKOCHANA ŻONA*

*8 MAJA 1974 - 21 GRUDNIA 2008*

*JAMES FRASER HIGHSMYTHE*

*KOCHANY SYN*

*21 GRUDNIA 2008*

*ODESZLIŚCIE ZA WCZEŚNIE*

*PAMIĘĆ O WAS PRZETRWA WIECZNIE*

Stała nad grobem Evan i nienarodzonego syna Memphisa.

Umysł Taylor pracował na najwyższych obrotach. Memphis odwiedził grób żony, a potem przyszedł do jej pokoju i kochał się z nią.

Nie minęło nawet dwanaście godzin od chwili, gdy pocałowała ją na miejscu tragicznego wypadku, w którym zginęła Evan.

Co myśleć o takim człowieku?

Była ciekawa, czy Memphis często odwiedza grób żony. Wiedziała, że obecnie rzadko bywa w Highlands. Zapewne tylko go oczyścił, choć z drugiej strony w środku nocy?

Rozglądając się na boki, spostrzegła kupkę śmieci, które dały jej odpowiedź – wypalone znicze, zwiędłe kwiaty, kawałki papieru. Odbywały się tu regularne czuwania.

Uważniej spojrzała na datę i nagle ją oświeciło – dziś przypadała rocznica śmierci Evan.

Jezu Chryste. 21 grudnia to przecież dzisiaj. Nie przyszło jej na myśl spytać Memphisa, kiedy konkretnie wydarzył się wypadek. I oto znalazła się tutaj, zdana na jego łaskę pseudonamiastka zmarłej żony.

Wyszeptała skierowaną do duszy Evan modlitwę o przebaczenie, po czym ruszyła z powrotem do zamku. Raptem straciła ochotę na dalsze odkrywanie historii rodu Memphisa.

Zaczęła schodzić ścieżką i nagle zauważyła czerwony błysk. Usiłowała go zignorować, odwróciła głowę w inną stronę i szła coraz szybciej, niemal biegła. To coś podążało jednak za nią, było coraz bliżej, coraz większe, aż wreszcie Taylor przystanęła i usiadła pośrodku ścieżki, zakrywając głowę rękami i krzycząc bezgłośnie, żeby, cokolwiek to jest, odeszło, zostawiło ją w spokoju.

Trzęsa się, ale nie z zimna, tylko ze strachu. Nie chciała otwierać oczu, lecz kiedy nic się nie wydarzyło, zebrała się w końcu na odwagę i popatrzyła.

Była sama. Dokoła tylko las, gruba warstwa listowia na ziemi, wilgotne zimne powietrze.

Wstała i obróciła się powoli wokół własnej osi.

Nic, tylko mewy wlatujące z krzykiem w szare niebo.

Była pewna, że nie uroiła sobie czerwonej smugi. Przypominała niesiony przez wiatr, trzepoczący kawałek materiału, tyle że całkiem przezroczysty, nieledwie falowanie powietrza. Czy Memphis nie wspomniał, że duchy wydają mu się zrodzone z synestezji? Czyżby widziała to samo co on?

Czy to Evan ją nawiedzała? Krążyła za nią po terenie posiadłości? Przychodziła w nocy? Memphis powiedział, że Dama w Czerwieni pojawia się jedynie przed męskimi dziedzicami tytułu. Czy to możliwe, że się jednak pomylił? Może wszystkie zmarłe żony stawały się Damami w Czerwieni i straszyły każdego, kto im wpadł w oko.

Taylor ruszyła ścieżką w dół, postanowiwszy wziąć się w końcu w garść, i to raz na zawsze. Była straszliwie zmęczona, potrzebowała snu, tabletek uspokajających i czegoś mocniejszego od herbaty. Czuła się jak kaleka, nic niewarta nawet we własnych oczach. Naprawdę musi dojść ze sobą do ładu.

Kiedy doszła do tylnego wejścia do zamku, rozpadał się śnieg, tańcząc lekko w zimnym powietrzu. Zatrzymała się, obserwując ten intrygujący balet. To było wreszcie coś prawdziwego. Nadmierne parowanie wody powodowało, że cząsteczki lodu, zbyt ciężkie, by móc pozostać w chmurach, opadały na ziemię. Prawo nauki. Niepodważalny dowód. W czasach prehistorycznych natomiast musiało się to wydawać magią.

Otworzyła usta i pozwoliła kilku płatkom osiąść na języku. Zimna pigułka natychmiast się roztopiła. Pocieszona tym, że wszystko można wyjaśnić, weszła do zamku.

Na korytarzach panowała pustka. Śmiertelna cisza. Taylor pośpieszyła do pokoju, zdjęła ciepłą odzież i chwyciła komórkę. Nieodebrane połączenie od Baldwina. Odetchnęła głęboko. Odsunęła od siebie wszystkie myśli o Memphisie i ubiegłej nocy. Ci dwaj mężczyźni nie mieli prawa jednocześnie przebywać w jej umyśle.

Zadzwoiła do Baldwina i usiadła w fotelu przy kominku. Odebrał po drugim sygnale.

- Hej, próbowałem się do ciebie dodzwonić - zawołał na powitanie.

- Przepraszam. Wyszłam na spacer bez telefonu. Zaczyna padać śnieg. - Banalna, spokojna odpowiedź. Doskonale.

- Hej, głos ci wrócił, o rany! Kiedy to się stało?

- Podczas seansu hipnozy z Maddee James. Ale już z tym skończyłam. Nie jest zbyt sympatyczna. - Wrzuciła polano do ognia.

- Bardzo się cieszę, naprawdę. Cudownie cię słyszeć, kochanie. Wkrótce będziesz gotowa wrócić do domu. Teraz możesz spokojnie korzystać z krótkiego odpoczynku, prawda?

- Owszem, o ile przestaną mnie dręczyć koszmary.

- Dlaczego masz koszmarny sny?

Jak na to odpowiedzieć? Że nawiedzają ją zjawy nie z tego świata? I podejrzewa, że naprzykrza się jej zmarła żona Memphisa? Niezbyt stosowna odpowiedź.

- Wszystkiemu winna wybujała wyobraźnia. Nasłuchiłam się historii o duchach, a nie mam czym zająć umysłu.

- Tak to jest na wakacjach. Słyszałem w wiadomościach, że zmierza do was potężna burza śnieżna.

- A gdzie ty jesteś? Czy możesz mi powiedzieć?

- Wierz mi, wołałabyś nie wiedzieć. Ale wszystko w porządku. Sprawa zamknięta. Pozostaje pytanie, czy poradzisz sobie tam sama?

Och, Baldwin, czy sobie poradzę? Mam nadzieję, pomyślała.

- Chwileczkę. Skąd wiesz, że będę sama? Czy ktoś od ciebie mnie obserwuje? - Podniosła głos. - Baldwin, do cholery, co jest grane?

- Skarbie, wcale tak nie jest, nie popadaj w paranoję. Wiem, że nic ci nie będzie. W zamku jest sporo służby. Po prostu wiem, że nie będzie z tobą Memphisa, to wszystko.

- Nie popadam w paranoję, tylko nie cierpię, kiedy tak mówisz. Skąd wiesz, że Memphis wyjechał?

- Zadzwoił do mnie z Londynu. Powiedział, że zaproponowałaś mu, żeby poprosił mnie o pomoc.

Memphis, ty sukinsynu.

Szkoda, że nie trzymał ozora za zębami. Jezu, gdyby rzucił jakiś dwuznaczny komentarz, wzbudzając tym czujność Baldwina, nigdy by mu nie wybaczyła.

- To zmienia postać rzeczy.

- Maleńka, nie kłóćmy się. - Baldwin roześmiał się cicho. - Tak się cieszę, że znów słyszę twój głos. To oznacza, że ci się polepszyło.

Baldwin prowadził niezobowiązującą rozmowę, szukając z nią prawdziwej więzi. Psiakrew, to czyste szaleństwo. Dźwięk jego głosu obudził w niej uśpione uczucia, w dodatku sprzeczne. Tęskniła za nim. Obawiała się ponownego spotkania. Chciała się znaleźć w jego ramionach. Pragnęła, żeby się trzymał z daleka.

Co najlepszego zrobiła?

Kochała go, i to bardziej niż kogokolwiek na świecie. Potrzebowała jego, a nie Memphisa, o tym także wiedziała. Od zawsze. Była taka zdenerwowana, że aż kręciło jej się w głowie. Kilka razy odetchnęła głęboko.

- Skarbie, co tam się dzieje? Wydajesz się bardzo rozdrażniona.

- Daj mi... daj mi chwilę - wykrztusiła.

Weź się w garść, kretynko! - nakazała sobie. Przełknęła z trudem, odchrząknęła i zaczęła od początku:

- Tęsknię za tobą.

- Ja też, kochanie - odrzekł ciepłym tonem. - Jeśli chcesz, mógłbym cię odwiedzić na święta, ale spokojnie, nie nalegam.

- Zrobiłbyś to?

- Zrobię, cokolwiek zechcesz.

Musiała o to zapytać.

- Dlaczego pomagasz Memphisowi?

- Ponieważ jestem mu winien przysługę. To długa historia. Opowiem ci o tym, jak się zobaczymy, dobrze?

- Muszę kończyć. Robię się senna.

- W środku dnia? Ty leniuchu, zazdroszczę ci, że masz tyle czasu!

- To przez rozmowę. Boli mnie głowa i gardło.

Gdy skończyła mówić, dotarło do niej, że to nie wymówka. Faktycznie nie czuła się najlepiej.

- Jasne, oczywiście. Kocham cię, maleńka. Zobaczymy się za dwa dni, dobrze?

- Dobrze.

Rozłączyła się i przez chwilę obracała w rękach komórkę. Nigdy nie czuła się bardziej samotna niż wtedy, kiedy się rozłączali, fizycznie czy emocjonalnie, to nie miało znaczenia. Nie będąc z nim, nie czuła się całością. Wiedziała, że Baldwin doświadcza tego samego.

Ogarnęło ją poczucie winy. On nie może się dowiedzieć o przebiegu wczorajszej nocy.

Będzie musiała znaleźć sposób, jak wytłumaczyć Memphisowi, że go nie kocha, w każdym razie nie tak, jak tego by sobie życzył. Zresztą jego poranny chłód wskazywał być może, że sam pojął tę prostą prawdę.

Była taka zmęczona. Pragnęła jedynie uciec. Pogрузić się w niebycie. Zażyła tabletki i popiła je piwem.

Tabletka.

Piwo.

Tabletka.

Piwo.

Cokolwiek, byle nie myśleć już o Baldwinie ani o Memphisie. Ani o Sam, Evan i duchach ich martwych, nienarodzonych dzieci.

Płynęły godziny. Była tak straszliwie zmęczona. Postanowiła się zdrzemnąć. Może sen ukoji jej nerwy i głos znowu powróci.

Zaciągnęła zasłony i zamknęła drzwi na haczyk. W pokoju nie było wprawdzie tak ciemno jak w nocy, ale dostatecznie mroczno, by światło nie przeszkodziło jej zasnąć.

Łóżko było kusząco miękkie, więc z przyjemnością zwinęła się w kłębek pod ciepłym kocem. Przypomniała sobie jeszcze, że wyleciało jej z głowy, by napomknąć Baldwinowi o rocznicy śmierci Evan. Może to ważne, może powinna wysłać mu SMS-a, ale sen otulał ją już puchową kołderką. Zrobi to po obudzeniu.

Zamknęła oczy i po chwili już spała.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Taylor ocknęła się z drzemki, czując się otumaniona bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Wstała, przeciągnęła się i sprawdziła godzinę. Dochodziła czwarta. Podeszła do okna i odsłoniła je. Kiedy spała, posiadłość zmieniła wygląd. Baldwin miał rację co zmiany pogody. Napadało co najmniej piętnaście centymetrów śniegu i potworzyły się zasy. Co gorsza, nie przestawało padać.

Włączyła telewizor i znalazła kanał BBC. Po pięciu minutach pokazano najświeższą prognozę. Pogoda pogarszała się z każdą chwilą, spodziewano się, że przez noc napada nawet metr śniegu. W całej Szkocji zamknięto lotniska i dworce kolejowe. To znaczy, że ani Baldwin, ani Memphis nie zjawią się tutaj zbyt prędko.

Cudownie.

Wyłączyła odbiornik i wyciągnęła laptopa. W Stanach było jeszcze wcześniej. Sam będzie już pewnie w pracy, przygotowując się do zaplanowanych na dzisiejszy dzień sekcji zwłok. Może zdoła się z nią porozumieć, zanim przyjaciółka zagubi się w krainie umarłych.

Lecz Sam nie pojawiła się na czacie, co oznaczało, że Taylor się jednak spóźniła.

Nie, to idiotyczne. Tak bardzo chciała wyjechać i spędzić trochę czasu sama, a teraz proszę, spójrzcie tylko na nią. Samotna w szkockim zamku, odcięta od świata przez śnieżycę, desperacko próbowała skontaktować się z ludźmi ze swojego zwykłego otoczenia, którzy mieli mnóstwo własnych zajęć. Musi sobie sama poradzić.

W uszach zabrzmiał głos Maddee: „Jesteś tu, ponieważ ludzie przestali ci ufać”.

Ależ to zabolowało. Nie wiedziała, czy powinna w to wierzyć. Owszem, ludzie o niej plotkowali, była tego świadoma. O niej i jej działaniach. Zadawali pytania. Być może się łudziła. Może wiedzieli o wszystkim.

Bolesna prawda była taka, że wzięła sprawy w swoje ręce, przez co zginęło nienarodzone dziecko Sam. Przed tym stwierdzeniem nie było ucieczki.

Usłyszała stukanie do drzwi.

Poszła otworzyć. Ujrzała Trixie z nieodłącznym wózkiem z zastawą do herbaty.

- Doktor James powiedziała, że może się pani źle czuć. Przyniosłam dobrą herbatkę. Czy zje pani kolację w jadalni?

- Dzień dobry, Trixie.

Taylor cofnęła się, przepuszczając ochmistrzynię ciągnącą wózek. To była praca dla pokojówki, Taylor nie miała pojęcia, czemu Trixie jej służy. Miała jednak ochotę na herbatę. Równie łatwo jak piwo spłucze posmak po wstrętnych pigułkach.

- Jeśli wolno mi zauważyć, nie wygląda pani najlepiej.

- Niezbyt dobrze się czuję, chyba wrócę do łóżka. Dziękuję za herbatę. Nie będę jadła kolacji.

- Rozumiem. Każę pokojówce przynieść rano śniadanie. Proszę dzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Mimo pożegnalnych słów, Trixie nie zabierała się do odejścia.

- Coś jeszcze?

- Czy będę potrzebna, żeby przygotować kąpiel albo nalać herbaty?

- Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Trixie była wyraźnie niespokojna i zdenerwowana. Co się z nią działo?

- W takim razie dobranoc. Koniecznie proszę wypić herbatę.

Boże, ten ponury zamek i ich wieczne popijanie herbaty.

- Dobranoc, Trixie.

Odprowadziła ją do drzwi. Na korytarzu panował lodowaty ziąb. Zimny przeciąg wpelzł do pokoju, owijając się wokół nadgarstków Taylor, jakby chciał ją wyciągnąć na zewnątrz. Wyczuła ducha, zanim go zobaczyła. Ziąb zamienił się w mur między nią a korytarzem, a potem mrugnęła powieką i się pojawił.

Naśladowca. Stał pod przeciwległą ścianą.

Cofnęła się gwałtownie i zatrzasnęła drzwi. Nadciągała czerwona fala. Dysząc ciężko, Taylor zamknęła drzwi na haczyk.

Usłyszała krzyk Trixie. Boże, znowu to samo. Pozwalała, żeby dręczył niewinną osobę, choć zależało mu przecież tylko na niej.

Oddychała przez chwilę przez nos, po czym szarpnięciem otworzyła drzwi, gotowa do ataku.

Korytarz był pusty.

Nigdzie nie było widać Trixie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Memphis wbił brodę w kołnierz, by uniknąć lodowatych podmuchów. Wizyta w więzieniu we Frankland nie należała do jego ulubionych rozrywek, zwłaszcza w tak paskudną pogodę. Na tym jednak polegała jego praca. Stanie w kolejce, powolne przesuwanie się do bramek kontrolnych, a potem wejście do nieco cieplejszego baraku. Żadnych względów dla wicehrabiego.

Czerwononosa jak renifer z kreskówki detektyw Penelopa Micklebury trzęsa się z zimna i szczękała zębami. Było zimno, padał coraz gęstszy śnieg. Prognozy zapowiadały burzę śnieżną. Memphis niepokoił się o Taylor, która samotnie przebywała w szkockim zamczysku. Poleciałby do niej, gdyby było trzeba, ale jeśli zamkną lotniska, pozostanie tylko kolej. Jednak gdyby zapowiedzi okazały się prawdziwe, pociągi także przestaną kursować, a wtedy... Taylor będzie samotna, opuszczona i wściekła na niego, że ją na to naraził.

Na tę myśl poczuł się okropnie. Nie powinien dziś myśleć o Taylor, to był dzień Evan. Odwiedził ją zeszłej nocy, ukląkł na grobie, błagał o przebaczenie. Wyrzucał sobie miłość do innej kobiety, wyrzucał brukanie pamięci ukochanej żony. Lecz minęły już trzy długie lata. Kiedy nadejdzie właściwa pora, by rozpocząć nowe życie? Jego serce już tego dokonało, tylko głowa stwarzała problemy.

A potrzebował w tej chwili jasnych myśli. Zamierzali przesłuchać byłego wspólnika Rogera Waterstone'a, uchodzącego obecnie za proroka Urqa. Był gotów udzielić informacji w zamian za złagodzenie wyroku.

Kolejka pełzła naprzód.

- Nareszcie. Mam do ciebie prośbę, Pen. Ty z nim pogadaj. Z tobą nasz młodzieniec może być bardziej otwarty niż ze mną.

- Dobrze - odparła.

Memphis udał, że nie widzi jej rozradowanego uśmiechu. Po raz pierwszy pozwolił jej poprowadzić przesłuchanie, ale w pełni

na to zasłużyła. Pen była bardzo dobrym detektywem.

Przeszli przez bramki kontrolne, okazali odznaki, podpisali stosowne formularze. Niekończącymi się korytarzami zostali zaprowadzeni do niewielkiego pokoju z ciężkimi drzwiami ze stali.

Otworzył je młody rudowłosy strażnik.

- Proszę, oto on. Gdyby sprawiał kłopoty, wystarczy zawołać. Wyciągniemy was stąd w dwie sekundy.

To doprawdy wielka pociecha, pomyślał Memphis złośliwie.

Weszli do pomieszczenia, gdzie po chwili doprowadzono młodego mężczyznę w szarym drelichu, z gładko ogoloną głową.

Usiadł przy stole i natychmiast zapalił papierosa.

Memphis i Pen także zajęli miejsca. Młoda detektyw nie śpiesząc się, przygotowała notatnik i długopis, po czym rozpoczęła przesłuchanie.

- Panie Madison, dziękujemy, że zechciał pan z nami porozmawiać. Wie pan, po co tutaj przyszliśmy. Proszę nam opowiedzieć o pańskim przyjacielu Rogerze.

Mężczyzna, a właściwie chłopak, miał duże niebieskie oczy. Palił tak, jakby się niedawno nauczył, nie zaciągając się, ale wydmuchując z ust kłęby dymu.

- Macie mi obiecać, że stąd wyjdę. To nie miejsce dla mnie. Ukradłem tylko parę pomarańczy z baru szybkiej obsługi. Inni spod celi mają znacznie więcej na sumieniu - poskarżył się.

- Postaramy się przekonać sędziego. Obiecuję panu. Proszę nam opowiedzieć o Rogerze Waterstonie.

- Nie Roger. Urq. Facet jest stuknięty. Wydaje się, że wszystko z nim okej, ale jak już cię wciągnie, to zrzuca maskę, ale wtedy połknąłeś już haczyk, więc trudno tak po prostu odejść. Nie ma nic za darmo, no nie? Nigdy. Chciałem zrezygnować, to mnie wykopał na ulicę.

Nerwowo wciągał dym, zatrzymywał go w ustach i szybko wydmuchiwał.

- Wywalił pana z kościoła?

- Nie, z domu. Tego na Baker Street. Co to nikt nie powinien się o nim dowiedzieć.

Zadzwoiła komórka Memphisa. Zaklął pod nosem. Po co zabierał ją ze sobą? Pen zgromiła go wzrokiem. Zerwał się, przeprosił i wybiegł z pokoju.

Natychmiast rozpoznał, kto dzwoni. Numer stacjonarny zamku Dulsie.

Odebrał, nie zwracając uwagi na potępiające spojrzenia strażnika. Zgłosiła się Trixie.

- Sądzę, że powinien pan jak najszybciej przyjechać, milordzie. Coś niedobrego dzieje się z panią Jackson.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Taylor spacerowała po salonie od okna do drzwi i z powrotem. Nie mogła się pozbyć z umysłu obrazu jego twarzy. Jego oczu, pustych i niewidzących, które zaglądały prosto do jej duszy.

Nie wiedziała, co robić. Zadzwoiła na komórkę Sam, nie przejmując się, że przeszkadza jej w pracy.

Przyjaciółka odebrała po czwartym sygnale.

- Przepraszam, musiałam zdjąć rękawiczki. Co się stało?

- Skąd wiedziałaś, że coś się stało?

- Odzyskałaś głos. Wydaje mi się, że mówienie sprawia ci ból, ale i tak się cieszę!

- On po mnie przyjdzie, Sam.

- Kto?

- Naśladowca. On tu jest. Łazi za mną po całym zamku.

- Taylor, tak ci się tylko wydaje. Wyobraziłaś to sobie. Jesteś przemęczona. Przepracowana. Potrzebujesz odpoczynku. Potrzebujesz snu. Napij się herbaty i połóż się spać. Może przestań zażywać percocet. Te tabletki mogą powodować otumanienie.

- Nie jestem otumaniona, Sam. Wiem, że to nie może być prawda, ale właśnie się dzieje, i to przez cały czas. Jest coraz gorzej.

Nastąpiło krótkie milczenie.

- Co się dzieje przez cały czas? O czym ty mówisz, Taylor?

- To była moja wina, Sam. Wyłącznie moja wina. Gdyby nie ja, byłabyś nadal w ciąży.

- Kochana, przestań tak mówić.

Taylor obeszła salon dokoła, przystanęła na moment przy kominku. Wyciągnęła notes z kieszeni i wrzuciła go do ognia. Dowody należało zniszczyć. Musi zniszczyć, spalić wszystko, zanim będzie za późno.

- Nie, naprawdę. Maddee sprawiła, że przejrzałam na oczy. Gdybym od razu poszła do ciebie, gdybym nie czekała,

mogłabym go powstrzymać. Mogłabym cię ocalić.

Łzy popłynęły strumieniem. Musiała wyznać wszystko. Odpokutować. Tylko Sam mogła odegnąć od niej duchy.

Cisza, przzerwana westchnieniem Sam.

- Taylor, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Pierwsze, co zrobił, to przebił mnie nożem. Stało się to wiele godzin przed tym, gdy dowiedziałas się, że zniknęłam. Nie mogłaś temu zapobiec. Czy mnie zrozumiałaś? To on mnie dźgnął, nie ty. Nie możesz się o to obwiniać. Był chorym człowiekiem, który chciał tak postąpić. Powiedz, czy mnie rozumiesz?

Taylor słyszała te słowa, ale ich nie pojmowała. Nie dopuszczała do siebie ich treści. Wciąż miała przed oczami zalaną łzami twarz Sam i wielką kałużę krwi u jej stóp.

- Taylor, muszę się brać do krojenia zwłok. Muszę wrócić do pracy. Posłuchaj, potarżam ci: przestań się o to obwiniać. Odpuść, proszę cię. Nie tylko ty masz problemy. Im szybciej to pojmiesz, tym prędzej wrócisz do dawnego stanu.

Telefon był węzłem o obnażonych kłach. Taylor zamknęła oczy i znów je otworzyła. Trzymała w ręku komórkę.

Sam miała rację. Nie chodziło wyłącznie o nią. Taylor musiała jedynie znaleźć sposób, aby przekonać o tym także innych.

Sam rozłączyła się, czując wielki niepokój. Taylor piła, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Zawsze gdy nadużyła alkoholu, popadała w lekką paranoję.

„To była moja wina”.

Jezu Chryste. Sam ogarnęła rozpacz. W najgorszych, najmroczniejszych chwilach tak właśnie uważała, oskarżając najlepszą przyjaciółkę.

W głębi serca wiedziała jednak, że nie wolno jej tak myśleć. To Naśladowca dokonał wyboru. To on ją porwał. Pchnął ją nożem w podbrzusze. To on był za wszystko odpowiedzialny, nie Taylor.

Coś tu jednak bardzo nie grało. Taylor wydawała się... przestraszona. Sam nigdy nie widziała, aby przyjaciółka okazała lęk. Gardziła strachem.

Chwyciła słuchawkę i obracała ją w palcach. Taylor zabiłaby ją, gdyby Sam zrobiła coś za jej plecami.



Wybrała numer komórki Baldwina. Od razu włączyła się poczta głosowa. Sam zawahała się, po czym rozłączyła, nie zostawiając wiadomości.

Działała irracjonalnie. Przecież chodziło o Taylor. Przyjaciółka była sama, bez niczyjego wsparcia, nikt nie mógł jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, i kazać odstawić butelkę.

Sam napisała do niej mejla, prosząc, żeby na kilka dni zrezygnowała z pigułek i alkoholu. Być może bóle głowy są wynikiem zażywania opiatów. Potem wróciła do pracy.

Nie mogła się z tym dłużej zmagać. Nie teraz.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Taylor nie mogła spać.

Zażyła posłusznie wszystkie tabletki, jedną po drugiej. Położyła się do łóżka, drżąc ze strachu. Martwiła się, że niepotrzebnie zadzwoniła do Sam. Wyciągnęła tylko na powierzchnię osad cuchnącego mułu.

Jej unikalny dar - popsucie wszystkiego, czego się tylko dotknęła.

Co się z nią działo? Przecież miała się poczuć lepiej. Owszem, odzyskała głos, ale słowa Maddee tłukły się echem po głowie, stając się w końcu upiorną mantrą.

*Nikt ci nie ufa.*

*Nikt ci nie ufa.*

*Nikt ci nie ufa.*

Wstała z łóżka. Za oknem padał gęsty śnieg. Jak okiem sięgnąć, jeszcze wczoraj zielony krajobraz oblekł się w biały całun.

Znała to dławiące uczucie.

Nie mogła nic na to poradzić.

Zaciągnęła zasłony i usiadła w fotelu obok regału z książkami. Jedyne światło dawał ogień na kominku.

Zaprosiła ducha i pozwoliła, żeby zalały ją wspomnienia.

Kiedy po nią przyszedł, nawet nie mrugnęła.

Czwarta po południu. Nie wiedziała, jaki dziś dzień. Ogień przygasł, kulila się, marznąc, na fotelu. Głowa pękała z bólu. Pozostałości po żalosnej imprezie leżały porozrzucone po pokoju. Ohyda. Wyglądał jak pokój gwiazdora rocka, tyle że meble nie były porozbijane. Trochę za dużo wypila.

Rozgoryczona wstała z fotela, wzięła prysznic i ubrała się. Miała dość siedzenia w pokoju i pozwalania na wszystko, co się z nią działo. W ten sposób nigdy się nie pozbiera.

Postanowiła obejść cały zamek. Skoro nie mogła wyjść na spacer, to chociaż rozprostuje nogi, przemierzając zamkowe korytarze.

Przy drzwiach znalazła wsuniętą przez szparę nad podłogą kartkę papieru. Dostarczono ją pewnie wtedy, gdy spała. Nie rozpoznała odręcznego pisma. Przeniosła wzrok niżej i zobaczyła zamasystry podpis Maddee.

Kusiło ją, żeby podrzeć liścik bez przeczytania, ale było to nazbyt dziecinne.

*Droga Taylor,*

*bardzo mi przykro, że wczorajsza sesja tak się zakończyła. Przepraszam cię za to. Próbowałam skłonić cię do mówienia. Uznałam, że jeśli naprawdę się rozgniewasz, to zapomnisz, że twój głos nie działa. Chociaż metoda okazała się skuteczna, to jednak niepotrzebnie ją zastosowałam. To nie było właściwe.*

*Czy możemy spróbować jeszcze raz? Jestem w zamku. Przyjechałam cię przeprosić, a śnieżycy przeszkodziła w powrocie do domu. Nie chciałam cię budzić. Mąż przyjedzie po mnie dżipem po kolacji.*

*Zgoda?*

*Szczerze ci oddana,*

*Maddee*

Pierwszą myślą Taylor było: suka. Drugą: okej. Metoda zadziałała, faktycznie odzyskała głos.

I tak musiała wyjść z pokoju, żeby nie siedzieć i nie wściekać się przez resztę dnia. Miło będzie mieć towarzystwo przy kolacji, pod warunkiem że będą poruszane wyłącznie bezpieczne tematy.

Włożyła gruby sweter i zeszła na parter.

Maddee siedziała w salonie w tym samym miejscu, gdzie Taylor ją wczoraj zostawiła. Gdyby nie widziała na własne oczy, że Maddee odjeżdża, uznałaby, że została w zamku na noc. Włosy miała znowu upięte w kok. Czytała kolorowe czasopismo. Taylor spostrzegła tytuł na błyszczącej okładce: „Party”. Zatem pani psycholog lubiła ploteczki.

Taylor odchrząknęła, a Maddee wzdrygnęła się zaskoczona.

- Ale się cicho poruszasz. Hej, tak się cieszę, że przyszłaś. - Odłożyła czasopismo i podeszła do Taylor. - Tak mi przykro.

Myślałam... Zresztą czytałaś mój list, więc wiesz, co myślałam. Jak tam twój głos?

Wyglądała na szczerze skruszoną, a zarazem pełną nadziei. Taylor od razu jej wybaczyła. Maddee próbowała jej pomóc.

- Nieźle. To, co powiedziałaś, naprawdę mnie zabolalo, ale głos mi wrócił, więc jestem ci na swój sposób bardzo wdzięczna.

- Napijesz się herbaty?

Nieodzowny wózek z imbrykiem i filizankami stał pod ścianą. Potrząsnęła głową, miała już stanowczo dość ukochanego napoju Anglików.

- A może łyczek whisky? To ci może pomóc...

Znowu odpowiedź odmowna. Taylor nie cierpiała whisky. Choć miło byłoby napić się kieliszeczek alkoholu. Głowa ją bolała, i to nie wskutek postrzału.

- Ja się chętnie napiję, jeśli nie masz nic przeciw temu, ale nie lubię pić sama. Może coś w zamian?

Obok wózka z herbatą znajdował się barek, którego Taylor wcześniej nie zauważyła. Maddee wybrała karafkę i nalała miarkę bursztynowego płynu do szklanki z rżniętego kryształu. Rozszedł się zapach... Jezu, to Jack Daniel's. Żołądek Taylor skurczył się boleśnie. Fúj.

Przepatrzyła inne karafki i wybrała taką, w której znajdował się czerwony trunek. Wyjęła zatyczkę i powąchała. Tak, stare porto. Nalała sobie kieliszek.

Usiadły naprzeciw siebie na sofie i stuknęły się naczyniami.

Maddee upiła łyczek, przez chwilę obracała go w ustach, a potem, mrugnawszy porozumiewawczo do Taylor, wypiła whisky jednym haustem.

- Nie ma się co bawić w grzeczne popijanie. Posiedzimy tu trochę, a ja nie prowadzę. Co ty na to, Taylor? Jeszcze po jednym?

Podeszła do barku, nalała sobie sporą miarkę whisky, zmieszała z colą i wrzuciła parę kostek lodu.

Taylor chwilę się wahała. Niewiele trzeba, by znów przesadziła z piciem, ale jedno piwo chyba nie zaszkodzi.

Odstawiła wino na stolik i wyjęła z lodówki pod barkiem puszkę heinekena.

- O nie, tylko nie te żałosne siki. Musisz się napić prawdziwego piwa. - Maddee pogrzebała w lodówce i wyjęła butelkę tennent's lager.

Znalazła otwieracz, wysoką szklanę i ceremonialnie nalała Taylor piwa.

- Ostatecznie przebywamy na zamku. Picie z butelki nie wchodzi w grę, prawda?

Taylor skinęła z uśmiechem. Próbowwała już kiedyś tego piwa, było całkiem smaczne. Upiła łyk ze szklanki zwieńczonej wianuszkami piany i wróciła na sofę.

Maddee okazała się fajnym kompanem. Zabawiała Taylor opowieściami o historii zamku i ploteczkami o Memphisie i pokojówkach. Znała wszystkich w okolicy i sporo o nich wiedziała, jednak starannie unikała wzmianek o Evan, co akurat odpowiadało Taylor.

Trixie przyszła do nich o siódmej i oznajmiła, że kolacja gotowa. Były już podbite. Z niejakim trudem wdrapały się na piętro do mniejszej jadalni, gdzie Taylor ciężko opadła na krzesło. Alkohol szumiał w głowie, wciąż chciało jej się śmiać. Niezgrabnie zawiązała serwetkę pod brodą.

Kolacja nie była wyszukana - zupa, steki, marchewka z groszkiem i gotowane ziemniaki. Maddee uparła się, żeby otworzyć szampana na cześć nowo zawiązanej przyjaźni. Przywołana dzwonkiem służąca poszła do piwnicy. Po pięciu minutach na stole stała już butelka Dom Pérignon rocznik 1987. Taylor musiała przyznać, że przyjemnie posiadać piwniczkę szlachetnych trunków do dyspozycji.

Maddee z wprawą wyjęła korek i nalała wino do wysokich kieliszków. Uniosła swój i wybełkotała:

- Za przyjaźń.

- Za Szkocję - odrzekła Taylor.

Stuknęły się i zabrały do jedzenia.

Potrawy były smaczne, choć jak na gust Taylor niedosolone. Przypuszczała, że to wina obolałego gardła. Po trzech kęsach steku poczuła skurcze żołądka. Odłożyła widelec i oblizwała wargi. Chyba nie zbiera jej się na wymioty, jak rany. Przecież aż tyle nie wyłopała.

Szybko stało się jasne, że całkowicie się myliła.

- Gdzie jest łazienka?

Maddee, choć też wstawiona, bardzo się przejęła.

- Tam, za tymi drzwiami. Czy jestem ci potrzebna? - spytała z troską.

Taylor pokręciła głową i pomknęła we wskazanym kierunku. Na szczęście zdążyła.

Zwymiotowała wszystko, co zjadła i wypila, a oprócz tego kilka razy samą śliną i żółcią. Z pewnością nie przysłuży się to gardłu.

Po kwadransie była gotowa wrócić do jadalni. Maddee siedziała z głową opartą na stole, głośno pochrapując. Nie doczekała deseru.

Jezu... Taylor zanotowała w pamięci, że ma sprawdzić, ile procent ma piwo marki Tennent's. Mimo wymiotów i pozbycia się alkoholu nadal czuła się oszołomiona i chwiała się na nogach.

Z korytarza dobiegły hałasy. Z niejakim trudem odwróciła się do drzwi, w których ukazał się wysoki szatyn. Omiótł wzrokiem jadalnię i pokręcił głową.

- Och, Maddee, coś ty nawyprawiała? - Spojrzał na Taylor. - Pani jest pewnie znajomą Memphisa. Nazywam się Roland MacDonald, jestem mężem Maddee. Pani też, jak widzę, ma nieźle w czubie. Trixie - zawołał. - Trixie!

Gospodyni zjawiała się natychmiast.

Roland uśmiechał się dobrodusznie, choć widać było po nim, że jest zirytowany.

- Dziewczyny spiły się do nieprzytomności. Zajmij się panią, ja zabiorę żonę do domu.

- Och, panno Taylor, czy dobrze się pani czuje? - Trixie była szczerze przejęta.

Taylor pozwoliła wyprowadzić się z pokoju. Na odchodnym zdążyła usłyszeć, że Maddee się ocknęła.

- Cześć... - wybełkotała do Rolanda i zaczęła się śmiać. Nie wydawała się pijana, ale ogromnie rozweselona.

Natomiast z Taylor działo się coś niedobrego. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Musiała się oprzeć o Trixie i mimo woli słuchać jej wyrzekania.

- Jak kobieta może się tak zachowywać? To niesłychane!

Taylor chciała wyjaśnić, że naprawdę nie wypła dużo, jedno piwo i kieliszek szampana, od tej ilości trudno się pochorować, do diabła, ale zmilczała i pozwoliła się wlec do pokoju.

- Trzeba się napić herbaty imbirowej, jest dobra na trawienie. I na ból głowy. Proszę usiąść, zaraz przyniosę.

Taylor potrzebowała wody, i to zaraz. Chwiejnie podeszła do barku, znalazła litrową Highlands Springs i wróciła na krzesło. Nie miała siły odkręcić butelki, ani ręce, ani głowa nie działały normalnie. Boże, była kompletnie pijana.

Dała spokój wodzie i zataczając się, dowlokła się do łóżka. Przysiadła na nim w nadziei, że Trixie zaraz wróci i pomoże jej podnieść stopy z podłogi. Ciężkie jak ołów powieki same się zamykały.

Mglisto zarejestrowała powrót gospodyni i brzęczenie naczyń, a potem ogarnęła ją nieprzenikniona czerń.

Kiedy Taylor się ocknęła, była sama. W pokoju panowały nieprzeniknione ciemności. Ogień znowu zgasł albo oslepla. Na tę myśl poczuła tak okropne mdłości, że nieruchomo leżała, czekając, aż przejdą.

W głowie jej pulsowało. Zasnęła, nie wziawszy tabletek. Ból nie przejdzie, dopóki nie połknie percocetu.

Zebrała się na odwagę i usiadła. Czuła zawroty głowy. Ból nigdy dotąd nie był tak okropny, nawet wtedy, gdy po strzelaninie wybudziła się ze śpiączki z metalową konstrukcją wrzynającą się w ciało, która miało utrzymywać głowę w niezmienionej pozycji. Jak dobrze, że było ciemno, oszalałaby chyba od światła.

Stopy dotknęły lodowatej podłogi. Bardzo dobrze, trzeba wstać. Posuwając się wzdłuż ścian, zdołała trafić do łazienki. Buteleczyki z lekarstwami stały przy umywalce. Nie wiedziała, która jest która, więc wyjęła z każdej po pigułce, wrzuciła do ust, odkręciła kran, namacała kubek do płukania zębów i popiła leki. Fioricet, ativan, percocet, melatonina.

Z najwyższym trudem dowlokła się do łóżka. Położyła się, czując mdłości wywołane silnym bólem głowy.

Nie wymiotuj. Nie wymiotuj. Nie wymiotuj! - nakazywała sobie.

Głos z radia, a może z telewizora? Nie wiedziała, jak go uciszyć. Jak wyłączyć ten cholerny głos?

Nasłuchiwała. Bolało. Nagle uświadomiła sobie, co to jest. Taśma nagrana przez Maddee.

Trixie musiała ją włączyć w nadziei, że pomoże.

Słuchała jeszcze przez chwilę. Okiem umysłu ujrzała niebieski balon. Był też nóż. Przeguby jej rąk. Buteleczeni leków.

To łatwe. To łatwe. To łatwe! - powtarzała w duchu.

Najpierw musiałyby się pożegnać.

Musi pogadać z Sam. Jeszcze raz ją przeprosić. Laptop nie chciał stać nieruchomo. Stukając w klawisze, walczyła z bólem głowy. Nie wszystko miało dla niej sens, ale przekazała główną ideę. Ile razy mogła przeproszać?

Lekarstwa zaczęły działać. Ból zelżał. Zaczęła się unosić, lewitować, lekka jak piórko. Postawiła stopę na podłodze.

Świat przestał się tak szybko obracać.

Tak było lepiej.

Czas mijał.

Pojęła, że nie jest sama.

Bała się otworzyć oczy.

Dłoń ujęła jej twarz. Tak jak Memphis poprzedniej nocy. Była bardzo zimna, prawie jak lód. To dobrze. Pomagała na ból.

Potem przesunęła się na czoło i skronie, musnęła blizny. Taylor wiedziała, że to nie Memphis ani nic rzeczywistego. Poczowała przypływ dławiącej paniki, wróciło uczucie spętania, nie mogła się poruszyć. Powróciły obrazy minionej nocy, delikatne ssanie, powolne pchnięcia, lodowaty dotyk. To był Memphis, i Baldwin, i jeszcze Roland, wszyscy trzej krążyli przy niej, dotykając, głaszcząc, tak że dyszała z rozkoszy, a potem z bólu. Koszulę miała rozpiętą i sama zaczęła mocno ugniatać swoje piersi. Była rozpalona, rozgorączkowana, lodowate palce przesuwwały się po jej ciele, wpełzały między uda. Coś w jej wnętrzu przemówiło głęboko, z naciskiem: „To jest złe”.

Głos nie mężczyzny, nie kobiety, nie człowieka, zaczął jęczeć jej prosto do ucha:



- Odejdź, Taylor. Zrób to teraz. Odejdź...

Nagle przestał.

Wiedziała, że nie może krzyczeć, bo jej głos nie działa, ale może płakać. Łzy płynęły strumieniem po twarzy. Traciła zmysły. Głowa bolała tak strasznie, że nie była w stanie otworzyć oczu. Konała z bólu.

W ostatniej chwili przed utratą przytomności nachyliła się i wymiotowała, po czym została tak z głową zwieszoną nad podłogą i uczuciem, że żyła lodu przewierca jej czaszkę na wylot.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Sam prowadziła furgonetkę Zakładu Medycyny Sądowej. Nie tylko Keri miała plany na wieczór. Jako szefowa, Sam nie lubiła zmuszać podwładnych do pracy po godzinach, wołała sama załatwić to, co mogła załatwić w zastępstwie innych.

Cholera, ależ było zimno. Sam lubiła Nashville i lubiła zimę, ale niekoniecznie wtedy, kiedy musiała oglądać po nocy miejsce przestępstwa. Ponoć mieli tam niezły pasztet. Skruszony Rabuś był tak skruszony, że się zastrzelił. Wypalił sobie w łeb. Sam nie była zdziwiona. Szczerze mówiąc, czuła jedynie ulgę, że rodzina szaleńca wydostała się z domu bez szwanku.

Nashville ładnie się prezentowało w dekoracjach świątecznych. Sam i Simon zabrali bliźniaki na uroczystość zapalenia lampek na miejskiej choince. Maluchy nie posiadały się z radości, chichocząc i paplając bez ustanku. To ich pierwsze świadome Boże Narodzenie i Sam miała nadzieję, że znajdzie czas, by wraz z nimi w pełni przeżyć te piękne święta.

O ile Nashville prezentowało się ładnie, to bogata dzielnica Belle Meade wyglądała wprost bajkowo. Właściciele olbrzymich posesji dokładali wszelkich starań, by domy i ogrody zostały profesjonalnie udekorowane. Efekt musiał kosztować setki, jak nie tysiące dolarów. Jak można było wydawać tyle pieniędzy na dekoracje świąteczne, Sam nie miała pojęcia, należało raczej spytać tych ludzi.

Zaparkowała furgonetkę najbliżej, jak się dało, i resztę drogi przebyła pieszo.

Dom Douglasa Bowermana przedstawiał się nieco skromniej niż pałace sąsiadów. Na drzwiach wejściowych wisiał wieniec ze świerkowych gałązek ze sztucznymi owocami i złotymi kokardami. Były otwarte na oścież, w jasno oświetlonym wnętrzu świeciły się lampki na choince. Musiały być zaprogramowane. Nie wyobrażała sobie, żeby zapalił je ktoś z rodziny samobójcy.

W takich chwilach Sam najbardziej brakowało Taylor i jej talentu organizacyjnego. Z pewnością załatwiłaby miejsce dla furgonetki, a tak trzeba będzie łązić tam i z powrotem. Czekala ją długa noc.

Weszła do domu, gdzie niemal w progu spotkała Marcusa.

- Hej, myślałem, że Keri ma dzisiaj dyżur?

- Poszła na przyjęcie. Gdzie jest ciało?

- W salonie. Wypuścił rodzinę, zamknął drzwi i zastrzelił się.

Nic tajemniczego.

- Nie powinieneś zgasić tych lampek?

- Sam nie wiem. To tak odświętnie wygląda... Choć cała sprawa jest upiorna.

Marcus miał rację. W samobójstwie, zwłaszcza z użyciem broni palnej, nie było nic przyjemnego. Bowerman wystrzelił z glocka kaliber 45. Leżał obok jego prawej ręki. Denat miał tylko połowę twarzy.

- O rany.

- No właśnie. Potrzebna ci pomoc?

- Nie, ale w razie czego zawołam. Dzięki.

Chciała to mieć jak najprędzej za sobą.

Nachyliła się i zaczęła badać zwłoki. Najpierw otworzyła portfel, by zgodnie z procedurą po raz drugi ustalić tożsamość denata. Na dokumencie prawa jazdy widniało nazwisko Douglas Bowerman, ale na fotografii był blondyn. Ten człowiek był szatynem. Przypomniawszy sobie włosie z peruki w kieszeni Marias González, pociągnęła za kosmyk. Nie, włosy były prawdziwe. Wzrost także się nie zgadzał - w prawie jazdy podano metr osiemdziesiąt, a ten był bez wątpienia znacznie niższy. W celu ustalenia tożsamości zwłok trzeba będzie wykonać pełne badanie, inaczej policja nigdy się nie dowie, czy Bowerman popełnił samobójstwo, czy może zastrzelił niewinną osobę, a sam uciekł na wolność.

- Marcus? - zawołała.

Musiał być blisko, bo zjawił się prawie natychmiast.

- Co jest?

- Kto to jest? - Pokazała na zwłoki.

- Bowerman.

- Niestety nie. - Wstała i podała mu prawo jazdy.

Obejrzał je, po czym spojrzał na ciało.

- Sukinsyn!

- Podzielał twoją opinię.

- Keller! - Marcus rzucił się biegiem w głąb domu.

Sam odstąpiła od zwłok. Jeśli to nie był ich podejrzany, to w takim razie kto został zastrzelony? I dlaczego?

Poszła do kuchni, zdjęła rękawiczki i wyłuskała komórkę z tylnej kieszeni dżinsów. Wysłała Simonowi wiadomość, że będzie w domu później, niż planowała. Zadzwoiła też do Keri McGee, kazała jej przeprosić chłopaka i zjawić się jak najszybciej na miejscu zbrodni.

Marcus nadal rozmawiał z Kellerem, który dziko wymachiwał rękami. Wyraźnie się kłócili. Sam wróciła do kuchni, usiadła w kącie i sprawdziła pocztę. Zawołają ją, kiedy będzie można zabrać zwłoki. Najpierw technicy muszą zrobić zdjęcia i sfilmować miejsce zbrodni.

Przyszedł nowy mejl od Taylor, wysłany w środku nocy. Tak jak w domu przesiadywała do późna. Niektórzy nigdy się nie zmieniają. Biedaczka. Bezsenność była częścią jej jestestwa, nic nie było w stanie jej wyleczyć.

Zaczęła czytać list:

*Kochana Sam,*

*Myślę, że każdy człowiek podczas wędrówki przez życie dociera do takiego momentu, kiedy powtórnie zostaje ukształtowany i zdefiniowany jego charakter, zupełnie jakby został ulepiony z nowej gliny. Coś takiego przytrafiło się również mnie. Zmieniłam się, i to nieodwracalnie.*

*Sam, nie mam już cienia wątpliwości. Tracę rozum. Tamta strzelanina mnie prześladowuje. Koszmarna świadomość straty, którą poniosłaś, bolesna świadomość tego, kim się stałam... To po prostu mnie wykańcza! Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Czuję się potwornie zagubiona, z dala od wszystkich, w obcym świecie, niczym motyl uwięziony pod szklanym kloszem.*

Psiakrew, nie jest dobrze. Taylor miała kłopoty. Straszdyła i duchy to jedno, a pomieszanie zmysłów to całkiem co innego.

Cholera, trzeba było wysłuchać jej wczoraj uważniej. Taylor próbowała powiedzieć, że z nią źle.

Sam dobrze znała przyjaciółkę, pod niektórymi względami lepiej niż samą siebie. Coś było nie tak, i to nie z głową Taylor. Prawdopodobnie źle reagowała na lekarstwa przepisane przez doktora Benedicta. Sam nie chciała wszczynać niepotrzebnego alarmu, ale im dłużej analizowała treść listu, tym bardziej była pewna, że istnieje poważny problem.

Wybrała numer komórki Taylor, ale zgłosiła się poczta głosowa. Niech to diabli! Spróbowała ponownie, ale z takim samym rezultatem.

Tym razem nie wahała się długo. Taylor będzie na nią wkurzona, ale to było bez znaczenia. Miała kłopoty, a Sam nie wybaczyłaby sobie, gdyby nie spróbowała jej pomóc.

Przesłała mejla Baldwinowi, po czym zadzwoniła do niego. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Cześć, Sam. Co słychać?

- Cześć. Słuchaj, wybacz, że ci przeszkadzam, wiem, że masz mnóstwo pracy. Dzwonię z powodu Taylor. Dostałam od niej mejla, przed chwilą ci go wysłałam. Ewidentnie dzieje się z nią coś niedobrego. Przypuszczam, że może źle reagować na leki. Sądzę, że bardzo cię potrzebuje. Jest oczywiście zbyt dumna, żeby cię prosić o pomoc.

- Dobrze, zaczekaj, przeczytam ten list.

- Jasne. - Marcus przyzywał ją gestami. - Albo wiesz co, zadzwoń do mnie, jak skończysz czytać. Rozumiesz, jestem w pracy.

- Współczuję. Dobrze, zaraz do ciebie oddzwonię.

Schowwała komórkę i poszła do salonu. Marcus gotował się z gniewu.

- Sam, zmiana założeń, na razie czekamy. To już nie jest samobójstwo, tylko morderstwo. Muszę porozmawiać z żoną, dowiedzieć się, czy nie wie, kto to jest.

- Nasz podejrzany lubi zabawę w ściganego, nikt nie rabuje banków dla kawału. Teraz ma gwarancję, że zaczniecie go szukać.

- Mieliśmy już wszystko. - Marcus pokiwał smętnie głową. - Marias González sprzątała w tym domu. Jeździli jaguarem. Żona zeznała, że mąż miał stłuczkę i samochód stoi w warsztacie. Bowerman to nasz Rabuś, jestem tego pewien. To znaczy prawdziwy Bowerman. Tylko gdzie on się, do diabła, podział?

- Posłużył się podstępem. Nikt nie wiedział, że ten facet tu jest. Bowerman wypuścił rodzinę, zastrzelił gościa i uciekł. Myślimy, że to samobójstwo, i wcale go nie szukamy, a on ma czas na ucieczkę. Musiałby się dowiedzieć, że się połapaliśmy.

- Mam tylko nadzieję, że żona z nim nie współdziałała.

- Wszystko jest możliwe.

- Święte słowa. Rozesłałem apel do wszystkich jednostek, że jest poszukiwany. Nie mógł daleko uciec.

Zabręczała komórka Sam. Baldwin. Przeprosiła Marcusa i odebrała.

- Nie mogę się do niej dodzwonić. - Mówił napiętym tonem. - Masz rację, ten list jest w najwyższym stopniu niepokojący. Będę próbował się z nią skontaktować. Jeśli się do ciebie odezwie, to daj mi znać, dobrze?

- Czy nie możesz tam po nią pojechać?

- Raczej nie. - Słyszała, że Baldwin jest bardzo zdenerwowany.

- Lotniska i dworce są pozamykane z powodu śnieżycy. Nie ma żadnych lotów do Anglii. Wyobraź sobie, że siedzę w Amsterdamie, a mimo to... Cholera, będę tu tkwił jeszcze co najmniej jeden dzień.

- A gdzie Memphis?

- Nie wiem.

- Cudownie. Czyli oboje możemy się o nią zamartwiać z daleka. Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz.

- Ty też. - Rozłączył się.

Sam jeszcze raz zadzwoniła do Taylor, ale włączyła się poczta głosowa.

Musiała wracać do pracy. Napisała krótkiego SMS-a i pełna niepokoju zwróciła się do Marcusa:

- Przepraszam, zdaje się, że coś mówiłeś.

- Co się dzieje z Taylor? - spytał zaintrygowany.

- Nic, wszystko w porządku - skłamała. Mam nadzieję, dodała w duchu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

- Boże, błagam. Tylko nie to!

Memphis od ponad godziny tkwił w aucie, próbując się dostać do szosy A1. Komunikacja była sparaliżowana, nie jeździły pociągi, samoloty były uziemione. Jediną szansą był samochód, ale jazda przeciągała się w nieskończoność. Padał niewiarygodnie gęsty śnieg. Memphis nigdy czegoś takiego nie widział.

Musiał możliwie jak najszybciej dotrzeć do Taylor.

Niech ją licha. Wydawała mu się taka twarda, choć miała też w sobie pokłady delikatności. Straciła głos, została zmuszona do opuszczenia domu i pracy, po czym wpadła prosto w łapy bestii... czyli wyobraźni, rozedrganych nerwów. Tak, to mogło nadszarpnąć jej władze umysłowe, ale nie była wariatką. Przywykła twardo stąpać po ziemi i trzymać ludzi na dystans, natomiast z relacji Trixie wynikało, że wcale tak nie było. Zaczęły się halucynacje i popłakiwanie po kątach. Takie działanie nie było w niczym podobne do znanej mu Taylor Jackson.

Tak zachowywała się Evan tuż przed śmiercią.

- Boże, błagam. Tylko nie to!

Auto przed nim przesunęło się odrobinę do przodu. Memphis bał się, że zacznie krzyczeć, jeśli korek w końcu nie ruszy.

Jakim cudem to znowu się działo?

Evan nie była silna, twarda, odporna. Pociągała go przez to jeszcze mocniej, lgnął do niej jak ćma do płomienia, pragnął być jej rycerzem i obrońcą. Pamiętał wieczór, kiedy się poznali. W teatrze w Oksfordzie trwał nabór do „Hamleta”. Usiedli obok siebie i wspólnie wypalili papierosa oraz wypili parę łyków whisky na odwagę. Ku swojemu zdziwieniu Memphis był okropnie zdenerwowany. Gdy przyszła jego kolej, wyrecytował swój fragment i został dobrze przyjęty. Natomiast Evan... Och, Evan stała się postacią ze sztuki. Była porywająca. Otrzymała



owację na stojąco od studentów reżyserii, którzy prowadzili casting.

Była świetną aktorką. Tylko na scenie potrafiła się wyzbyć lęków i obaw.

On dostał rolę Laertesza. Evan grała oczywiście Ofelię.

Gdyby wiedział to już wtedy. Gdyby ujrzał w jej jasnych oczach mroczną przepowiednię straszliwego końca.

Prawda pozostała w rodzinie. Udało się utrzymać media z dala od sprawy.

Wciąż jeszcze miał list, który zostawiła. Chciał go spalić, ale Trixie go powstrzymała.

- Pewnego dnia będzie ci potrzebny, a do tego czasu schowaj go w bezpiecznym miejscu - powiedziała.

Myślał, że udało się opanować psychozę Evan. Maddee poświęciła jej dużo czasu. Sprowadził też specjalistę od zaburzeń nerwowych, ale nic nie wskórał.

A potem Evan zaszła w ciążę.

Wszyscy nie posiadali się z radości.

Natychmiast wróciło jej zdrowie, stała się dawną pogodną Evan.

Rozpieszczał ją. Przeżyli kilka miesięcy idylli w Londynie, w przytulnym apartamencie w Chelsea.

Następnie zawiózł ją do zamku pod opiekę rodziców, a sam wrócił do pracy w Londynie. Okazało się to brzemienne w skutki błędem. Odosobnienie wydobyło na powierzchnię dawne obawy i lęki. Evan zaczęła widywać zjawy, okropnie schudła. Oskarżała go o najnikczemniejsze przewinienia. Nie potrafił już do niej dotrzeć.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. W rodzinnym gronie zastanawiali się, czy może oddać ją do szpitala psychiatrycznego, ale pewnego feralnego dnia Evan ukradła kluczyki do auta i uciekła, znajdując drogę do mostu Dulsie.

Zjechała z niego do rzeki.

Słyszał w głowie jej przeraźliwe krzyki. To się nie mogło powtórzyć.

Samochody ruszyły. Bardzo powoli, ale jednak posuwały się naprzód.

Taylor uzna to pewnie za nielojalność, ale na razie postanowił się tym nie przejmować. Pora zadzwonić do Maddee.

Wyjął komórkę i ujrzał migającą czerwoną lampkę. Wiadomość w poczcie głosowej. Przełączył na głośnik.

- Memphis, mówi Maddee. Twoja znajoma ma napad psychotyczny. Powinnam jej podać środki uspokajające, ale zamknęła się w pokoju. Będę...

Aparat się wyłączył. Padła przeklęta bateria.

Czyli to znowu się działo.

Czym sobie na to zasłużył?

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Baldwin krążył zniecierpliwiony po amsterdamskim lotnisku Schiphol. Lot do Londynu został odwołany. Pogoda sparaliżowała angielskie terminale na bliżej nieokreślony czas.

Na przemian wydzwaniał do Taylor i do Memphis. Żadne nie odbierało, a on był bliski rwania włosów z głowy.

Musiał się dostać do Szkocji. Nieważne, że lotniska nie działały. Taylor potrzebowała go przy sobie.

Z oczywistych względów nie mógł pojechać samochodem.

Pora zwrócić się o pomoc do grubych ryb.

Zadzwoił do Atlantica.

- Dobra robota z Juliusem. Czy czegoś ode mnie potrzebujesz?

- Muszę się dostać do Szkocji. W okolice Edynburga.

- To niemożliwe. Lotniska zostały zamknięte.

- Atlantic, to bardzo pilna sprawa. Jeśli mi nie pomożesz, to przysięgam, że ujawnię mediom twoją ostatnią operację.

Atlantic parsknął lodowatym śmiechem.

- Byłbyś martwy, zanim zdążyłbyś pisnąć choć słowo, Baldwin, ale nie zapuszczajmy się w te rejony. Jesteś dla mnie jak syn. Skoro to dla ciebie takie ważne, to zanotuj koordynaty i udaj się w to miejsce. I przygotuj się na jazdę po wybojach.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Staranny ogląd miejsca zbrodni zajął Sam wiele godzin. Marcus przyłapał żonę Bowermana na kłamstwie i przesłuchiwał ją na policji. Istniała szansa, że dowiedzą się jednak czegoś konkretnego.

Policja podejrzewała, że Bowerman zaplanował ucieczkę. Zamierzał się gdzieś przyczaić, a potem sprowadzić żonę i dzieciaki. Kobieta przysięgała, że nie ma pojęcia, kim jest zamordowany w jej salonie mężczyzna.

Nikt nie wierzył w te zapewnienia.

Odciski palców ofiary znajdowały się w policyjnych rejestrach. Mężczyzna nazywał się Joseph Trimble, był bezdomny, a zebrane informacje pozwoliły ustalić, że nieznany dobroczyńca „pomagał mu znowu stanąć na nogi”. Oczywiście nie było dowodu, że to Bowerman, przynajmniej na razie.

Istniały przesłanki, że zamierzał zwać na Trimble'a winę za napady na banki. Marias González zepsuła mu te plany, więc musiał ją unieszkodliwić.

Ostatnie działania Bowermana nosiły cechy pośpiesznej improwizacji. Niedobrze, że policja nie miała pojęcia, dokąd udał się uciekinier. Skruszony Rabuś wymknął się z policyjnej pułapki.

Sam dotarła do domu przed północą, czyli sześć godzin później, niż zaplanowała. Simon położył bliźnięta spać i czekał na nią z butelką wina. Szczerze mówiąc, marzyła jedynie o tym, żeby się wsunąć pod kołdrę i spać przez dwa dni bez przerwy, ale przyjęła zaproszenie na kieliszek i usiadła wraz z mężem przy kuchennym stole.

- Potrzebujemy urlopu - powiedział.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. - Sam upiła spory łyk czerwonego wina. - Dokąd chciałbyś pojechać?

- W jakieś ciepłe miejsce.

- A twoja praca? - Simon kierował laboratorium wykonującym badania DNA dla firm i klientów indywidualnych. Często przyjmował zlecenia od policji, jeśli wyniki były potrzebne „na wczoraj”.

- Dadzą sobie radę beze mnie. Uważam, że potrzebujemy czasu dla siebie. Może moglibyśmy się postarać o dziecko?

Miał minę pełną nadziei. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że nie jest jeszcze na to gotowa.

I nie wie, czy kiedykolwiek będzie.

Dzwonek komórki wybawił ją od odpowiedzi. Spojrzała na ekran. Dzwoniła Taylor. Nareszcie.

- Skarbie, muszę odebrać. Porozmawiamy później, dobrze?

Simon zrobił niezadowoloną minę.

- Czy nie możemy najpierw dokończyć rozmowy? Serio, Sam, to naprawdę ważne.

- To Taylor. Baldwin i ja przez pół dnia próbowaliśmy się do niej dodzwonić. Daj mi pięć minut, okej?

Simon wyszedł bez słowa do sypialni.

Nic nie mogła na to poradzić, Taylor potrzebowała jej wsparcia.

- Taylor - zawołała do aparatu - na miłość boską, martwiłam się o ciebie jak cholera!

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Ptaki dziobały ją po głowie.

Przez chwilę myślała, że wróciła do Nashville i stoi przed wejściem do pałacu Królowy Śnieżki, gdzie ćwierkają te cholerne ptaszki. Czuła się podobnie, kiedy ocknęła się w szpitalu ze śpiączki, też słyszała nieustanne ćwierkanie. Teraz było trochę inaczej.

Czuła się pusta. Bolały ją ręce, głowa, gardło, całe ciało.

Bała się poruszyć. Wiedziała, że wczoraj w nocy była chora, i to poważnie, i dostała tak silnej migreny, że nie była w stanie nawet kiwnąć palcem. Widziała jakieś zjawy. Słyszała je. Czuła.

Uniosła powiekę.

Świat nie rozpadł się na tysiąc kawałków.

Otworzyła drugie oko. Podciągnęła się do pozycji siedzącej. Świtało. Za oknem było jasno. Światło nie raziło jej oczu, co było dobrym znakiem.

Co się stało wczorajszej nocy?

Wstała z łóżka, unikając wdepnięcia w kałużę czegoś, co wyglądało jak woda, i poszła do łazienki. Na umywalce leżały przewracane buteleczki z lekarstwami. Przypomniała sobie, że miała straszliwą migrenę i z trudem udało jej się zażyć tabletki.

Pamiętała też swoje myśli: wszystkim byłoby znacznie lepiej, gdyby wreszcie ze sobą skończyła.

A potem straciła przytomność.

Znów przyszedł do niej Memphis, a także Baldwin, tyle pamiętała. Poczowała, że policzki jej płoną. To wydawało się takie realne. Lecz przecież żadnego z nich tu nie było. To niemożliwe, żeby ją odwiedzili.

Coś tu się nie zgadzało, i to bardzo. Czuła się chora, ale nie tak jak przy grypie albo przeziębieniu. Czuła się... zdruzgotana.

W oknie łazienki ukazał się baśniowy krajobraz krainy Królowej Śniegu. Padał tak gęsty puch, że okno sprawiało

wrażenie, jakby zostało zasłonięte białym prześcieradłem.

Zdjęła nocną koszulę i weszła pod prysznic. Gorąca woda potrafi czynić cuda z obolałymi mięśniami. Boże, bolało ją wszystko, po prostu całe ciało.

Stała pod strumieniem wody tak długo, aż skóra pomarszczyła się jak suszona śliwka. Wytarła się grubym ręcznikiem, okręciła nim mokre włosy, włożyła szlafrok i zasiadła przed komputerem.

Musiała z kimś o tym wszystkim porozmawiać. Otworzyła pocztę. Miała list od Sam. Doskonale.

Ze zdumieniem stwierdziła, że Sam napisała wiadomość drukowanymi literami, jakby na nią krzyczała. Była zwięzła i jasna:

*PRZESTAŃ BRAĆ LEKARSTWA!*

Z nawyku przeczytała swój poprzedni list, na który otrzymała właśnie odpowiedź. Była to długa, niby jakoś tam skomponowana, ale jednak chaotyczna diatryba, wysłana w środku nocy. Taylor nie pamiętała, kiedy napisała te przygnębiające słowa, choć mgliście przypominała sobie, jak snuje się po pokoju i uruchamia komputer. Jeszcze raz sprawdziła datę wysłania wiadomości. Zrobiła to zeszłej nocy, w trakcie swoich halucynacji.

Pięknie. Roila sobie różne rzeczy i pisała listy, nie pamiętając później, że je wysłała. Wczoraj ciężko chorowała, tego jednego była całkiem pewna. Gardło miała opuchnięte od wymiotów.

Powoli przeczytała swój list. Miał oczywiste przesłanie: czuła, że traci rozum.

Być może wczoraj tak właśnie było.

Teraz, w zimnym blasku dnia, czując dojmującą pustkę w znękanym ciele, nie była już tego taka pewna. Sam miała chyba rację.

Tabletki.

O cholera. Herbata.

Trixie.

Taylor chwyciła komórkę. W którymś momencie musiała wyłączyć dzwonek, bo miała osiem nieodebranych połączeń od Sam i cztery od Baldwina.

Nie traciła czasu na odsłuchiwanie nagranych wiadomości. Gdyby Sam przysłała jej w środku nocy dziwaczny mejl, natychmiast spróbowałyby do niej zadzwonić, a nie mogąc uzyskać połączenia, zadzwoniłaby na komórkę Simona. Sam najwyraźniej działała wedle tej samej logiki, stąd telefony Baldwina.

Memphis się nie odezwał. Ciekawe...

Spojrzała na zegarek. W Szkocji była szósta rano, co oznaczało północ w Nashville. Trudno, jeśli nawet obudzi bliźniaki, Sam jej to wybaczy. Wybrała numer przyjaciółki. Sam odebrała po drugim dzwonku, w jej głosie słychać było zaniepokojenie.

- Taylor - zawołała do aparatu - na miłość boską, martwiłam się o ciebie jak diabli! Dlaczego wyłączyłaś telefon? Zresztą nie odpowiadaj, na pewno masz cholernie dobry powód, żeby mnie tak wystraszyć. Tracisz rozum? Ty? Gdzie się, u licha, podziewałaś?

- Ni...

- Znowu straciłaś głos? Natychmiast otwórz czat. I nie wąż się rozłączać, zaczekam. Jak się czujesz?

- Daj mi chwilę. - Jezu, miała uczucie przełykania tłuczonego szkła. Może krzyczała we śnie. Napila się wody i spróbowała jeszcze raz. - Już dobrze. Napisałaś, żebym przestała brać tabletki. Skąd wiedziałaś?

- To żadna tajemnica. Doktor Benedict przepisał ci percocet i ativan, a do tego fioricet. Po tym, jak źle zareagowałaś na ambien, przyszło mi do głowy, że być może równie kiepsko znosisz przyjmowanie jednego z tych leków. Wiesz, że miewasz odwrotne reakcje na leki, prawda? Jak cię znam, to łykasz za dużo percocetu.

- Maddee, to znaczy doktor James, przyjaciółka Memphis, dała mi melatoninę. Podejrzewam, że mogła wywołać niepożądaną reakcję. Ale Sam, wydaje mi się, że prawdziwa przyczyna jest inna. Obawiam się, że Trixie mnie podtruwa.

Usłyszała świszczący oddech Sam.

- Posłuchaj, kotku...

- Nie kotkuj mi tu, mówię całkiem poważnie. I zapewniam, że bardzo jasno myślę. Wierz mi, ta kobieta coś ukrywa i ma



niedobre zamiary. Wiecznie czai się pod moim pokojem, piętnaście razy dziennie poi mnie herbatą. To musi być przyczyna mojego stanu. Na pewno myśli, że próbuję zająć miejsce Evan. Na pewno bardzo ją lubiła, zresztą jak wszyscy.

- Taylor, posłuchaj, co ty pleciesz. Uważam, że powinnaś wracać do domu.

- Zgadzam się z tobą. Mam już dość pobytu w tym zamku.

- Czy nadal masz halucynacje?

Taylor rozejrzała się po pokoju, czekając na pojawienie się czerwonej mgły. Nic. Być może wymiotując, pozbyła się całej trucizny z organizmu. Zdjęła turban z ręcznika i potrząsnęła głową. Nadal nic, nie licząc bólu głowy.

- Nie, w tej chwili czuję się całkiem znośnie. Te... wizje przychodzą o dziwnych porach. Kątem oka dostrzegam czerwone przebłyski i mam silne wrażenie, że jestem obserwowana. Potem widzę Naśladowcę. Stoi, jakby na mnie czekał.

- Jezu, Taylor, tak mi przykro. Próbowałam mi o tym powiedzieć, a ja założyłam...

- Nie pamiętam, kiedy napisałam ten list.

- To był naprawdę nieźle popieprzony tekst, dziewczyno.

- Ostatnie dni były nieźle popieprzone. Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Tylko nie krzycz na mnie, dobrze?

- Co takiego? - odpowiedziała Sam po chwili milczenia.

- Wydaje mi się, że się przespałam z Memphisem.

Z aparatu buchnął przenikliwy wrzask, słyszalny chyba na całym globie.

- Co? Kiedy?

Skoro się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B.

- W noc przed jego wyjazdem, po tym, jak się całowaliśmy na moście. Myślałam, że zabarykadowałam drzwi. Tutaj ciągle ktoś się gdzieś skrada. Nie podoba mi się, że mają swobodny dostęp, może jakieś tajemne przejścia albo korytarze. Wygląda na to, że można wejść do mojego pokoju nawet wtedy, kiedy drzwi są zamknięte. Mam nieprzyjemne uczucie, że nie jestem całkiem sama, ale z tym umiem sobie poradzić. W każdym razie kiedy

położyłam się spać, miałam zły sen. Trixie przyniosła mi herbatę, a potem on zjawił się u mnie. Dziwne rzeczy się działy.

- Kiedy zaczęłaś się dziwnie czuć, Taylor?

- Podczas drugiej nocy pobytu w zamku.

- Powiedziałaś, że wydaje ci się, że się z nim przespałaś. Czy to znaczy, że nie masz pewności?

No właśnie. Zaczęła już powątpiewać we wszystko.

- Byłam pewna do zeszłej nocy. Przedtem uważałam to za absolutnie realne. Ale to bardzo dziwna sprawa. Nie było go przy mnie, kiedy się obudziłam, co wydało mi się raczej osobliwe. Przy śniadaniu zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Wyjechał do Londynu, nie zająknął się o tym ani słowem, żadnych flirtów, żadnych aluzji. Pożegnał się zwyczajnie, jakby nic między nami nie zaszło. To do niego niepodobne, wiesz?

- Wyobrażam to sobie.

- Przyznaję, że byłam urażona i zakłopotana. Teraz myślę, że może to się wcale nie wydarzyło... Sam, jeśli tylko to sobie uroiłam, miałam halucynacje? To wyjaśniałoby zachowanie Memphisa.

Przyjaciółka milczała dłuższą chwilę, a kiedy wreszcie przemówiła, w jej tonie nie było złości.

- Taylor, być może to pobożne życzenia. Czy jesteś pewna, że nie żałujesz tego kroku i nie wolisz sobie wyobrazić, że to się wcale nie stało? Bo raczej trudno nie wiedzieć, czy uprawiało się seks, czy nie.

- Tak, wiem. I owszem, żałuję tego, bo to było złe. Jeśli to zrobiłam, to popełniłam błąd.

- Zgoda.

- Sam, przestań.

- Co mam ci powiedzieć, Taylor? Nie zamierzam niczego ukrywać. Wiesz dobrze, że za nim nie przepadam.

- Owszem, postawiłaś sprawę jasno. Ale zanim mnie potępisz, posłuchaj dalszego ciągu. Tylko ostrzegam, to brzmi jak opowieść wariata. Wczoraj w nocy był u mnie Memphis. Znowu... Lecz był także Baldwin. I mąż Maddee.

- Jezu, Taylor! - Sam zaniósła się piskliwym chichotem. - Tylko ty umiesz w halucynacjach uprawiać seks grupowy! I jak było?

- We czwórkę? Dosyć okropnie...

- Nie, jak było z Memphisem.

Taylor zastanowiła się nad pytaniem. „Dobrze” to mało powiedziane. Wiedziała, że musi opowiedzieć Sam całą historię, jeśli zamierza dotrzeć do prawdy o tym, co było realne, a co nie.

- Wydawało się rzeczywiste, ale ani na moment nie otworzyłam oczu, więc go nie widziałam. Wczorajszej nocy miałam bardzo podobne wrażenia... a przecież nie mógł być ze mną, bo jest, czy też był w Londynie. W każdym razie nie ma go w zamku.

- Słuchaj, jeśli nie jesteś pewna, to owszem, mogłaś mieć halucynacje. Niektóre narkotyki, na przykład LSD, nakręcają fantazje erotyczne. Może wcale się z nim nie całowałaś. Uważam, że powinnaś go o to zapytać.

- Nie, co do pocałunku, to jestem absolutnie pewna. Ale co do reszty... Tyle że to okropnie kłopotliwe pytanie. „Cześć, Memphis, co u ciebie? Powiedz mi, spaliśmy ze sobą tamtej nocy czy tylko mi się wydawało?”

Sam miała na tyle przyzwoitości, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Nie unikniesz tego, moja droga, choćby dla spokoju umysłu. Słuchaj, muszę już kończyć, bo dzieci płaczą, a Simon jest na mnie trochę zły. Z tobą na razie w porządku, jak słyszę. Tylko pamiętaj, nie bierz żadnych pigułek. Jestem pewna, że masz ze sobą advil, więc jeśli zaczniesz cię boleć głowa, weź osiemset miligramów i powtarzaj tę dawkę co sześć godzin. Jutro możesz mieć lekkie drgawki, to będzie działanie percocetu. Postaraj się go wydalić. Jeśli miałabyś możliwość pobrania krwi do analizy, to zrób to, dowiemy się, co siedzi w twoim organizmie.

- Dobrze.

- Aha, Taylor... Uważaj na siebie, jak rany.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Taylor skończyła rozmowę i westchnęła głęboko. Nie miała pojęcia, jak pobrać próbkę krwi, chyba że zacięłaby się i zebrała parę kropel do szklanki do płukania zębów. Albo do butelki po wodzie?

Nie trzeba tego dużo, prawda?

Nie miała przy sobie noża. Obeszła pokój, szukając zastępczego narzędzia. Nada się odłamek szkła.

Zaniosła do łazienki kryształowy kieliszek i wrzuciła go do wanny, co natychmiast nasunęło jej na myśl Baldwina, który rozbił w zlewie kieliszek do wina. No tak, miał całkowitą rację. Powinna go była posłuchać.

Wzięła do ręki najbardziej ostry odłamek i bez namysłu nacięła skórę przedramienia. Krew wypłynęła na powierzchnię. Zebrała ją do pustej butelki po wodzie mineralnej. Nie wiedziała, czy ta ilość wystarczy i czy to krew odpowiednia do analizy, ale było to lepsze niż nic.

Zabandażowała rękę i włożyła butelkę do walizki.

Zadzwoiła komórka, ale ją zignorowała.

Do drugiej butelki przelała resztki herbaty z imbryka. Świetnie. Poczuli się choć trochę panią sytuacji.

Pora połknąć gorzką pigułkę i przegonić wszystkie duchy.

Zadzwoiła do Baldwina. Był na nią jeszcze bardziej zły niż Sam.

- Co się z tobą dzieje, do cholery? Sam przesłała mi twojego mejla. Jak mam to rozumieć, co?

- To długa i zawikłana opowieść.

Zdała mu relację z wydarzeń, pomijając nocne przygody.

- Uważasz, że ktoś cię podtruwa? - spytał Baldwin z niedowierzaniem. - Jesteś pewna, że nie przedawkowałaś leków przeciwbólowych? To silne środki.

- Tak, jestem pewna. Nie wierzę, że mnie o to podejrzewasz.

- Przestań. Pytam jako lekarz, a nie twój narzeczoną.

Ugryzła się w język. Potrzebowała Baldwina po swojej stronie.

- To musi być działanie kogoś z zewnątrz, bo jeśli nie, to mam poważne kłopoty z psychiką.

- Czy wspomniałaś o tym Memphisowi?

- Nie, nie rozmawiałam z nim. - Jej głos zabrzmiał nieszczerze, jakby czuła się winna. Baldwin był łaskaw o tym nie nadmieniać.

Jego pytanie dało jej do myślenia. No właśnie, gdzie podziewał się Memphis? Nie skontaktował się z nią od wyjazdu. Z początku była nawet zadowolona, ale później... Czy mógł maczać w tym palce? Wolą nie myśleć, że mógł mieć coś wspólnego ze spiskiem przeciwko niej. Jeśli jednak pomagał Trixie odurzyć ją narkotykami, a potem przyszedł do niej i uprawiał z nią seks, wiedząc, że nie będzie się broniła... Nie. Nie.

Nie wolno tak o nim myśleć. Nie wolno podejrzewać, że podał jej coś w rodzaju pigułki gwałtu. Zresztą o ile pamiętała, przesadnie się nie broniła.

Rozmowa na ten temat z Baldwinem nie wchodziła w grę.

- Nie wyobrażam sobie, żeby był w to zamieszany. Możesz sobie o nim myśleć, co chcesz, ale to gliniarz, uczciwy człowiek. Jest taki jak my.

- I jest tylko mężczyzną, Taylor, zakochanym w tobie po uszy. Boże, wiedziałem, że to szalony pomysł pozwolić ci wyjechać tam bez nadzoru.

- Chwileczkę, Baldwin. Bez nadzoru? - powtórzyła z naciskiem.

- Nie mam czternastu lat.

- Tak, ale w stosunku do Memphisa wykazujesz żalną naiwność. Nigdy nie byłaś w stanie dostrzec jego prawdziwej natury. Kim naprawdę jest i co faktycznie zamierza.

- Co to ma niby znaczyć?

- Taylor, zdejmij opaskę z oczu. Nie powiesz mi, że nie próbował się do ciebie dobrać.

Umilkła. Zatajenie czy niedopowiedzenie to jedno, to grzech zaniechania. Baldwin postępował z nią tak od lat. Ale otwarte kłamstwo? Nie mogła mu tego zrobić. Miała nadzieję, że nie będzie drążył tematu.

- Wiedziałem - rzucił z goryczą.

- To nie tak jak myślisz - bąknęła.

- O, jestem pewien, że jest dziesięć razy gorzej, niż sobie wyobrażam. Nie można mu ufać, Taylor. Wiesz, że rzadko się mylę w ocenie ludzi. Nie wiem, do czego jest zdolny.

- Jak to, boisz się, że grozi mi z jego strony niebezpieczeństwo? To idiotyczne.

- Czyżby? Czy powiedział ci, dlaczego zginęli jego żona i dziecko?

- To był wypadek. Zawiózł mnie tam. Na most Dulsie. Sam powiedziała mi, że tam zginęła Evan.

- Uciekła od niego.

- Skąd to wytrzasnąłeś? Dlaczego miałby mnie okłamać?

Baldwin westchnął znacząco.

- Dowiedziałem się przez swoje kontakty. Rodzinie udało się skutecznie wyciszyć sprawę, ale na ulicy szeptano, że się rozstali.

- Niemożliwe. Memphis uwielbiał Evan.

- Znowu zachowujesz się naiwnie. Od początku bierzesz wszystko, co on ci mówi, za dobrą monetę.

- Baldwin, ja...

- Klócili się, Taylor. Evan chciała od niego odejść, zastanawiała się nad rozwodem. On większość czasu spędzał w Londynie, pracował. Niektóre źródła twierdzą, że miał romans, a ona się dowiedziała. Wybuchła straszliwa awantura, Evan wsiadła do auta i uciekła, a potem zjechała z mostu do rzeki. To on jest przyczyną jej śmierci. Uznano to za samobójstwo. Nie zrobiono nawet sekcji zwłok. Rodzina trzymała wszystko w najgłębszej tajemnicy. A jeśli było inaczej, Taylor? Jeśli to on ją zabił?

To ją naprawdę wkurzyło.

- Och, błagam! Kiedy Evan zginęła, Memphis przebywał w Londynie. Próbujesz nastawić mnie przeciw niemu. Nie, Baldwin. To niemożliwe. Memphis nie zrobiłby tego. To było inaczej. Nikt nie wiedział, dlaczego Evan się tam znalazła. Tak mi powiedział i nie mam powodu, by mu nie...

- Teraz także podobno przebywa w Londynie, Taylor - wpadł jej w słowo. - A kolejna z „jego kobiet” dziwnie się zachowuje. Komu chcesz wierzyć, mnie czy jemu?

Teczka z dokumentami. Miała teczkę zabraną z gabinetu Memphisa. Pognała do biurka i znalazła ją tam, gdzie sama ją schowała.

- Zadzwoń do ciebie. - Gdy Baldwin zaczął protestować, powtórzyła zdecydowanym tonem: - Na pewno do ciebie zadzwonię. Na razie.

W teczce panował bałagan. Były tam wycinki artykułów prasowych, odręczne notatki, zdjęcia. Jak najlepiej się do tego zabrać? Nie było sensu udawać, że nie grzebała w teczce, zresztą w świetle ostatnich wydarzeń wcale nie czuła się winna swojego wścibstwa.

Usiadła na podłodze i rozłożyła papiery przed sobą. Wycinki z gazet ułożyła w stosik po jednej stronie, notatki odręczne po drugiej. Wróci do nich później. Na razie nie chciała się nimi sugerować.

Posortowała wycinki według dat i zaczęła czytać.

Baldwin miał rację. Informacje o przedwczesnej śmierci Evan ukazały się w całej brytyjskiej prasie, ale tylko jeden brukowiec wydrukował plotkarską relację o małżeństwie państwa Dulsie. Memphis został potraktowany z pogardą i bez skrupów. Kobieta, z którą ponoć miał romans, nie została wymieniona z nazwiska, ale „źródła” twierdziły, że była współpracownicą Memphisa.

Nie do wiary, że Baldwin w to wszystko uwierzył. Podłe kłamstwa, to było jasne jak słońce. Każdy, kto słyszał Memphisa mówiącego o żonie, nie mógł mieć wątpliwości, że jest w niej szaleńczo zakochany. Prawda?

Zdjęcia zrobione z ukrycia przedstawiały Memphisa w towarzystwie smukłej brunetki. Zaraz, zaraz, czy to nie jego zastępczyni Penelopa Micklebury? Wyszukiwarka pokazała jej zdjęcie. Tak, owa tajemnicza kochanka pracowała w wydziale Memphisa i z pewnością nie miała z nim romansu, bo była lesbijką.

Taylor dobrze wiedziała, jaką moc rażenia mają zwykłe plotki. Niecałe pół roku temu sama padła ich ofiarą, zatem była gotowa wziąć stronę Memphisa. Gazety musiały się imać brudnych sztuczek, byle tylko podnieść nakład, stąd gorączkowe szukanie

sensacji. Już ona najlepiej wiedziała, że często z dużej chmury padał mały deszcz.

Ciekawe, czy mogło być tak, że Evan usłyszała te plotki, zdenerwowała się i potem miała wypadek. Jeśli tak, to nic dziwnego, że Memphis się o to obwiniał.

Zamyśliła się skulona na podłodze. Coś za szybko wynajdywała argumenty na obronę Memphisa. Czy naprawdę dobrze go znała? Wydawało jej się, że tak. Ostatecznie odsłonił przed nią serce. Miał jednak także tajemnice, nigdy w pełni jej do siebie nie dopuścił. Wiedząc, że jest zaręczona z Baldwinem, nie wahał się dla własnych celów narazić tego związku na szwank.

Nie, Memphis nie był święty, co to, to nie. Nie była jednak przekonana, że jest aż takim okropnym grzesznikiem.

Do momentu, kiedy nie zaczęła czytać notatek odręcznych. Opowiadały inną, bardziej ponurą historię.

Uświadomiła sobie, że nigdy przedtem nie widziała charakteru pisma Memphisa. Używał pióra wiecznego, pisał bardzo ładnie i równo.

Część tych papierów stanowiły listy do żony. Przeczytanie ich przyszło Taylor z trudem. Wszystkie były datowane, niektóre przed, a inne po jej śmierci. Opowiadały prostą historię pożądania i bólu. Memphis próbował przekonywać, że nie jest winien tych wszystkich oskarżeń, że ją kocha, że kocha ich nienarodzone dziecko. Proponował nawet, że rzuci pracę w policji i zamieszka wraz z nią na zamku. Była to wprawdzie relacja jednostronna, ale reszty Taylor mogła się domyślić. Evan miała kogoś, komu ufała bez zastrzeżeń; osoba ta dostarczała jej informacji o podbojach Memphisa. W brednie brukowców wierzyła bardziej niż własnemu mężowi.

To musiał być ciężki cios.

Najgorsze były listy napisane po jej tragicznej śmierci. Przejrzała je bardzo pobieżnie, bo zagłębianie się w ich treść wydawało się świętokradztwem. Istnieją granice nawet uzasadnionego wścibstwa. Odłożyła je na bok.

Dlaczego Memphis zostawił tę teczkę na wierzchu, gdzie każdy mógł do niej zajrzeć? Czy pragnął, żeby Taylor się na nią natknęła? Była ciekawa, gdzie podziały się listy Evan do męża.



Choć nie, wyglądało to jednak inaczej. Gabinet był zamknięty, a Taylor posłużyła się kluczem, żeby się tam dostać. Lecz Memphis był gliną i przywykł chować ważne materiały przed niepowołanymi oczami. Beztroskie pozostawienie teczki na biurku po prostu nie mieściło się w głowie. Chyba że miał pewność, iż Taylor nie wedrze się do gabinetu, nie podejrze do biurka, nie zaciekawia jej gazeta i nie znajdzie pod nią teczki. Dlaczego miałby spodziewać się po niej takich działań? Nie było żadnego powodu.

Z drugiej strony celowo wręczył jej klucz.

Chciała już odłożyć papiery do teczki, gdy jej uwagę przyciągnęła niezauważona dotąd kartka. Wyjęła ją i machinalnie rozprostowała, a wówczas wpadły jej w oko pierwsze słowa:

*tak bardzo mi przykro*

A cóż to znowu?

Papier był grubszy i bielszy niż pozostałe listy, z poszarpanym brzegiem, jakby został wyrwany z notesu. Fragment dziennika? Atrament był jaśniejszy i jakby świeższy. Zaczęła czytać i serce podeszło jej do gardła.

List nosił datę 21 grudnia.

Pożegnalne słowa przed samobójstwem Evan.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

*21 grudnia 2008*

*Kochany Jamesie,*

*tak bardzo mi przykro, że ci to robię. Nie mogę jednak znieść ani chwili dłużej stworów w mojej głowie. Szarpią mnie, rozdzierają na strzępy. Ich oczy śledzą mnie wszędzie. Nie ma przed nimi ucieczki. Sprawiają, że pragnę umrzeć. Tam się zatem udaję. W objęcia śmierci. Ona mnie przywita.*

*Dopilnuję, żeby zajęła się i dzieckiem. Kocham cię.*

*Evanelle*

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Po przeczytaniu listu Taylor zrobiło się niedobrze. Baldwin miał rację, Evan popełniła samobójstwo. Dlaczego Memphis jej tego nie powiedział? Czemu jej nie zaufał? I po co zawiózł ją na miejsce tragedii, jeśli nie po to, żeby snuć jakieś chore fantazje na temat obu kobiet?

Jak to się stało, że doskonale pojmowała odczucia nieszczęsnej Evan? Wczorajszej nocy przywitałaby śmierć z otwartymi ramionami, bo wydawała się najlepszym rozwiązaniem jej problemów.

Taylor dodała dwa do dwóch. Jej wcześniejsze podejrzania były słuszne. Trixie. To ona była wspólnym mianownikiem.

Postanowiła poszukać w internecie takich informacji o jej przeszłości, które wytłumaczyłyby, dlaczego chciała doprowadzać ukochane kobiety Memphisa do szaleństwa. Zapewne nie będzie to łatwe, bo szkocka gospodyni nie była osobą publiczną. Relacje służby, dokumenty rodzinne były znacznie pewniejszym źródłem wiedzy, tyle że nikt nie zechce się zwierzać obcej Amerykance, co było całkiem zrozumiałe.

Włączyła komputer i zobaczyła, że ma w skrzynce kilka nowych mejli. Zwłaszcza jeden przyciągnął jej uwagę – od Memphisa. Wysłany wczoraj. Czyli jednak się z nią skontaktował.

Otworzyła wiadomość.

*Taylor, pragnę cię z całego serca. Zrobię wszystko, żeby cię zatrzymać. Gdybyś wiedziała, co zrobiłem, nigdy byś mi nie wybaczyła. Ale muszę cię mieć. Muszę cię zatrzymać. Taylor, tak bardzo mi przykro za to, co muszę zrobić. I za to, co zrobiłem. Nigdy się nie dowiesz, że to ja odpowiadam za jej śmierć. To ja ją spowodowałem. I nie dowiesz się także, co zrobiłem jemu.*

*Będziesz taka smutna, kochanie, ale ja cię uleczę. I wszystko naprawię. Obiecuję ci, że znowu będziesz szczęśliwa.*

*Kocham cię.*

Jezu, a to co znowu?

Wyznanie? Zabił Evan i syna? Co jeszcze planował uczynić?

Może to jednak nie Trixie ją podtruwała, tylko Memphis...

Przez niego była chora, wytrącona z równowagi.

Bez trudu mógł wsypać do buteleczek z lekarstwami środki halucynogenne. Przebywał w jej pokoju – do diabła, spał u niej pierwszej nocy, jaką spędziła w zamku. W jego obecności piła różne napoje: wino, herbatę, sok. Mógł coś dorzucić do każdego z nich.

O matko, porto. Za każdym razem, kiedy piła ten trunek, miała przerażające omamy. To on opowiadał jej historie o duchach, o Damie w Czerwieni. A ona uwierzyła w nie jak podłotek, słuchający opowieści przy ognisku.

Z bijącym sercem jeszcze raz przeczytała mejla.

„Jemu”. Czy Memphis miał na myśli syna, czy raczej kogoś innego? Kogoś, kto nadal żyje?

Czy mógł mieć na myśli Baldwina?

Trzeba natychmiast porozmawiać z Baldwinem, trzeba go ostrzec!

Zamknęła teczkę, odłożyła na biurko i wybrała numer Baldwina. Zgłosiła się poczta głosowa. Zanim zdążyła nagrać wiadomość, usłyszała stukanie do drzwi.

– Panno Taylor? Czy czuje się pani lepiej? Przyniosłam herbatę.

No tak, to Trixie. Na pewno współdziałają, babsko co rusz odurza ją tą swoją herbatą. To ona uspokajała ją po pierwszym koszmarze. Taylor od razu zaczęła podejrzewać ochmistrzynię. Powinna bardziej ufać swojej intuicji.

Przypominały jej się kolejne zdarzenia. Kurtka z tłuczonym szkłem w kieszeni. To Trixie przyniosła ją do pokoju razem z butami. I wiecznie się przy niej kręciła, podsłuchiwała pod drzwiami. Na polecenie swojego pana.

Memphis, ty wredny sukinsynu.

– Panno Jackson? – zawołała głośniejszym głosem Trixie.

Zachowuj się naturalnie, nakazała sobie. Otwórz drzwi jak gdyby nigdy nic.

Włożyła teczkę do szuflady i poszła otworzyć. Na widok zatroskanej twarzy Trixie zachwiała się w swoich podejrzeniach.

Ochmistrzyni miała przestraszoną minę. Po chwili na jej obliczu odmalowała się wyraźna ulga.

- Ach, więc już wszystko w porządku. To dobrze, bo bardzo się martwiłam. Przyniosłam napar z imbiru i imbirowe ciasteczka. Są dobre na żołądek. Na dworze straszna śnieżycą. Czy ma pani dosyć drewna? Wygląda na to, że wyjdziemy z domu najwcześniej za kilka dni.

Taylor pozwoliła jej wtoczyć wózek z herbatą, zarzekając się w duchu, że przez resztę pobytu nie tknie niczego, czego sama nie przygotowała. Na razie jednak nie chciała obudzić czujności przestępców.

Dotknęła gardła na znak, że nie może mówić. Niemota miała swoje dobre strony.

- O, kochana, wcale mnie to nie dziwi. Narozrabiała pani wczoraj, tak, tak.

Taylor pokazała na podłogę obok łóżka i udała, że wymiotuje.

- Tutaj też? Zaraz przyślę sprzątaczkę. Czy życzy pani sobie coś jeszcze? Może chciałaby pani, żeby kucharka przyrzadziła śniadanie?

Czy w głosie starej prukwy usłyszała nadzieję?

Taylor potrząsnęła głową i przytrzymała się za brzuch. Zmuszając się do uśmiechu, pokazała na wózek z herbatą. Była odcięta od świata razem z babą, która najpewniej uczestniczyła w spisku przeciwko niej. Po prostu świetnie.

- Może poczuje się pani na tyle lepiej, żeby zjeść z Maddee i Rolandem późny lunch.

Zostało to powiedziane tonem najzwyczajszej uprzejmej konwersacji, ale Taylor była w duchu wdzięczna za te wieści. Maddee przebywała na zamku, zatem są świadkowie, więc na razie była bezpieczna.

Wzruszyła ramionami i pokazała drzwi. Musiała jak najprędzej zostać sama i zastanowić się nad następnym posunięciem.

Trixie skinęła głową i pośpiesznie się oddaliła. Taylor zamknęła za nią drzwi na klucz i dla pewności założyła haczyk.

Najpierw przelała trochę herbaty do czystej butelki, po czym spłukała resztę w toalecie razem z ciasteczkami.

Żałując, że nie ma przy sobie torebki na dowody rzeczowe, odstawiła imbryk na tacę i wyjęła z barku butelkę wody mineralnej. Sprawdziła zakrętkę, była nienaruszona. Uznała, że może się z niej napić bez obaw o konsekwencje.

Napiła się prosto z butelki na wypadek, gdyby szklanki były czymś skażone. Zaspokoiwszy pragnienie, poszukała w torbie podróżnej mieszanki orzechów, którą zabrała do samolotu, obawiając się, że jedzenie będzie okropne. Przez dzień lub dwa wytrzyma na orzechach i wodzie, to żaden problem, a potem Baldwin zabierze ją stąd w cholerę i wróci do Nashville.

Jeszcze raz wybrała jego numer, ale znowu zgłosiła się poczta głosowa. Akurat teraz, co za pech. Przedtem aż się ślinił, żeby dowiedzieć się, co się z nią działo, a teraz nie może odebrać?

Przebiegła wzrokiem mejl od Memphis.

Czyste wariactwo, facetowi pomieszało się w głowie.

Zabręczała komórka. Chwyciła ją z nadzieją, że to Baldwin, ale dzwoniła Sam.

- Nie uwierzysz, jaki list dostałam od Memphis.

- Taylor, zaczekaj, muszę ci coś powiedzieć. Mówiłaś, że Maddee James dała ci melatoninę, tak?

- No tak... Powiedziała, że brakuje mi snu, i najlepiej przysłuży mi się naturalny środek.

- Jak wygląda taka pigułka?

- Podłużna przezroczysta kapsułka z brązowym proszkiem. Dość duża.

- To może być cokolwiek, Taylor. Nie wolno ci brać niczego, co ona ci daje.

- Jezu, myślisz, że Maddee jest z nimi w zмовie? Dlaczego miałyby mi szkodzić? To nie ma sensu. Przecież ma mi pomagać.

- Ładna mi pomoc. Jakie jest twoje ostatnie wspomnienie z wczoraj?

- Nie pamiętam, żebym do ciebie pisała. Ostatnie, co pamiętam, to picie piwa w jej towarzystwie. Zaraz potem robi mi się strasznie niedobrze, wymiotuję... To ona nalewała mi piwa do szklanki. Nie sądzisz chyba, że we troje próbują mnie zabić, do cholery?

- Nie wiem, Taylor, ale przynajmniej jedno z nich ma taki zamiar. Musisz stamtąd uciekać.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

Odsłoniła zasłony. Świat był bezkresną połącią bieli, porywisty wiatr wznosił śnieżną kurzawę.

- Ponieważ tkwię w epicentrum gwałtownej burzy śnieżnej.

- A gdzie nasza słynna doktor James?

- Gdzieś tu się kręci. Trixie przyniosła mi przed chwilą kolejną herbatę i mimochodem wtrąciła, że Maddee i Roland chcą ze mną zjeść lunch.

W słuchawce rozległo się stukanie klawiszy. Sam siedziała przy komputerze.

- Co robisz? - spytała przyjaciółkę.

- Sprawdzam licencję doktor James. Która, o ile mnie wzrok nie myli, nie istnieje. Wspominałaś, że skąd ona pochodzi?

- Z Long Island. Jak to „nie istnieje”?

- Wybacz, słońce, ale mam złe wieści. - Stuk, stuk, stuk. - Nie ma nikogo o nazwisku Madeira James z licencją na praktykowanie psychologii, psychoterapii, niczego.

- Czy w Anglii licencja jest wymagana?

Gwałtowne stukanie klawiszy.

- Oczywiście. Nasza pani James nie należy do Brytyjskiego Towarzystwa Psychologicznego, nie ma jej na żadnej dostępnej liście. Nie wykluczam, że ma stosowne wykształcenie, ale nic nie wskazuje na to, by mogła wykonywać ten zawód.

- No to klops... Dlaczego Willig nie zorientowała się w tym?

- Niby dlaczego? Sama jej powiedziałaś, że ta kobieta zna terapię EMDR. Wysłała jej twoje dokumenty.

- Memphis mi o tym powiedział...

- No właśnie, to by się zgadzało. Czy mimo śnieżycy nadal masz dostęp do internetu?

- Tak.

- No to ją sprawdź.

- Sam...

- Mówię poważnie. Coś mi tu śmierdzi, Taylor. Chyba nie myślisz do końca jasno, bo sama już dawno poskładałabyś to do

kupy.

- Po prostu trudno mi uwierzyć, że wszyscy spiskują przeciwko mnie.

- Nie wiem, Taylor... Nie znamy tych ludzi.

- Znam Memphisa - powiedziała z naciskiem.

- Nieprawda, nie znasz go. To niemożliwe. Żeby dobrze kogoś poznać, nie wystarczy wymienić z nim kilku mejli i pogadać na czacie. Ja zaś znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeszcze go do siebie nie dopuściłaś. Nadal masz przed nim tajemnice. Więc jak?

- Co jak?

- Pamiętaj, że jeśli nawet się z nim przespałaś, w co zaczynam mocno wątpić, to trudno, świat się jeszcze nie kończy. Ty i Baldwin nie jesteście na razie małżeństwem. Tylko pamiętaj, nie rób tego więcej, dobrze?

Były to słowa przebaczenia. Niczego więcej nie mogła się spodziewać od nikogo.

- Dobrze, mamusiu. Pogadamy później. I dziękuję ci, Sam.

- Uważaj na siebie, mała.

- Ty też.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Madeira James nie istniała. Była duchem.

Taylor przeszukała wszystkie miejsca, które jej przyszły do głowy. Najpierw na próżno sprawdzała rejestry przestępców, następnie przeszła do zwykłych baz danych, do których miała dostęp - agencji nieruchomości, firm wydających karty kredytowe, urzędów podatkowych. Bez rezultatu.

Maddee pochodziła z Long Island, przyjechała do Szkocji w wieku około dwudziestu lat. Taylor wiedziała o tym od Memphis. Jej nazwisko powinno się gdzieś pojawić, ale go nigdzie nie było.

Taylor miała w Nowym Jorku znajomych, którzy mogliby pogrzebać w tamtejszych aktach, ale zorganizowanie tego zajęłoby dużo czasu, a przeczuwała, że nie ma go już zbyt wiele.

Na szczęście znała kogoś, kto był w stanie przeniknąć przez wszelkie przeszkody. Jeśli tylko istniała konkretna informacja, to ten człowiek potrafił ją zdobyć.

Wybrała numer Lincolna Rossa.

Odezwał się stłumionym, nieco bełkotliwym głosem. Obudziła go, ale była pewna, że nie weźmie jej tego za złe.

- Mówi Taylor.

- Widzę. O co chodzi?

- Potrzebna mi twoja pomoc. - W skrócie przedstawiła sytuację, skupiając się na najważniejszych punktach, z pominięciem nieistotnych szczegółów. Jeżeli się myliła, to nie chciała, żeby bliscy współpracownicy uznali, że całkiem jej odbiło.

Lincoln był specem od przeszukiwania internetu. Słyszała, jak stuka w klawisze.

- Super. Jestem ci winna przysługę, Linc.

- To się zawsze przyda. Odezwę się, jak na coś natrafię. Czy to bezpieczna linia?

- Nie mam dostępu do innego telefonu. Kryj się i zacieraj za sobą ślady. Jeżeli ona coś ukrywa i zabezpieczyła te info przed niepowołanymi osobami, to nie chcę, żeby się zorientowała, że w tym grzebiemy.

- Okej. Słyszemy się niedługo.

Dom.

Zalała ją fala tęsknoty za normalnością Nashville. Jeśli uda jej się z tego wywinąć, to spotka się nawet ze swoim ojcem. W porównaniu z tymi ludźmi był łagodnym barankiem.

Siedząc przy biurku, planowała dalsze posunięcia. Faza pierwsza była w toku. Teraz należało się zmierzyć z poważniejszym problemem.

Przebywała w zamku razem z Maddee, jej mężem i Trixie. Trudno orzec, czy groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo, skoro było aż tylu świadków, choć z drugiej strony... Nie umiała tego rozstrzygnąć.

A może cała ta wyprawa miała na celu wywyższenie Memphis w jej oczach? Wtedy plan byłby taki: zastraszyć ją, podtruć, zostawić samą i chorą, żeby mógł wpaść na białym koniu i ją ocalić. Tyle że sprawa wymknęła się spod kontroli.

Po raz kolejny przeczytała jego list. Przebijały z niego szaleństwo, desperacja. Wyczuwała w nim te emocje w Nashville i później we Włoszech. Po jej przyjeździe do Anglii wziął się wprawdzie w karby, ale potem, na moście, znowu dał temu wyraz. A także podczas nocnych spotkań, o ile były realne.

W powieściach nazywano to ogniem pożądania.

Nie potrafiła określić, co do niego czuje, ale wiedziała jedno - nikt, w tej liczbie i on, nie będzie jej posiadał, to nie wchodziło w grę. Nikomu nie odda kontroli nad swoim życiem.

Ogień znowu przygasał, więc wrzuciła kilka polan do kominka. Śnieżycy kiedyś wreszcie ustanie. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Śnieg walił gęstszy niż do tej pory. Sprawdziła pogodę w internecie. Intensywne opady miały stopniowo ustawać. Dzięki Bogu, jutro już jej tu nie będzie, nawet gdyby miała się przekopać do drogi i odjechać autostopem.

Ponowiła próbę nawiązania kontaktu z Baldwinem.

Podczas łączenia się z jego komórką przypadkiem zerknęła na pudełko po kasecie otrzymanej od Maddee, którą wcześniej włożyła do odtwarzacza. Ciekawość przeważyła i wcisnęła Play, nadal czekając na połączenie.

Głos Maddee był miękki i kojący. Mimo woli Taylor zaczęła sobie wyobrażać strumień słonecznych promieni na stopach, ciepły łagodny wietrzyk...

- Taylor!

Ocknęła się gwałtownie. Baldwin krzyczał jej do ucha.

- Ojej, przepraszam. Włączyłam relaksacyjną kasetę Maddee i trochę odleciałam... - Zatrzymała nagranie.

- Słucham?

- Maddee nazwała to biologicznym sprzężeniem zwrotnym. Kazała mi słuchać kasety przed pójściem spać. Miała mnie relaksować.

- Pozwól mi jej posłuchać, natomiast sama udaj się do łazienki i odkręć kran. Nie chcę, żebyś słuchała, rozumiesz?

- Dlaczego...

- Zrób, o co proszę, Taylor.

- Dobrze.

Położyła komórkę obok kolumny odtwarzacza, włączyła Play, poszła do łazienki i puściła wodę, podśpiewując na wszelki wypadek „la la la la”. Słyszała wprawdzie nagranie, ale nie rozróżniała słów. Oczekała kilka minut i wróciła do pokoju. Wyłączyła kasetę i przyłożyła telefon do ucha.

- I co? - spytała zaciekawiona.

- To nie żadne biologiczne sprzężenie zwrotne, ale zwykła hipnoza. Istnieje między nimi podobieństwo, ale... Czy podczas sesji z Maddee mówiłaś o czymś, o czym wolałabyś nie wspominać? Zdradziłaś jej swoje sekrety?

- No tak... Poddała mnie hipnozie. Właśnie tak dowiedzieliśmy się, że głos mi wrócił. W stanie hipnozy mogłam swobodnie mówić. O co chodzi? Co jest na kasecie?

- Czy po wysłuchaniu kasety miałaś myśli samobójcze?

Taylor przełknęła z trudem. Ta rozmowa stawała się coraz trudniejsza, lecz ukrywanie myśli i uczuć przed Baldwinem

wydawało się pozbawione sensu. Niedawno się o tym przekonała.

- Minionej nocy. Przemknęło mi przez myśl, żeby ze sobą skończyć. Ale to już minęło, możesz mi wierzyć.

- Nie słuchaj więcej tej kasety, dobrze? I uważaj podczas rozmowy z Maddee. Zaszczepiła ci w mózgu pewne sugestie, dzięki którym może tobą manipulować.

- Jakie sugestie?

- Żebyś zrobiła sobie coś złego.

- O Boże, Baldwin... Evan! Jej samobójstwo. Czy to mogła być sprawka Maddee? Czy zaszczepiła takie sugestie także w mózgu żony Memphisisa?

- To całkiem możliwe.

- Baldwin, co tu się właściwie dzieje?

- Nie wiem. Albo działają razem, a Maddee ma za zadanie cię zmiękczyć, albo to tylko jej robota, choć motyw na razie jest nieznany. Musisz się mieć na baczności, nie możesz ufać żadnemu z nich.

- Poznałam ją dopiero trzy dni temu. Dlaczego miałyby mnie aż tak nienawidzić?

- Zastanów się nad tym. Może jest zakochana w Memphisie. Jeśli tak, a przy tym jest niezrównoważona, to postrzega cię jako rywalkę. Rywalek najlepiej się pozbyć.

- Ależ chętnie go jej odstąpię! Muszę to wszystko przemyśleć, to jakiś absurd...

- Lepiej myśl szybko, bo jeśli wygląda to tak, jak podejrzewam, to jesteś w poważnym niebezpieczeństwie.

- Poczytałam trochę dokumentów na temat śmierci Evan. Wpadła mi w ręce teczka Memphisisa. Wydaje mi się, że nie zdradzał żony, chociaż brukowce nieźle go obsmarowały.

- Pamiętaj, Taylor, że istnieje sporo niejasności co do okoliczności tej tragedii. Nie znamy prawdy. W co wierzysz, to oczywiście wyłącznie twoja sprawa.

- Nie przybieraj tego tonu, Baldwin. To ja tu tkwię, usiłując cokolwiek zrozumieć. - Czy powinna mu to powiedzieć? Chyba będzie musiała, jeśli chce, żeby potraktował ją poważnie.

- Dobrze, przepraszam.

- Wybaczam ci. Posłuchaj, Memphis przysłał mi wczoraj mejla. Przyznam, że się zaniepokoiłam. Jesteś pewien, że nie ma go w okolicy, co?

- Nie odzywał się do mnie. A czemu pytasz?

- Z treści mejla wynika, że planuje zrobić ci coś złego.

- Co?

Wyrecytowała mu list Memphisa z pamięci.

- „I nie dowiesz się także, co zrobiłem jemu”. Z początku myślałam, że mowa o nienarodzonym dziecku, ale teraz sądzę, że raczej o tobie, Baldwin.

- Posłuchaj mnie uważnie. Jestem w jednym z biur Atlantica w Amsterdamie. Będę u ciebie za dwie, najwyżej trzy godziny.

- Jak to, przecież jesteś w Amsterdamie! Myślałam, że w Nashville...

- To ma związek ze sprawą, którą miałem się zająć. Nieważne, nie martw się o mnie. Memphis nie da rady mnie dopaść. Poza tym jestem uzbrojony.

- A ja nie...

- I należy to natychmiast naprawić. Ten zamek to nie tylko zabytek, prawda? Mieszkają w nim zwyczajni ludzie. Pogadaj z łowczym, niech ci pożyczy dwururkę.

Przypomniała sobie o sugestii Memphisa, że Jacques mógłby ją zabrać na polowanie z fretkami. Kierowca, ochroniarz, myśliwy. Pójdzie do niego. Trzeba mieć nadzieję, że otrzyma pomoc.

- Dobrze, wiem, do kogo się zwrócić. Poprosiłam Lincolna, żeby poszukał informacji o Madeirze James. Sam nie mogła znaleźć jej licencji.

- Już ja wymyślę sposób, by wydostać cię stamtąd. Zjawię się w zamku najszybciej, jak będę mógł. Tymczasem uważaj na siebie.

- Nie martw się, poradzę sobie z tą dziwką.

- Pamiętaj, że ona ma cię pod kontrolą. Jeśli musisz się z nią kontaktować, a ona zacznie cię przekonywać, żebyś się rozluźniła, natychmiast wyjdź z pokoju. Śpiewaj. Zrób cokolwiek, byle tylko przerwać potok jej słów. Obiecuj mi, że będziesz czujna. Nie chcę cię stracić, Taylor, pamiętaj o tym.

- Nie martw się, doszłam już do siebie. Odzyskałam formę. Dam sobie radę.

Gdy tylko się rozłączyła, komórka zadzwoniła ponownie. Tym razem był to Lincoln.

- Dobrze, że od razu cię złapałem - rzucił bez tchu. - Taylor, masz problem. I to naprawdę poważny.

## **FINAL**

*Nie opłakujcie mojej śmierci.  
Cieszcie się moim odejściem,  
Bo to koniec nie mój, lecz moich trosk.  
Pęk rozkwitł różą.  
Łańcuch pękł i uwolnił skazańca.*

Robert Southwell  
„Maria, królowa Szkocji”

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Memphis był już blisko. Czuł się kompletnie wyczerpany. Od wielu godzin tkwił za kierownicą, pełznąć powoli autostradą A1. Dwugodzinna zazwyczaj jazda zajęła tym razem siedemnaście godzin. Niemal krzyknął z radości na widok tablicy oznaczającej zjazd na A9. Był już prawie w domu.

Komórka rozłądowała się po otrzymaniu wiadomości od Maddee. Wyłączył ją w nadziei, że po pewnym czasie ożywi się chociaż na chwilę. Porozumiał się z Pen i wypytał, co działo się po jego nieplanowanym opuszczeniu więzienia.

Okazało się, że wykorzystana otrzymane od informatora wskazówki i wraz z oddziałem sił specjalnych wpadła do mieszkania na Baker Street. Policja znalazła tam trzy uprowadzone dziewczyny, przetrzymywane wbrew woli przez tajemniczego Urqa. Na szczęście wszystkie żyły. Roger Waterstone został aresztowany.

Pen nie posiadała się z radości. Memphis postąpił słusznie, przekazując jej śledztwo. Wreszcie zostanie zauważona przez przełożonych. Cieszył się, że ponure przeczucie co do losu zaginionych dziewczyn tym razem go zawiodło.

Miał nadzieję, że nadal będzie równie zawodne.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Taylor siedziała w fotelu przed kominkiem. Zwinne palce Lincolna wyszukały komplet potrzebnych informacji. Sprawa przerastała wszelkie wyobrażenia i wcale nie dotyczyła Taylor i Memphisa ani żalosnej zazdrości o jego względy.

Tak jak przypuszczała, doktor Madeira James nie była osobą, za którą się podawała.

Taylor spisała wszystko, czego się dowiedziała i doświadczyła na własnej skórze, i wysłała mejlem do Sam. Gdyby coś jej się stało, przyjaciółka miała przekazać te informacje odpowiednim organom w celu aresztowania Maddee.

Lecz Taylor przewidywała, że do tego nie dojdzie. Zamierzała sama poradzić sobie z panią psycholog.

Na kartce w notesie tworzyła plan zamkowych korytarzy i schodów. Nie mogła tkwić zamknięta w pokoju, udając, że jest chora. Nie miała wyboru, musiała w końcu stąd wyjść.

Potrzebowała dwóch ważnych przedmiotów.

Broni.

I komputera Maddee.

Szkicowała zapamiętane szczegóły: korytarze, którymi chodziła, mijane zamknięte pokoje i te, w których zdarzyło jej się przebywać. Zamek był cholernie wielki. Maddee mogła być wszędzie, obserwując, czekając.

Ciche stukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Usłyszała cienki dziewczęcy głosik.

- Przyszłam posprzątać pokój.

Aha, jeden z elfów Trixie. Doskonale.

Taylor podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Nie zamierzała ryzykować. Odetchnęła z ulgą, bo dziewczyna była sama.

Wpuściła ją i zamknęła drzwi na haczyk. Poznała ją, to ona przyniosła jej pierwszego ranka śniadanie do pokoju.

Z wiadrem i mopem w rękach pokojówka ruszyła w stronę łóżka, ale Taylor ją powstrzymała. Nie mogła przepuścić tak znakomitej okazji.

- Jak masz na imię?

- Maisrie, psze pani.

- Śliczne imię. Czy umiesz dochować tajemnicy, Maisrie? Bardzo mi na tym zależy.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, wyraźnie zaskoczona.

- Tak, psze pani?

- To dobrze. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Muszę się zobaczyć z Jacques'em. Czy jest w zamku?

- No pewnie, psze pani, i chyba jest w owczarni. Przed śnieżycą owce wróciły z pastwiska, a teraz je liczą.

- Czy możesz mnie tam zaprowadzić?

- No tak... - Pokojówka zawahała się. - Mogę. Ale pada straszny śnieg, może lepiej poczekać, aż przejdzie...

- Muszę się z nim jak najszybciej widzieć, Maisrie. I musimy wyjść tylnym wyjściem, nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że z nim rozmawiałam. To musi być tajemnica, rozumiesz?

Biedne dziecko. Młodziutka pokojówka kiwała głową wyraźnie przestraszona gwałtownością nalegań dziwnego gościa.

- Ale muszę powiedzieć o tym Trixie. Obedrze mnie ze skóry, jak się dowie, że gdzieś sobie poszłam.

Taylor przyklękła i znalazła się twarzą w twarz z dziewczyną. Wbiła wzrok w jej przestraszone oczy.

- Posłuchaj, to sprawa życia i śmierci. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, ani Trixie, ani doktor James. Tylko ty i ja o tym wiemy.

- I tak bym jej nic nie powiedziała. Nie lubię jej. - Pokojówka zakryła usta dłonią. Nie wolno źle się wyrażać o ludziach z wyższej sfery.

Taylor stłumiła uśmiech. Zyskała sojuszniczkę.

Taylor związała włosy w koński ogon. Skoro wybierała się do owczarni, potrzebowała kurtki i butów. Nie zamierzała wyjść na korytarz z gołymi rękami, musiała mieć jakąś broń.

Odłamki kryształowego kieliszka nie zdadzą się na nic, walcząc nimi, tylko by się pokaleczyła, ale w barku znalazła duży

profesjonalny korkociąg. Zdziwiła się, że wcześniej o nim nie pomyślała. Przypominał kastet ze sterczącym ostrzem, a ponadto mieścił się w nim także kilkucentymetrowy nóż do zdejmowania folii z korków. W razie czego lepsza taka broń niż żadna.

Taylor poobracała korkociąg w rękach, podrzuciła parę razy, by ocenić ciężar, po czym złożyła i wsunęła do kieszeni. Gdyby ktoś chciał ją napaść, będzie się potrafiła obronić.

Na widok jej manewrów Maisrie zbladła jak ściana.

- Jesteś gotowa? - spytała Taylor.

Pokojówka pokiwała nerwowo głową.

Podeszły do drzwi, Taylor otworzyła je z haczyka i pokazała Maisrie, że ma wyjść pierwsza.

Dziewczyna naoglądała się widać filmów szpiegowskich, bo wyjrzała ostrożnie, po czym błyskawicznie się cofnęła i rozplaszczyła na ścianie, kręcąc gwałtownie głową.

Ktoś kręcił się po korytarzu. Taylor stłumiła śmiech. Sprawa była poważna, więc ucieszyła się, że Maisrie, choć amatorka, też tak to traktuje. Taylor policzyła do dziesięciu, położyła palec na ustach i pokazała jej, że ma wyjść.

Tym razem droga była wolna. Maisrie poprowadziła ją nieznanym korytarzem do kuchennych schodów. Słysząc było znajome odgłosy, postukiwanie garnkami i szum płynącej wody. Widocznie przygotowywano lunch. Maisrie radziła sobie coraz lepiej w roli konspiratorki. Obeszła bokiem wejście do kuchni i zaprowadziła Taylor za olbrzymi stos drewna, który sięgał sufitu. Znajdowały się tam wieszak na kurtki i płaszcze, spora skrzynia, w której stały kalosze, i drewniana ławka, zupełnie jak w zwyczajnym domu. Maisrie przywdziała grubą kurtkę, rękawice i buty, po czym spojrzała poważnie na Taylor.

- Idziemy?

Taylor potaknęła.

- Proszę się mnie trzymać. Nie chcę, żeby się pani zgubiła w śnieżycy.

Taylor złapała ją za kaptur i szepnęła:

- Idziemy.

Gdy Maisrie otworzyła drzwi, otoczyła je wirująca masa bieli. Lodowaty ziąb kąsał policzki. Padał śnieg równie gęsty jak do tej pory.

Maisrie ruszyła przed siebie pewnym krokiem. Lata doświadczenia sprawiły, że drogę między budynkami gospodarczymi a kuchnią pokonałaby z zawiązanymi oczami. Marsz zajął niespełna dziesięć minut. Przy dobrej pogodzie wystarczyłyby trzy lub cztery. Taylor nie widziała jeszcze tych zabudowań, znajdowały się bowiem po przeciwnej stronie posiadłości, bliżej szosy. Bliżej cywilizacji.

Poczuła przemożną chęć wskoczenia do pierwszego pojazdu, jaki się napatoczy, i odjechania w siną dal, ale ją stłumiła. Byłby to absolutny szczyt głupoty. Przy niemal zerowej widoczności szybko zjechałaby z drogi do rowu i zamarzła w samochodzie, a odnaleziono by ją dopiero po stopnieniu śniegów.

Wspomniała Evan, która znalazła śmierć w lodowatej wodzie. Nie, samotna wyprawa nie wchodziła w grę.

Mogłaby ukryć się w szopie i przeczekać śnieżycę. Tak, to było w miarę bezpieczne rozwiązanie.

Ale Taylor nie kierowała się ostrożnością, a tak naprawdę była mocno wkurzona. Nie cierpiała, gdy próbowano nią manipulować, i koniecznie musiała dociec, czyja to robota. Nie, musiała dokończyć to, co zaczęła. Potrzebowała jedynie kilku narzędzi.

Bez tchu wpadły do stodoły pokryte śniegiem, parskając i otrząsając się. W środku było zacisznie, przyjemnie pachniało sianem, tu i ówdzie stały rupiecie niewiadomego przeznaczenia. Taylor była ciekawa, co z jeleniami. Gdzie się podziewały w taką pogodę? Czy stały zbite w gromadkę, by się choć trochę ogrzać, czy też zaganiano je do zagrody?

Przestraszona Maisrie kurczowo trzymała ją za rękę. Taylor uwolniła się delikatnie i kazała jej na siebie poczekać. Dziewczyna tylko pokręciła głową. Wyraźnie się bała tego, co tu się dzieje, jak i konsekwencji swojego niesłychanego czynu.

- Dobrze, w takim razie chodź ze mną - powiedziała Taylor łagodnie. - Poszukamy Jacques'a.

Nie było go trudno znaleźć. Obok głównego wejścia znajdowała się pakamera, z której wyszedł z wykałaczką w zębach, gdy usłyszał skrzypienie wrót do stodoły.

Na widok obu kobiet oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

- Co pani tu robi? - spytał po francusku.

- Mówi pan po angielsku? - rzuciła Taylor z nadzieją. Jej szkolny francuski mógł posłużyć co najwyżej do pytania o toaletę.

Jacques zmierzył ją podejrzliwie i odpowiedział powoli, z silnym akcentem:

- Trochę. O co chodzi? Po co przyszłyście? Zły czas dla człowieka i zwierzęcia.

Taylor uznała, że Francuz radzi sobie całkiem nieźle. Kazała Maisrie zaczekać i poprosiła go, żeby przeszli do pakamery.

Zerknął na dziewczynę i usłuchał, wzruszywszy ramionami. Taylor poszła za nim. Maisrie przestąpiła niespokojnie z nogi na nogę, ale nie zdradzała chęci do ucieczki. Całe szczęście, bo Taylor potrzebowała jej za przewodniczkę.

Jacques obrzucił Taylor pytającym spojrzeniem. Na jego biurku panował nieopisany bałagan. Francuz był pewnie kimś w rodzaju zarządcy majątku i załatwiał całą papierkową robotę. Bardzo przydatny człowiek.

- Kiedy się poznaliśmy, powiedział pan, żebym przyszła, jeśli będę czegoś potrzebowała. Muszę mieć broń.

- Po co? Zamierza pani polować?

- Do obrony.

- Przed owcami? A może przed śniegiem? - Mierzył ją surowym spojrzeniem.

- Nie mam czasu, żeby wchodzić w szczegóły.

- Może powinniśmy najpierw zapytać lorda Dulsie.

Nie mogła wtajemniczyć Memphisa, dopóki nie sprawdziła, czy nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Postanowiła zaryzykować. Przy odrobinie szczęścia jej podejrzenia się potwierdzą i będzie mogła wystąpić z otwartą przyłbicą. Pogadać z nim jak zawodowiec z zawodowcem.

- Kiedy odbierałeś mnie z dworca w Edynburgu, miałeś przy sobie broń, sig sauera P226 w kaburze ukrytej pod marynarką.

Standardowe wyposażenie agentów służby bezpieczeństwa.

Maska obojętności znikła, w jej miejsce pojawiła się czujność. Jacques, o ile tak się nazywał, ściągnął ramiona i zacisnął wargi.

- Domyślam się, że masz ochraniać hrabiego i jego rodzinę. Pilnować rodowej siedziby w czasie ich nieobecności.

- Niezupełnie. - Francuski akcent znikł bez śladu, mężczyzna przemówił nienaganną angielszczyzną. - Rodzina Dulsie otrzymywała pogróżki. Po śmierci żony wicehrabiego w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach zaistniała potrzeba zaangażowania osoby, która przebywałaby w majątku i miała oko na wszystko.

- Pogróżki? Uważasz, że Evan Highsmythe została zamordowana?

- Nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

- Sam mi to powiedziałeś. - Gdy tylko zmierzył ją nieprzychylnym spojrzeniem, dodała: - Nikogo z rodziny nie ma, a ty chowasz się w pakamerze, udając zarządcę majątku.

- Nazywają to działaniem pod przykrywką.

- Nie jesteś wcale taki dobry, skoro wyczułam cię z daleka. Więc czemu tkwisz tutaj, zamiast towarzyszyć hrabiemu w podróży do Afryki Południowej?

Lekko się zarumienił, jednak Taylor nie pojmowała przyczyny.

- Highsmythe'om grożono śmiercią - powiedział. - Znaleźli... Nieważne. Z tego, co słyszałem, jesteś nasza, podobno nieźle wykszcolona. Pozwoliłem ci zerknąć na kaburę z uprzejmości, żebyś wiedziała, że w razie czego możesz się do mnie zwrócić o pomoc. Jak się domyślam, wydarzyło się właśnie coś niepokojącego. Kiedy właściwie wraca cholerny wicehrabia?

- Nie mam pojęcia. Wyjechał do Londynu i od tamtej pory się nie odezwał. - Postanowiła na razie nie wspominać o dziwnym mejlu. Ewentualnie zrobi to później.

Agent okazał zaniepokojenie. Wyrwał z kieszeni telefon satelitarny, wyciągnął antenę i wybrał numer.

- Ksiądz do Biskupa.

- Do kogo dzwonicz? - spytała.

- Cicho - zbył ją. - Gdzie jest Bąk?

Taylor stłumiła parsknięcie. Bąk? Nadali Memphisowi kryptonim Bąk? Ciekawe, czy o tym wiedział...

Odpowiedź musiała uspokoić Jacques'a, bo podziękował Biskupowi i się rozłączył.

- Jedzie A9. Moi ludzie są tuż za nim. Jadą za pługiem śnieżnym. Dulsie kieruje się tutaj.

Nie wiedziała, czy bać się, czy cieszyć.

- Ile jeszcze? - spytała.

- Godzina, może więcej, zależy od stanu drogi. Podobno jedzie już od wielu godzin, próbując się dostać do domu. Ciekawe, skąd ten pośpiech?

- Nie wiem. Aha, potrzebuję tej broni.

- Nieprawda, masz mnie.

- A ty jesteś zarządcą, pamiętasz? Nie możesz ot, tak sobie, bez powodu wparować do zamku. Daj mi broń, naprawdę jej potrzebuję.

- Co tam takiego jest, że musisz się przed tym bronić? - Gdy zwlekała z odpowiedzią, powiedział: - Lepiej pójdę z tobą do zamku. Nie możesz nosić broni na terytorium naszego państwa, nie masz pozwolenia. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, piorunem straciłbym robotę.

- Nie, nie możesz wrócić ze mną - sprzeciwiła się gorąco. - Jak cię zobaczy, połapie się od razu, ta baba nie jest głupia. Wywęszy, że coś tu śmierdzi.

- Kto niby się połapie?

Pora na rozgrywkę hazardową. Jeżeli rodzinie Dulsie grożono śmiercią, Evan została być może zamordowana, a Taylor niemal otruta, to za te czyny mogła odpowiadać jedna osoba. Znając przeszłość Maddee, Taylor nie byłaby wcale zaskoczona, gdyby taka właśnie była prawda.

- Doktor Madeira James. Przebywa w zamku, utknęła razem z mężem z powodu śnieżycy.

- Ta psycholog? To wariatka, ale nieszkodliwa. Sprawdziliśmy ją. Podejrzane może być ewentualnie to, że zmieniła nazwisko. Kilka lat temu zaprzestała praktyki i przybrała nazwisko James. Nikt nie wie dlaczego. Ani to jej panięńskie, ani po mężu.

Zaprzeszała praktyki po zmianie nazwiska... To dlatego Sam nie mogła znaleźć jej licencji, pomyślała Taylor. I wiem, dlaczego to zrobiła. Kocha Memphisa i ze wszystkich sił pragnie go zdobyć. To dlatego przejęła jego imię jako swoje nazwisko. Ta kobieta jest chora.

- Czy dotarliście do jej akt z okresu bujnej młodości?

- Nie. - Zmarszczył czoło. - Powiedz, o co chodzi.

- Jesteś ze służby bezpieczeństwa, więc sam sobie sprawdź.

Celowo próbowała go wkurzyć, żeby wreszcie pozwolił jej odejść. Musiała się dostać do laptopa Maddee i niepotrzebnie traciła czas na rozmówki.

- Jeśli uważasz, że to ona, to idźmy po nią. Moi ludzie zaraz tu będą, a do tego czasu ją przytrzymamy.

- To nie takie proste. Wpadniesz tam, ona zamknie się w sobie i nic nie uzyskamy. Pozwól mi działać tak, jak zaplanowałam. Potem będziecie mogli sobie z nią pogadać. - Na szczęście wydawał się coraz bardziej przekonany. - Jak masz właściwie na imię?

- Jacques. - Obdarzył ją uroczym uśmiechem. - Moja mama jest Francuzką.

- Okej, Jacques. Potrzebna mi broń.

Przyglądał się jej długą chwilę.

- Jeżeli powiesz komukolwiek, że ci ją dostarczyłem, to zaprzeczę. Będę twierdził, że włamałaś się do mojego biurka i ją ukradłaś. Rozumiemy się?

- Nie pisnę ani słówka.

Wyjął kluczyk z szuflady biurka, po czym otworzył szufladę na samym dole. Pogrzebał chwilę, a na koniec wręczył Taylor pistolet glock 26 i pełen magazynek.

Przeładowała broń, zważyła ją w dłoni. Przyjemnie było poczuć w ręku znajomy ciężar.

- Idę z tobą, nie obchodzi mnie, co o tym myślisz. Jeśli ona jest niebezpieczna, to potrzebujesz ochrony. Jesteś tutaj gościem. Urwą mi głowę, jeśli coś ci się stanie podczas mojej służby.

- Trochę na to za późno.

Opowiedziała mu o swoich podejrzeniach, że była podtruwana.



- Wiesz, że to dziwne... Zanim zginęła żona wicehrabiego, ponoć zachowywała się nienormalnie. Widziała i słyszała dziwne rzeczy... To by pasowało do obrazu.

Biedna, nieszczęśliwa Evan, nikt nie potrafił jej w porę pomóc.

- Nie martw się o mnie. - Jacques także przeładował pistolet. - Będę się trzymał kwater dla służby, zazwyczaj tak robię. Podam ci numer mojej komórki, zadzwoń, jeśli będę ci potrzebny. Zawsze to trochę bliżej niż stąd, do cholery.

- Psze pani...? - zawołał cienki, niepewny głosik. - Muszę już wracać do zamku...

Cholera, Maisrie. Kompletnie o niej zapomniała.

Wyćwiczonym ruchem wsunęła pistolet za pasek dżinsów i naciągnęła sweter. Nie chciała jeszcze bardziej wystraszyć dziewczyny.

- Już idziemy, Maisrie. Jacques pójdzie z nami. I pamiętaj, nikomu o tym nie mów, dobrze?

Dziewczyna skinęła głową bez słowa.

- Gotów? - zwróciła się Taylor do Jacques'a.

- Jak najbardziej - odrzekł z pewnością w głosie.

Chciałaby móc powiedzieć to samo o sobie.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Wrócili do zamku niezauważeni przez nikogo.

Maisrie poprowadziła ich do kuchennego wejścia, gdzie Jacques umiejętnie odwrócił uwagę służby, tupiąc głośno butami, otrząsając się ze śniegu i rzucając dziewczynom jowialne komplementy. Taylor i jej mała pomocnica wemknęły się i rozebrały po cichu.

Z korytarza dobiegł znajomy głos. Trixie. Maisrie zamarła z przerażoną miną, ale Taylor dodała jej odwagi uśmiechem i popchnęła do przodu, mając nadzieję, że dziewczyna wymyśli przekonujące tłumaczenie i da jej czas na przemknięcie się do salonu.

Liczyła na to, że Maddee rozstawi się tam ze swoim sprzętem, niczego nie podejrzewając.

Szanse nie były duże.

Taylor spojrzała na zegarek. Minęła druga po południu. Trixie z pewnością zawiadomiła już Maddee, że Taylor obudziła się i wie, że pani doktor w towarzystwie męża przebywa w zamku.

Nasłuchując niepokojących odgłosów, przekradła się do salonu i zajrzała do środka. Nikogo tam nie było. Ale miała szczęście. Proście, a będzie wam dane, powiada Biblia.

Wśliznęła się do salonu. Maddee rozkładała laptopa na stole, a po skończonej sesji chowała go do pokrowca. Nie wierząc swojemu szczęściu, Taylor zobaczyła pokrowiec na kanapie.

Punkt dla dobrych ludzi.

Szybko wyjęła komputer i nie tracąc czasu, podeszła do drzwi, żeby się zorientować, czy droga wolna. Z bijącym sercem pomknęła do swojego pokoju.

Zwędzenie laptopa Maddee było niebezpieczne, ale konieczne, bo mogły się w nim znajdować bezcenne informacje. Poza tym Taylor musiała wykasować zapiski z sesji, w których brała udział. Pod wpływem hipnozy poczyniła wyznania, których

mogłaby potem żałować. Zresztą kto wie, co nawypisywała Maddee, żeby uwiarygodnić swoje postępowanie.

Schodami na górę, do prywatnej części zamku. Taylor nie miała pojęcia, czy Maddee знаła kombinację cyfr otwierających szyfrowy zamek. Nagle zrozumiała wprowadzone niedawno środki bezpieczeństwa. Jacques musiał zaalarmować przełożonych, że dzieje się tu coś niedobrego. Zapewniona przez państwo osobista ochrona nie była tania, zatem zagrożenie musiało być jak najbardziej realne.

Jeszcze dwoje drzwi i znajdzie się w swoim pokoju.

Już. Z westchnieniem ulgi wpadła do środka i zamknęła drzwi na klucz i na haczyk. Na razie była bezpieczna.

Postawiła laptopa Maddee na biurku. Na pewno był zabezpieczony hasłem, nie obejdzie się bez pomocy Lincolna, ale najpierw musiała porozmawiać z Baldwinem. Jednak gdy wybrała numer, odezwała się poczta głosowa.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Być może śnieżycą zakłóciła zasięg albo stało się coś znacznie gorszego. Zastygła z przerażenia. Jeśli Baldwin znajdował się w kłopotach, to absolutnie nie mogła mu pomóc, jako że była unieruchomiona w cholernym szkockim zamku. Powiedział, że przyjedzie z Amsterdamu najdalej za trzy godziny. Nie wiedziała, jak to możliwe w tych warunkach, ale to nie jej problem. Miała ważniejsze sprawy na głowie, a Baldwin jak zawsze doskonale sobie poradzi. Natomiast ona musiała zająć się sobą.

Zostawiła mu wiadomość:

*Oddzwoń natychmiast!*

Potem wybrała numer Lincolna. Na szczęście odebrał od razu.

- Masz? - spytał bez zbędnych wstępów.

- Tak. Nie wiem, ile mamy czasu.

- Zastanawiałem się nad ewentualnym hasłem. Gdybyś posługiwała się fałszywym nazwiskiem i nikt nie znałby prawdziwego, to jakie wybrałabyś hasło?

- Sprytnie, Lincoln. Warto spróbować.

Wstrzymując oddech, wystukała ciąg liter.

*R-A-C-H-A-E-L-M-A-C-K*

Ekran natychmiast się ożywił i pojawiła się tapeta – przepiękne zdjęcie zachodu słońca nad Loch Ness.

– Działa. Jesteś niesamowity.

– Okej. Podesłałem ci listę linków do poczytania i sposoby sforsowania przeszkód, gdyby się jakieś pojawiły. Do roboty. I dzwoń, gdybyś potrzebowała pomocy.

– Dobra, Linc. Wielkie dzięki!

Rozłączyła się i położyła komórkę w zasięgu ręki, obok eleganckiego MacBooka Air Maddee. Przeczytała otrzymane od Linca instrukcje i zabrała się do przeczesywania plików pani doktor.

Bez trudu znalazła notatki z obu sesji, które odbyła z Maddee. Przejrzała je, wykasowała co bardziej intymne zwierzenia i przesłała resztę do siebie i do Lincolna. Mogłaby skopiować wszystkie pliki do osobnego zaszyfrowanego folderu, ale zajęłoby to zbyt dużo czasu, którego nie miała. Mejl był wprawdzie mniej bezpieczny, ale za to nieporównanie szybszy.

Po chwili znalazła to, czego tak naprawdę szukała.

Internetowy dziennik Maddee. Z pewnością znajdują się tu odpowiedzi na wiele ważnych pytań, które Taylor sobie zadawała.

Przesłała go do Lincolna, żeby szukał niezależnie od niej, po czym zajrzała do najnowszych wpisów, zamieszczonych po jej przybyciu do zamku.

To, co przeczytała, sprawiło, że zlodowaciała w środku.

Maddee czy też Rachael zaczynała każdy wpis jednakowo: „Kochany pamiętniku!”.

*Kochany pamiętniku!*

*Przyjechała ta wredna suka...*

*Kochany pamiętniku!*

*Ten głupi palant myśli, że ją kocha. Ona jest tu po to, żeby się przekonać, czy też jest w nim zakochana...*

*Kochany pamiętniku!*

*Widzę, że Memphis wciąż jeszcze darzy mnie uczuciem. Widziałam, jak na mnie patrzył, kiedy przedstawiał mi swoją*

*najnowszą dziwkę. Pamiętam dobrze, jak leżał pode mną, moje ręce na jego nagim ciele...*

*Kochany pamiętniku!*

*Nie ma innej rady. Ona musi odejść. Pragną siebie nawzajem. Nie mogę drugi raz przez to przechodzić. Nie mogę.*

Dzwonek komórki wyrwał Taylor z zamyślenia. Dzwonił Lincoln.

- Czytasz? - spytała krótko.  
- Idź do 21 grudnia 2008 roku - odrzekł.  
- To dzień śmierci Evan... - Szybko wstukała datę, zadowolona, że choć na chwilę może się oderwać od chaosu myśli chorej kobiety.

Przeczytała wpis i zrobiło jej się gorąco.

*Kochany pamiętniku!*

*Wszyscy myślą, że ona nie żyje. Dopiero teraz poczuje, jak to jest być w mojej skórze. Suka zasługuje na wszystkie potworności, jakie ją spotkają. Nie powinna była we mnie wątpić. Starłam się jej pomóc. Wszystko, co zastosowałam - hipnoza, lekarstwa - działało bez zarzutu. Ale nie, musiała to zakwestionować, musiała podjąć decyzję, że powie o wszystkim Memphisowi. Nie mogłam ryzykować, że prawda wyjdzie na jaw.*

- Lincoln, o co jej chodzi?  
- Jeśli to jest prawda, a nie rojenia kompletnie odklejonej od rzeczywistości wariatki, to Evan Highsmythe żyje!

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

- Linc, przecież to absurd. Evan Highsmythe zginęła w wypadku samochodowym. Lord Dulsie rozpoznał zwłoki.

- Nie było sekcji. Dlaczego Memphis nie uczestniczył w identyfikacji?

Taylor wróciła myślami do rozmowy, którą odbyła z Memphisem wieczorem w dniu przyjazdu, zanim jeszcze wydarzenia wymknęły się spod kontroli.

„Nie widziałem jej po wypadku. Ojciec mi nie pozwolił. Powiedział, że to bardzo zły pomysł. Przeleciała przez przednią szybę, twarz miała pociętą na kawałki. Ojciec był zdania, że ten obraz zostanie ze mną już na zawsze. Szczerze mówiąc, wątpię, by prawdziwy widok był gorszy niż to, co podsuwa wyobraźnia, zwłaszcza późno w nocy”.

- Ojciec mu nie pozwolił. Ponoć miała bardzo zniekształconą twarz.

- To mi wystarczy...

- Lecz jeśli w aucie nie było Evan, to kto tam był?

- Nie wiem. Będą musieli ekshumować ciało, przeprowadzić badanie DNA. Pewnie jakaś przypadkowa osoba. Rachael ją dopadła i wykorzystała do chorych celów. W tym akurat jest dobra.

- Chryste... Szalenie ryzykowne działanie.

- Mamy do czynienia ze skrajną psychopatką, Taylor. Ryzyko to jej żywioł.

- No dobrze, założmy, że masz rację i doszło do potężnej mistyfikacji. Rachael rozbiła samochód z przypadkową ofiarą w środku i niepostrzeżenie wywiozła gdzieś Evan. Więc gdzie ona teraz jest? O jej śmierci pisały wszystkie gazety w kraju. Trudno byłoby ją tak długo ukrywać przed światem. Ktoś w końcu by ją rozpoznał.

- Przeczytaj jeszcze raz ten wpis. „Dopiero teraz poczuje, jak to jest być w mojej skórze”. Rachael była zamknięta przez

siedem lat.

- Przypuszczasz, że Evan została oddana do zakładu?

- Do szpitala psychiatrycznego. To byłaby dla niej doskonała kara.

- Jezu, Lincoln, nie mogę uwierzyć, że Rachael jest do tego zdolna.

- Pomyśl o jej przeszłości. Manipulowała innymi ludźmi, żeby wykonywali za nią pracę. To całkiem możliwe. Mogła sfałszować dokumenty, przecież była „lekarzem”. I podrobić podpisy rodziny, jest w tym mistrzynią. Musimy się jak najszybciej dowiedzieć, gdzie ją umieściła.

Pożegnalny list Evan. Czy jego autorką mogła być Maddee? Czy to ona wysłała mejla do Taylor z konta Memphisa?

- Taylor? - dobiegł donośny głos z korytarza. - Powinnaś zjeść lunch, czekamy na ciebie.

Rachael.

Zatem знаła kod wejściowy do prywatnej części zamku.

Highsmythe'owie wpuścili lisa do kurnika.

- Linc, ona stoi pod moimi drzwiami - wyszeptała jak najciszej do słuchawki.

- Czy przesłałaś mi wszystkie pliki?

- Tak.

- Więc znajdź sposób odłożenia laptopa na miejsce i udawaj, że wszystko w porządku. Ona nie może się niczego domyślić. Ja będę szukał miejsca pobytu Evan.

- Dobra. Skontaktuj się też z Baldwinem, nie mogę się do niego dodzwonić. Podobno jedzie tu do mnie. Porozum się z nim i wtajemnicz go we wszystkie szczegóły. Za chwilę do ciebie zadzwonię.

- Uważaj na siebie, Taylor.

- Tak zrobię.

Rachael stuknęła do drzwi, a właściwie waliła w nie pięścią. Taylor zamknęła pokrywę laptopa i przyjrzała mu się uważnie. Był naprawdę cienki... Włożyła go za pasek dzinsów od przodu, błogosławiąc w duchu zespół projektantów Steve'a Jobsa. Gruby wełniany sweter z powodzeniem zakrył komputer i pistolet, chociaż było jej trochę niewygodnie.

Poszła otworzyć drzwi. Rachael szczerzyła zęby w zwycięskim uśmiechu. Jeśli wiedziała, co się święci, to była doskonałą aktorką.

- Cześć... Jak się czujesz? Trixie mówiła, że już wstałaś. Czy zejdiesz na lunch? Mogłabyś poznać Rolanda, tym razem na trzeźwo. Przyznam, że był na mnie zły, że tak się upiłam. Nie mogliśmy wyjechać na drogę, koła tak się ślizgały, że samochód o mało nie wpadł do rowu. Roland zapomniał łańcuchów. Zostawiliśmy auto w zaspie i pieszo brnęliśmy z powrotem do zamku. Musieliśmy tu przenocować, a mój mąż nie był tym zachwycony. Dzieci zostały w domu z nianią, diabli wiedzą, co nawymyślają.

- Ale przygoda! - Taylor zmusiła się do uśmiechu. - Konam z głodu, chętnie coś zjem i oczywiście cieszę się na spotkanie z Rolandem.

Nie wezmę do ust ani kęsa, jeśli będziesz w pobliżu, ty psychopatyczna suko, pomyślała Taylor.

Doktor Madeira James alias Rachael Mack zachowywała się tak, jakby nie miała pojęcia, że Taylor zamierza dobrać się jej do skóry.

Zamknęła drzwi do pokoju i razem z Maddee ruszyła do jadalni.

- Miałam nadzieję, że pojawisz się dziś rano na kolejnej sesji. Czy przynajmniej wykonałaś ćwiczenia, które ci zadałam?

Taylor uśmiechnęła się pod nosem. W razie potrzeby także potrafiła zagrać jak na scenie.

- Oczywiście. Wczoraj trochę przesadziłyśmy, rano z trudem zwlekłam się z wyra... Ale mimo kaca giganta zrobiłam te ćwiczenia. Słuchałam też twojej kasety. Po naszym wczorajszym przyjęciu urwał mi się film - dawno nie miałam takiej akcji, przyznaję - i obudziłam się w środku nocy z koszmarnym bólem głowy. Wzięłam wszystkie piguły, wróciłam do łóżka i spałam jak suseł, póki Trixie mnie nie obudziła. Twoja melatonina czyni cuda. Muszę zabrać zapas do Stanów. Jestem ci winna przysługę, żaden lekarz nie potrafił wyleczyć mnie z bezsenności.



Rachael położyła jej dłoń na plecach w uspokajającym geście. Taylor ze wszystkich sił starała się nie skrzywić.

- Tak się cieszę, że mogłam pomóc. A więc słuchałaś kasyety... Jak się wtedy czułaś?

- Cudownie rozluźniona. I czuję się znacznie lepiej. Potrafisz czynić prawdziwe cuda. Naprawdę nie wiem, jak mam ci dziękować.

- Już to zrobiłaś - odparła Rachael chłodnym tonem. Nie zależało jej na tym, żeby Taylor poczuła się lepiej, chciała ją widzieć martwą. Kasetka była na to dowodem.

Były już prawie przy drzwiach do drugiej jadalni. Taylor miała jedną jedyną szansę i musiała ją wykorzystać. Pomacała się po kieszeniach.

- Kurczę, zapomniałam komórki. Czekam na telefon od narzeczonego. Wiesz co, zaczekaj na mnie w jadalni, dobrze? Zaraz do ciebie wrócę.

- Jasne, nie ma problemu. Zaczekam. - Rachael weszła do jadalni, nie oglądając się za siebie.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Taylor pomknęła schodami na dół i wbiegła do salonu. Przez cały czas tłukły się jej po głowie dwa słowa:

*Evan żyje.*

*Evan żyje.*

*Evan żyje.*

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Drzwi do salonu były zamknięte. Niewiele myśląc, Taylor nacisnęła klamkę, weszła do środka i szybkim krokiem przemierzyła pokój.

Pokrowiec na komputer zniknął.

Cholera. Rozejrzała się dokoła z nadzieją, że może pokojówka go przełożyła, ale nigdzie nie było go widać. Jaka była szansa, że właścicielka nie spostrzegła braku laptopa? Doprawdy minimalna.

- Czy tego właśnie szukasz?

Taylor zastygła nieruchomo. Co za podstępna dziwka!

Odwróciła się powoli. Rachael stała w progu, dyndając pokrowcem trzymanym w wysoko uniesionych palcach.

- Wyjaśnię ci to - wyjąkała Taylor.

Rozbrajający uśmiech Rachael kłócił się z jej lodowatym tonem.

- O, nie wątpię. Czy mogę odzyskać komputer? Domyślam się, że skończyłaś już grzebać w moim prywatnym życiu.

Myśl, Taylor, myśl! - nakazała sobie.

- Pożyczyłam go, bo chciałam wysłać mejl do narzeczonego. Mój laptop dziwnie działa, jakby był zainfekowany wirusem. Zesłam na dół, żeby się napić herbaty, zobaczyłam twojego Maca i pożyczyłam na chwilę. Przepraszam, powinnam była zapytać o pozwolenie.

Rachael weszła do salonu, nie przestając złowieszczo majtać pokrowcem. Tik, tak. Tik, tak.

- Słyszałam, że tak postępujesz. Łamiesz zasady, a przepraszasz tylko wtedy, kiedy zostaniesz przyłapana na gorącym uczynku. To niezbyt szlachetne postępowanie.

Pamiętaj, co ci mówił Baldwin. Nie słuchaj jej, Taylor! - powtarzała sobie w duchu. Ta suka zaszczepiła w twoim mózgu sugestie. Usiłuje cię zmusić do słuchania, żeby przejąć nad tobą kontrolę.

- Powiedziałam już, że przepraszam. Proszę, weź swój komputer. Idę na lunch.

Położyła laptopa na biurku i skierowała się bokiem do drzwi.

- Nie sądzę... Mamy jeszcze przed sobą dużo pracy.

Rachael położyła pokrowiec na kanapie. Każdy ruch był starannie przemyślany. Ani na moment nie spuściła Taylor z oczu.

- Musisz się teraz rozluźnić, Taylor. Masz za sobą ciężki tydzień.

Zbliżyła się niepostrzeżenie.

- Przestań, Rachael.

Oczy rozszerzyły jej się ze zdziwienia, ale szybko wzięła się w garść.

- Biedaczka... Kompletnie ci odbiło. Mam na imię Madeira. Madeira James.

- Nazywasz się Rachael Mack. Wiem o tobie wszystko. Wiem, co zrobiłaś. To koniec. Potrzebujesz pomocy i jestem pewna, że władze amerykańskie chętnie ci jej udzielą. Zostałaś warunkowo zwolniona i uciekłaś. Sąd wydał nakaz aresztowania. A teraz przestań się poruszać i mówić.

- Taylor, pomyśl o ciepłym strumieniu słonecznego blasku...

- Nie, zamilcz, ani słowa więcej! Jeśli się odezwiesz, to nie odpowiadam za siebie. Zahipnotyzowałaś mnie! Wystarczy, że pokażę tę kasetę sędziemu, a będę zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności. Tym razem dobrałaś się do mózgu niewłaściwej kobiety, Rachael.

- Powiedziałam, że mam na imię Maddee! - wysyczała z wykrzywioną twarzą, rzucając się do Taylor.

Tego było już za wiele. Taylor błyskawicznym ruchem wyszarpnęła pistolet z za paska i wymierzyła go w Rachael.

- Przestań - wycodziła zimno, a gdy Rachael nadal sunęła wzdłuż ściany, dodała: - Ostatni raz cię ostrzegam. Jeszcze krok i cię zastrzelę.

Rachael przystanąła, kalkulując.

- Och, Taylor. Jak zwykle anioł zemsty. Robi to, co umie najlepiej. Nie możesz się wyplątać z sytuacji dzięki inteligencji, więc uciekasz się do brutalnej siły. Do morderstwa! Ale mnie nie

przestraszysz. Zajrzałam do twojego wnętrza. Wiem, jak się tym rozkoszujesz. Pozwolę ci trochę dłużej się tym cieszyć.

- Żal mi ciebie, Rachael, bo postradałaś rozum. Miałaś szansę na normalne życie, jesteś żoną i matką, ale odrzuciłaś to wszystko, i to tylko dlatego, żeby zdobyć mężczyznę, któremu na tobie nie zależy? Który nigdy nie będzie cię chciał?

Rachael uśmiechnęła się złowieszczo. Znów zaczęła się skradać pod ścianą, cały czas poruszając się w lewo. Taylor nie przestawała celować w jej tułów, obracając się wraz z nią.

- Gdzie ukryłaś Evan? Powiedz, gdzie ona jest, a cię nie zastrzelę.

- Nie przestraszysz mnie, Taylor. - Rachael obnażyła zęby jak dzikie zwierzę. - I tak nie zamierzasz do mnie strzelać. Nie zniesiesz kolejnego brzemienia na sumieniu. Dotarłaś do granicy. Nie pomyliłam się co do ciebie. Podobało ci się zabicie Naśladowcy, ale jeśli zabijesz jeszcze raz, twoja dusza rozpadnie się na zbyt wiele kawałków.

- Mylisz się, suko! Nie muszę do ciebie strzelać, żebyś była skończona. Doskonale wiesz, jak to działa. Moim pomocnikiem będzie wymiar sprawiedliwości, a ukaranie ciebie będzie czymś sprawiedliwym, natomiast ty...Ciekawe, co czułaś, kiedy wykonali karę śmierci na twoim Robercie? Kiedy wbili mu igłę do żyły i wpompowali truciznę? Kiedy jego serce stanęło? Czy byłaś szczęśliwa? Twój sekret umarł wraz z nim, a przynajmniej tak ci się wydawało.

Rachael znieruchomiała. Stała w progu, a Taylor naprzeciw niej, odgradzona meblami.

- Nic o mnie nie wiesz - wysyczała Rachael, skandując poszczególne słowa. - Nie masz pojęcia, jakie wiodłam życie. Nie miałam wyboru.

- Ależ miałaś. Już nie pamiętasz, co mi powiedziałaś, ty odrażające ścierwo? „Masz wolną wolę. Masz wybór”. Świecie w to wierzę. Nigdy nikogo nie zabiłam, nie będąc absolutnie przekonana, że jeśli tego nie zrobię, niewinni ludzie stracą życie. Ale ty zabijałaś dla własnej korzyści. Sprawy nie potoczyły się po twojej myśli, więc zabiłaś rodzinę. Oszukałaś swojego chłopaka, wmówiłaś mu, że byłaś bita, molestowana. Że ojciec

zmuszał cię do seksu, a matka wiedziała o tym i nie protestowała. Jak długo musiałaś przekonywać Roberta, żeby ich zabił dla ciebie?

Ton Rachael się zmienił, stał się łagodny i przymilny:

- Przeżyłaś głęboki wstrząs, Taylor. Cierpienie najbliższych przyjaciół wpłynęło na twoją psychikę. Wszyscy wiedzą, jak ciężko to przeżyłaś. Wielu ludziom opowiadałaś o tym, co widziałaś, słyszałaś i robiłaś. Bardzo się o ciebie martwimy i staramy się ci pomóc. Proszę cię, Taylor, musisz odłożyć broń. Tą metodą nie załatwisz niczego.

- O czym ty, kurwa, mówisz? Nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. O to, co ty zrobiłaś!

- Taylor, posłuchaj Maddee - powiedział ktoś niskim głosem. - Ona tylko stara ci się pomóc.

Memphis wsunął się do salonu.

Taylor nie odważyła się spuścić wzroku z Rachael. Memphis powoli ruszył do niej z prawą ręką wyciągniętą przed sobą, jakby planował odebrać jej pistolet. Taylor cofnęła się kilka kroków.

- Memphis, nawet o tym nie myśl.

Zastygł w miejscu.

- Taylor, wszystko w porządku, po prostu odłóż broń, a nikomu nie stanie się krzywda.

Na ułamek sekundy odwróciła do niego wzrok. Nie uśmiechał się.

- Przyjechałem najszybciej, jak mogłem, Maddee. Tak się cieszę, że do mnie zadzwoniłaś. Wygląda na to, że przyjechałem w ostatniej chwili.

Taylor wbiła wzrok w Rachael.

- To ty go wezwałaś. To dlatego wyruszył z Londynu w taką pogodę. Co mu powiedziałaś, Rachael? Jakie kłamstwo wcisnęłaś mu tym razem?

- Kto to jest Rachael, do cholery? Taylor, zachowujesz się nienormalnie. Proszę, żebyś oddała mi broń.

- Przykro mi, Memphis, ale nie mogę. Nie jestem pewna, czy z nią nie współdziałasz.

Memphis przenosił wzrok to na Taylor, to na Rachael, nie wiedząc, co ma o tym myśleć.

- Jezu, Memphis, ta kobieta nazywa się naprawdę Rachael Mack. Zamordowała całą swoją rodzinę, a miała wtedy zaledwie szesnaście lat. Przesiedziała siedem lat w szpitalu psychiatrycznym stanu Nowy Jork. Jej chłopak Robert Deaver został stracony jako sprawca tych czynów. Najpierw siekierą pocięli zwłoki na kawałki, a potem spalili dom. Zabiła matkę, ojca i młodszą siostrę. Tylko dlatego, że zakazali jej się umawiać z tym chłopakiem. To ona jest nienormalna, a nie ja.

- Memphis, ona ma urojenia. Znasz mnie przecież od lat. Czy to gadanie ma sens?

- Spytaj Rachael o Evan, Memphis. Zapytaj, gdzie ona jest.

To przykuło jego uwagę. Przybrał zaniepokojoną minę, ale patrzył przy tym na nią, a nie na Rachael. Taylor uchwyciła to spojrzenie kątem oka i wiedziała, że nie ma chwili do stracenia. Wersja Rachael zwyciężyła w umyśle Memphisa.

- Och, Taylor, kochanie, tak mi przykro. To sięga głębiej, niż myślałem. Sami nie poradzimy sobie z tym, potrzebujemy profesjonalnej pomocy. Śnieżyca przechodzi, śnieg prawie przestał już padać. Możemy tu ściągnąć Baldwina. Doprowadzimy cię do porządku. Tak mi przykro, nie powinienem był zostawiać cię tu samej.

Rachael stanęła u jego boku.

- Usłuchaj go, Taylor. Pamiętaj, że oboje chcemy dla ciebie jak najlepiej.

Taylor nagle się rozżłościła. Dlaczego Memphis nie chce jej wysłuchać? Czemu nie przywiązuje wagi do jej słów? Postąpiła dwa kroki w kierunku Rachael, która pisnęła, zakrywając usta dłonią, i kurczowo złapała Memphisa za rękaw.

- Tak jak chciałaś przychylić nieba Evan? - wysyczała jadowicie i przeniosła wzrok na Memphisa. - Musisz mnie wysłuchać, słyszysz? Evan żyje. Rachael nie mogła znieść, że to Evan jest z tobą. Chciała mieć ciebie na wyłączną własność. Najpierw zorganizowała przeciwko tobie brudną kampanię w prasie. To ona przekazała brukowcom informację o twoim rzekomym romansie. Zmieniła nawet nazwisko na jedno

z twoich imion, żeby w ten sposób zbliżyć się do ciebie. Czy nigdy cię nie zdziwiło, czemu wybrała akurat nazwisko James? Następnie zaczęła podtruwać Evan, podając jej to samo świństwo, którym teraz faszerowała mnie. Pamiętasz, że Evan chorowała, a lekarze nie umieli ustalić przyczyny? W trzecim trymestrze ciąży traciła na wadze. Kiedy i to nie zdało się na nic, Rachael upozorowała śmiertelny wypadek i umieściła Evan w szpitalu dla umysłowo chorych. Lincoln przeszukuje w tej chwili wszystkie rejestry, żeby ustalić miejsce pobytu twojej żony.

Widziała, że Memphis nadal nie daje jej wiary. Uważa ją za wariatkę.

Oboje z Rachael przemawiali do niej uspokajającym tonem, jakby starali się obłaskawić szalejącą bestię.

Przesunęli się odrobinę w lewo, Taylor poszła w ich ślady. Była coraz bliżej drzwi. Może uda jej się wyskoczyć na korytarz i zabarykadować w swoim pokoju. Jeśli pogoda się poprawi, doczeka w ten sposób zapowiadanej odsieczy Baldwina.

Jeszcze jeden krok i kolejny. Memphis nie przestawał przemawiać do niej jak do dziecka. Rachael milczała, nieufnie jej się przyglądając. Ostatecznie Taylor miała broń, choć wolałaby z niej nie skorzystać.

Rzuciła spojrzenie przez ramię. Do drzwi miała najwyżej pół metra. Postąpiła jeszcze jeden krok, zerknęła na Rachael i zobaczyła, że patrzy ponad jej ramieniem.

Taylor odwróciła się w porę, by dostrzec rzucającego się na nią Jacques'a. Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku, wyrwał broń i nagle wszystko się zakotłowało. Memphis runął Jacques'owi na pomoc. Rachael skoczyła po swoją torebkę.

Taylor była otoczona.

- Nie pozwól jej na to, Memphis! - wrzasnęła dziko. - Ona chce mnie zabić! Ciebie także zabije! Memphis, błagam! Jacques, powiedz mu! Powiedz!

Jacques nie puścił uchwytu. W lepszej sytuacji wyrwałaby się z półnelsona, ale trzymał ją pod złym kątem. Przestała się miotać, jakby chciała się poddać. Jeśli miała odzyskać kontrolę, musiała zyskać element zaskoczenia.

Memphis nachylił się, by ją złapać za nogi, a wówczas kopnęła go prosto w twarz. Kalosze nie były wprawdzie tak skuteczne jak kowbojki, ale Memphis się tego nie spodziewał. Głowa odskoczyła mu w tył, krew popłynęła z nosa.

Korzystając z chwilowego zamieszania, tyłem głowy trzasnęła Jacques'a w nos. Trafiła idealnie, bo zachwiał się i zatoczył na drzwi, trzymając ją tylko jedną ręką. Obróciła się błyskawicznie w prawo i z całej siły kopnęła go w kolano, dostatecznie mocno, żeby złamać kość. Jacques padł na ziemię jak kłoda.

Memphis rzucił się na nią, bełkocząc niezrozumiale.

- Taylor, no co ty, złamałaś mi nos! Co ty w ogóle...

- Łap ją, Memphis! - krzyknęła Rachael.

Usłyszał, a Taylor poczuła się okropnie. Nie chciała się z nim bić.

On chyba też tego nie chciał, bo szedł do niej z rękami wyciągniętymi przed sobą, jakby chciał zarzucić na nią niewidzialną sieć. Rachael doskoczyła od lewej, próbując odwrócić jej uwagę.

Taylor pozwoliła jej na to. Jacques z twarzą wykrzywioną z bólu usiłował wstać, przytrzymując się klamki. Jak dotąd nie wyjął broni, co należało zapisać na plus. Być może jest jednak jej sojusznikiem. Albo strzeli jej w plecy, kto wie. Musiała zaryzykować. Kopnęła go, wytrącając z równowagi. Z jękiem zwałił się na podłogę.

Memphis był już prawie przy niej. Pozwoliła mu na to, udając, że nie widzi czającej się Rachael. Zamarkowała cios łokciem, Memphis zgiął się wpół, a wtedy podcięła mu nogi. Runął na plecy z głuchym stęknieniem i zaraz zaczął się gramolić z powrotem. Taylor odczekała chwilę, a kiedy już prawie stał, walnęła go z całej siły pięścią w twarz. Upadł jak długi, ona zaś obróciła się w porę, by zobaczyć Rachael ze strzykawką, którą zamierzała wbić jej w udo.

Zrobiła błyskawiczny unik w lewo, chwyciła Rachael za wyciągniętą rękę, szarpnęła i jednocześnie zadała potężny cios w ramię. Wyrwała jej strzykawkę, przytrzymała od tyłu mocnym, wytrenowanym chwytem i przyłożyła czubek igły do odsłoniętej szyi Rachael.



## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Rachael zastygła z przerażoną miną.

- Gadaj - warknęła Taylor. - Powiedz im wszystko albo przysięgam, że wpompuję ci w szyję całą zawartość strzykawki i wyślę cię prosto do piekła.

Zalśniły białka szeroko otwartych oczu. Rachael była naprawdę przerażona, drżała. Przeczucie nie omyliło Taylor. Płyn w strzykawce był śmiertelnym zagrożeniem.

Taylor przejrzała jej podły plan. Brała tyle silnych leków, że Rachael mogła jej wstrzyknąć cokolwiek i twierdzić, że doznała wstrząsu anafilaktycznego i zmarła w wyniku interakcji. Memphis byłby mimowolnym świadkiem, że Taylor postradała rozum, a „Maddee” usiłowała jej tylko pomóc.

Jak mało brakowało.

Memphis próbował się podnieść. Zerknęła na niego i poczuła wyrzuty sumienia. Nieźle go załatwiła. Miał złamany nos, prawdopodobnie pękniętą kość policzkową. Jacques leżał na podłodze i pojękiwał. Atak na kolano był zawsze skuteczny.

- Gadaj. Słyszysz? - Położyła kciuk na tłoku. Zgrzytała zębami ze złości, mówiła ochryple, nie poznawała siebie samej, ale to nie mogło jej powstrzymać. Gdy Rachael zaczęła płakać, krzyknęła: - Przestań! Powiedz mu prawdę.

- Maddee? Taylor? Powiedzcie, co tu się naprawdę dzieje. No już!

Nareszcie. Memphis zaczął w końcu rozumieć, że sytuacja nie wygląda tak, jak mu się początkowo wydawało. Taylor powstrzymała się i nie przewróciła oczami.

- Mówiłam ci, że to wariatka.

- Ty nieszczęsna kretynko - powiedziała Taylor, naciskając leciutko na tłok.

Niewielka ilość zawartości strzykawki dostała się do szyi Rachael, która syknęła z bólu.

- Boli, co? Dobrze wiedzieć. - Taylor nacisnęła mocniej.

- Przestań! - wrzasnęła Rachael. - To wszystko prawda. Prawda, słyszysz? Evan nie umarła. Nie chciałam jej zabijać, jest moją przyjaciółką... Tylko musiałam się jej pozbyć.

Przemiana widoczna na obliczu Memphis była przerażająca, ale Taylor zmusiła się do patrzenia. Niedowierzenie, ból - straszliwy, nie do opisania, a potem cień nadziei.

Po nim zaś iście piekielna furia.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Taylor szybko pojęła, że wprawdzie dla niej niebezpieczeństwo minęło, ale sytuacja Rachael diametralnie się zmieniła. Odjęła strzykawkę od jej szyi i wrzuciła do kominka. Bezceremonialnym szarpnięciem postawiła Rachael pod ścianą i zasłoniła własnym ciałem. Przycisnęła ją na tyle mocno, żeby Rachael nie mogła się wyrwać ani jej uderzyć.

Memphis miał minę rozdrażnionego byka. Jeszcze kilka kroków i sytuacja stanie się bardzo groźna. Kiedy przemówił, głos miał zmieniony gniewem i bólem.

- Oddaj mi ją...

- Nie - odparła Taylor. - Musimy to zostawić policji.

- Ja jestem pieprzoną policją!

- Nie, jesteś mężem ofiary. Rachael zaraz nam powie, gdzie ona jest. Prawda, Rachael?

Nieszczęśnica jęczała z bólu albo ze strachu, Taylor miała to w nosie.

- Prawda, Rachael? - powtórzyła z naciskiem, odwracając się i kładąc dłonie płasko na ścianie po obu stronach głowy oszustki. - Gdzie ona jest? Gdzie jest Evan?

Gdyby Rachael próbowała stawić opór, Taylor zamierzała ją uderzyć. Ta myśl zanadto jej się podobała, więc nie odwracając głowy, poprosiła Memphisa, żeby podał jej kajdanki.

To odniosło zamierzony skutek. Taylor pogratulowała sobie w duchu przenikliwości. Śmierć mniej przeraziła Rachael niż groźba uwięzienia.

- Jest w Mołdawii, w karpackiej wiosce. Jeżeli nadal żyje. Dlatego wybrałam to miejsce. Większość nie jest w stanie przeżyć pierwszej zimy. I tak zamierzałeś ją oddać do zakładu, podpisałeś już przecież dokumenty. Załatwiłam to po prostu za ciebie.

Taylor walnęła ją w splot słoneczny za ostatnie, niepotrzebnie okrutne słowa.

Złotousta Rachael upadła na podłogę i podparta na kolanach i rękach, zwymiotowała żółcią.

- Dobry cios - skomentował zimno Memphis.

- Dzięki. Co z nią zrobimy?

- Nie wiem. Przywiążemy do poręczy schodów?

- Kuszące... Lepiej jednak zamknąć ją w którymś pokoju i poczekać na przyjazd konstabla.

Memphis jeszcze się nie otrząsnął i dalej gotował się z wściekłości. Taylor wcale mu się nie dziwiła.

- Chyba tak. Dlaczego ona ma na palcu pierścień mojej matki?

- Jak to? O czym ty mówisz? - zdziwiła się Taylor.

- O pierścieniu z onyksem. Należy do mojej matki. Lubiała go pokazywać podczas większych przyjęć. To kolejna rodzinna legenda Highsmythe'ów. W pierścieniu jest skrytka na truciznę.

Taylor podeszła do Rachael i siłą zerwała jej klejnot z palca.

- Ach, więc tak się to działo. Byłam pewna, że dodała mi czegoś do piwa.

Podła zabytkowy pierścień Memphisowi, który obracał go w palcach ze skruszoną miną.

- Och, Taylor, tak bardzo mi przykro.

- Mnie też.

- Ktoś powinien jej pilnować... Już kiedyś próbowała popełnić samobójstwo. Powiedziała mi, że właśnie dlatego została psychologiem, żeby pomagać w walce z dręczącymi człowieka demonami. Chcę mieć pewność, że więcej już nikogo nie skrzywdzi.

- Niemal doprowadziła mnie do tego kroku. Tak samo próbowała postąpić z twoją żoną. Uważam, że zasługuje na to samo.

Taylor rozcierała obolałe palce. Walenie ludzi po głowach miało niemiłe konsekwencje.

- Trixie była pomagierką Rachael, dolewała mi halucynogenów do herbaty. Widziałam po tym duchy, miałam bardzo dziwne sny.

- Trixie nie zrobiłaby tego, prawda?

Na korytarzu przed salonem zebrała się spora grupka służby z gospodynią na czele.

- Nie, proszę pana. Robiłam co w mojej mocy, żeby pani była bezpieczna. Doktor James zachowywała się dziwnie, a pana gość coraz bardziej chorował. Próbowałam mieć oko na obie panie.

- Taylor, to Trixie pierwsza do mnie zadzwoniła. Wydawało jej się, że źle się dzieje, i poprosiła, żebym wrócił do domu. Potem Madd... to znaczy Rachael zadzwoniła, twierdząc, że masz omamy, więc sytuacja jest poważna. Uznałem, że muszę jak najszybciej przyjechać, ale dworce i lotniska były nieczynne, dlatego wsiałem w auto i jechałem całą cholerną noc.

- No to cieszę się, że zdążyłeś - skwitowała kwaśno Taylor.

Rachael nie broniła się, kiedy przykuwali ją do kraty kominka. Miejsce wydawało się bezpieczne. Trixie stała na straży z ciężkim pogrzebaczem w rękę, a jej mina nie wróżyła nic dobrego. Rachael zamknęła się w sobie, popadła w rodzaj katatonii, przeżywając chore fantazje we własnym świecie. Na szyi w miejscu ukłucia igły pojawiła się czerwona obwódka, którą Rachael co chwila drapała.

Taylor i Memphis siedzieli z dala od niej na kanapie i cicho rozmawiali.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o Jacques'u?

- Ależ powiedziałem.

- Ani o pogroźkach, które otrzymywała twoja rodzina.

Memphis pokręcił głową ze smutkiem.

- Nie miałem pojęcia, że dotyczą kogokolwiek poza ojcem. Skoro wyjechał, uznałem, że zamek jest całkowicie bezpieczny. Nie wiedziałem, że niebezpieczeństwo czai się tutaj. Czy to w ogóle możliwe, Taylor? Czy to prawda, że Evan żyje? A mój syn?

Jego syn. Nie znała odpowiedzi na to pytanie. Bezradnie potrząsnęła głową.

Zadzwoniła jej komórka. Sprawdziła na wyświetlaczu. To był Lincoln.

- Linc, co udało ci się ustalić? Rachael napomknęła o Mołdawii.

- To całkiem możliwe. Przejrzałem wszystkie rejestry w Anglii, Francji i Włoszech. Na razie nic. Muszę poszerzyć parametry poszukiwań. Jak mogła ją tam przewieźć?

- Przy pomocy znajomych. Wychowała się na Long Island, to akurat prawda. Sprawdź, czy nie poznała kogoś z rosyjskiej imigracji, może z tym kimś siedziała.

- Dobra jesteś. Już nie mogę się doczekać, kiedy wrócisz do pracy. Odezwę się do ciebie, jak tylko uda mi się coś znaleźć. - Lincoln się rozłączył.

- Pracujemy nad tym - zwróciła się Memphis. - Na razie zajmijmy się twoją twarzą.

Trixie przyniosła mu już worek z lodem, który niechętnie przykładał do kontuzjowanych miejsc. Taylor wyjęła mu go z ręki i delikatnie poprawiła, wykorzystując ten moment na ocenę szkód. Nos był na pewno złamany, a co do kości policzkowej, to potrzebny był rentgen. Oblicze Memphisa prezentowało się dosyć okropnie.

- Dlaczego musiałaś mnie walnąć? To nie było zbyt miłe.

- Nie miałam wyboru. Zamierzałeś mnie przytrzymać i pozwolić jej na zrobienie mi zastrzyku z diabli wiedzą czego. Nie rozumiem, jak mogłeś uwierzyć w jej słowa, a nie w moje!

- Znam ją dłużej od ciebie. Od bardzo dawna próbowała znaleźć sobie miejsce w moim świecie.

Na jego pokiereszowanej twarzy odmalowała się rozpacz. Potwornie trudna jazda do domu i przeżycia ostatnich godzin powaliłyby słonia.

Nie licząc Rachael i Trixie, byli sami w salonie. Jacques był pielęgnowany w kuchni, gdzie najpierw ostrożnie go przeniesiono, a teraz czekał na przyjazd pogotowia. Konstabl uprzedził, że będzie za dziesięć minut. Mieli ten czas dla siebie.

- Memphis, muszę cię o coś zapytać.

- Proszę.

- Czy tamtej nocy, po powrocie z wycieczki, kiedy pokazałeś mi most, przyszedłeś do mojego pokoju?

- Wolałabyś, żebym potwierdził czy zaprzeczył? - odparł po długiej chwili milczenia.

- Chcę usłyszeć prawdę. Lekarstwo, które dała mi Rachael, wywołało bardzo dziwne sny i dziwne myśli. Miałam halucynacje. Muszę wiedzieć, czy byłeś u mnie, czy nie.

- Chodzi ci o to, czy naprawdę kochałaś się ze mną? Cieszę się, że pozostały ci po tym tak piękne wspomnienia.

Cholera... Więc jednak się z nim przespała.

Unikając jego wzroku, zapatrzyła się w okno.

Zatem możliwość złożenia swych działań na karb halucynacji okazała się tylko pobożnym życzeniem. Jakaż była głupia, pozwalając hormonom podejmować ważne decyzje. Rachael miała słuszność. Wszyscy mamy wybór.

Odetchnęła głęboko. Poradzi sobie z tym. Razem z Baldwinem.

- Taylor - powiedział cicho Memphis - to nie ma znaczenia. To się nie liczy. Jeżeli Evan żyje... Jeśli istnieje choć minimalna szansa, że nadal żyje, że mi przebaczy, to muszę się tego trzymać. Jest moją żoną.

- Wiem. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Uwielbiam cię, Memphis, ale cię nie kocham. Kocham tylko Baldwina.

- Miło mi to słyszeć.

Baldwin wszedł szybkim krokiem do salonu i zlustrował całą scenę. Taylor poczuła się ogłuszona, jakby właśnie otrzymała cios w szczękę. Ile usłyszał z tej rozmowy?

Uśmiechał się do niej szczęśliwy, rozradowany. Zatem dopiero się tu pojawił i usłyszał wyznanie miłości skierowane do niego.

Taylor podbiegła do Baldwina przyciągana jak magnes. Z rozkoszą pozwoliła się porwać w ramiona. Z jej ust wyrwało się westchnienie ulgi. Była bezpieczna. Mogła przestać mieć się na baczności przed wrogim światem.

- Memphis - powiedział Baldwin - ktoś strasznie pokiereszował ci twarz.

- Pogadaj ze swoją kobietą. Jej prawy sierpowy jest zabójczy.

Baldwin parsknął śmiechem i mocniej przytulił Taylor.

- To ty go tak załatwiłaś?

- Nie miałam wyboru, bo nie chciał mi uwierzyć.

- Przypomnij mi, żebym nigdy się z tobą nie spierał - rzucił lekkim tonem.

- Jakim cudem udało ci się tu tak szybko przyjechać? Ponoć lotniska są nadal zamknięte?

- Atlantic zadzwonił do jednostki specjalnej, poprosił ich o przysługę i przejechałem się pojazdem wojskowym, który

zmierzał w tę stronę. Niezła zabawa. Armia brytyjska dysponuje fajnymi gadżetami.

Memphis zasalutował mu żartobliwie.

- Baldwin, dzięki za pomoc. Zostawię was teraz, pewnie macie sobie mnóstwo do powiedzenia.

Podniósł się nieco chwiejnie i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się w progu i rzucił przez ramię:

- Taylor? - Gdy na niego spojrziała, powiedział: - Nie było mnie tam. - Uśmiechnął się smutno i wyszedł z salonu.



## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Baldwin pocałował Taylor w usta. Z chęcią mu na to pozwoliła. Kiedy go zobaczyła, miała ochotę podbiec do niego, ukryć mu głowę na piersi i pozostać tak już na zawsze. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Jeśli wyjazd do Szkocji na coś się jednak przydał, to właśnie na to. Upewniła się co do swoich uczuć do Baldwina.

Jak dobrze, że udało jej się ujść z życiem.

- Tęskniłem za tobą. Czy już wszystko w porządku? - spytał niespokojnie.

- Tak. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę!

Baldwin skinął w kierunku drzwi, za którymi zniknął Memphis.

- O co mu chodziło? - spytał. - Gdzie go niby nie było?

Wahała się ledwie sekundę. Nie, nie mogła iść naprzód bez wyrzucenia tego z siebie. Memphis udzielił jej odpowiedzi, powiedział, że nie było go u niej w pokoju. Musiała mu wierzyć. To była halucynacja.

- Taylor? Co się dzieje?

- Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć...

Baldwin odsunął się od niej i skrzyżował ramiona na piersi.

- Musisz być ze mną szczerą. Czy przespałaś się z nim?

- Nie.

- A chciałaś tego?

- Nie wiem.

Na widok bólu, malującego się na jego twarzy, zrobiło jej się strasznie przykro. Wymagał od niej szczerości, ale po co? Wysłuchiwanie o jej wątpliwościach, o pociągu do innego mężczyzny, nie przyniesie mu nic oprócz bólu.

Miała już dość ramienia Baldwina. Miała dość wielu rzeczy. Pragnęła odzyskać dawną pewność co do siebie, swojego życia, celu, drogi. Była jak spadająca gwiazda, która spojrzała na Ziemię, zgubiła drogę i w konsekwencji zatraciła się w czeluściach czarnego nieba.

- Byłam na ciebie wściekła, Baldwin. Miałeś przede mną same tajemnice. Memphis obdarzył mnie przyjaźnią wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałam, a ty się ode mnie odsunąłeś. Podczas pobytu w tym zamku byłam celowo podtruwana, dostawałam między innymi środki halucynogenne. Przez to zdarzały się mi się bardzo dziwne sny. Ale to wszystko. Po prostu sny.

- To całkiem sporo, Taylor.

- Czy możesz mi przebaczyć?

- A ty? - Utkwił w niej wejrzenie zielonych oczu.

- Tak. Mogę.

- Zatem znasz moją odpowiedź.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Szorstki zarost drapał ją lekko w brodę.

Teraz było dobrze.

Zasmuciła się, kiedy pocałunek się skończył.

- Taylor, czy na pewno dobrze się czujesz?

Niezupełnie.

Ale z każdym dniem było lepiej i tylko to się liczyło.

Uścisnęła go mocno za rękę.

- Nieźle, a będzie jeszcze lepiej, zobaczysz. Na razie musimy załatwić kilka bardzo ważnych spraw. Przede wszystkim musimy odnaleźć Evan. Czy będziesz mógł mi pomóc?

- Myślę, że tak. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - Tylko pozwól mi zadzwonić.

## EPILOG

Taylor miała okazję ujrzeć Rachael po raz ostatni.

Rząd angielski pragnął ją osądzić, ale Stany Zjednoczone wystąpiły z żądaniem ekstradycji. Złamała warunki zwolnienia warunkowego, ukradła tożsamość niejakiej Madeirze Hudson i rozpoczęła nowe życie. Skończyła szkołę i studia, otrzymała tytuł naukowy. Wyszła za mąż za Rolanda MacDonalda, przeprowadziła się do Szkocji i urodziła trzech synów. Przez pewien czas wiodła normalne życie, ale z czasem zaczęła w niej narastać chora obsesja na punkcie Memphisa. Zmieniła nazwisko na James i od tego zaczął się jej drugi zjazd w otchłanie piekieł.

Nie wiadomo, ile innych przestępstw popełniła. Zwolnienie warunkowe ze szpitala dla umysłowo chorych było opatrzone ścisłymi warunkami, które naruszyła, w dodatku uciekając z kraju. Prawdopodobnie zostałaaby na powrót umieszczona w takiej instytucji.

Ale to jeszcze nie wszystko. Przydzielony Rachael kurator sądowy zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, a ona była główną podejrzaną. Policja nowojorska mogłaby wyjaśnić sprawę, gdyby miała okazję przesłuchać podejrzaną. Brytyjczycy z kolei chcieli ją oskarżyć o rozliczne przestępstwa - porwanie, dwa usiłowania morderstwa, posiadanie narkotyków. Tak czy siak, przyszłość Rachael Mack nie rysowała się różowo.

Taylor nie umiała rozstrzygnąć, czy właściwszym miejscem odosobnienia w przypadku osoby pokroju Rachael był szpital psychiatryczny, czy więzienie. Rachael niewątpliwie była psychopatką. W strzykawce znajdowała się penicylina, na którą Taylor była uczulona. Przypadkiem tę samą alergię miała też i Rachael, dlatego tak się bała, kiedy Taylor przytknęła jej igłę do szyi.

Rachael zrujnowała życie Evan, umieściła ją w szpitalu dla psychicznie chorych w Mołdawii i przyczyniła się do śmierci jej

dziecka. Noworodek płci męskiej przedwcześnie przyszedł na świat, a pozbawiony opieki neonatologicznej zmarł w ciągu kilku godzin.

Te informacje złamały Memphisowi serce, ale na duchu podtrzymała go wiadomość, że żona została odnaleziona i żyje. Nie było wprawdzie pewności, w jakim jest stanie psychicznym, ale mieli się nią zająć najlepsi brytyjscy lekarze.

W czasie kolejnego wyczerpującego przesłuchania Rachael w końcu pękła i opowiedziała o swojej przestępczej działalności: zastraszaniu, fałszerstwach, oszustwach. Włamywała się do świata Memphisa, do jego biura i komputera, i podszywała pod niego. Początkowo próbowała zastraszyć Taylor, wkładając jej do kieszeni kurtki potłuczone szkło, potem przeszła do bardziej bezpośredniego działania. Stosowała hipnozę i środki halucynogenne z dodatkiem LSD. Jeśli zaś idzie o okoliczności tragicznej „śmierci” Evan, to posłużyła się opiekunką swoich dzieci, którą sama zatrudniła, wiedząc, że nikt nie będzie jej szukał. Zamordowała ją podstępnie na moście Dulsie i upozorowała wypadek samochodowy. Odłamkiem skały uderzyła ją mocno w klatkę piersiową, żeby rana przypominała wgniecenie od kierownicy. Potem pocięła nożem twarz i włożyła zwłoki do auta. Następnie zaprosiła niczego niepodejrzewającą Evan na przejażdżkę.

Powiedziała jej, że jest kochanką Memphisa, że Memphis nienawidzi żony i nie chce z nią dalej żyć, nie zależy mu też wcale na mającym się urodzić dziecku. Następnie uderzeniem w skroń pozbawiła ją przytomności. Zaciągnęła zwłoki opiekunki na fotel kierowcy, pozostawiła na tapicerce ślady krwi i zepchnęła samochód do rzeki. Czas i prawo ciąży dokonały reszty. Ponieważ wiadomo było, że Evan miała skłonności samobójcze – na potwierdzenie istniał przecież doskonale podrobiony przez Rachael list pożegnalny – Memphis wraz z rodziną postanowił wyciszyć skandal i ogłosił, że żona zginęła tragicznie w wypadku. Dzięki wpływom w policji nie sprawdzano innych wersji wydarzeń.

Rachael zawiozła Evan na wybrzeże w okolicy Inverness i przekazała ją przyjacielom z rosyjskiej mafii. Podczas odsiadki

w Stanach nawiązała wiele cennych znajomości, które teraz jej się przydały. Pociągnęła za kilka sznurków, tu i tam poprosiła o przysługę i pozbyła się Evan bez śladu.

Działania Rachael okazały się zdumiewająco nieskomplikowane, a zarazem nacechowane wyjątkową obłudą. Dokonano ekshumacji zwłok pochowanych na rodzinnym cmentarzu i analiza DNA wykazała, że należą do Patricii Cantrell, od ponad dwóch lat uznawanej za zaginioną.

Rachael miała zostać przewieziona do Londynu i trafić tam do aresztu na czas, kiedy oba rządy porozumieją się co do jej dalszych losów. Taylor nie miała dla niej ani krzty współczucia. Litość należy się tym istotom, które można jeszcze ocalić.

Obserwując Rachael, odnosiła wrażenie, że pokonana psychopatka skurczyła się w sobie. Taylor była niemal pewna, że morderczyni nie dotrze do więziennej celi. Zanim trafi na wiele lat do więzienia, popełni samobójstwo. Ta myśl także nie sprawiła jej przykrości.

Jakby czując, że Taylor się jej przygląda, Rachael podniosła głowę i spojrzała jej prosto w oczy. Na jej wargach zaigrał nikły uśmiezek. Obróciła rękę w kajdankach i pokazała środkowy palec.

Twarda sztuka.

Taylor stłumiła chęć odpowiedzi tym samym nieprzyzwoitym gestem i dalej patrzyła, jak policjanci wprowadzają przestępczynię do samolotu British Airways. Życzyła jej w duchu nieprzyjemnego lotu, a potem przestała już o niej myśleć. Będzie musiała jeszcze złożyć zeznania, opowiedzieć, czego doznała od Rachael, ale to później, pewnie za kilka tygodni.

Po odlocie samolotu z Rachael na pokładzie wylądowała następna maszyna, prywatny odrzutowiec bombardier learjet, podstawiony przez wpływowych przyjaciół Baldwina.

Evan została odnaleziona. Samotna i opuszczona, walczyła o zachowanie zdrowych zmysłów. Choć nie była źle traktowana, rząd Republiki Mołdawii był nadzwyczaj skory do współpracy z Anglikami w obawie, że wiadomość o bezprawnym

przetrzymanywaniu obywatelki brytyjskiej wywoła międzynarodowy skandal.

Memphis stał obok Taylor, wyczekując powrotu żony. Starał się o pozwolenie na osobiste odebranie jej z Mołdawii, ale mu odmówiono. Musiał wykazać cierpliwość.

Samolot kołował po pasie i wreszcie się zatrzymał. Drzwi się otworzyły, podtoczono schody i ukazał się nieznany Taylor mężczyzna, który po chwili podał rękę stojącej za nim osobie.

Memphis wciągnął ze świstem powietrze.

Evan wyglądała okropnie. Miała matowe włosy i była straszliwie wychudzona. Posłała Memphisowi nieśmiały uśmiech, a wtedy ruszył biegiem przez pas startowy. Spotkali się w połowie schodów, objęli wpool i stali nieruchomo, napawając się niezwykłym szczęściem.

Taylor czuła szczypanie łez pod powiekami. Tak było dobrze i słusznie. Wszechświat odzyskał równowagę.

Obserwowała przytulonego do żony Memphisa, na którego twarzy malowała się nieprzytomna radość. Evan została mu odebrana tak nagle, po czym równie niespodziewanie zwrócona. Taylor nie była w stanie wyobrazić sobie, co Memphis teraz czuje. Mimo woli poczuła lekkie ukłucie w sercu. Memphis już nigdy nie spojrzy na nią tak jak dawniej, skoro odzyskał ukochaną żonę. Nie była zazdrosna, co to, to nie, ale czuła smutek związany chyba z tym, że w każdej relacji zachodzi nieodwracalna zmiana, są chwile przedtem i potem, które zmieniają barwę i złożoność życia.

Memphis i Evan stracili wprawdzie dziecko, ale otrzymali szansę odkupienia, stworzenia nowego życia. Mieli przed sobą przyszłość.

Ona także ją miała.

Kątem oka dostrzegła ruch po lewej stronie. Baldwin, ubrany stosownie do pogody w grubą kurtkę z kapturem, ze stoickim spokojem obserwował wzruszające spotkanie po latach. Przeniósł wzrok na Taylor. Nie wszystko między nimi było dobrze, jeszcze nie. Ale była nadzieja.

Baldwin wyciągnął do niej rękę.

- Wróć do domu, Taylor. Proszę cię, po prostu wróć ze mną do domu. Potem się nad wszystkim zastanowimy.

Pragnęła tego najbardziej na świecie.

- Musisz mi obiecać, że od tej pory, jeśli w ogóle przetrwamy, będziesz ze mną szczery. Żadnych tajemnic. Żadnych kłamstw. Nie zniosę dłużej żadnych więcej oszustw.

Baldwin skinął głową z powagą.

- Będiesz wiedziała o wszystkim, przyrzekam. Nigdy więcej niczego przed tobą nie zataję.

Spojrzała na mężczyznę, który tak twardo o nią walczył i zniósł wszystko, seryjnych morderców, kule, wykroczenia, fałszywe początki, z którym chciała spędzić resztę życia. Stał nieruchomo z twarzą pełną nadziei i ręką wyciągniętą na znak pojednania.

Po raz ostatni zerknęła przez ramię na wtulonych w siebie Memphis i Evan i z uśmiechem ujęła dłoń Baldwina.

- Wracajmy do domu. - Z jej oczu biła niezachwiana pewność.

[1] Taylor i Memphis cytują w tym rozdziale fragmenty wiersza Roberta Burnsa „Ma miłość jest jak róży krew” w tłumaczeniu Zofii Kierszys w: Robert Burns „Z wierszy szkockich”, tł. Zofia Kierszys, Stanisław Kryński, Ludmiła Marjańska. Warszawa, PIW, 1960.



Tytuł oryginału:  
*Where All the Dead Lie*

Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2011

Opracowanie graficzne okładki:  
*Kuba Magierowski*

Redaktor prowadzący:  
*Grażyna Ordęga*

Opracowanie redakcyjne:  
*Władysław Ordęga*

Korekta:  
*Sylwia Kozak-Śmiech*

© 2011 by J.T. Ellison

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B. V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin jest zastrzeżony.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN: 978-83-238-9483-4

Konwersja do formatu MOBI:  
Legimi Sp. z o.o. | [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

# Spis treści

Strona tytułowa  
Rozdział pierwszy  
Początki  
Rozdział drugi  
Rozdział trzeci  
Rozdział czwarty  
Rozdział piąty  
Rozdział szósty  
Rozdział siódmy  
Rozdział ósmy  
Rozdział dziewiąty  
Rozdział dziesiąty  
Rozdział jedenasty  
Tak było później  
Rozdział dwunasty  
Rozdział trzynasty  
Rozdział czternasty  
Rozdział piętnasty  
Rozdział szesnasty  
Rozdział siedemnasty  
Rozdział osiemnasty  
Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty  
Rozdział dwudziesty szósty  
Rozdział dwudziesty siódmy  
Rozdział dwudziesty ósmy  
Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty  
Rozdział trzydziesty pierwszy  
Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci  
Rozdział trzydziesty czwarty  
Rozdział trzydziesty piąty  
Rozdział trzydziesty szósty  
Rozdział trzydziesty siódmy  
Rozdział trzydziesty ósmy  
Rozdział trzydziesty dziewiąty  
Rozdział czterdziesty  
Rozdział czterdziesty pierwszy  
Rozdział czterdziesty drugi  
Rozdział czterdziesty trzeci  
Rozdział czterdziesty czwarty  
Rozdział czterdziesty piąty  
Rozdział czterdziesty szósty  
Finał  
Rozdział czterdziesty siódmy  
Rozdział czterdziesty ósmy  
Rozdział czterdziesty dziewiąty  
Rozdział pięćdziesiąty  
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy  
Rozdział pięćdziesiąty drugi  
Rozdział pięćdziesiąty trzeci  
Rozdział pięćdziesiąty czwarty  
Epilog  
Przypisy  
Strona redakcyjna